



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 1 (86) 2025 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

„(...) w utworze poetyckim są dwa elementy: jeden prozaiczny, dany wprost przez poetę, a drugi będący wielością znaczeń, nie dających się sformułować słownie”.

Maria Petry,
Ja - to kto inny,

STRUNY, Jerozolima 1944,

Polecamy:

- WIERSZE m. innymi; Andrzej Gierach, Zofia Smalewska, Roberto Bolaño, Katarzyna Boruń-Jagodzińska
- Roman Warszawski, Szczelina z kamienia, REPORTAŻ
- Joanna Sendlak, Zmiana, PROZA
- 20 recenzji i omówienia aktualnych książek

- Dariusz Pawlicki, O chmurach inaczej, ESEJ
- Ewa Leśniewska, Książki mają swoje losy, cz.1
- Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Starość w salonie sztuki FELIETON
- Anatolij Krym, Świadek, PROZA
- Andrzej Wołosewicz, Patriotyzm językowy, FELIETON

Anna Czekanowicz

nie wolna jestem od mego narodu
i poetów którzy prześladują mnie nocami
nie wolna jestem od głodu i pragnienia

i od nałogów małych potknięć
nie wolna jestem od słów
i od rąk które cierpliwie wciskają je na powrót
nie wolna jestem od strachu
i kłamstwa schowanego za oczami
nie wolna jeszcze jestem
ale to nie znaczy
że jestem zniewolona

(NAJSZCZERSZE KLAMSTWO, 1985)

W numerze prezentujemy fotografie Jana Ledóchowskiego
Plakat poetycki i artystyczny Zbigniew Ikona-Kresowaty

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2025

Roman Warszawski

DLACZEGO NAGLE
ZAPADA MILCZENIE?

Spotkałem go przed wielu, wielu laty, w miejscu dość niezwykłym – na statku MS *Świnoujście*, który płynął z Gdyni do Ipswich w Wielkiej Brytanii. Było to w czasach głębokiej komuny – w roku 1976, w czerwcu, tuż przed wypadkami w Radomiu. Płynąłem do Muzeum Brytyjskiego w związku z pracami nad pismem rongo-rongo, a on – do rodziny, która mieszkała w Londynie. Trafiliśmy do jednej kajuty, na piętrowe koje. Nie pamiętam, czyja była na górze, a czyja na dole; nieważne. Rejs trwał 3 dni, był czas, żeby dużo rozmawiać, bo on – starszy ode mnie o 7 lat – też interesował się archeologią. Znał prof. Kazimierza Michałowskiego, który podobnie jak on mieszkał w Podkowie Leśnej. To chyba od niego – będąc wtedy jeszcze nastolatkiem – po raz pierwszy usłyszałem nazwę tej miejscowości.

Mój towarzysz podróży bardzo mnie zaintrygował. Miał długie falujące włosy, czarną brodę;

otaczała go aura pewnej tajemniczości i – tak bym to dziś nazwał – wyraźnie odczuwanej odrębności. Szybko doszedłem do wniosku, że to jakaś niezwykła postać, której na pewno będzie pisana fascynująca przyszłość. Dobrze zapamiętałem jego imię i nazwisko: Marek Karp.

W następnych latach od czasu do czasu natykałem się na jego artykuły: czy to w „Wiedzy i Życiu”, czy w „Literaturze”. Były to interesujące, pogłębione publikacje – najczęściej o Litwie i Żmudzi, skąd – jak pamiętałem z opowieści na statku – wywodziła się jego rodzina. Potem na długie lata straciłem go z oczu.

Teraz do moich rąk trafiła jego biografia pióra **Andrzeja Brzezickiego** pt. *Zmierzyć arszynem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich*. Tak, bo Marek Karp zainspirowany w Londynie przez prof. Stanisława Swianiewicza, który przed II wojną światową w Wilnie prowadził Instytut Wschodni, w latach 90. założył w Warszawie Ośrodek Studiów Wschodnich – znaną dziś powszechnie placówkę o charakterze *think tanku*, która miała zajmować się pogłębionymi studiami tego, co dzieje się za naszą wschodnią granicą i ostrzeganiem przed ewentualnym wyłaniającym się stamtąd zagrożeniem.

To, jak ważną placówką (a jednocześnie solą w oku Rosji) stało się to centrum nie będę ani przekonywał, ani pisał – tego wszystkiego bowiem, jeśli nie z bieżących informacji, można dowiedzieć się z opasłego, 600-stronicowego tomu autorstwa Andrzeja Brzezickiego. Wróćmy tylko do scen z pierwszych stron tej książki. W roku 2004, a więc w tej chwili już z górą 20 lat temu, 12 sierpnia samochód, którym Marek Karp jechał ku przejściu granicznemu w Białej Podlaskiej, został najechany od tyłu przez TIR-a, kierowanego przez białoruskiego kierowcę. Marek został poważnie

ranny, najpierw trafił do szpitala w Białej Podlaskiej, a następnego dnia do szpitala MSWiA w Warszawie. Mimo że początkowo jego stan był bardzo ciężki, z tygodnia na tydzień czuł się coraz lepiej. Tym większe było zaskoczenie, gdy po miesiącu, 12 września 2004 roku, Marek Karp w szpitalu w Warszawie nagle zmarł.

Co się stało?

Konsternacja była ogromna. Czy Markowi Karpiowi (chciał by właśnie w ten sposób odmieniać jego nazwisko) ktoś pomógł rozstać się z życiem? „Gazeta Wyborcza” w czotówkowym artykule z dnia 2–3 października 2004 roku przekonywała, że Karp krótko przed śmiercią czegoś się bał.)

DLACZEGO NAGLE
ZAPADA MILCZENIE?

Czy na szpitalnym łóżku dopadły go długie ręce Kremła? Czy była to zemsta – wersja Litwinienko *light*? Czy to, co się stało, miało być sygnałem dla innych, że takich rzeczy, jakie zrobił Karp (powołując do życia OSW), robić po prostu nie wolno?

W sukurs biografii Marka Karpa przychodzi inna ostatnio opublikowana książka pióra **Grzegorza Rzeczkowskiego** pod znanym tytułem *Szpiegdy Putina. Jak ludzie Kremła opanowują Polskę*. Autora przedstawiać nie trzeba. To znakomity dziennikarz śledczy *Newsweeka*, który nie zajmuje się jakimiś pomniejszymi aferami, lecz kwestiami wagi najcięższej. Znany jest m.in. z takich pozycji, jak *Obcym alfabetem. Jak ludzie Kremła i PiS zagrali podstępami* (2019), czy *Katastrofa posmoleńska. Kto rozbił Polskę* (2020).

Rzeczkowski w swej najnowszej książce idzie śladami rosyjskiej infiltracji w Polsce, a obraz, jaki wyłania się z poszczególnych rozdziałów jego dziennikarskiego dochodzenia, jest wprost przerażający. Wynika z niego, że Rosjanie wcale nie muszą przychodzić do Polski, bo... są tu już od dawna i mają ludzi, na których mogą liczyć. Rosja, posługując się agenturą, czy pseudopolskimi organizacjami sprzyjającymi polityce Kremła, przeniknęła praktycznie do wszystkich sfer życia. Jest w stanie podsunąć wygodnego dla siebie kandydata w wyborach prezydenckich (casus Stanisława Tymińskiego, który z elekcji swego czasu wykościł Tadeusza Mazowieckiego). Umie w dowolnym miejscu zatrzymywać pociągi. Jest w stanie podpalać magazyny o znaczeniu strategicznym. Potrafi docierać do danych osobowych obywateli, by następnie wywierać na nich naciski i proponować współpracę. Ma dostęp do polskich danych kontrwywiadowczych, a także do polskiej klasy politycznej, bo ta – jak wyjaśnia Rzeczkowski – po sfabrykowanej przez

Rosjan aferze Olina, która miała opóźnić nasze wejście do NATO – została wyłączone na spod kurateli polskich służb specjalnych, by uniknąć ewentualnej dalszej kompromitacji w oczach zachodnich sojuszników. (Nie można wykluczyć, że afera Olina miała służyć głównie właśnie temu celowi – otwarciu polskiej sfery politycznej na działania rosyjskiej agentury poprzez postawienie tej pierwszej poza sferą zainteresowania polskiego kontrwywiadu.)

Rzeczkowski dowodzi, że celem antyeuropejskich partii i ugrupowań politycznych w Polsce, w taki, czy inny sposób powiązanych w Kremlem, jest doprowadzenie do stopniowej finlandyzacji Polski, co w latach 90. w czasie wielomiesięcznych spotkań z Jarosławem Kaczyńskim sugerował (i zachwalał) związany z GRU Anatolij Wasin. Taka partia wcale nie musi być jawnie prorosyjska; wystarczy, że jest antyeuropejska. Putinowi naprawdę nic więcej do szczęścia nie potrzeba – Putinowi w to graj. Drugą jego tezę – może nieco zawołowaną, ale jednak na przestrzeni całej książki bardzo czytelną – jest to, iż głęboko, niejako w podziemiach polskiej polityki (najpewniej poniżej służb specjalnych) istnieje jakaś samoodnawialna struktura, która dba o to, by ten proces mógł być realizowany bez zahamowań, a przede wszystkim bez aresztowań i sądowych dochodzeń, które byłyby w stanie go zdemaskować i odwrócić.

Są to tezy niezwykle intrygujące – na pewno obrazoburcze, ale (biorąc pod uwagę argumenty, jakie autor przytacza) nie pozbawione sporej dozy prawdopodobieństwa. W związku z tym książka Rzeczkowskiego powinna wywołać prawdziwą burzę. Tymczasem nic takiego nie ma miejsca. Po dynamicznym wejściu na rynek, zainteresowanie nią nagle wyparowało – książkę spowiło milczenie.

Dlaczego? – jeśli rzecz mówi o kwestiach podstawowych, wręcz egzystencjalnych?

Owo milczenie – a także dziwna śmierć Marka Karpi – mogą wskazywać na to, że Dariusz Rzeczkowski ma rację: że taka nieznaną, dobrze zakonstruowaną strukturą gdzieś rzeczywiście istnieje.

Niech w następnej książce ją wytropi. PS: Dla dociekliwych – arszyn (z tytułu biografii Marka Karpi) to rosyjska jednostka miary o długości między 71 a 81 cm.

ROMAN WARSZAWSKI

Andrzej Brzeziński, *Zmierzyć arszynem. Marek Karp i Ośrodek Studiów Wschodnich*, Znak-Horyzont, Ośrodek Studiów Wschodnich, Kraków–Warszawa 2024

Grzegorz Rzeczkowski, *Szpiegdy Putina. Jak ludzie Kremła opanowują Polskę*, Wyd. WAB, Warszawa 2024

Roman Warszawski, Dlaczego nagle zapada milczenie? FELIETON.....str.2

Christian M. Manteuffel, Gospodyni na rozdaju, ESEJ.....str.3

Elżbieta Juszcak, wiersze.....str.6

Jules Renard, SENTENCJE, tłum. K. Brakoniecki.....str.8

Agnieszka Moroz, wiersze.....str.10

Aleksandra Furtak, Posiadłości Francisca Scotta Fitzgeralda, ESEJ.....str.11

Katarzyna Boruń-Jagodzińska, wiersze o domach.....str.13

Andrzej Wołosewicz, Patriotyzm językowy, FELIETON.....str.14

Agnieszka Rykowska, Może po prostu wystarczy, że będę śnić, PROZA.....str.15

Andrzej Gierech, wiersze.....str.20

Maria Jolanta Fraszewska, Niebo gęsto tkane, ESEJ.....str.21

Roberto Bolaño, wiersze, tłum. Grzegorz Bazylak.....str.24

Anatolij Krym, Świadek, fragment powieści, PROZA.....str.26

Angelika Szelągowska-Mironiuk, wiersze.....str.30

Christian M. Manteuffel, Erotyki.....str.31

Grzegorz Jacek Brzustowicz, Rok Napoleoński na Litwie, czy spełnił nadzieje, ESEJ.....str.32

Dorota Szawdzianiec, wiersze.....str.35

Anna Kokoń-Nowak, Człowieczeństwo, pranie wstępne, DRAMAT.....str.36

Tadeusz Zawadowski, wiersze.....str.38

Ewa Nowostawska, Marzenie, PROZA.....str.40

Dariusz Pawlicki, O chmurach nieco inaczej, ESEJ.....str.46

Igor Frender, wiersze.....str.47

Jan S. Smalewski, Ojciec, PROZA.....str.48

Stanisław Chyczyński, wiersze.....str.50

Joanna Sendtack, Zmiana (fragment) PROZA.....str.52

Maciek Froński, wiersze.....str.54

Zofia Smalewska, wiersze.....str.56

Roman Warszawski, Szczelina z kamienia, REPORTAŻ.....str.58

Marian Bednarek, MAŁE PROZY.....str.60

Vojislav Karanović, wiersze.....str.61

Maria Jentys-Borełowska, Rosa i Chantal w szczodrych przestrzeniach wierszy, ESEJ.....str.62

OMÓWIENIA:

Irmina Kosmala, Duchowe skłonności Elżbiety Juszcak.....str.64

Andrzej Wołosewicz, Miłość i miłość, albo o cielesności w literaturze.....str.66

RECENZJE.....str.68

Stanisława Chyczyński, Zmierzając ku krawędzi (Pastuszewski)

Paweł Długosz, Bez-Troska. Próby wyrazu - poszukiwanie z Łucją Dudzińska nauczyciela i mistrza

Sylvia Kanicka, Drogowskazy w poezji Krzysztofa Micha

Irmina Kosmala, To, co nas skleja

Zbigniew Ikona Kresowaty, ANON GENUINE POLE, o ostatnim zbiorze wierszy Bogdana Loebla

Andrzej Walter, Zofia z ulicy ostatniej

Roman Warszawski, Powrót mistrza, Ryszard Kapuściński

Roman Warszawski, Trzy sztylety w ciele liberalnej demokracji, Noah Juval Harari

Stanisław Topaz, Hetmańskie echa w poezji Stanisława Chyczyńskiego

Lektury Mateusza Wabika:.....str.78

- Współczesna pustka słów
- Współistnienie człowieka i przyrody
- Groza, wierzenia i obyczaje Podlasia
- Kiedy aligator zastępuje Szatana
- Groza istnienia a postęp techniczny
- Humanistyczne refleksje w otoczeniu przyrody i gór
- Z rozjazdów, Marcinkowski
- Złogi językowe, Siwczyk
- Epigramaty, piosenki i poezja
- Poetycka walka o człowieczeństwo, Różycki

Bogusław Żytko, Dwa portrety, WSPOMNIENIA.....str.85

Mirostaw G. Majewski, Pustelnia, PROZA.....str.87

Zbigniew Kresowaty, O czym mówią nam starożytni i współcześni filozofowie, PIÓREM MALARZA.....str.88

Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Starość w salonie sztuki, FELIETON.....str.89

Tamara Bołdak-Janowska, Krótkie dialogi potóżnicze, PROZA.....str.91

Przemysław Znojek, Autobus, PROZA.....str.94

Stawomir Baczkowski, Do wszystkich, PROZA.....str.96

Strona redakcyjna.....str.97

Ewa Leśniewska, Książki mają swoje losy, ESEJ, cz.1.....str.98

Christian M.
Manteuffel

ESEJ

PIANISTKA Z „GOSPODY NA ROZDROŻU”.

Z cyklu: Impresje polskie w niemieckim krajobrazie literackim

Polecam Państwu ten esej szczególnie z uwagi na mój obszerny wybór twórczości „Na postoju” z wydawnictwa „POLIGRAF” w księgarniach krajowych od lutego 2024 roku.

Notatnik Stuttgarcki Fryderyka Chopina. Pierwszy zapis pochodzi z 8 września 1831 roku. Jak wiele pamiątek chopinowskich zaginiony podczas II wojny, ale zachowany szczęśliwie w faksymile *Dziennik Stuttgarcki* jest jedynym znanym osobistym dziennikiem Chopina. Wypowiedź kompozytora ma inny charakter niż osobiste myśli zawarte w listach do zaufanych przyjaciół. Na tej stronie pada podobne improwizacji Konrada wyzwanie rzucone na wieść o wkroczeniu wojsk rosyjskich do Warszawy:

„O Boże jesteś ty! - Jesteś i niemścisz się - Czy jeszcze ci niedość zbrodni moskiewskich - albo - alboś - sam Moskall!”

2 listopada 1830 roku Fryderyk Chopin opuścił Warszawę po raz ostatni i – jak się potem okazało – na zawsze, udając się do Paryża przez Dreżno, następnie Wiedeń, Salzburg, Monachium i Stuttgart. W Wiedniu zatrzymał się 23 listopada 1830. Tutaj zastaje go wiadomość o wybuchu powstania listopadowego. Przepętniony troską o los rodziny Fryderyk zapisuje: *przeklinam dzień wyjazdu*. Chciał wracać i bić się, jak wszyscy niemal koledzy. Siłą przymuszony przez najwierniejszego przyjaciela, Tytusa Wojciechowskiego pozostał, ale zmienił się nie do poznania. W dalszą drogę ruszył 20 lipca 1831. W takim stanie dotarł we wrześniu do Stuttgartu na postój. Tutaj dotarła do niego wiadomość o upadku powstania. Sięgnął po pióro. Zapisał pierwsze takty Etiudy Rewolucyjnej, a w dzienniku dzień po dniu swoje odczucia.

Te znane miłośnikom Fryderyka Chopina na świecie zapiski, ciągle jeszcze są mało znane w Polsce. Czyżby rzeczywistość chodziło o troskę dla uczuć przyjaciół między narodami Polski i Rosji? W Polsce cenzura była łaskawa dla nut, blokowała jednak słowa naszego wielkiego kompozytora. Dziś próbuje się w tym chopinowskim zapisie z kilku dni pobytu Fryderyka w dolinie Neckaru u stóp Wyżyny Szwabskiej, dopatrzeć jego talentu literackiego. Chopin sam skomentował krótko wyrażony przez kogoś zachwyt dla jego zapisów:

„Chciałem tylko napisać i zostawić abecadło tego, co naprawdę polskie, a nauczyć odrzucać polskość fałszywą”.

1. O *Dzienniku studgarckim*, (tak Fry-

deryk zapisywał nazwę tego miasta), dowiedziałem się po raz pierwszy od Majki, gdy zadomowiłem się już wśród innych emigrantów, w gościnnym hoteliku na rogatkach miasta. Gospoda nazywała się *Gasthaus an der Scheidewegen*, mówiliśmy o niej między sobą po polsku krótko: na rozdrożu. Mieściła się w jedenastopiętrowym budynku, który absolutnie bezmyślnie postawiono na końcu uliczki wybiegającej z miasta, co już było dość symboliczne dla naszej sytuacji, a na dodatek uliczka nazywała się *Chopinstraße*. Restauracja mieściła się na parterze, ale kwatery dla nas zrobiono w wolnych ciagle pomieszczeniach na jedenastym piętrze. Nasze pokoje wychodziły na tył budynku. Na końcu ulicy Chopina z jedenastego piętra był już tylko widok na porośnięte gęsto bukami wzgórze Wyżyny Szwabskiej.

Grupa miała już swoje utarte zwyczaje. Pamiętam ten pierwszy wieczór. Znalazłem sobie miejsce w kącie pod oknem, gdzie kończyła się czarna skrzynia fortepianu. Chciałoby się powiedzieć: ...a to echo grało. To radio grało. A właściwie akurat przestało grać. Ucichły ostatnie dźwięki *Poloneza A-dur*. Polskie Radio kończyło nadawanie programu i ktoś je wyłączył. Już dawno nie łudziliśmy się, że z Polskiego Radia usłyszymy nowinę, na jaką czekaliśmy. Ukuto się wśród nas powiedzenie, że melodia *Poloneza A-dur* to jedyna prawda z radiowego dziennika. Zresztą, ta gorzka refleksja znana nam była powszechnie jeszcze w Polsce zanim w różny sposób i w różnych okolicznościach wyjechaliśmy z kraju. Wtedy w Niemczech przebywało już wielu przyjaciół, którzy w wyniku swojego zaangażowania w organizacjach opozycyjnych, stracili pracę. To Majka załatwiła dla nas, którzy trafiliśmy do tej „Gospody na rozdrożach”, lewe zaproszenia. Była *matką chrzestną* całej grupy.

Trochę światła padało od strony klawiatury, gdzie siedzieli Majka mając przed sobą oświetlony zeszyt z nutami. Majka grała. Czy tylko bawiła się klawiszami? Rzeczywiście, była to tylko zabawa; jakby bawiąc się pojedynczymi dźwiękami rozsypała garść dźwięków wybranych z tego naszego poloneza, którego nasza wyobraźnia niosła poza *Chopinstraße*, hen w pokryte teraz złocistymi liśćmi buki na Wyżynie Szwabskiej. A my? Widzieliśmy w tym naszą polską złotą jesień. Widać każdy kraj ma swoją własną złotą jesień. Delikatne dźwięki pasażer wypełniały mroczny lokal, a te wnikały w nasze myśli. O ile łatwiej powstają w myśli obrazy, gdy wspiera je muzyka.

Prześlizgne rzeczy improwizowała w tym fortepianie.

Majka była zafascynowana zapiskami stuttgarckimi Chopina.

(...) A może wcale matki już nie mam. Może ją Moskalski zabił... zamordował — siostry bez zmysłów, nie dają się — nie — Ojciec w rozpacz, nie wie sobie rady, nie ma komu podnieść Matki. — A ja tu bezczynny, a ja tu z gołymi rękami, czasem tylko stękam, boleję na fortepianie, rozpaczam — i cóż nada? — Boże, Boże. Wzrusz ziemię, niech pochłonę ludzi tego wieku. Niech najsroźsze meczarnie dręczą Francuzów, co nam na pomoc nie przyszli. (...)

Nikt z nas nie znał wcześniej tych zapisów. O stuttgartarckim dzienniku Chopina, znanym już na świecie, w Polsce peerelewskiej było cicho; w PRL cenzura była taskawa dla nut naszego wielkiego muzyka, jednak słowa podlegały cenzurze, wszelkie słowa. Majka miała angielskojęzyczne wydanie książki zatytułowanej *Chopin*¹. Nie przemawia tutaj przeze mnie antagonizm do narodu rosyjskiego. Jak i nie odczuwam antagonizmu do narodu niemieckiego. Wśród tych narodów wyrosły piękne gaje kultury owocujące odrębnymi, a także pięknymi dziełami w literaturze, muzyce i sztuce. Narodziły się w tym samym czasie azyli polskim poetom, intelektualistom i politykom. Ale przed moimi oczami trwał obraz roku 1956 i ciągnące kolumny wojsk z czerwoną gwiazdą. Obawialiśmy się, że tym razem może być gorzej. Tam zostały nasze matki, nasi najbliżsi.

Przed wyemigrowaniem do Niemiec Majka uczyła historii w jednym z liceów ogólnokształcących w Bydgoszczy. Powszechnie wiadomo było, że jej małżeństwo praktycznie nie istniało. Było też wiadomo, że Majkę i jej męża różniły radykalnie poglądy na polską rzeczywistość. Tylko niektórzy wiedzieli, że w soboty wolne od lekcji uczyła też historii. Ale tej zakazanej historii. W swoim domu. Czy wiedział o tym Marian? Na pewno wiedział, jeśli nawet rzadko bywał w domu. Na ile były te komplety utajnione? Zapewne władzom wygodniej było wiedzieć, kogo ma się przeciw, niż ryzykować, że po dekonspiracji z jednej grupy powstaną dwie. A na ile utajniona była nasza redakcja? Na ścianie kamieniczki nad Brdą wisiał napis: „Komitet Założycielski Niezależnego Związku Zawodowego *Solidarność*”. Sztyd wisiał, na tyle musieli się już zgodzić. Na kradzionym, podłym, żółtawym papierze i na zdedelowanym powielaczu drukowaliśmy nasze czasopismo *Wolne Związki*. Pismo nie było legalne, jak i nielegalne były wszystkie druki wychodzące bez cenzury. Nie mieliśmy jednak złudzeń, że nasza redakcja nie jest inwigilowana. Poprosiliśmy Majkę, aby napisała kilka odcinków z historii polskiego państwa podziemnego. Zrobiła to chętnie i nie zgadzała się na publikację pod pseudonimem. Ona uważała, że brak jakichkolwiek konsekwencji z powodu jej tajnych kompletów z historii Polski (o czym oni na pewno wiedzieli), świadczy o powolnym oddawaniu pola przez władzę. Już dwa dni po ukazaniu się pierwszego odcinka Majkę wezwał jej dyrektor i z niezdarną pewnością siebie dał jej dyscyplinarną wypowiedzenie „...z powodu wypaczenia programu nauki historii Polski”. No przecież nie mogła zaprzeczyć; gdy może, nawet bardzo prawdopodobnie, błąd myliła jej się ta znana jej historia z tą zaprogramowaną jedynie prawdziwą, niechcąc, więc nawet podczas legalnej lekcji, „wypaczała”, „niechcąc”. O publikacji ani słowa. Na pewno mieli swojego wśród nas, ale najwidoczniej musiał jeszcze trwać na posterunku.

Majka grała...

1. G. R. Marek, Maria Gordon Smith: „Chopin”.

(...) Ojczy, Matko, dzieci. Wszystko to, co mi najdroższe, gdzieście wy? — Może trupy? — Może Moskalski zrobił mi figla! — A, zaczekaj! — Czekaj... Ależ łyż? — Dawno już nie płynęły? — Skądże to? — Wszakże suchy smutek od dawna mnie ogarnął. Ach — długo płakać nie mogłem. Jakże mi dobrze... tęskno! Tęskno i dobrze! — Jakież to uczucie? Dobrze i tęskno, kiedy tęskno, to niedobrze, a jednak miło! — Jest to stan dziwny. (...)

Gdy Majka grała w pokoju nikt się nie poruszył. Byliśmy wtopieni w półmrok gospody, która wieczorem, gdy pustoszała, stawała się przytulnym, naszym domem. A potem, po ostatnim silnym akordzie, długo jeszcze nic. Pewnie na sali koncertowej ludzie wstali by z miejsc. Ale to nie była sala koncertowa. Każdy miał swoje skojarzenia, swoje wizje. I nikt nie mógł odgadnąć, co myślał drugi. Każdy myślał swoje, gdy Majka tak grała.

- Takie struny fortepianowe mogą powiedzieć więcej niż niejeden człowiek — odezwął się wreszcie Artur.

- Mogą porwać, ale mogą też ukotysać — potwierdziła Majka w zupełnej już ciszy, bo miało się wrażenie, że jakiś czas pokój wypełniało jeszcze echo taktów poloneza A-dur, ale teraz wygasta.

- Są struny, które walczą, są takie, które płaczą, ale są też takie, które pękają...

- I są też fałszywe...

- I takie, co pękają — powtórzył z naciskiem Karol.

Wiedzieliśmy wszyscy do czego pije Karol. Nikt już nie miał wątpliwości: Marian pękł! I choć Majka nigdy nie dała się wciągnąć do rozmowy na ten temat, a może i dlatego właśnie, mieliśmy pewność, że to on doniósł na nią do bezpieki. Pewnie go kochała. Marian to ta pęknięta struna? Czy ta fałszywa? Każdy z nas musiał też wiedzieć, że przy Majce nie powinniśmy wywoływać tej sprawy. Z mojego zacienionego miejsca przy końcu skrzyni fortepianowej, mogłem widzieć dokładnie jej twarz nad klawiaturą w świetle lampki oświetlającej otwarty zeszyt z nutami. Próbowałem pisać. Majka usiadła do fortepianu zaraz, gdy tylko trafiła do tej gospody ze skierowaniem. Była z wykształcenia historyczką po KUL-u i Nikt z nas nie wiedział wcześniej, że ta KUL-owska historyczka potrafi tak czarownie grać na fortepianie. Majka poza tym znata niemiecki i pomagała nam w załatwianiu różnych spraw w urzędach. Była fajna. Grała Chopina na fortepianie w gospodzie na rozdźwięku wtedy, gdy nie wiedzieliśmy jeszcze jak długo przyjdzie nam tam żyć...

Majka...

*

Wieści, które docierały do nas z Polski były różne w zależności od tego, od kogo pochodziły. Ale były też odbierane przez nas w zależności od tego, co z historii pozostało w pamięci. Gdy się wyjeżdża z kraju i człowiek nie czy jeszcze do nie go wróci, zabiera ze sobą jedną rzecz, której żaden celnik nie odbierze: jakiś postać w sercu, jakiś obraz za zamknięciem powiek. Jest w nas ostatnia i wieczna wiara na ujrzenie tego raz jeszcze w rzeczywistości, w spełnionej nadziei. Różne były okoliczności naszego wyjazdu. I różnie wyobrażaliśmy sobie nasz pobyt za zachodnią granicą.

Wyszedłem. Było chłodno.

(...) Oh, czekajcie, czekajcie! Co to jest? łyż? Od jak dawna płynął!... (...)

Ulica Chopina była pusta. Zmienił się! Majka i Marian... Mezalians? Wiele było w tamtym czasie podobnych mezaliansów. Marian pisał w redakcji ogólnopolskiego tygodnika ukazującego się pod hasłem:

„Proletariusze wszystkich krajów łączy się!” Był inteligentny. Cholemiem inteligentny mimo silnego uzależnienia od wódki i od swoich czerwonych pryncypatów. Wchodził w środowiska intelektualistów, artystów, niezrzeszonych pisarzy i pisał o ich zakazaniu zdemoralizowaną kulturą Zachodu, aby naród wiedział komu zaprzedał swoją duszę. Jakie były rzeczywiste związki między nim, a Majką? Musiał jednak jakieś być. Miłość? Zabrał ze sobą swoją bezrobotną nauczycielkę historii i razem z nią pojawił się w obozie przejściowym dla uchodźców we Friedlandzie na kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego. W kłapie *kurtki* miał wpięty obrazek *Matki Boskiej Królowej Polski i znaczek „Solidarność”*. Wzbudzał ogólne zainteresowanie tak wśród innych emigrantów, jak wśród samych Niemców; wiele różnych rzeczy mówiło się wtedy o Polsce. Mówił po niemiecku i angielsku. Był tam kilka dni. Poszedł jednak swoją drogą. Tyle dowiedziałem się od Karola, gdy dołączyłem do naszej polskiej grupy w gospodzie przy *Chopinstraße*. Później dowiedzieliśmy się też, że w Niemczech jakieś wydawnictwo wydało jego sensacyjną opowieść *Wo Gut und Böse sich arg vermengen*. Marian napisał to tak, aby było przez Niemca dobrze zrozumiane. Polska historia była i jest dla Zachodu za trudna, aby ją pojąć tak zwyczajnie. Było zatem dużo seksu i narkomanii, była pikantaria wśród frustracji zdesperowanych przeciwników reżimu, zagubionych, pozbawionych wsparcia *wolnego świata* zza *żelaznej kurtyny*. Wyszło mu to autentycznie, a przede wszystkim poczytnie.

(...) Co się z nią dzieje? Gdzie jest? - Biedna! - Może w ręku moskiewskim! - Moskalski ją prze - dusi - morduje, zabija! - Ach, Życie moje, ja tu sam - chodź do mnie - otrę łyż twoje, zagoję rany teraźniejszości przypominając ci przeszłość. (...)

Minęło kilka lat. Polska zerwała zardzewiałą kurtynę bez udziału nas i wielu takich jak my w tamtym czasie na świecie. Każdy miał z tego powodu kaca; czy nie lepiej było zostać nawet bez pracy, przemęczyć się, pewnie ktoś by pomógł. Teraz każdy poszedł w swoją stronę. Jedni wrócili do kraju. Inni znaleźli pracę, niektórzy założyli rodziny na ziemi niemieckiej. Tak, tak było... Po krótko.

Co dalej z Majką? No właśnie. Ku zadowoleniu właściciela gospody grała wieczorami dla jego gości swoją kompozycję do której dorobiła wokół na motywach *Dziennika Stuttgartarckiego*. Muzyka, to taki język, który rozumieją na całym świecie. Ale słowa, które zapisał Chopin przejazdem w Stuttgartarckim, przeznaczone były tylko dla Polaków. Tak, te nasze, polskie widzenie historii przez barwę niewoli i powstania. Czemu nie potrafimy tak, jak Niemcy, otrząsnąć się po klęsce i być razem. Zjawił się Marian. Był pijany i nie trzeźwiał przez wiele dni aż Majka zabrała go do siebie. Zrobiła się milcząca, ale zjeżdżała windą ze swojego pokoju na jedenastym piętrze i grała. Śpiewała po polsku i po niemiecku. Śpiewała. Nie, nie śpiewa już...

Kiedyś zjawił się w gospodzie dziennikarz ze *Stuttgarter Zeitung*, aby rozmawiać z Marianem. Następnego dnia ukazał się artykuł o nim i o jego przyjacielu z *Radia Wolnej Europy*, który tak pięknie relacjonował kiedyś dla rodaków za żelazną kurtyną rozmowy z Karłem Dedecusem. Okazało się, że obaj byli wtyczkami bezpieki. Marian znikł. Majka nie zeszła tego wieczora na



dół. Rano znalazł ją ktoś na tyłach domu jedenaście pięter poniżej jej balkonu. Deszcz rozmył krew spod roztrzaskanej głowy. Palce prawej dłoni rozłożone szeroko. Palce pianistki.

*

(...)Dziwna rzecz! To łóżko, do którego idę, może już niejednemu służyło umierającemu, a mnie to dziś nie robi wstrętu! Może niejeden trup leżał, i długo leżał na nim? - A cóż trup gorszego ode mnie? - Trup także nie wie nic o ojcu, o matce, o siostrach, o Tytusie! - Trup także nie ma kochanki! Nie może się rozmawiać z otaczającymi go swoim językiem! - Trup taki bładny jak i ja. Trup taki zimny, jak ja teraz na wszystko zimnym się czuję. - Trup już przestał żyć - i ja już żyłem do syta. - Do syta? - A czy trup syty życia? - Żeby był syty, dobrze by wyglądał, a on taki nędzny - czyżby życie tak wiele miało wpływu na rysy, na wyraz twarzy, na zewnątrz człowieczą? Czemuż żyjemy takim nędznym życiem, które nas pożera i na to nam służy, aby trupów robiło! - (...)

2. Dalsze losy Fryderyka Chopina są związane z nieustanną emigracją, los wiążę go z Paryżem. Od jesieni 1831 r. przebywa w tym mieście wśród ogromu polskich emigrantów. Solidarność z Polską była wówczas w Europie powszechna.

Ta stuttgartcka impresja zatrzymała mnie przy niemal anegdotycznej, a jednak prawdziwej historii, jaką przytoczył Karl Dedecius

w swojej książce *Überall ist Polen*. Działo się to w roku 1832, gdy po upadku Powstania Listopadowego opozycjoniści polscy szukali schronienia w krajach zachodniej Europy. Mieszkająca we Frankfurcie przyjaciółka Wolfganga Goethego, Suleika, donosiła mu w liście: „(...) Halb Frankfurt ist ganz verrückt wegen dieser Polen. Du würdest die Stadt nicht wiedererkennen. (...)”. Co takiego wydarzyło się tam wtedy, że połowa Frankfurtu była tak zwariowana na punkcie Polaków, że Goethe mógłby miasta nie rozpoznać? Na ulicach było głośno od polskich zgrupowań i śpiewów patriotycznych „...der Feinden des russischen Imperium”. Entuzjazm udzielił się frankfurczykowi. Rada miasta przyznała jednogłośnie 30 000 marek na wsparcie polskich uchodźców. A że działo się to we Frankfurcie nad Menem, gdzie flaga miasta jest identyczna jak polska, natomiast biały orzeł w koronie, prawie identyczny, miasto wyglądało rzeczywiście na opanowane przez Polaków.

W Londynie powstało stowarzyszenie literackie „The Literary Association of the Friends of Poland”. W Paryżu, w Playel-Saal, Fryderyk Chopin wzruszał sympatyków Polski swoimi polonezami i mazurkami. W Rzymie proboszcz Félicité Robert de Lamennais skomponował hymn à la Pologne. Ryszard Wagner skomponował swoją młodzieńcza uwerturę *Polonia*. Jeszcze w roku 1862 Giu-

2. Po wprowadzeniu przez władze rosyjskie stanu wojennego przeprowadzono zamach na księcia Konstantego.

seppe Garibaldi deklarował gotowość walki za Polskę zapewniając młodych polskich emigrantów przebywających na Szwabii, w Heidelbergu: „Wzniosę jeszcze swoje ramię dla obrony wolności Polski!”.

W roku 1862 (lub początek 1863), przebywający też na emigracji w Lipsku, Cyprian Kamil Norwid, napisał wiersz *Fortepian Szopena*. Muzyka Chopina była inspiracją dla poetów polskich w latach walki i okupacji.³ Jak ogromna była jej siła zdali sobie szybko sprawę okupanci hitlerowscy, burząc jego pomnik w roku 1940.

(...)Zegary z wież stuttgartzkich 4 nocną biją godzinę. Ach, ileż w tej chwili trupów się po świecie narobiło! (...)

Jadę drogą wijącą się między wzgórzami. Stąd mam nad Wisłę 1200 kilometrów.

CHRISTIAN M. MANTEUFFEL

W Niemczech, Lenningen, Wyżyna Szwabska 2013

3. K. Ujejski (1823 – 1897):

Marsz pogrzebowy M. Konopnicka (1842 – 1910):

Gdy polonez chopinowski K. Przerwa-Tetmajer (1865 – 1940):
Cień Chopina

A. Oppman (1867 – 1931): Koncert Chopina

L. Staff (1878 – 1957): Zniszczenie pomnika Chopina

4. We wszystkich cytowanych fragmentach z Dziennika Stuttgartckiego zachowałem oryginalną pisownię Fryderyka Chopina.

Elżbieta Juszczak

Chmury

Wyzwolić się z historii
 - dobrze powiedziane. Ale jak?
 Kiedy w rodzinnym mieście chodziliśmy po niemieckich
 parkach ucząc się rosyjskiego.
 Kiedy deptaliśmy pruski fort myśląc o Napoleonie.
 Kiedy dziadek Iwony wrócił z Workuty i zaraz umarł.
 Kiedy zawsze ktoś tańczy wariacki taniec na mapie Europy.
 Mieliśmy swoje chmury, ani polskie, ani niemieckie.
 Mieliśmy swój wiatr, który płątał drogę kupcom
 na wielkich wodach.
 Mieliśmy Ziemię i jej drzewa, ptaki i węże.
 Mieliśmy Boga Rzeki wąskiej i porośniętej
 w typie jaszczurki,
 lub szerokiej i dostojnej, której blask niejednego oślepił.
 Mieliśmy swoje konie, leśne dukty, wodospady
 i wielkie polany pamiętające średniowiecze.
 Mieliśmy swoje tajemnice i miłości,
 i liście spadające z drzewa, i jeszcze więcej.
 Mieliśmy Andersena, którego kochaliśmy,
 choć później przyszła Myszką Miki
 i amerykańscy aktorzy.
 Ale nikt nie wyrwał z nas pruskiego błękitu
 i czerwonej gwiazdy, bo to nasze dzieciństwo.
 A chcieliśmy to wyrzucić, wyrzucić i być normalni.

Pod tablicą

Staliśmy pod tablicą historii,
 spleceni w jeden węzeł, w jeden rytm
 - wywołani spazmem wariatów.
 Z pamięcią eszelonów i przesiedleńców.
 Żyliśmy szybko, powoli, rozważnie, ryzykownie
 w poniemieckich domach i podwórkach,
 w kamienicach, chatach i slumsach
 związani jednym węzłem ze zwierzętami,
 z końmi, krowami, psami i kotami,
 W gąszczu wróbli i w zapachu kwiatów.
 Dążyliśmy do wzrostu jak trawa i pokrzywa.
 Ziemię oplatały pasy startowe, a w miasteczku K.
 zrywały się ku nam z fasad kamienne tory mężczyzn
 i korowód nimf. Tańczyły nad nami ozdobne fryzy.
 Jeździliśmy bryczką, tramwajem, płynęliśmy morzem.
 Omiatał nas kurz bruku i asfaltu.
 Niektórzy oszaleli, ale tyrani mieli się dobrze.

Istoty powietrzne

Kiedy szliśmy w niedzielę przez most
 i dalej, gdzie miasto zniżało się do zagród,
 pastwisk, składów i warsztatu stolarskiego
 dziadka, towarzyszył nam wiatr.

Oglądać z mostu czerwoną katedrę,
 czuć igły masztów wbitych w błękit
 było niczym wobec jego siły
 ogłaszanej przez miejskich trębaczy.

Trzeba było pilnować czapek,
 dotrzymywać kroku dorosłym.
 I szły istoty powietrzne razem z nami,
 elfy, korowody, szklane anioły.

Wiatraki miały ziarno, rzeka stroszyła fale,
 drzewa pochylały się ku wodzie.
 Wiatr wygładzał nasze twarze, a pokonanie
 oporu dawało radość.

Dzisiaj elfy schowane w dzieciennym pokoju.
 Trąby i huragany rozrywają Ziemię,
 a zanurzyć w wietrzną kipieli- strach
 i nie ma potrzeby.

Marina

*W dzieciństwie nikt mnie nie mógł
 odpedzić od szybów
 Seamus Heaney, Prywatny Helikon, tł. St. Barańczak*

Pomiędzy rzeką a lądem trwała marina.
 Chodziliśmy tam często, by zaznać wolności.
 Patrząc na maszty, jachty kołyszące się
 w jej brzegach, na słońce oblewające kadłuby
 było większą rozkoszą niż gonitwa w podwórku.

Patrząc na spichlerze, solidne brązowe,
 nabrzeże z granitem, drewnem
 dawało jakąś pewność.
 Kawałek lądu, igła masztu w niebie
 rzeźbiła nasze życie.

Nie to, że pirat, obce morza i ciągle przygody,
 nie radość dzieciennego poranku. Raczej
 piękno, które nas nie opuści. Bowiemy
 stopy oparte o ziemię ważniejsze są,
 niż przeciwności losu.

Miasteczko

Chciałabym opisać twoje ulice,
twoje obłoki,
i rzecz nie w tym, że to nieistotne.
Wiem, że miasta obracają się w pył,
a dziewczyna o wielkich oczach
leży zgwałcona nad rzeką.
Ale pragnienie mnie nie opuszcza.

Jeśli ulica szewców, kramiarzy i tkaczy
dawno już zniknęła, pamiętam ją-
byłam tam na pewno, pod wysokim dzwonem,
kiedy księżę przejeżdżał konno
i rozstępował się przed im tłum czeladników i gapiów.
Jeżeli warzelnie soli pracowały bez wytchnienia,
a rybacy w szarym dymie wędzili śledzie -
byłam tam, a dym drażnił moje nozdrza.
Jeżeli kobiety wystawały na brzegu
czekając pokutnie na przybycie kutrów-
siedziałam z nimi na wydmach
wpatrując się w dal.

Planeta jest mała, mogłabym wziąć ją
w dłoń, co jest nierozumne,
ale bliskie sercu.
Żywioty wkraczają w nasze życie,
żywioty powietrza, wody i ognia,
a największy z nich, żywioł ludzki.
I jeśli historia czyni z miasteczka igraszkę,
dając mu krótkie okresy szczęśliwości,
pragnę o tym powiedzieć.

O tym, że widziałam
piękne, przejrzyste miasto, do którego
zjeżdżało dobre towarzystwo
zażywając kąpeli.
O tym, że trąbka listonosza
na czapce lśniła i podskakiwała,
gdy oddawał list Gretchen
lub Matyldzie, list od ukochanego.
O tym, że listonosz zginął, bo był
w Waffen SS, a Matylda
leżała na dnie morza
z niebieskimi oczami w niebieskiej sukience.
O tym, że nie było zmiłowania, a urwane skrzydło
katedry nie mogło wziąć nikogo w obronę.
O tym, że człowiek wybrał śmierć.

Przyjeżdżali do miasteczka nowi ludzie,
o innych imionach i nazwiskach.
Drabiniaste wozy wiozły ich do domów
bez okien i drzwi.
Rozpalali ogień jak neandertalczycy
i ich rzeczą było zdobyć coś,
i nie zostać zabitym.
I znowu rozkwitał handel,
na rynek zwożono masło, ser i mleko.
Trzęsły się bańki na bagażniku roweru,
krowa pasła się na łące.

Miasteczko, twoje ulice przemawiają
wieloma językami, twoja rzeka
zna łódź Vikingów,
a Niemiec, Polak i Rosjanin zginęli w gwiezdny pyle.
Miasteczko mostów, ogrodów i parków,
gdzie każda podłość miesza się z dobrocią
w szuwarach, trawach, w plastikowej butelce
rzuconej na murawę.

Chciałabym opisać ceglany mur ratusza
i kawiarnię w dawnym domu kata,
i fontannę na rzece, i jeszcze więcej,
i więcej.
Miasteczko, twoja nadmorska epopeja
miesza hanzeatycki i peerelowski porządek.
Wiedz, że z ciebie bierzemy naszą siłę.

Jules Renard

SENTENCJE

Wybór i przekład: Kazimierz Brakoniecki

Śmierć innych pomaga nam żyć.
 Pisarz bardzo znany rok temu.
 Cały czas, jak pisał książkę, w oczach miał plamki krwi.
 Jeden: Sprzedaję się, więc mam talent. Drugi: Nie sprzedaję się, więc nie mam talentu.
 Moje pióro wydaje dźwięki, jak gęś skubiąca trawę.
 Nulla dies sine linea: pisał jedną linijkę dziennie, ale nigdy więcej.
 Nie trzymały się go pieniądze, sam trzymał się pieniędzy innych.
 Swój wawrzyn trzymał na uchu.
 Już teraz starał się zostać symbolem.
 Od czasu do czasu mów prawdę, a będą ci wierzyć, kiedy będziesz kłamał.
 Jeśli słowo „dupa” pojawi się na scenie, to widownia, nawet ta najsztubtelniejsza, usłyszy jedynie to słowo.
 Życie swoim małym życiem zwierzęcia, które ma nieco przywilejów.
 Szczęśliwy w swoim zakątku nie większym niż gwiazda.
 Jego dusza: pęcherz powietrza w pęcherzu ciała.
 Doceniał przyjemność głupiej zabawy z głupcem.
 Pracuje głową jak wół.
 Schronić się w jakiejś wiosce, aby uczynić z niej środek świata.
 Sam zapach atramentu zabija moje plany.
 Krytykom można wybaczyć: cały czas mówią o innych, a o nich samych nikt nigdy nie mówi.
 Bardziej cenił złą teorię od dobrej praktyki.
 Trzeba mieć zawsze umysł tak czysty jak zimne bywa powietrze.
 Tak stary, że z jego ust padają wyłącznie zdania historyczne.
 Język kwiatów, które mówią gwarą.
 To całkiem niezłe, mieć talent i wcale go nie rozwijać.
 Pod dębem czuję się jak druid.
 Poeta natchniony to taki, który skleca złe wiersze.
 Nie muszę wiedzieć o wszystkim: chcę się znać na rzeczach, które kocham.
 Szczęśliwi ludzie pozbawieni są talentów.
 Chrystus to teraz nic więcej jak modny temat literacki.
 Z atramentu robił krew.
 Poeta. Pasowałaby mu cała Wieża Eiffla z kości słoniowej.
 Cały swój czas spędzał na poszukiwaniu ludzi podobnych do niego samego.
 To, co mnie nadal podnieca najbardziej, to przeglądanie rozkładu jazdy pociągów.
 Lubię czytać jak kura pić, od czasu do czasu podnosząc głowę w celu poprawy trawienia.
 Jest gadulstwo nic nie znaczące i gadulstwo pompatyczne, które jeszcze mniej znaczy.
 Pisać książkę o rodzinnej wiosce i tak napisać: „To jest świnią, znam ją, widziałem, wsadziłem jej w zadek kij; między nami panują doskonale stosunki”.
 Wieśniak: pień drzewa, które chodzi.
 Zły smak to nadal jakiś smak.
 Ludzie, którzy chcą żyć według prawideł, mnie bawią: w życiu liczą się jedynie wyjątki.
 Człowiek to zwierzę, które podnosi oczy do nieba i widzi pajęczynę na suficie.
 Bóg, to ten, którego wszyscy znają tylko z imienia.
 Uznać, że życie jest poważną burleską.
 Nie mylmy człowieka inteligentnego z człowiekiem utalentowanym.
 Spędzamy życie, rozmawiając nieustannie o tajemnicy: o naszym życiu.
 Nie wystarczy być szczęśliwym. Trzeba jeszcze, aby inni nie byli szczęśliwi.
 Przeciętny we wszystkim poza samą genialnością.
 Ja sam jestem szczery, to znaczy że cały czas mówię prawdę, której mimo wysiłków nie potrafię uznać.
 Poradzono mi, aby czytał nekrologi w celu uświadomienia sobie własnego szczęścia.
 Dlaczego pisze pan o śmierci swojego ojca? – Bardziej by się panu podobało, gdybym pisał o Wenecji? Ależ ja tam nigdy nie byłem!
 Verlaine, jego ostanie wiersze. Już nie pisał: grał w kości ze słowami.
 Że też ręka, która pisze, nie zna oka, które czyta!
 Nie mówcie, że to, co piszę nie jest prawdziwe: mówcie, że źle piszę, ponieważ wszystko jest prawdą.
 Umysł dobrze traktowany nigdy się nie męczy.
 Jedno trafne powiedzenie jest lepsze niż cała zła książka.
 Osiągnął swój styl, którego nikt mu nie zazdrości.
 Bardzo podoba mi się pańska książka, ponieważ dostrzegam w niej wiele wad.
 Stary naturalista: studiuje zwyczaje i prace mrówek na swoich nogach.
 Są dobrzy pisarze i wielcy. Bądźmy dobrzy.

Życie przeciętnego człowieka bardziej mnie interesuje, niż ludzkość jako taka.
 Lubię rozmawiać tylko z ludźmi, którzy są więksi ode mnie i których wymowa mnie przerasta – dzięki temu złe zapachy ulatują góra.
 Szekspir! Cały czas mówisz o Szekspirze! On jest w tobie: znajdź go!
 Pisanie to mówienie bez przerwy.
 W jego studni wiedzy nie ma świeżej wody.
 Bądź skromny! To ten rodzaj dumy, który najmniej się nie podoba.
 Być wszędzie, ale i w swoim zakątku.
 Natura nigdy nie jest dookreślona: zawsze można coś do niej dodać.
 Byk i jego piękna głowa ludowego trybuna.
 Literatura, dziwna profesja: im mniej się pisze, tym lepiej trzeba to robić.
 Cóż warte szczęście, kiedy nie ma w nim radości!
 Poznałem szczęście, ale to nie to uczyniło mnie najbardziej szczęśliwym.
 Kropla duszy w ptaku.
 Cały dzień pracowałem okiem.
 Chciałbym być jednym z tych wielkich ludzi, którzy mieli tak mało do powiedzenia, a wyrazili to za pomocą niewielu słów.
 Smutna godzina, kiedy pisarz szuka mistrza.
 Nie można plagiatować nawet samego siebie.
 Jakie to smutne: nie potrafię więcej źle pisać.
 Życie jest krótkie, ale jak się dłuży od urodzin do śmierci!
 Nie myłem rąk od czasów Poncjusza Piłata.
 Lęk przed śmiercią każe kochać pracę, która jest całym życiem.
 To, co napisałem, czytam tak, jakbym był swoim śmiertelnym wrogiem.
 Prawdziwy Balzac jest w całości, a nie w szczegółach.
 Jestem naturalistą, ponieważ lubię naturę, niebo też należy do natury.
 Pocierać ręce jak mucha.
 Cierpieć na samotność i jej szukać.
 Pisać dla dzieci historii z polowań oglądanych przez zająca.
 Zawsze człowiek się myli, co do swoich współczesnych. Lepiej ich więc nie czytać.
 Nie chcę zarabiać, żeby mieć co jeść; wołę zachować swój głód.
 Radość przyczynia się do niemocy.
 Szczęście jest w goryczy.
 Jestem realistą, którego ogranicza realność.
 Mallarmé pisze tak inteligentnie jak jakiś szaleniec.
 Człowiek ucywilizowany to taki, który woli otrzymać uderzenie pięścią niż zostać spoliczkowanym.
 Mogę żyć jeszcze jeden dzień lub tysiąc lat, ale nigdy więcej nie zobaczę mojego ojca.
 Mój teatr: rozmowa w obliczu lustra.
 Mój styl mnie dusi.
 Płacze zimnymi łzami.
 Co za cisza! Słyszę wszystkie swoje myśli.
 Podglądacz przyrody.
 Mieć swój styl, dokładny, precyzyjny, wyraźny, esencjonalny, który by obudził martwego.
 Człowiek jest zwierzęciem, które cechuje się tym, że czasami myśli o śmierci.
 Śmierć jest dobra: wyzwala nas od myślenia od śmierci.
 Uwidaczniać rzeczy tego świata własnym światłem.
 To mała ojczyzna jest wielka i jedyna.
 Dlaczego ma być trudniej umrzeć, czyli przejść z życia do śmierci, niż urodzić się, czyli przejść od śmierci do życia.
 Orzę za pomocą pióra.
 Ciebie i mnie świnio docenią dopiero po śmierci.
 Bóg nie wierzy w naszego Boga.
 Przeczytać samego siebie to samobójstwo.
 Pisze artykuł przeciwko polowaniom, na głowie ma kapelusz z łapkami, dziobami i skrzydłami ptaków.
 Nie chodzi o to, aby być pierwszym, ale jedynym.
 W istocie każdego patriotyzmu tkwi wojna.

Jules Renard (1864-1910) za swojego krótkiego życia wstawił się autobiograficzną, krótką powieścią „Poil de carotte” (1894, pol. wyd. Rudzielec, 1958, ponadto film) oraz szeregiem popularnych sztuk teatralnych, natomiast trwałe uznanie po śmierci zapewnił mu dziennik (I wydanie w Dziełach wszystkich, 1925-27), w którym objawił się jako szczerzy i czuły obserwator swojego i cudzego życia, autentyczny i unikający puste stawy pisarz, rozumny myśliciel. Zawarł w nim m.in. ciekawe i klarowne zapisy z codziennej egzystencji, zaskakujące i inteligentne aforyzmy, osobiste refleksje moralne i filozoficzne, aktualności literackie i artystyczne, wyrazy miłości do rodziny (ojciec, żona, dzieci, sugestywny portret matki, z którą był skonfliktowany w dzieciństwie), sugestywne opisy przyrody rodzinnej okolicy, której był wielkim miłośnikiem.

Jeżeli prof. Michał Głowiński miał rację zauważając, że wybitnym dziennikiem jest taki, w którym czytelnik zbliża się do autora, do jego intymnego świata, utożsamia się wręcz z nim tu i teraz, to tak się stało z moją lekturą zapisków Julesa Renarda – w ten sposób z autorem się zaprzyjaźniłem.

Agnieszka Moroz

Urodziłam się we wtorek o dziesiątej
 Dziecko Marsa zawsze gotowe do walki
 z zimną furią zamiast krwi
 pod powierzchnią żył
 prywatną rzeką Lete
 przez którą łatwo się zapomnieć

Jestem najdzikszym z dzieci swojej matki
 Makijaż to moja mimikra
 częściej przeklinam niż zaklinam
 a moje włosy łopoczą na wietrze
 jak wściekłe słoneczne chorągwie

Kwaskowata i krucha
 przypominam nieregularne jabłko
 co upadło zbyt daleko
 od jabłoni

Jestem twoją prywatną Moną Lisą
 uśmiecham się przez cały czas
 Ale powiedz
 czy to na pewno jest uśmiech

Mawiasz
 że jest coś romantycznego
 w sposobie w jaki splatam palce
 coś absolutnie szlachetnego
 Czy pomyślałeś
 że chodzi o zmęczenie
 i ból

Ten ostatni
 podobno uszlachetnia

Zagłosuj na mnie w plebiscycie
 Najbardziej Instagramowe Życie
 Mam w głowie kolorowe kotki
 gumowe rybki cukrowe posypki
 pazy brokaty i błyskotki

I język taki słodki
 tylko hasztagi i emotki
 absolutnie żadnej kropki
 (tej strasznej stanowczej kropki)
 ani litery -ę

Patrz jak pracuje z kim śpie i co je
 a potem głosuj
 głosuj na mnie

Kupił dom, którym zamierzał zdobyć miłość kobiety, który miał ją zwiabić, zachwycić i rzucić w jego ramiona pokonaną. Dom, który miał uzmysłwić jej, jak wielki błąd popełniła pięć lat temu, rezygnując z jego miłości i wiążąc się z innym mężczyzną. Dom ten miał być wrotami powrotu wielkiego, utraconego uczucia. Tak przedstawia się główna oś fabuły najpopularniejszej powieści Francisca Scotta Fitzgeralda „Wielki Gatsby”, której akcja rozgrywa się

zją świata przepychu. „Oświetlony gwiazdami wspaniały pałac wyrastał z brzegów jeziora i sięgał marmurowym połyskiem do połowy wysokości przyległej góry, a potem roztopiał się wdzięcznie w doskonałej symetrii, w kobiecym rozmarzeniu, wśród ciemnych mas sosnowego boru”³. W jego fasadzie uwagę przykuwały „liczne wieże, smukły zarys ukośnych parapetów, rzeźbiony cud tysięcy złotych okien jak prostokąty, ośmiokąty, trójkąty żółtego światła, miękkość

falujący tłum i wyptynąwszy na jego powierzchnię dopiero w chłodnych ulicach pięćdziesiątych szli sobie spacerkiem do domu, romantycznie nastrojeni do siebie... oboje wędrowali po beznamiętnym ogrodzie ze znaną w sennych marzeniach zjawą”⁷.

Ta zjawą staje się realna, ale w trakcie fabuły powieści zmienia swoje oblicze. Dom w „Pięknych i przeklętych” jest na gruncie twórczości Scotta Fitzgeralda chyba najbar-

POSIADŁOŚCI FRANCISA SCOTTA FITZGERALDA

na jednej z wysp Nowego Jorku. Dom Gatsby'ego na gruncie literatury urosł niemal do rangi symbolu, ale podobne budowle, zarówno pod względem architektonicznym, jak i znaczeniowym, występują w twórczości Fitzgeralda wielokrotnie. Czasem są miejscami, w których rozgrywa się zasadnicza część fabuły, czasem mającą gdzieś w dalszym planie jak widma, fatamorgana czy marzenia senne. Zawsze są istotne, chociaż to, jakie budzą emocje i jakie mają znaczenie, nie jest oczywiste. Choć zachwyca piękną fasadą i wyszukanym wystrojem, dom w powieściach Francisca Scotta Fitzgeralda do niezdefiniowane monstrum.

Ich obraz

Określenie to użyte zostało w opisie rezydencji Jay'a Gatsby'ego, która „była zjawiskiem monstrualnym pod każdym względem – prawdziwą imitacją normandzkiego ratusza, z wieżą, której nowiutkie mury ledwie przykrywał rzadki zarost bluszczu; do tego marmurowy basen i ponad czterdzieści akrów trawników, drzew i kwiatów”¹. Wystawnie mieszka również ukochana Gatsby'ego, Daisy, która wraz z mężem posiada rezydencję w zasadzie w sąsiedztwie, po drugiej stronie jeziora. „Ich dom był (...) wesoły, czerwono-biały, w kolonialnym stylu Potudnia, z widokiem na zatokę. Trawnik, który rozpoczynał się nad wodą biegł przez ćwierć mili do drzwi wejściowych, przeskakując po drodze zegary słoneczne i ścieżki wysypane tłuczoną cegłą, i gorejące kwietniki, aż wreszcie dopadłszy domu jakby z rozpędu wspiął się na ścianę dzikim winem. Fasadę domu tamał szereg oszklonych drzwi, płonących teraz odbiciem złota i szeroko otwartych na to ciepłe, wietrzne popołudnie”².

Ten szczególny fragment Nowego Jorku, noszący w powieści nazwy East Egg i West Egg, usiany wytwornymi budowlami, zamieszkały przez pięknych, eleganckich ludzi, jest jak kraina czarów. A zupełnie jak ona jawi się dom w opowiadaniu „Diament wielki jak góra”, będącym fantastyczną wi-

krzyżujących się płaszczyzn gwiazdowego blasku i błękitnego cienia (...). Na najwyższej z wież (i najczarniejszej u podstawy) jakieś skomplikowane urządzenie świetlne tworzyło coś w rodzaju płynnej krainy czarów”⁴. Wewnątrz domu „była sala, gdzie lite ciepłe złoto ścian ustępowało pod naciskiem ręki (...), i sala, gdzie sufit, podłogę i wszystko pokrywała zwarta masa diamentów – diamentów wszelkiej wielkości i kształtu – a gdy zapalały się fioletowe lampy w rogach, oślepiła oczy bielą, jaką można porównać tylko z nią samą, albowiem wykraczała poza wszystkie ludzkie marzenia czy sny”⁵. W innej sali podłoga „płonała oświetlonymi z dołu brylantowymi arabeskami (...). Niekiedy pod warstwami grubego kryształu” dostarczyć można było „zieloną sfalowaną wodę, gdzie pływały żywe ryby albo rośliny o tęczowych liściach”. Były też korytarze „z najbielszej kości słoniowej, zupełnie jednolitej, jakby w całości wyrzeźbionej w gigantycznych kłach dinozaura”⁶.

Dom Amory'ego Blaine'a, głównego bohatera powieści „Po tej stronie raj”, nie jest przez Scotta Fitzgeralda tak wylewnie opisany, nie jest też miejscem, w którym rozgrywa się zasadnicza część fabuły, ale rodzinny majątek w Lake Geneva to również okazała rezydencja, a jej istnienie jest niczym wskazówka kompasu utrzymująca bieg życia Amory'ego na właściwym kierunku. Posiadanie odpowiedniej klasy domu jest też motywem działań małżeństwa Glorii i Anthony'ego Patchów, bohaterów powieści „Piękni i przeklęci”, które to działania rozpoczynają od rozmowy o marzeniach:

„– A kiedyś, gdy już będziemy mieć więcej pieniędzy (...) zbudujemy sobie wspaniały pałac.

– Tak, z własnym basenem.

– Z mnóstwem basenów. I z własnymi rzekami. Chciałabym, żebyśmy to mieli już teraz.

Dziwnym zbiegiem okoliczności on również o tym myślał. Zanurzyli się w ciemny,

dzień złożonym zjawiskiem. Ze spełnionego marzenia zmienia się w nużące otoczenie, ciężar, a w końcu przykrą konieczność, gdy szary dom w urokliwej Marietcie bohaterowie muszą zastąpić mieszkaniem „na Claremont Avenue, o dwie przecznice od rzeki Hudson, wśród mrocznych ulic o numerach powyżej setki”⁸.

Ich funkcja

Dla Gatsby'ego okazały dom był częścią dobrze przemyślanego i konsekwentnie realizowanego planu. Miał stać się czymś w rodzaju talizmanu zdejmującego zaklęcie, czy wehikułu czasu, który miał przenieść go w przeszłość, do miejsca, w którym poniosł porażkę, by jeszcze raz rozegrać to starcie. Jego rozumowanie było proste i logiczne – jeśli przegrał miłość kobiety przez brak majątku, to zdobywając go – wygra, jeśli tylko jeszcze raz stanie do zawodów. A czas, który poświęcił na bogacenie się, ten czas, który rozdzielił go z ukochaną, będzie można uznać za niebyły. To przekonanie Gatsby'ego wyraża w rozmowie z Nickiem, swoim sąsiadem, który tłumaczy mu, że:

„– Nie można przeżyć na nowo czasu, który się już raz przeżyło.

– Nie można? – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Ależ oczywiście można!”⁹.

Monstrualnych rozmiarów budowla z pokojami „do muzykowania w stylu Marii Antoniny”, „salonami Restauracji”, spowitymi w różowy i fioletowy jedwab sypialniami, „pokojami kąpielowymi z wannami wpuszczonymi w podłogę”¹⁰ miała wszelkie atuty, by stać się jeszcze wehikułem czasu.

Dla Amory'ego z „Po tej stronie raj” rodzinna rezydencja w Lake Geneva jest miejscem, w którym prawie w ogóle nie bywa, której rozmiary przewyższają jego potrzeby, która nie pasuje do jego stylu życia i w żaden sposób nie pomaga mu w realizacji życiowych celów. Taki dom wydaje się być zbędny, a jednak Amory nie sprzedaje go, nawet gdy zostaje mu już

7 Tenże, *Piękni i przeklęci*, Kraków 1996, s. 134.

8 Tamże, s. 388.

9 Tenże, *Wielki Gatsby*, s. 146.

10 Tamże, s. 120.

1 F. Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*, Warszawa 1985, s. 11.
2 Tamże, s. 12-13.

3 Tenże, *Diament wielki jak góra*, Warszawa 1992, s. 39.

4 Tamże.

5 Tamże, s. 40.

6 Tamże.

→ tylko dwadzieścia pięć dolarów na życie.

ESE
Dla Glorii i Anthony'ego dom staje się miejscem hulaszczyczych imprez, które z czasem przestają być atrakcyjne. To, co było zachwycającym spełnieniem marzeń, traci swój urok i staje się w zasadzie niepotrzebne, gdy państwo Patchowie zaczynają prowadzić tryb życia podobny do Amory'ego. „(...) wiosnę spędzili na wybrzeżu kalifornijskim, podróżując to z jednymi, to z drugimi znajomymi, wędrując od Pasadeny po Colorado, od Colorado po Santa Barbara, bez celu – jeśli nie liczyć zachcianek Glorii, by tańczyć do innej muzyki i odkrywać coraz to nowe odcienie barw morza”¹¹.

Bohaterowie Scotta Fitzgeralda często mieszkają w hotelach (nawet gdy są statecznymi przedstawicielami amerykańskiej arystokracji) albo w wynajętych apartamentach, często też w internatach. Trudno w twórczości Fitzgeralda znaleźć obraz typowego domu, rozumianego jako miejsce rodzinnego życia. Jego główni bohaterowie zwykle albo nie mają rodzin albo są młodym, bezdzietnym małżeństwem. Wyjątek stanowią państwo Diverowie z powieści „Czula jest noc”. Im udaje się stworzyć coś na wzór zwykłego, sielskiego, domu bez przepychu i ostentacji. Lokują go w zaciszu na Lazurowym Wybrzeżu, pośrodku ogrodu, który osobiście pielęgnuje główna bohaterka – Nicole Diver. „Willa i cała posesja wykrojona była z rzędu domostw chłopskich, które tu dochodziły do skalnego urwiska – pięć chałup połączono, aby utworzyć dom, a cztery zburzono, by założyć ogród. Zewnętrznym murów wszakże nie tknięto, tak że z gościńca biegnącego daleko w dole nie można było go odróżnić od filetowej szarości wioski”¹². Ukryty przed wzrokiem przypadkowych ludzi dom, w którym wychowywali dwójkę dzieci był dla Diverów rzeczysną krainą szczęśliwości. Podobne miejsce Fitzgerald tworzy w opowiadaniu „Zasadki szczęścia”. Oba nie przetrwają, oba naznaczone zostają piętnem choroby jednego z małżonków, która doprowadza do rozpadu rodziny, a w jego konsekwencji dom przestaje być użyteczny i zostaje albo porzucony, albo zaczyna pełnić inną funkcję.

Nieliczne przykłady rodzinnego szczęścia są w twórczości Fitzgeralda zwykle nietrwałe i mało budujące. Jego bohaterowie raczej nie tworzą rodzin, ewentualnie jakieś ich namiastki, nie są w zażyłych stosunkach z krewnymi, często w młodym wieku tracą rodziców, bez, zdawałoby się, większego żalu. Zatem pojęcie domu jako wspólnoty bliskich ludzi generalnie u Fitzgeralda nie obowiązuje. Dom nie jest też dla niego azyłem, miejscem schronienia przed wichrami losu, czy bezpieczną przystanią, do której zawsze jednak się powraca po przygodach na pełnym morzu. Fitzgerald zdaje się pozostawiać dom wszystkim jego wzniosłym znaczeń. Do tego dwojakiego rozumienia, którego nie eksponuje polskie słownictwo, ale które dobrze wyraża język angielski jako *home* i *house*, Fitzgerald wprowadził jakby trzecie znaczenie. Jego domy to nie wspólnota rodzinna ani też miejsca, w których się mieszka, to trofea, talizmany, symbole wartości i ważności. Bez względu na ich wystawność, wielkość czy formę (mieszkania, rezydencje, willi), są to przede wszystkim posiadłości – coś, co się posiada.

Ich ciężar

Fitzgerald bawi się ze swoimi bohaterami w próby samookreślenia, zdaje się zadawać im pytanie „po co chcesz to mieć?”. Po co Amory'emu dom, w którym nie mieszka,

a żyje jak bezdomny? Po co Gatsby'emu olbrzymia rezydencja z tłumem bawiących się w niej osób, skoro wśród nich nie ma tej, którą kocha? Po co rodzinie Washingtonów pałac na diamentowej górze, skoro nikt bez utraty życia nie może ich tam odwiedzić? Niektórzy bohaterowie próbują odpowiedzieć, jak Amory, który zauważa, że „gdyby dziesięciu mężczyznom ubezpieczonym od bogactwa lub głodu zaproponować zieloną wstążkę za pięć godzin pracy dziennie, a niebieską za dziesięć, to dziesięciu z tej dziesiątki będzie zabiegać o niebieską. Instynkt współzawodnictwa domaga się tylko symbolu. Jeżeli wielkość domu ma być takim symbolem, ludzie gotowi są dać z siebie wszystko, żeby ich dom był odpowiednio duży”¹³.

Nie jest to kwestia uczuć, ani też nie jest zawsze zdrowego rozsądku, dla amerykańskiej arystokracji lat 20. i 30. XX wieku, którą Fitzgerald portretuje w swoich powieściach, miarą jej statusu jest to, co posiada. „Arystokracja oparta na pieniądzu, i tylko na pieniądzu, za najważniejszą cechę wyróżniającą uznaje właśnie bogactwo”¹⁴. Dom jest formą reprezentacji majątku, szyldem ogłaszającym przynależność do danej grupy społecznej, staje się kluczowym elementem definicji własnej tożsamości. Gdy Gloria i Anthony tracą wystawną rezydencję „staczają się” z arystokracji do klasy średniej, a ich dom, wypełniony niegdyś świetnie bawiącymi się znajomymi, pustoszeje. Nie jest to kwestia relacji międzyludzkich, więzów krwi, i to samo dotyczy domu – nie związki i relacje tworzą jego fundament. Obowiązuje prosta zasada – gdy tracisz to, co posiadasz, stajesz się kimś innym. Dlatego w świecie bohaterów Francisca Scotta Fitzgeralda dom (w stosownych wymiarach) koniecznie trzeba posiadać. Tyle, że później nie wiadomo, co z nim zrobić.

Przygnieciony trudami zbyt rozrutnego życia Anthony Patch w chwili refleksji zdaje sobie sprawę z tego, że „chęć posiadania to najgorszy z oszustów, to jak promień słońca, co skacze tu i tam po całym pokoju. Czasem zatrzymuje się i poślaca jakiś banalny przedmiot, a my, biedni głupcy usiłujemy go schwytać – ale wtedy promień przenosi się na coś innego, więc choć chwytamy to, na czym przed chwilą się zatrzymał, tracimy to, o co nam chodziło...”¹⁵.

Bohaterowie Fitzgeralda z reguły dalecy są od chęci prowadzenia ustabilizowanego życia, w jednostajnym rytmie, o przewidywalnym przebiegu, bez perturbacji niszczących harmonię rodzinnego gniazda. Są to raczej ludzie poszukujący przygód, rozrywek, podejmujący ryzyko, tacy, którym dom, jako stałe miejsce zamieszkania, nie jest potrzebny. Nie taki, którego postura przytacza, którego utrzymanie wymaga czasu, pieniędzy i zaangażowania. Więc kiedy go już posiadają, ta własność zaczyna im ciążyć. Wydaje się, że ich stosunek do niego Fitzgerald najlepiej przedstawił w swojej niedokończonej powieści „Ostatni z wielkich”, pisząc: „dom wydał im się z daleka przyjemniejszy, jakby ogrzany ich przelotną obecnością, odpychający blichtr nowości łatwiej było znieść, gdy poczuli, że nie są przywiązani do tego miejsca jak astronauta do łniącej powierzchni Księżyca”¹⁶.

Mieć dom, ale móc się od niego odebrać – to pragnienie można by przypisać chyba większości z bohaterów Fitzgeralda. Jego powieści są jakby konfliktem dwóch racji, które reprezentują z jednej strony majestatyczne domy, z drugiej – szybkie samo-

chody. To nimi bohaterowie jeżdżą na dancingi, nimi przemierzają nocny Nowy Jork, jeżdżą szybko, a motyw śmierci w wypadku samochodowym pojawia się w prozie Fitzgeralda wielokrotnie. Gloria i Anthony, by znaleźć wymarzony dom kupują najpierw sportowy samochód. Fitzgerald kontrastuje pęd jazdy ze statycznością monumentalnych budowli, pełnię życia przeciwstawia stabilizacji, wolność kłóci z bogactwem, ale nie potrafi ich ze sobą rozdzielić. Gdy diamentowy pałac zostaje wysadzony w powietrze, jego mieszkanka, młodsza córka państwa Washingtonów, myśląc o swojej przyszłości mówi:

„– Będziemy biedni, prawda? Jak ludzie w książkach. A ja zostanę sierotą i będę całkiem wolna. Biedna i wolna. Co za frajda (...)”.

– Nie można być jednym i drugim jednocześnie – odparł John ponuro. – Ludzie już to wykryli. Wolę być wolny niż biedny”¹⁷.

To silne przekonanie, że wolność jest niemożliwa bez określonego statusu posiadania wyznaje większość bohaterów Fitzgeralda. Wolność – utożsamiana ze szczęściem, miłością, spełnionymi marzeniami – w ich wyobrażeniach nie ma racji bytu bez odpowiedniego anturazu luksusowych pomieszczeń. I nawet jeśli przegrywają, to nie przestają myśleć w ten sposób¹⁸. Ich posiadłości stają się czymś na kształt sarkofagu, w który można wkomponować swoją osobę, swoje nieudane życie i wyglądać może trochę lepiej. W takim pustym mauzoleum kończy Jay Gatsby, a jego ojciec dając wyraz temu, co stracił pokazuje żałobnikom zdjęcie domu, nie syna. Tak różne znaczenia ma to, co się posiada. W „Diamencie wielkim jak góra” dom staje się sarkofagiem w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdy państwo Washingtonowie wysadzają się w nim w powietrze.

Można postrzegać posiadłości w twórczości Francisca Scotta Fitzgeralda jako monstra, które niszczy swoich właścicieli, ale kto nie chciałby mieszkać jak Wielki Gatsby? Można rozumieć to, że rzeczy ograniczają wolność, ale co zrobić z wolnością bez pieniędzy? Bohaterowie Fitzgeralda miotają skrajnymi pragnieniami zwykle ponoszą klęskę, kończąc z przeświadczeniem, które wciąż pasuje do naszej rzeczywistości, że „na świecie są tylko diamenty, diamenty i może brzydkie dar straconych złudzeń”¹⁹.

ALEKSANDRA EWA FURTAK

Aleksandra Ewa Furtak – pisarka, animatorka kultury, historyk. Absolwentka specjalizacji filmowej Państwowego Pomaturalnego Studium Kształcenia Animatorów Kultury i Bibliotekarzy we Wrocławiu. Ukończyła studia magisterskie na Uniwersytecie Wrocławskim, na kierunku historia o specjalizacji dokumentalistyka konserwatorska, a także studia podyplomowe Laboratorium Reportażu na Uniwersytecie Warszawskim. Prezes Fundacji Kultury, Reportażu, Aktywizacji i Integracji Społecznej FARKA. Autorka dwóch powieści: „Stażyści” (2016) i „Miasto na Skale” (2021), a także artykułów z dziedziny filmu i literatury opublikowanych m.in. w periodykach „Fragile”, „Kultura Miasta”, „Panoptikum”, „Zadra”. Prowadzi bloga o muzyce Dlaczegooniego.pl.

¹⁷ Tenże, *Diament wielki...*, s. 67.

¹⁸ Tenże, *Piękni i przekleci*, s. 428.

¹⁹ Tenże, *Diament wielki...*, s. 75.

¹¹ Tenże, *Piękni i przekleci*, s. 186.

¹² Tenże, *Czula jest noc*, Warszawa 1985, s. 28.

¹³ Tenże, *Po tej stronie...*, s. 305.

¹⁴ Tenże, *Piękni i przekleci*, s. 7.

¹⁵ Tamże, s. 327-328.

¹⁶ Tenże, *Ostatni z wielkich*, Warszawa 1988, s. 152.

Katarzyna Boruń- Jagodzińska

Mucha nie siada

Ultramarynowe ściany,
chałupa malowana farbą.
Głęboko niebieską mączką
przed laty sprzedawaną w papierowych torebkach
podobnej wielkości jak kakao turystyczne, soda
i klej stolarski zastygły w bursztynowych ślimaczkach.

Farbka do bielizny,
która nie barwiła tkanin,
lecz błękit miał za zadanie wydobyć biel.

Z papieru, z malunku gwaszem
za dotknięciem palca opadał
szorstki mączysty, złośliwie nietrwały.

Czy indygo z pustynnych sukien i zawojów
trwałe
broni przed skrzydlatą plagą
czy też plagą błonkoskrzydłą,
aż do chwili, gdy zamrze w bezruchu
zawartość fałd i zwojów,
gdy zamrze na zawsze
wnętrze szat
i wnętrze chat.
Gdy pusty jest wzrok
jak wybite okna.
Kredą białą czy błękitną
rysowana granica
dla upartych mrówek,
namiętych os,
dla natrętnych much.

Miejsca pamięci

Ściany jeszcze mają oczy, mury poranione,
rzadkie szczyby po wybitych mieszkańcach.
Za chwilę ich nie będzie.
Jakby nic się nie stało, małe dziurki, niby nic,
takie małe dziurki a tyle krwi.
Teraz połatane, zaklejone źrenice tamtego miasta,
ostańce ruin wymazane z tego miasta,
nieprzydatne na pomnik.
Zalepiono ślady ospy, żeby było wesoło, kolorowo, gładko,
żeby zamknąć rozdziały niedoczytane, odczepić balast.
Może gdzieś się uchowa w ramce za szybą
seria z automatu utrwalona w kamieniu,
choć dziś nie wiadomo,
z czyjej broni, w czyją pierś czy głowę.

Puste domy, puste pokoje

Puste domy czezną,
rozpadają się.
Puste pokoje nie oddychają,
przez puste pokoje wiatr nie przelatuje,
po zamkniętych nie hula.
Wystarczy krótko bez ruchu człowieka,
zwierzęta dzikie nie wystarczą -
inna elektryczność,
inna temperatura.

Rozsiada się kurz,
jak na swoim poleguje, leżakuje.
Nie ma ruchu,
w zamkniętych pokojach nie hula wiatr,
choćby miał, jak znalazł, okna powybijane,
bo to nie o ten wiatr chodzi.
Nic nie chodzi po izbach.
Mysz się nie liczy, mrówka nie gra roli.
Pająk się wysila ile wlezie. Nici z tego.
Puste skorupki much skupione u szyb.
Kołatek sam do siebie się dobija.
W domu
szczelnie zabitym
nagrzanymi w słońcu dechami
i tak jest zimny zaduch -
duchowy zaduch,
chuch nietoty.

Specjalny rodzaj aksamitnego pyłu,
szczególna woń.
Wystarczy kilka tygodni.
Niekórym kilka dni, innym miesięcy.
Masz więcej niż jeden pokój?
To jeden zamknij,
nie otwieraj przez tydzień, nie zagłądaj,
niech cię nie kusi
podglądanie jego samodzielnego życia;
czy się umył,
czy sam odetchnął drzwiami,
westchnął oknem,
zdmuchnął sam sobie kurz.

Jak wejdiesz, zobaczysz,
wystraszysz się.
Zanim zapytasz go
- No, jak tam?
weź głębszy oddech,
usiądź.

PATRIOTYZM JĘZYKOWY

FELIETON

Andrzej Wołosewicz

PATRIOTYZM JĘZYKOWY

Na początku przeproszam purystów językowych, którzy twierdzą, że patriotyzm jest sobą po prostu, że jest bezprzymiotnikowy. Mam swoje ważne powody, aby upierać się przy moim pomysle patriotyzmu językowego. Postaram się je wyłuszczyć najsprawniej, jak potrafię.

Skąd wziął się ten pomysł? Jest on wynikiem mojej wieloletniej obserwacji tego, co dzieje się z językiem polskim na styku szkoły podstawowej i średniej, czyli w pokoleniu 14-15-latków. Pracuję na tym styku już 20 lat, w warszawskich szkołach, i tych topowych i tych z dalszych miejsc rankingu, mam więc nieliczne spektrum doświadczeń. Wzbięrały we mnie te doświadczenia, wzbierały, konfrontowałem je z pomysłami (a czasami i ich realizacją) kolejnych politycznych ekip „reformujących” oświatę i wreszcie miarka się przebrała: muszę to z siebie wyrzucić.

Mam na uwadze tylko dwie kwestie: a) listę lektur i b) jakość nauczania języka polskiego. Obie te sprawy łączą się – według mnie – w dziwny węzeł gordyjski naszej edukacji. Muszę go po kolei opisać.

Zacznę od listy lektur. Nie sądzę, aby była to sprawa priorytetowa, chociaż jest bardzo medialna. Wystarczy prosty test: kto z państwa (poza polonistami) jest w stanie dziś, teraz, czytając ten tekst, wymienić dowolnych pięć lektur ze starego i z nowego zestawu? A dwie? No właśnie. Zatem nie jakie lektury, ale co się z nimi robi jest ważniejsze. Powiem brutalnie: przeczytanie nawet nudnego tekstu Andrzeja Jawienia jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Marksście nie zrobi krzywdy czytanie Biblii a katolik nie umrze przy czytaniu „Kapitału”. Nawet wydaje się, że czytanie lektur, które są nam nie w smak, jest ciekawsze i stanowi większe wyzwanie intelektualne. Ale mnie chodzi o coś innego, o to, co z tego czytania wynika. Czy buduje ono umiejętność pracy językowej? Obecnie nie buduje. Dostaję coraz gorzej

przygotowanych uczniów po 8 latach nauki języka polskiego w szkole podstawowej! Nie potrafią operować w miarę poprawną polszczyzną, w ogóle nie przywiązują do tego wagi! Dziwią się, że ktoś wymaga poprawności nie na języku polskim tylko – tak jak ja – na filozofii! Tak jakby pisanie poprawną polszczyzną dotyczyło tylko lekcji języka polskiego. Nie dziwi to Państwa? Mnie to nie dziwi, mnie to bulwersuje! Nie wiem, na czym polegał egzamin ośmioklasisty, ale moi uczniowie jakoś je zdali, i to często na 80-90%, tyle, że na pewno nie z umiejętności poprawnego posługiwania się polszczyzną. To jest dramat. Umiejętność napisania w miarę poprawnej wypowiedzi przekraczającej pojemność ekranu smartfonu budzi lęk, niechęć i opór. Z czegoś musi to wynikać. Obserwujemy w szkołach dziwny wysyp tych dysfunkcji np. przed maturami. Nie ćwiczona umiejętność zanika. Umiejętność pisania zanika z roku na rok. Dlatego postuluję wprowadzenie terminu patriotyzmu językowego. **Uczyńmy z umiejętności posługiwania swoim (nie obcym przecież) językiem ważną wartość.** Mogę tylko w tym miejscu przypomnieć fragment z „Beniowskiego” Juliusza Słowackiego:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,

A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.”

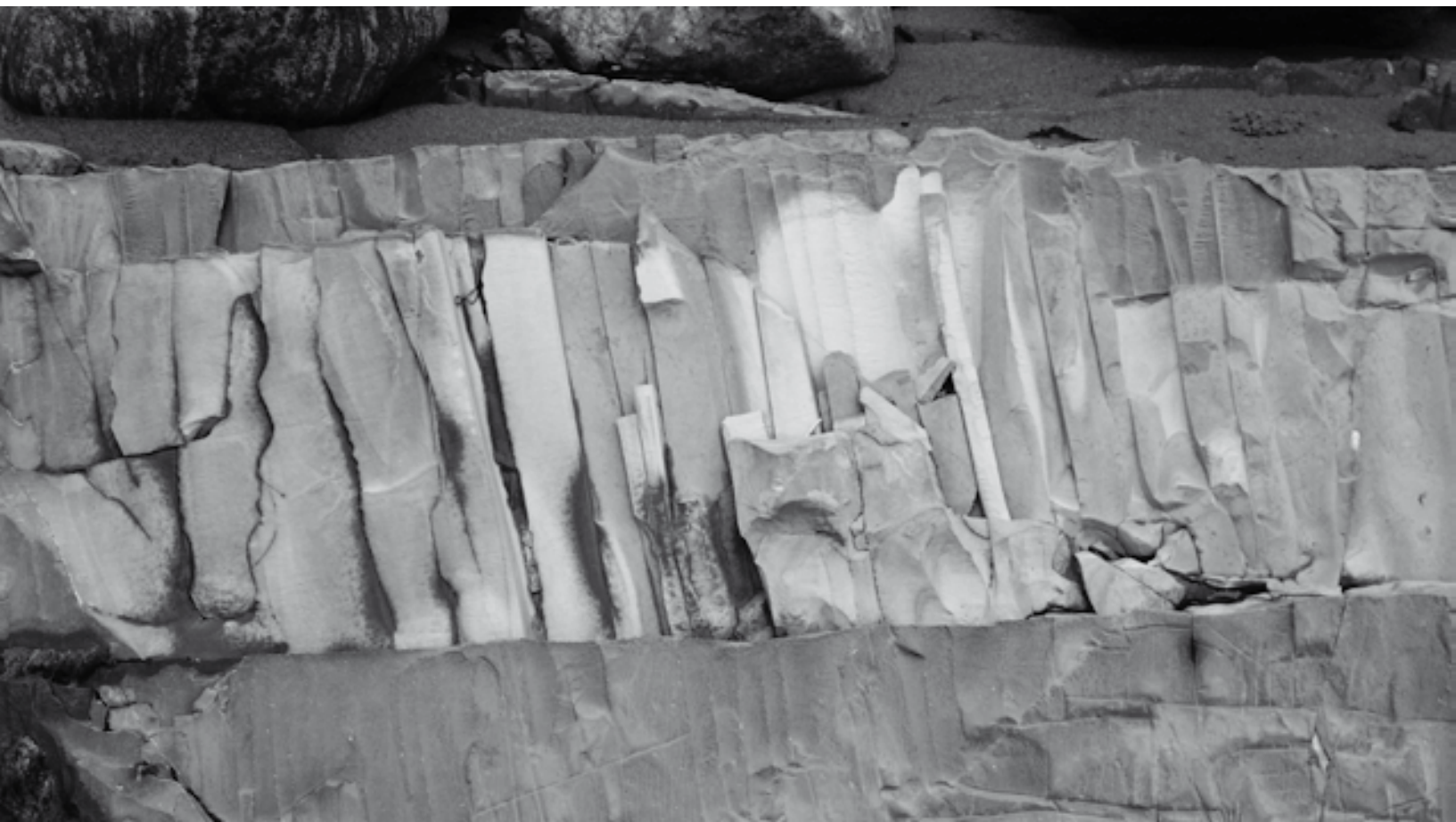
Jak to widzę w praktyce? Przede wszystkim postuluję powrót do pisania: pisać, pisać

i pisać! Kiedyś pisaliśmy. Niektórzy z Państwa jeszcze zapewne pamiętają maturę polegającą na napisaniu – według posiadanej wiedzy i umiejętności – dłuższego wypracowania. Wydaje się, że dzieci (klasy 1-3 szkoły podstawowej) uczone są literek, wyrazów i zdań (inaczej nie potrafiłyby czytać), ale potem już nie używają tej umiejętności w wystarczający sposób, nie ćwiczą po prostu, bo nie muszą. Kiedyś z czytanych lektur trzeba było (także w młodszych klasach) się rozliczyć prowadząc osobny zeszyt, w którym był tytuł, autor, jakiś rysunek i spójna, krótka (odpowiednia do wieku) opowieść o lekturze, jej treści napisana własnymi słowami. Oczywiście widzę już jak dzisiejsi uczniowie „odwalają” taką robotę na zasadzie „kopiuj-wklej” korzystając ze wszelkiego rodzaju bryków (bryk? – do matury – 1977 – nie wiedziałem, co to jest bryk!; ale to było w małym powiatowym Grajewie); niechby i tak, ale już samo przepisywanie, ręczne przepisywanie uruchamia cały proces widzenia tekstu, zapamiętywania „wyglądu” tekstu, ćwiczenia w poprawności gramatycznej, składniowej, ortograficznej, czego maszynowe, „klawiaturowe” przepisywanie nie uruchamia w takim stopniu. To jeden ze sposobów powrotu do źródeł poprawności językowej.

Jeżeli niemal dwa wieki temu mogło pociecie chodzić o dobrą polszczyznę, to nam nie może? Wtedy, w ciemnym okresie zaborów język ewidentnie wiązał się z patriotyzmem, to teraz nie może? Ja w każdym razie wobec swoich milusińskich, z którymi w szkole pracuję używam sformułowania: **patriotyzm językowy**. I bardzo proszę o wsparcie w tym zakresie, gdziekolwiek i kiedykolwiek tylko trafi się Państwu sposobność. Róbmy to każdy na swój sposób i w miarę swoich możliwości, których jest dużo – wszak używamy języka ciągle, nieprawdaż?

(GRUDZIEŃ 2024)

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ



Agnieszka Rykowska

*bo w snach można zrobić zmarłym herbatę
wkroić plasterki cytryny i nic się nie zmieni
cytryny nie ubędzie
nawet nożem przy jej krojeniu
się nie skaleczę*

*i będę śnić o rozmowie przy szklanym stole
sama ze sobą z tymi którzy odeszli
milczą albo wyjechali za granicę
a może ukryli się za metaforyczną linią*

*a tam
po tamtej stronie
będą ci z którymi rozmawiałam
których kochałam
i tam w chłodzie
będę mieć ciepłe dłonie*

Moja historia o ojcu jest jak porwane wersy w chaotycznym wierszu. Tak jak mój życiorys. Nawlekam go na igłę i dzięgam na papierze raz lepiej, raz gorzej. Przerwy w ściegu są czasem bardziej lub mniej wyraziste. Innym razem wyglądają jak gwiazdy rozpuszczone we łzach. Pisał o nich poeta z portalu literackiego. Nie rozumiałam ich, tak samo nie rozumiałam czasem własnego ojca. Nie rozumiałam, ale kochałam. Czuję, że on też kocha mimo choroby.

Czasem myślę, że historia jego życia przypomina małe obszary-epizody w większym państwie opowieści.

– To prawda, że twój tata skończył tylko siedem klas, ale był bardzo inteligentnym, mądrym człowiekiem – usłyszałam kiedyś od sąsiadki.

Był też przystojny. We wsi nazywali go „Kloss” albo „szlachcic”.

– Idź do „Klossa”. On ci pożyczy, on pomoże.

Sięgam wstecz. Dziadek Piotr był dobrym człowiekiem. W czasie niemieckiej okupacji sprawował urząd sołtysa. Niemcy, uciekając przed sowietami, zostawili u dziadków piekarnię z workami mąki. Babcia, cwana, namawiała dziadka by sprzedać mąkę, a za pozyskane pieniądze założyć sad.

Co zrobił dziadek? Rozdał mąkę okolicznym mieszkańcom. Sobie zostawił jeden worek.

Bardzo kochał Marię, moją babcię. W ogóle bardzo się kochali.

Dziadek Piotr miał trochę problemów ze swoją rodziną – nie bardzo akceptowała jej babci.

Jej ojciec, mój pradziadek Stanisław, kupił trochę ziemi w sąsiedniej wiosce od miejscowego dziedzica.

Siostry dziadka szydziły z babci nazywając parcelanką, bo jej ojciec nie był tak jak Piotr gospodarzem z dziada pradziada. Zupełnie jej nie akceptowały. Dziadek bardzo to wszystko przeżył. W dniu ślubu i jemu, i babci obficie płynęły łzy po policzkach.

MOŻE PO PROSTU WYSTARCZY, ŻE BĘDĘ ŚNIĆ O ZMARŁYCH

PROZA

Doczekali się trójki dzieci: Tadeusza, Agnieszki oraz mojego taty Zdziśka.

Jagusia uczyła się w SGPIŚ. Tadek studiował medycynę w Warszawie.

Jagusia później została dyrektorem do spraw ekonomicznych w pewnym szpitalu. Wyszła za pediatrę Stanisława. Mówiła, że za darmo przyjmował biedniejszych pacjentów. Urodziła córkę Annę.

Gdy tylko ciocia u nas się pojawiała, przywoziła dla mnie gumy balonowe „Donald”. Po jej jedynej córce moja starsza siostra Ala dostawała piękne ubranka. Zazdrościłam tych ubrań.

Ojciec za nią nie przepadał. Babcia czasem ją odwiedzała. Gdy wracała od jedynej córki, przywoziła pełne torby płatków kukurydzianych, które jadłam łącznie z śniadaniem z mlekiem. Bardzo mi smakowały. Za komuny to był rarytas. Ojciec nie lubił płatków.

– Jebana komunistka! – mówił o cioci Jagusi. – Znowu płatki dała?

Wtedy pokarm stawał mi w gardle i nie wiedziałam, czy dalej jeść, czy nie.

Gdy zmarła babcia, ciocia, zaraz po pogrzebie, tuż przed stypą, zdjęła ze ściany rodzinne fotografie.

– Zabieram! Jeszcze to sprzedasz! – krzyknęła do ojca.

Rozpłakała się wówczas jak mały chłopic. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam jego łzy.

– Co ona wyprawia?! – spytała moja siostra Ala. – Bezczelna!

Ale kiedyś ciocia Agnieszka przestała przyjeżdżać.

Zobaczyła, jak ubranka po jej córce gniją na strychu albo leżą na podłodze zaniedbane w łazience tuż przy pralce.

Ostatnie gumy „Donald”, które mi przywozła, żułam chora na świnkę. Leżałam wtedy w zimnym domu pod grubą pierzyną, z szalikiem wokół szyi i w czapce na głowie. Matka pijana spała w sąsiednim pokoju. Wuj na nią krzyczał.

Ciocia zaś usiadła przy mnie na brzegu łóżka. Wypuszczałam z ust duże balony, na które leciały nasze łzy.

– Ja już nie mogę tu przyjeżdżać. To nie na moje nerwy. Przepraszam, dziecko, ale nie mogę. – tłumaczyła się.

Stryk Tadek – starszy od ojca ożenił się z lekarką, córką żołnierza AK zamordowanego przez hitlerowców. Zrobił docenturę z neurologii. Wstydził się wiejskiego pochodzenia. Całe życie prawie mu zeszło na tych kompleksach. Miał też żal do babci i mojego ojca, że nie został sptacony.

Gdy studiował, dorabiał jeżdżąc do wypadków karetka.

Już po studiach przyjeżdżał do nas po „wałówki”, na które składały się mięso, jaja, pączki, ciasta. W tamtych czasach jego zagraniczny samochód wzbudzał zachwyty

we wsi. Nie pamiętam, by przyjeżdżał dużym fiatem czy polonezem. Zawsze miał coś lepszego. Po śmierci babci też nas odwiedzała. Mówił, że najlepsze kotlety robi Krysią, moja mama. Starał się też załatwić szpital ojcu, w którym ten bezpiecznie zniósłby terapię.

Tata opowiedział mi kiedyś pewną historię związaną z Tadkiem.

Była tęga zima, studiujący brat wracał na przerwę świąteczną do domu. Dziadek nakazał ojcu wyjechać po niego saniami do przystanku autobusowego. Tadek już miał wysiadać, przystanek był blisko, tuż tuż, ale w ogóle nie ruszył się z miejsca. Podeszła do niego jedna z sąsiadek i powiedziała:

– Czemu pan nie wysiada? Brat wyjechał... Pan chyba się nazywa Rykowski?

– Nie, ja nie tutaj. Nie nazywam się Rykowski – odparł, poczerwieniał i pojechał dalej.

Tadek tak się wstydził swojego pochodzenia, że nie zaprosił nawet matki, czyli mojej babci, na ślub swojego jedyne go syna chirurga, który zmarł w młodym wieku na zawał.

Przecież na weselu syna śpiewała znana piosenkarka, więc jak mogłaby się jeszcze pojawić rodzina ze wsi? To było dla niego nie do pomyślenia.

Przyjechał po wszystkim, pokazał zdjęcie ślubne chirurga, a babcia rozplakała się głośno. Ojciec miał niewesołą minę, chodził szybko po domu. W końcu chirurg był jego chrześniakiem.

– O nie, kurwa! – krzyknął. – Już od nas nie dostanie nawet kawałka mięsa! Chore to wszystko! Chore. Żeby wstydzić się rodziny?!... Własnej matki?!

Zawsze byłam zdziwiona, dlaczego rodzeństwo ojca dostało się na studia, bo w szkole średniej wujek i ciocia mieli przeciętne, wręcz słabe oceny. Nie, to nie to, że chcę pomniejszać ich zdolności. Przypuszczałam, że udało im się dostać na studia dlatego, bo dziadek długo nie siedział w więzieniu w okresie stalinowskim, a babcia nie musiała do końca jego życia pracować w paleniskach przy kłosałach.

Dziadek został aresztowany za partyzantów „bandytów” – ukrywał ich i pomagał, jak tylko mógł. Ojciec mówił, że wspierał tych, którzy nie zabijali cywilów, tylko walczili z okupantem.

Później jeden z „wyklętych” odwiedził w szpitalu siostrę taty i powiedział:

– Pani Agnieszko, pani ojciec uratował mi życie. Dziękuję.

Dziadek też siedział za ziemię – miał jej sporo, a to władcom się nie podobało.

Podobno za udział w wojnie z bolszewikami został odznaczony. W aktach Wojtkowskiego Biura Historycznego znalazłam informacje, że bombardier Piotr Rykowski wykazał się odwagą na polu bitwy.

Za Stalina UB zrywało tynki w starym

drewnianym domu dziadków. Zabrali order dziadka, kawalerską szablę oraz mundur.

*

Babcia rządziła w gospodarstwie. Zajmowała się dziećmi, prowadziła dom, dbała o piękny ogród. W ogrodzie było naprawdę cudownie. Bawiłam się tam dosyć często. Ku przerażeniu babci zrywałam piękne róże, kolorowe dale przypominające kołnierz Elżbiety I. Wyobrażałam sobie, że cały ogród jest czarodziejskim pałacem, a kwiaty w nim rosnące to księżniczki, damy dworu i zgrabne baletnice.

Gdy ludzie przychodzili do pracy, babcia gotowała dla wszystkich obiady. Umysł i cięta miała sprawne prawie do końca. Zresztą dobrze, że trzymała wszystko w rękę. Za jej życia gospodarstwo miało się nieźle.

Umarta na stole operacyjnym pod nożem chirurga – wnuka. Rozlał się woreczek żółciowy.

Po śmierci, przysniła mi się. Miała suche usta i bardzo pomarszczoną, żółtą twarz. Złapała mnie za nadgarstek, aż zabolowało, i powiedziała głośno:

- Chodź ze mną!

Może chciała mnie przed czymś uchronić? Nie wiem. Bałam się w tym śnie. Po obudzeniu też się bałam.

Krysia, czyli moja piękna mama pochodziła z Kurpi. Pielita u nas buraki i tak oto się zaczęła znajomość moich rodziców. Babcia nie mogła przeżyć, że ukochany syn zakochał się w pięknej, aczkolwiek biednej kobiecie.

Całe życie babcia przypominała, kto w domu jest najważniejszy, kto rządzi. Rzeczywiście trzymała wszystko w garści. Zamieszkiwała największe, najpiękniejsze pokoje w domu z parkietem i rozsuwanymi drzwiami w drewnianej obudowie z ozdobnym szkłem.

Krysia często się skarżyła, że babcia długo przesiaduje w pokoju rodziców, do późna oglądając telewizję.

- Nawet majątek nie można zmienić – żaliła się Krysia mężowi.

Babcia podobno zwykła mawiać:

- Krysia wypij za Dzisiaj.

Tak zaczęła się wspólny alkoholizm moich dobrych, pracowitych rodziców.

Na imprezach w Domu Strażaka oboje nie stronili od alkoholu.

Gdy ojciec kupił przyczepę węgla, spędzając wcześniej całą noc w kolejce, trzeba to było uczcić pić.

Gdy zabijano świnia, też oblewano ten fakt. Nie łałowano alkoholu. Na paletni skwierczaty świeże skwarki z cebulą, po domu roznosił się niesamowity zapach. W wiadrze moczyły się kiszki. W dużej misce leżał świński łeb. Zawsze się go bałam. Myślałam, że łeb śpi, a gdy się obudzi, ugryzie mnie w zemście za ubój.

Mama była szybka w robocie i to babci bardzo się podobało.

Krysia była od czarnej roboty w obojętności i w polu. Niestety, teściowa nigdy Krysi do końca nie akceptowała. Matężństwo rodziców uważała za czysty mezalians.

Babcia często chciała, żebym wylewała mamie alkohol z butelek, bo ktoś musi pracować. Więc wylewałam po cichu ile się dało, opróżniałam znalezione gdziekolwiek butelki. Nie rozumiałam tego kręgu rodzinnego, maszyny, w której tryby, czyli członkowie, weszli nieświadomie w zespół współzależnienia.

O alkoholizmie nie można było mówić głośno. I tu było wielkie „cii”. Wielkie „cii”, którego ojciec nie umiał przerwać w tym przypadku słowami:

- Co, kurwa, „cii”!

Pamiętam, jak mama wyprawiła mi czternaste urodziny. Była już lekko wstawiona, ale zrobiła dużo pysznego jedzenia. Nawet kotlety mielone były, żeberka, smakowite ciasta. Gdy bawiliśmy się w moim pokoju, nagle weszła i głośno zapytała:

- Gdzie schowałeś butelkę? No wiesz...

Po latach ciocia Agnieszka, która nie zносиła bratowej, tak powiedziała:

- Wiesz, Jagusiu, nie lubiłam twojej mamy. Ale była pracowita i tak piękna, że dziś widziałabym ją w roli Zosi z „Pana Tadeusza”.

*

Ojciec nienawidził systemu. Gdy wypił za dużo, zawsze przeklinał Lenina, Stalina i różnych kacyków.

Zazwyczaj przeklinał głośno, leżąc na łóżku. Styszałam jak niemal wołał:

- Skurwysyn! Tyle ludzi wymordował!

Kiedy zasypiał, podchodziłam do niego po cichu, niemal na palcach i nastuchiwałam, czy jeszcze oddycha, czy jeszcze żyje.

To od niego dowiedziałam się o Katyniu. W szkole nic nie mówili. Było jedno wielkie „cii”. Jeśli ktoś o tym napomknął, dostawał dwóch i wylatywał za drzwi.

Mama czasem broniła ustroju. Wciąż widziała cukierki leżące z nieba od dobrego wujka Stalina – i też mówiła: „cii...”

Tata wtedy krzychał zdenerwowany:

- Co, kurwa, „cii”? Co?!

Czasem zadawał nam znienacka pytania, gdy widział, jak siedzę w kuchni nad podręcznikiem.

- A kto był ostatnim królem Polski?

- Car Mikołaj Pierwszy – odpowiedziała pewnego dnia dużo starsza siostra Ala.

- Ja nie wytrzymam z wami! Czego was w tej szkole uczą?! – wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pierogi ruskie na obiad oznaczały wojnę domową. Ojciec ich nienawidził.

Pewnego dnia, gdy wrócił z pola, krzyknął:

- Znowu ruskie?!

- Cicho, cicho – uspokajała biedna babcia.

- Przecież obiecywałeś, że już nie będzie ruskich! – krzychał.

- Mała lubi. – odpowiadała babcia, zerkając nieśmiało na mnie.

Pamiętam też taką scenę. Babcia już wtedy nie żyła. Mama ugotowała czerninę, za którą tata przepadał. Właśnie miałam zmywać i częściej fusów po herbacie wlałam do garnka z zupą. Gdy mama to zobaczyła, wzięta wazową łyżkę i zaczęła mnie nią okładać. Bolało.

- Co ja teraz dam ojcu na obiad?! – wołała. – Ty mamejo jedna! Niezdaro!

Tymczasem fusy opadły widocznie na dno, bo gdy tata wrócił z pola, zjadł zupę, obliżał się, wytarł usta rękawem od swetra, i uśmiechnięty powiedział:

- Pyszna.

Uwielbiałam ten uśmiech. Mama też się do mnie uśmiechnęła, jakby nigdy nic, ale chochli nie zapomniałam. Pierwszy raz mnie wtedy uderzyła. Na szczęście ostatni.

To tata pokazał nam zdjęcia zamordowanego księdza J. Popiełuszki.

Pewnego dnia wpadł do pokoju i rzucił drastyczne czarno-białe fotografie na stół.

- Zobaczcie, co teraz skurwysyny robi-

li! – krzyknął roztrzęsiony do babci i mamy. – Popiełuszkę zabil! Zbyszek przemycił te zdjęcia.

Nie rozumiałam jeszcze wtedy, o co w tym wszystkim chodzi. Byłam zbyt mała, ale gdy zobaczyłam zmasakrowaną twarz człowieka w czarnej sutannie, dłonie związane z tyłu, poczułam jakby ktoś rzucił czarną rękawiczką w moją jasną, dziecięcą twarz.

- Tatusiu, dlaczego ten ksiądz nie żyje? – spytałam wystraszona. Bałam się tego zdjęcia.

- Zbójce go zabil, zbójce – odpowiedział przygnębiony, niemal bezradny. – To był dobry ksiądz, to był dobry ksiądz – powtarzał jak mantrę.

Gdy zaspasy stały się tak duże, że można było lepić igloo, przyszły wetniane kapy, którymi zostawiano w moim domu drzwi i szczeliny w oknach. Wtedy tata pokazał inne zdjęcie, tym razem zrobione przez wujka Zbyszka: Na dziedzińcu kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu stał duży fiat: w bagażniku na sianku leżała figurka małego Jezusa otoczona girlandą choinkowych świeczek. Wszystko błyszczało, tylko wokół stały trzy słupy, a na nich długie, czarne kapy. Dopiero po latach zrozumiałam symbolikę tego czarno-białego zdjęcia.

Wujek Zbyszek był fotografem i mężem siostry ciotecznej ojca – Aliny. Gdy w latach osiemdziesiątych zamknęli go za zdjęcia i siedział w Białotoście, Alina przyjeżdżała do nas z małymi dziećmi. Bardzo się kochali. We wsi ludzie śmiali się z niej. Była inna, nie rozumeli jej. Włosy spinała w kucyk frotką zrobioną ze skarpetki. Nosiała przeważnie dzinsy lub zakładała rozciągnięte dresy, a to się nie podobało. Babcia nieraz wystukiwała miejscowych, słyszała od sąsiadów, że Alina warszawianka, a ubrać się nie umie. Bardzo lubiłam Alinę. Fajna z niej była kobietka – na luzie, nie na pokaz.

Pewnego dnia tata powiedział do mnie, gdy wracaliśmy z pola:

- Wujek Zbyszek z ciocią Aliną wyjeżdżają do Niemiec.

- Jak to? – spytałam i zrobiło mi się smutno. – Na długo?

- Na zawsze. Nie będą mogli wrócić, przynajmniej teraz, chyba że coś się zmieni.

- Twój tata był zdolny tylko leniwy, wołał grać w piłkę z chłopakami, niż się uczyć – mówiła ciocia Agnieszka. – To dlatego nie poszedł na studia. Zmarnował się na tej wsi. Z jego inteligencją mógłby zostać jakimś kierownikiem.

- Ale miał głowę do gospodarstwa, dobrze je prowadził, jak nie pił. Kochał ziemię – starałam się go bronić.

Pewnego dnia ziemia go przebiła, a dokładnie brony, które w nią wrosły. Nie dostrzegł ich pod wyrosniętą trawą. Zeskoczył z wozu, ostrza przebiły gumofilce i poraniły stopy. Na szczęście niegroźnie. Szybko doszedł do siebie.

Ciocia Jagusia opowiadała mi, że tata kochał i szanował swojego ojca. Kiedyś stał na podwórku z kolegami.

- Ej, chłopak! – zawołał dziadek Piotr. – Chodź no tutaj i sprzątnij tę kupę po koniu.

Tata poczerwieniła, ale wykonał postusznie rozkaz.

Jagusia opowiadała, że przepadała za swoim ojcem, a moim dziadkiem. Tata mój był synkiem mamusi, kochała go ślepą miłością. Nie raz walczyła ze swoimi siostrami o ziemię po swoim ojcu, a moim pradziadku Stanisławie. Walczyła o ziemię, o sprzęty, byle wszystko dla najmłodszego syna.



Ciągle, ciągle mi brakowało ojca. Albo za dużo pracował, albo zbyt dużo pił.

Kiedy miał kaca, często przychodził do mojego łóżka.

– Jagusia, boję się – mówił i kładł się obok mnie, ale zaraz wstawał i szybko odchodził.

Ja też czasem kładłam się obok niego. Kiedyś – miałam kilkanaście lat – leżąc przy nim, oglądałam horror. Wystraszyłam się i gdy chwyciłam go mocno za dłoń, zrzucił mnie z łóżka. Lepszy chyba był mój ból, niż jego wstyd.

Uczył mnie jak mógł. W pamięci utkwił mi taki obraz: stoję przed furką z paczką herbatników w dłoni i rozmawiam z najlepszą koleżanką, Izą. Ojciec właśnie wchodzi z ulicy. Częstuję koleżankę:

– „Iza, masz ciacho”, a on poprawia mnie, akcentując ostatnie słowo:

– Jagusia, nie mówię się „masz”, należy powiedzieć „proszę”.

Co roku ojciec kupował żywą choinkę. Razem ją ubieraliśmy i cieszyliśmy się jak małe dzieci. To były najcenniejsze i najdroższe chwile.

Dbał o mnie. Nie mieliśmy sadu, drzewek owocowych, ale jesienią kupował kilka skrzynek jabłek. To też było ważne. Jabłka uwielbiałam.

Klacz sprzedał, kiedy miałam dziewięć lat. Za pieniądze kupił nowy traktor, ursusa

sześciziesiątkę. Bardzo wtedy płakałam. Gdzie ta Kobyłka nas wozila...

A to wjechała w krzaki, to ze stawu wody się napita, to w doły wpadła. Szalona, kochana klacz...

Pamiętam jak wtedy bardzo się bałam i kurczowo trzymałam ojcowskiej koszuli.

Pewnego dnia, ojciec przejeżdżał obok szkoły, wracał z pola. Siedział na wozie w tej swojej jasnej koszuli i starych spodniach od garnituru. Płakałam bardzo. Ksiądz mnie wtedy wyrzucił z religii, bo zapomniałam wziąć zeszytu z domu na katechezę. Znęcał się nade mną potwornie ten ksiądz. Ojciec, gdy tylko mnie zobaczył, zatrzymał się i spytał:

– Czemu Jagusia płaczesz? Co się stało?

– Ksiądz mnie wyrzucił z religii, bo zeszytu zapomniałam – odpowiedziałam, wsiadając na wóz.

– Ja porozmawiam z księdzem. Nie płacz. No... już dobrze.

Ojciec był bogobojny: gdy nie pił, chodził do kościoła, ale za naszym księdzem nie przepadał.

Na lekcjach religii musiałam czasem klęczeć w kącie z rękoma w górze. Za co? Za to, że rodzice do kościoła nie chodzili. Ale jak mieli chodzić, skoro pili?!

Gdy minął tydzień od sprzedaży klaczy, kochana Kobyłka pojawiła się przed naszą bramą. Ucieszyłam się na jej widok.

– Mama, patrz, wróciła – krzyczałam szczęśliwa, patrząc na nią przez okno.

Niestety umowa była umową - musiała wrócić do nowego właściciela.

Na lekcjach biologii w szkole podstawowej przez wiele lat przechodziłam dramat. Uczył nas wtedy tego przedmiotu dyrektor, partyjny. Bardzo nie lubił mojego taty z wzajemnością i wyzywał się na mnie jak tylko mógł. Zadawał najtrudniejsze pytania, i stawiał niesprawiedliwe oceny.

Gdy brał mnie do odpowiedzi, musiałam stanąć pośrodku plastikowej płytki podłogowej. Każda przekroczona granica, nadegnięcie na najmniejszy milimetr krawędzi oznaczały gorszą ocenę. Trudno nie raz było zachować równowagę w tym plastikowym kwadracie, zwłaszcza gdy paraliżował strach przed odpytującym.

Dyrektor nie przepadał za dziećmi z najmniejszych, gospodarskich rodzin. Lubił za to, gdy staliśmy wokół jego biurka, a on czytał głośno z podręcznika.

Pewnego dnia gdy byliśmy przy nim zebrani, nagle jedna z koleżanek zaczęła szeptać do drugiej.

– Won! - krzyknął – Won, matpo, do Ameryki! Tam do kąta! Do Ameryki won! Szkoda mi było koleżanki, ale cieszyłam się z jego zdenerwowania.

Ojciec bardzo go nie lubił. Kiedyś tata jechał zimą ciągnikiem z przyczepą, było bardzo ślisko. Miał kilka metrów do skrzyżowania. Górka po której zjeżdżał była dościsła. Nagle, ni z tego ni z owego, →

na skrzyżowaniu, jak grzyb wyrósł maluch dyrektora. Tata machał ręką żeby zjechał, dając tym znać że się nie wyrobi, trąbił ile się dało, ale to wszystko było na próżno. Uderzył w auto, delikatnie, ale uderzył. Ojciec był wściekły. Przyjechała milicja. Dyrektor nie krył zadowolenia.

Czasem na biologii byłam bardzo rozkojarzona. Bałam się dyrektora. Kiedyś zapatrzyłam się na mikołajka wiszącego na klasowej choince. Był śliczny.

Dyrektor krzyknął do mnie:

– Co przed chwilą powiedziałam?! Powtórz, co powiedziałam!

– Nie pamiętam.

– Za drzewi! Won! Idź mi stąd! Jak wezwę, to wtedy możesz przyjść.

Pamiętam śmiech dzieci. Wysłałam i na korytarzu się rozpłakałam.

Zawsze dyrektor podważał moje poczucie wartości.

Na wywiadówce kiedyś mama mojej koleżanki Ani powiedziała, że pan dyrektor zadaje zbyt trudne pytania Agnieszce, i „

– Czemu ona dostaje ciągle trójki, mimo że jest bardzo dobrze przygotowana? „ – spytała.

Potem, o dziwo, zaczął mi stawiać czwórki.

Gdy upadła komuna wiele się zmieniło. Gdzieś uciekły szkolne wszy, których wśród uczniów nie brakowało. Odchodził też na emeryturę dyrektor. Dla mnie to była największa wesz.

Pani od rosyjskiego, nasza wychowawczyni, kazała mi iść do dyrektora z bukietem goździków, żeby złożyć życzenia, niby w ramach pojednania.

Podeszłam. Chwycił mocno moją rękę i powiedział, świdrując beczelnie wzrokiem:

– Nie dostaniesz się do technikum! Nie dostaniesz! Zobaczysz!

Szybko wyrwałam rękę z bolesnego uścisku, odwróciłam się i spojrzałam na panią od rosyjskiego. Spojrzałam jej w oczy i chciałam ją zabić.

Po osiemdziesiątym dziewiątym roku ojciec nie miał z kim walczyć.

Brat stryjeczny przestał być ormowcem, a jego córka ormówką. Jakby czegoś zabrakło. Nie umiał się odnaleźć w nowym, a może jak Don Kichot zrozumiał, że jego cicha walka była mrzonką, mirażem utudą? Tylko czasem do jego oczu napływały łzy, gdy widział półki uginające się pod ciężarem, a wśród nich ponczone babeczki z wbitymi w nie matymi amerykańskimi flagami.

Przerwy w picciu stawały się coraz rzadsze. Zatamał się totalnie. Moja piękna matka coraz częściej zaczęła wyjeżdżać do różnych sanatoriów.

Zaczęła właściwie często wyjeżdżać tuż po zawale.

Pamiętam, kiedy leżała w szpitalu. Rano miałam do niej jechać. Nocowałam u kuzynki Dorotki.

Bałam się spać w domu, bo ojciec przeprowadził na noc kolegę do picia. Bałam się jego spojżenia. Czaiło się w nim pożądanie.

Gdy wychodziłam z domu Dorotki był już świt. Promienie słońca delikatnie przebiegały przez konary jesionów, które rosły wokół.

Spojrzałam w bok na sąsiedni dom i podwórko. Zobaczyłam postać kobiety.

W tym domu wiele lat temu mieszkała starsza pani, przyjaciółka mojej babci Marii. Często jesienią chodziłyśmy do niej na gruszki, którymi chętnie nas obdarowywała. Pani ta mieszkała z bratem. Podobno oboje śmiertelnie zatruli się czadem.

Wtedy, gdy miałam jechać do mamy do szpitala, zobaczyłam, jak dziwna postać sunie w kierunku drogi.

„Kto o tej porze z rana mógłby wychodzić z tego domu? Przecież tam nikt już nie mieszka” – zastanawiałam się.

Postać bardzo przypominała starszą panią od gruszek. Gdy wyszła na drogę zobaczyłam, że była ubrana w znajome mi chustkę, serdak, spódnicę do połowy łydek i kozaki. W końcu zrównałyśmy się. Spojrzałam ukradkiem w jej stronę. Zerknęła

na mnie. Zamarłam z przerażenia. Takiego widoku się nie spodziewałam!

Zamiast twarzy zobaczyłam czarny owal. Całkiem czarną twarz! Z całych sił pobiegłam do domu, który już majaczył w blasku wschodzącego słońca. Miałam może kilka kroków do furki. Szybko się odwróciłam. Za mną nikogo nie było. Chciałam, żeby ta postać znajdowała się jeszcze w zasięgu mojego wzroku, żeby wróciła. A tu nic, nikogo.

Towarzysz ojca do picia był jeszcze w domu. Tak bardzo chciałam, by sobie poszedł.

Za jakiś czas dowiedziałam się, że popełnił samobójstwo. Powiesił się w sadzie na jabłoni.

Gdy ojciec znalazł zdjęcie kochanka matki pod prysznicem, poddał się totalnie.

Prawie nic go nie obchodziło. Pił niemal codziennie.

– Rozwiedź się z nią – powtarzałam mu. – Weź rozwód, bo się wykończysz. Przecież ona zawsze cię zdradzała.

– Boję się sploty – odpowiedział.

Zapadło długie milczenie.

Latem przysnił mi się. Zaniepokoił mnie bardzo ten sen. Tata chodził w nim nieżywy pomiędzy nagrobkami.

Za miesiąc spadł ze ściany w pokoju po babci obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Potem zamiatałam szklane odtamki.

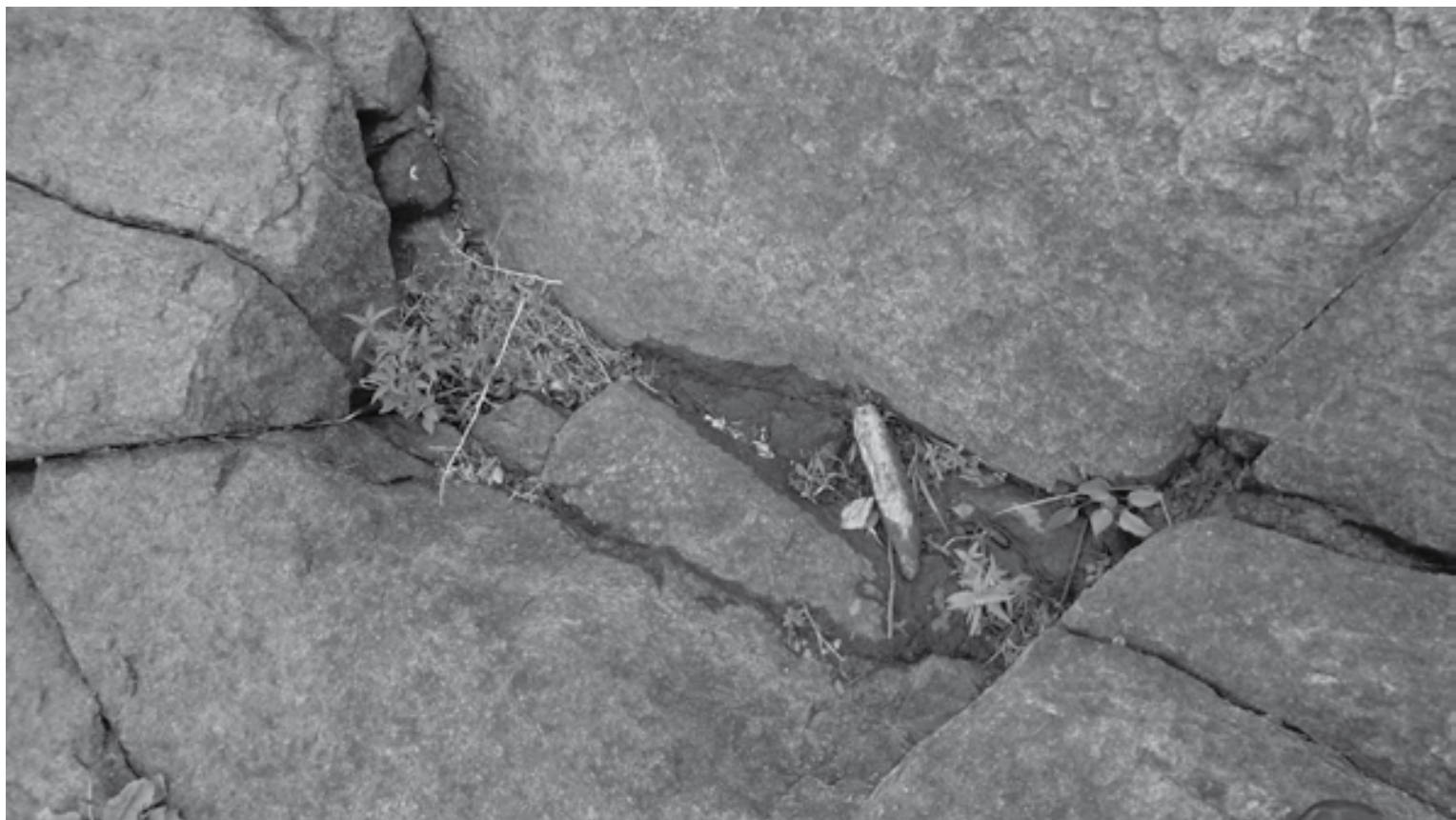
Miałam szesnaście lat, gdy zmarł wczesną jesienią. Umierał późnym wieczorem. Ja w tym czasie w internacie tańczyłam na dyskotecie ze swoją pierwszą, platoniczną miłością.

Matka podobno była wtedy pijana. Wyszła w kapciach na drogę i krzyczała półżywa i pół-senna:

– On nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Wezwano karetkę. Reanimowano. Bez skutku.

Parę dni przed śmiercią ojciec po raz pierwszy nie dał mi kieszonkowego. Miałam





jechać do internatu i poprosiłam o pieniądze na bilet. Zawsze dawał. Tym razem nie dał.

Byłam zła. A on siedział w kuchni przy stole z uśmiechem na pociągłej, szczupłej twarzy.

– Daj mi buzi – powiedział.
– Dam ci, jak będziesz trzeźwy – burknęłam.

Przez wiele lat o to się obwinałam. Nie pocałowałam ojca żywego. Nie zdążyłam, więc chciałam dać całusa każdemu mężczyźnie, w którym się kochałam.

Kierownik internatu i wychowawcy wiedzieli o jego śmierci, ale nie powiadomili mnie, o niczym nie wiedziałam tamtego wieczoru. W nocy śniłam trzy kobiety ubrane na czarno. To byłam ja, siostra i mama. Stałyśmy przed ołtarzem, między nami był ksiądz. Matka miała na twarzy czarną woalkę.

Rano, zaraz po obudzeniu, do pokoju weszła siostra z mężem. Powiedzieli mi. Nie pamiętam, co powiedziałam. Dopiero później siostra przypomniała mi moje słowa:

– To teraz już zostanę sama.

W dniu pogrzebu umierał też pies Azor. Kiedyś towarzyszył ojcu w polu. Pamiętam jego zaropiąte oczy. Smutny obraz. Jednocześnie odchodził pan i pies.

– Weźcie z podwórka tego psa! – ktoś krzyknął z tłumu.

Na pogrzebie byli Jagusia z Tadkiem. Jagusia okropnie płakała i drżącymi dłońmi próbowała zawiązać wstążkę na wieńcu.

– Pomóż mi, kochana – powiedziała do mnie. Zrobiło mi się jej wtedy okropnie żal.

Po latach, powiedziała:

– Wiesz, kochałam twojego tatę. Bardzo kochałam, bardziej, niż Tadka. Widzisz twój tata się mylił. Posądzał mnie, że trzymam z władzą. Ja chodziłam do kościoła. To nie tak, jak on myślał, po prostu bałam się dyrektora szpitala. Bałam się go. Nawet nie wiesz, co przeżywałam w pracy, kochana.

Na cmentarzu Tadek wygłosił piękną

przemowę. Był na stypie, trochę żartował, ale niewiele z tego do mnie docierało. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Po pogrzebie nie siedziałam długo w domu. Ciocia Jagusia powiedziała, że- bym jak najszybciej pojechała do internatu, bo nic mnie tutaj nie czeka.

– Zobacz – mówiła. – Przed tobą życie. Przyszłość należy do ciebie, kochana.

Odrabiałam lekcje w pokoju, gdy usłyszałam dziwny hałas dobiegający z kuchni, jakby pękło szkło. Podeszłam do suszarki. W zlewie leżał ulubiony talerz ojca. Pęknięty. Sam pękł. Poczulałam dziwną obecność. Coś mi mówiło: „W piekle nie można zbyt długo siedzieć”.

Lecz piekło jednak nie odpuszczało.

Zaraz po pogrzebie w weekend, na który przyjechałam z internatu, coś się wydarzyło nocą z piątku na sobotę.

Brat z matką upili się. Byłam wściekła, że nawet paru dni bez picia nie wytrzymali.

Usiadłam na dywanie i chrapiąc paluszki słone (tata je lubił), oglądałam telewizję.

Bałam się spać sama w swoim pokoju. Położyłam się obok pijanej matki. Wnęć poczułam, że tata jest w pobliżu. Nagle zaszeleściła torebka z paluszkami. Zobaczyłam, jak tata zagniewany zaczął biegać wokół okrągłego stołu. Zapadł we mnie gdzieś głęboko jego krzyk:

– Nie śpij z nią! Nie śpij z nią! Prawie całą noc tak biegał.

Następnej nocy spałam już sama u siebie. Cisza. Mój wewnętrzny spokój.

Kolejne spotkanie nastąpiło prawie rok później, latem. Żaby rechotały w stawach. Komary i muchy gryzły jak najęte.

To było tuż przed północą.

Usłyszałam jak matka krzyczy. Wiedziałam. To on przyszedł. Tata. Był u niej.

„Aha. Zaraz się zaczniesz” – pomyślałam.

Leżałam twarzą do ściany. Nagle poczułam, że ktoś kładzie się obok.

Po chwili pomyślałam:

„Tata odejść stąd, bo mi niewygodnie”.

Rozluźniło się, a matka znowu zaczęła jęczeć.

Następnego dnia rano zobaczyłam ją trupio-bładą przy stole kuchennym. Powiedziała ze smutkiem, wręcz z przerażeniem:

– Ojciec był u mnie. Usiadł na mnie okrakiem. Czulałam jego opuszki, a potem zaczął mnie dusić.

– Wiem – uśmiechnęłam się. – U mnie też był. Nawet się ucieszyłam.

W końcu za życia cię, mammo, nie dusił, to po śmierci sobie pozwolił.

– Jesteś matką żółką – odparła.

Potem szukałam ojca. Ciągle szukałam w sporo starszych partnerach, w ich swobodnych pozach, wesółych i smutnych twarzach. Ciągle szukałam mojej wielkiej, najdroższej miłości.

Nie znalazłam.

Bardzo płakałam podczas pierwszej wigilijnej wieczerzy bez ojca, bardzo. Brat powiedział wtedy:

– Czego się mazgaisz?! Ja nie żałuję, że go nie ma!

Te słowa były jak cios w serce. Nie mogłam oddychać; czułam, jak wzbiera we mnie silny spazm. Pobiegłam do łazienki, usiadłam na podłodze, oparłam się o wannę i gorzko zapłakałam. Potem położyłam się na łóżku ojca i przykryłam jego zimową kurtką. Kurtkę oraz wiele rzeczy po ojcu, w tym część ziemi, sprzedali. – Brat z matką.

Nie sprzedali mojej pamięci o nim.

AGNIESZKA RYKOWSKA

Andrzej Gierach

Z wiatrem pod rękę

Dziwię się dziewczynie
w figlarnej sukience
co z wiatrem na kawę
chodzi pod rękę
Wiatrowi się nie dziwię –
zazdroścę wiatrowi

Ciebie oczajduszo
do szeregu
róża wiatrów
wzywa

Bacz jednak gdy zefirowi
randkę ze słodką damą
dajesz
młodzikowi

Wicher zaś szalony
wyślij szybko
złym piratom
za ocean
w darze

A dziewczynę zostaw

Bławatek pyszne lico splata
wierzę że ten brylant
sam zaniósę za horyzont
poza krańce świata

Trzymając za rękę
częstując zachwytem
upojne kolory nieba
rajskim ukazę kalcytem

I ten obraz kuszący
strunę duszy chwyci

Dziewczynę wtedy
w jej słodkim udarze
chciwie milionami całusów
nieskromnie obdarzę

Nad Uplikiem

W rajskim ogrodzie nad jeziorem
sarna chyża spaceru zażywa.
Wysmukłą łąnię między sosnami
dojrzałem. Jak głodny wilk z oczu cię
nie spuszczam jak byk z porożem
nie oddam nikomu. Łeb unoszę
w górę ryk mego serca kruszy opór
łani – dusza kochana od zarania
pora nasycić ciała sesją kochania.

Usta twoje wargami otwieram
łabędzią szyję chciwie całuję.
Polne koniki kołysankę nucą.
Gdzieś w dali kos pogwizduje
czule. Piersi twe w mych dłoniach
dojrzałe pełne grona z maliną
ciemną w środku.

Leśne echo ciszą powraca
Zwabiony żuk biegnie tu na
zwiady czyżyk szybując nad
wodą brzusek przed snem umywa.

Niżej piersi twój brzuch
– pszeniczne łany Van Gogha –
oknem nieboskłonu Wenus
w jedwabnej poświacie
pierwsze promienie rozdaje.
Świetliki światłem migocą
rozmowy pragną z nami.

Krok po kroku ma dłoń
słodkie zakamarki twego
ciała całuje i na brzeg
łaknącej gwiazdy prowadzi.
Złote twe łono jak okrągła
czasza rozkoszy cud.

Księżyc ruszył znad chmury
w lustrze jeziora swe ciało
brylantami złoci. Srebrzyste
światło rozpala kochanie.

Zapada noc.
Gwiazdami się niebo stroi'
Cisza stanęła wokół.
Muzyka sfer świat unosi.

Słychać tylko śpiew gwiazd
na orbitach. Inne w akrobatycznym
skoku do jeziora cicho wpadają.
Niebieski zastęp kąpieli spragniony.

Omdlewasz u kresu rozkoszy.
Wpłynełaś na łąd zamglony
słońca utkanego w błękicie.
Z siódmego nieba
dziś nie powrócisz.

Maria Jolanta
Fraszewska

NIEBO GĘSTO TKANE (DUSZPASTERSTWO WIRTUALNE)

ESSEJ

Pisarz wciąga nas w swój świat, lecz nie znamy jego prawdziwych intencji. Chce nas zdobyć, oczarować, uwieść. Czasem jednak chce nas także wciągnąć do swego wewnętrznego piekła. Czytanie to bardzo niebezpieczna gra między duchami, przede wszystkim dlatego, że jej narzędziem jest słowo – medium niezmiernie czułe, które potrafi dotknąć samego rdzenia duszy. Duch potężniejszy mówi tu zwykle do ducha słabszego. Każdy tego typu kontakt, kontakt prawdziwie empatyczny, w pewnym sensie narusza strukturę osobowości. Ale zjawisko to dotyczy tylko prawdziwych fanów literatury, to znaczy takich czytelników, dla których czytanie jest rodzajem hipnotycznego snu.¹

W eseju tym zamierzam poruszać się po pograniczach rzeczywistości – światów istniejących, sensualnych, choć nie zawsze dotykalnych, POMIĘDZY JAWĄ A SNEM. Inspiracją stał się artykuł *Moralność internetu?*², ukazujący problem zapanowania nad chaosem przekazu wielu informacji poprzez owo nowe narzędzie. Sam w sobie jest on nijaki, istotne jest co zrobią z nim użytkownicy. Stanowi więc wyzwanie dla chrześcijan i Kościoła.

Interesuje mnie: jak Kościół odnosi się do problemu rzeczywistości wirtualnej, jaka jest relacja religii i świata wirtualnego, gdzie są granice utudy, czy Bóg może być zagrożony, a może stworzymy-tworzymy nowego Boga?

Jan Paweł II w orędziu z okazji 40 rocznicy Kat.Unii Prasy Włoskiej pisał: *Zupełny brak norm w dziedzinie informacji – zwłaszcza w Internecie – stwarza niebezpieczeństwo kultury subiektywnej.*

W 1990r Papież³ już wyraźnie określa misję Kościoła w erze komputerów: że Kościół może szybciej informować i wyjaśniać swoje stanowisko, credo, wyraźniej słyszeć głosy ludzi i prowadzić nieustanny dialog z otaczającym go światem, by zaufać młodzieży, która wzrasta w informatycznej dobie. W orędziu z 1999r dodaje, że nowe środki przekazu pomagają na nowo odczytywać księgę przyrody, poszukiwać sensu, prawdy, mogą pomóc Kościołowi w głoszeniu Ewangelii, mogą współpracować z Bogiem, dają możliwości porozumienia się wszystkim z wszystkimi częściami świata, i aby obietnice jakie niesie okazały się silniejsze niż zagrożenia.

Czy z tej galaktyki obrazów i dźwięków wyłoni się Oblicze Chrystusa? Czy da się usłyszeć jego głos? Gdyż tylko wtedy, kiedy będzie widzialne Jego Oblicze i słyszalny

1 *Literatura nr 10/98, Tajemnica jest warunkiem życia. Rozmowa ze Stefanem Chwinem .Ingarden R., O dziele literackim. Badania z pogranicza ontologii, teorii języka i filozofii literatury. Warszawa 1988r. „Jeżeli przy lekturze chcemy ująć świat przedstawiony dokładnie tak, jak jest przedstawiony, musimy przenieść się fikcyjnie niejako do wnętrza przedstawionego centrum orientacji i wraz z odpowiednią osobą wędrować in fictione w przedstawionej przestrzeni”.*

2 Robak Marek, *Moralność internetu?*, *Więź* nr 11/99 *Spoleczeństwo wirtualne?*

3 *Papieskie Orędzie na XXIV Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu*

*Jego głos, świat pozna „dobra nowinę” naszego zbawienia. To jest celem ewangelizacji i to uczyni internet prawdziwie ludzką przestrzenią, gdyż, jeżeli nie ma miejsca dla Chrystusa, to nie ma go także dla człowieka...Wzywam Kościół...aby wyłynąć na głębie. Niech Pan błogosławi wszystkim tych, którzy trują się w tym celu.*⁴

I rzeczywiście, przeglądając kilkanaście numerów *Więzi* znalazłam sporą ilość artykułów podejmujących i poszerzających powyższy temat. Rozgorzała dyskusja wielowątkowa i krążyła wokół pytań:

Czy interaktywność komunikacji internetowej może zastąpić interpersonalną komunikację bezpośrednią, jaka jest kwalifikacja teologiczna głoszenia słowa Bożego przez internet, czy takie głoszenie może budzić wiarę. Jakie muszą być spełnione warunki, aby tak się stało. Czy rzeczywiste, autentyczne jest samoudzielanie się Boga człowiekowi, i czy jest takie samo jak podczas głoszenia słowa w homilii?

Czy Bóg przemawia w sieci i czy można go tam odnaleźć?

Poznanie wirtualne daje iluzję, złudzenie, zostaje ożywione przeżycie-objawienie, przekazywane dalej w formie fikcji literackiej. Cykl artykułów „Zarzućcie sieć” dotyczy relacji pomiędzy światem realnym a światem wirtualnym. Cyberprzestrzeń nie może być miejscem ucieczki od rzeczywistości. Często jednak stanowi pseudoucieczkę dla człowieka, który jest zaplątany w komputerową sieć ze wszystkimi wymiarami życia.

W moim krótkim eseju oprę się na założeniach etnometodologii, bowiem w tej teorii „stosowane (E. Goffman) są metody, za pomocą których ludzie wytwarzają przeświadczenie o istnieniu porządku społecznego”. Mniej istotne przy porozumieniu są treści, wartości, normy, transakcje, ważny jest sposób, narzędzie, SIEĆ.

SIEĆ można by potraktować jako rynek, na którym odbywa się przetarg propozycji światopoglądowych.

Ogólnoświatowa pajęczyna – internet – łączy wiele oddalonych od siebie komputerów przy czym nie można wyróżnić centralnego punktu sterującego systemem. Każdy fragment sieci, niezależnie od innych jest zdolny do samodzielnej pracy. Jeżeli jakikolwiek serwer zostanie wyłączony, sieć i tak będzie pracowała dalej.

Etnometodologia próbuje wyjaśnić, w jaki sposób ludzie wzajemnie podtrzymują przekonanie, że świat społeczny ma charakter realny, świadomie czy nieświadomie konstruuja sens przypisany zewnętrznej rzeczywistości społecznej.

Według Goffmana wszyscy ludzie tworzą poczucie wspólnej rzeczywistości, działając wytwarzając wrażenie - w trakcie sytuacji społecznych. Praktyka stosowania tej samej metody – Internet, komputer, cyberprzestrzeń, powoduje wytworzenie poczucia, że ludzie dzielą ten sam świat, ten w którym żyją. A żyją w świecie już wytworzonym przez siebie. Łącząc się w sieci, ludzie uży-

skują potwierdzenie, że ten świat istnieje, istnieje wewnątrz i na zewnątrz, bo oni z niego pochodzą. Jest to swoisty rytuał, w którym uczestniczą miliony ludzi. Ludzie otrzymują reakcje zwrotne, sygnał, słowa, które podtrzymują wiarę w to, że działają w ramach określonej rzeczywistości. Wytworzył się język komputerowy, stosowany i rozumiany dla posługujących się komputerem.

Jednostki w każdej sytuacji interakcyjnej wchodzą w układ, dążą do konsensusu. Poczucie to jest związane z tzw. blokiem sytuacyjnym, jest rezultatem i zarazem odbiciem faktu dostosowania się do reguł. Porządek społeczny powstaje „tylko dzięki zdolności ludzi do wzajemnego przekonywania się, że społeczeństwo jest tam, na zewnątrz”⁵. Gdzie indziej, w innym świecie. Zachodzą stale procesy budowania i utrzymywania tej wizji – istnienia świata wirtualnego, cyberprzestrzeni jako świata realnego.⁶

Gdzie kryje się rzeczywistość? Można by w skrócie odpowiedzieć, że w ludziach i ich wytworach. E.Hall powiedziałby, że nie ma już ludzi, są ich ekstensje. Próbując odpowiedzieć sobie na pytanie: czym jest świat wirtualny, odnoszę podobne wrażenie, być może odzywa się we mnie atawizm, ale wirtualność stawać się może cechą, przynależy do człowieka, stanowi przedłużenie jego wyobraźni, ale nie jest tą wyobraźnią, jest pewnym abstraktem, pewnym jako nieokreśloność i pewnym jako coś stałego, ale nietrwałego. Gdyby odciąć wszystkich ludzi od SIECI, zabrać komputery i totalnie zniszczyć, w pamięci ludzkiej pozostałoby wspomnienie, przerobione i ulepszone, Wytwór, który by powstał miałby wymiar nierealny, być może w postaci mitu czy bóstwa, kultu, religii przekazywany byłby do przyszłości.

Porozumienie stanowi odwieczny problem obejmujący ludzi. Czy duchowni potrafią dogadać się z ludźmi. Czy Kościół niesie Dobrą Nowinę czy tylko moralizuje? Jeśli Kościół nie potrafi prostym językiem przekazać prawd wiary, to jak zbuduje, utrzyma wspólnotę?

Czy Kościół powinien się zmieniać?

W trakcie trwania programu *Między nami?* przeprowadzono szybki sondaż. Za TAK opowiedziało się 78% telerespondentów.

Ewangelia to prędkość każdego człowieka, takiego, który przychodzi na ziemię, w każdym miejscu i w każdym czasie, to też doskonałość duchem ewangelicznym porządku spraw doczesnych. Obecnie nauczanie społeczne Kościoła stanowi jego społeczną wypowiedź i dotyczy najważniejszych etycznych aspektów problemów społecznych. Nowe chrześcijaństwo nie jest nowym hasłem. Model cywilizacji chrześcijańskiej, odnowienie drogi między Kościołem i społeczeństwem obywatelskim wg Piusa XII stanowi jedność duchową jako

5 Turner J., *Struktura teorii socjologicznej, Etnometodologia, s.478-496*

6 E.Hall w *Poza Kulturą proponuje pojęcie „łańcuch działań” s.143: Przypomina on taniec rytualny traktowany niczym zestaw środków osiągnięcia wspólnego celu, do którego można dojść tylko po wykuciu każdego kolejnego ogniwa łańcucha.*

7 TV 1 dn. 6.03.2002r

4 Jan Paweł II, *Watykan, święto Franciszka Salezego, 2002*

→ powrót do syntezy religii i życia.⁸

ESEJ

Teologowie zastanawiają się czy dostęp do informacji sprawi, że ludzie poznają lepiej prawdę i czy będą lepsi. Czy forma przekazu – sztuczna, pozwoli na poznanie prawdy?

A czy będą lepsi, też zdaje się być założeniem zbyt pochopnym, dotyczy bowiem relatywizmu.

Środkiem łączącym jest internet, z założenia można dotrzeć do wszystkich, a szczególnie do tych najtrudniejszych przypadków, tych, którzy mają wątpliwości, którzy odeszli do innych Kościołów, ruchów, sekt, których drażni instytucjonalizacja, tych mniej śmiałych, chcących zachować poczucie wolności, anonimowość.

Internauci stanowią grupę społeczną, która w badaniach socjologicznych deklaruje największy dystans do religii i Kościoła.⁹ Choć stanowią w społeczeństwie ciągle mniejszość, są pewną elitą, są lepiej wykształceni niż przeciętny Polak, 50% spośród korzystających z internetu stanowią ludzie z wykształceniem wyższym mieszkają zwykle w dużych miastach, sporą grupę stanowi młodzież.

Nowe formy komunikacji zmieniają nasz sposób zachowania i odwrotnie. Ludzki umysł tworzy narzędzie ułatwiające komunikowanie się – prowadzi do uniwersalizmu.

Ewangelia pozostała niezmienną od 2 tys. lat. Zmieniają się media przekazu. Do czego można wykorzystać internet? W działalności duszpasterskiej, w oswojeniu ludzi z wiarą i Kościołem: newsy, refleksyjne artykuły, rekolekcje, w dialogu: czaty, korespondencje, Opoka, Mateusz, Modlitwa i Żywy Różaniec, zmienia się język przekazu – specyficzny, skrótowy, zjawisko wirtualnego księgowego, i wirtualnej wspólnoty.

Internet posiada kilka cech odróżniających go od innych mediów: multimedialność, interaktywność, dwustronność przekazu, wielostrukuralność dostępu, powszechność, ulotność, anonimowość, łatwość modyfikacji, profilowalności i łatwość prowadzenia badań.

Internet wymaga w rzeczywistości przede wszystkim profesjonalizacji, współpracy między zespołami, wirtynami, umiejętności rozróżnienia „małych i dużych ryb”, możliwości finansowych, zabezpieczenia praw autorskich, umiejętności językowych – język kościelny, w „półrealności”- dotyczy zjawiska wirtualnego księdza, wirtualnej wspólnoty, a więc określenia nieprzekraczalnych granic e-duszpasterstwa – spowiedź, chrzest, danie na tacę, rozgrzeszenia, ślub, zapach kadziadła.

Pojęcie wirtualność Peter Levy wiąże z trzema znaczeniami: technologicznym, filozoficznym i potocznym. W ujęciu filozoficznym wirtualność oznacza, że: *dana rzecz istnieje potencjalnie, ale nie aktualnie, istnieje bez bycia obecnym (np.: bycie drzewa w nasieniu w przeciwieństwie do aktualności wyrosniętego drzewa. Wirtualność jest częścią rzeczywistości – podobnie jak słowo – istnieje, gdy jest wypowiedzane, i nie jest związane szczególnym czasem czy miejscem, zawsze jest nowe i inne. Świat wirtualny technologiczny to wszelka symulacja rzeczywistości. Pojęcie społeczności wirtualnej wytworzyło się najpierw w odniesieniu do rzeczywistości kreowanych w wyobraźni użytkowników, później do światów wytworzonych poprzez trójwymiarowe animacje, które były internetową wersją gier. Autorzy scenariuszy czerpali pomysły z literatury science-fiction i fantazy. Rozmawiający poprzez*



internet wytworzyli uproszczoną odmianę języka oraz tzw. emotikony, kody służące wyrażeniu emocji.

Awatary, bramy do teleportacji to takie środki, gdzie nie zauważamy, że wszystkie techniki elektroniczne rozszerzają nasze fizyczne ego daleko poza granice naszej skóry.¹⁰ Granica pomiędzy własnym ciałem a resztą świata jest płynna. Z perspektywy rzeczywistości wirtualnej definicją ciała jest ta część, którą można poruszać tak szybko, jak się myśli. W przyszłości zmiana osobowości może stać się popularną formą rozrywki, jest to pomysł dotyczący tzw. pożyczonej subiektywności. Jej efektem jest rozszerzenie osobowości ze sfery prywatnej do wspólnej i publicznej przy jednoczesnym zachowaniu bezpośredniej przestrzeni społecznej dla własnej prywatności. Zmiana tożsamości – przebywam wewnątrz własnej skóry i mam możliwość tworzenia swej zewnętrznej reprezentacji na wiele sposobów, mogą tylko przekazywać słowa, mogą też podjąć swoistą grę z tożsamością, kreować siebie, aktora i wirtualną scenę, jest to teatr na żywo z odnawianymi fabułami i aktorami, widzami, tworzą nowe środowisko ekspresji i nowe hipertekstualne struktury narracyjne i znaczeniowe.¹¹

Przedmioty w przestrzeni wirtualnej różnią się od przedmiotów materialnych tym, że istnieją jedynie dzięki ludzkiej woli. W wirtualnym piórze nigdy nie skończy się atrament. W środowisku wirtualnym istnieją jedynie symulacje przeszkód, nie ma nieprzewidzianych wypadków, ponieważ stanowią wytwór intencji.¹²

Rzeczywistość wirtualna nadaje pragnieniu charakter konkretny. Ludzka wyobraźnia zawsze wzbogacała ubogą realia życia na ziemi. Wirtualna rzeczywistość daje impuls, uruchamia interaktywną maszynę

10 Punkt, w którym wkraczam do świata globalnej łączności, jest moim punktem przebywania, a nie punktem widzenia. Istnieje tylko jedno miejsce, w którym jestem w całości: wewnątrz mojej własnej skóry, nawet pomimo tego, że owa skóra i jej technicznie wspomaganie przedłużenia zmysłowe sięgają daleko poza granice samego wzroku, słuchu i dotyku. Mój punkt przebywania nie jest ode mnie odseparowany, lecz zawiera mnie; nie jest on perspektywiczną wizją rzeczywistości, lecz miejscem określonym przez precyzję i złożoność moich kontaktów ze światem. / Siwak W./

11 siwakwoj@yahoo.com „Hipertekstualna podróż przez wirtualne światy”

12 Lajoie M., Psychoanaliza i cyberprzestrzeń, - s.268

fantazji, w ten sposób cyberprzestrzeń przejmując kontrolę nad środowiskiem materialnym.

*

Następuje spełnienie narcystycznych pragnień użytkownika czyli wchodzi się do lustra narcyzmu. Można pojmować ją w kontekście antyutopijnym.

Samo wyczekiwanie na interfejs staje się przenikaniem do cyberprzestrzeni. Uwidacznia się paradoks, pragnąc zbliżenia wielu ludzi, technologiczne sieciowe wprowadziły dystans pomiędzy ludźmi znajdującymi się w tym samym miejscu, ludzie mogą przecież siedzieć obok siebie i prowadzić anonimowo rozmowę nie wiedząc z kim rozmawiają i nie chcąc tego wiedzieć.

Procesy społeczne przebiegają niepostrzeżenie, świat nie jest taki jak kiedyś, trzeba umieć zobaczyć jutro. Żyjemy w czasach postmoderny. Tradycyjne wartości rozpadają się, wkracza sekularyzacja, religijność rezygnuje ze wspólnoty instytucji, wybiera wiarę indywidualną, prywatną, wpływ Kościoła w społeczeństwie maleje postępuje kwestionowanie prawd wiary i norm moralnych. Ponowoczesny człowiek charakteryzuje się relatywizmem moralnym, etyka zeszała na manowce, decyzje podejmuje się bilansowaniem zysku i strat. Sumienie ludzkie jest jednak delikatne.

Jak dojść do sedna?

*Sieć nigdy nie będzie Twoja, ale Twoja może być ręka, która ją spleta i rozpleta, zwija i rozwija, zapuszcza w wody i znajduje w niej wszystkie istoty żyjące, od których tam się roi.*¹³

Jak oddzielić prawdę od fikcji? Odpowiedź zapewne wiąże się z pytaniem o tajemnicę Kościoła.

Czym zajmują się teolodzy? Każdego człowieka zagadnienie związane z wiarą, stanu idei występującej poza rzeczywistość, interesuje w większym czy mniejszym stopniu. Ucieczka w nadzieję, jeśli nie w przyszłość czyli w przeżycie chwil trudnych, przerastających nas w danym momencie, pobudza do chowania się pod skrzydła czegoś nieodgadnionego. Łatwiej jest wówczas znieść, zaakceptować własną bezradność, żyć w ulotności. Dla mnie, ateistki z wyboru, buntowniczką na rzecz głębokiej świadomości, walczącej z własnym lękiem meta-

13 Węclawski Tomasz SIEĆ Wyprawa pierwsza – pytanie o Jezusa, Znak 1997

*8 Wykłady z Katolickiej Nauki Społecznej
9 www.badanie.ae.krakow.pl, za Robak M.,
e-duszpasterstwo – II Badanie Polskich Użytkowników
w Sieci Internetu*

fizycznym, uciekającej przed jakąkolwiek formą umasowienia, przynależność do czegoś budziła zawsze awersję, chociaż odwrotność jest też przynależnością.

Wiara, będąca dla mnie wysokiej rangi słowem niejasnym, mało sprecyzowanym, abstrakcyjnym, zawiera określenie czegoś równie nie-dookreślenia. Wiara, to coś, za czym człowiek skrywa swój strach przed bezwartościowością i miękkością swego istnienia. Ponieważ wystarczy, że jest, czyli przynależy do szerokiej, przestrzennej rzeszy ludzi „wierzących”. Nie ma tu nic indywidualnego, każdy wierzący, wyznawca jakiegokolwiek religii zaprzecza swojej subiektywizacji, zakładając z góry, że w swej wierze łączy się z innymi, przeżywa tak samo. Ujednoliconą instytucją Kościoła sprzyja standaryzacji, uniwersalizacji przeżyć, czegoś co jest dane jednostce i stanowi o jej odrębności, tej części intymnej uczuciowości.

Nie chcę być „deportowana” z tego co we mnie ludzkie, do tego, co w formie przymusowej jest wszelkoksztalnym bezkształciem, wspólnotą z nawyku dziejów historycznych wyłączona z dobrowolności.¹⁴

Społeczeństwo zaopatruje nas w nazwy, język, sensory, po to aby świat urealnić. Tamże: Dostarcza też stałego chóru głosów, które potwierdzają naszą wiarę i ucisniają dremiące w nas wątpliwości.

W 1997r powstała książka pt. SIEĆ, napisana przez księdza, a została w taki sposób skonstruowana, aby czytający czuł wciąganie, tak jak robi to internet. Trochę nudna, przedstawiająca rozważania teologiczne przyszłych księży, głosy-dylematy.

Intrygujący jest pomysł wprowadzenia konstrukcji komputerowej, otwieranie się kolejnych światów, kolejnych drzwi dla zainteresowanych. Elektroniczna SIEĆ jednak jest metaforą Boga. Czy Bóg kryje się w sieci? Czytając miałam wrażenie, że autor kreuje

¹⁴ Berger P. /1988/ s. 149-156 / Wszystkie /tamże s.156/ sensory przekazywane są w procesach społecznych. Nie można być człowiekiem – autentycznie czy nieautentycznie – poza społeczeństwem. Także sama chęć wiodąca do zafascynowanej kontemplacji bytu, czy to religijnej, czy filozoficznej, czy estetycznej, mając usytuowania społeczne.

przyszłą rzeczywistość, dlatego, że dyskusja, która rozgorzała w Więzi na temat wykorzystania Internetu np.: do duszpasterstwa, dotyczy zagadnień jakby na tacy podanych w tej książce. Objawienie Boga biegnie językiem światłowodów. Cyberprzestrzeń pozwala doświadczać lepszego świata, w życiu brakuje bezbolesnych odejść, a tu można się po prostu wyresetować.

Sieć to internet i jego użytkownicy, wszyscy są z tej samej SIECI, jest się jej częścią i ogniwem, rozmawiają, Sieć to ikona wszechświata, historia zbawienia, nie ręką ludzką uczyniona, dopiero w takiej SIECI istnieje prawdziwe życie. Sieć jest też ewangeliczną metaforą sieci Piotra i apostołów. Królestwo niebieskie podobne jest do sieci, zarzuconej w morze i zagarniającej ryby wszelkiego rodzaju.

Autor kończy utopijną powieść oczywiście optymistycznie, tak jak w orędziu papieskim: w światłowodach Sieci płynie czyste światło.

Sama książka jest już siecią, wprowadza w tereny snu przekraczającego granice nie obudzenia się. Wstęp zawiera zaproszenie do podróży, gdzie nie będzie wiadomo kto jest kim, w głąb sieci, a w czasie tej wyprawy postawimy pytanie o Jezusa.

Gdzie rozpoczyna się jawa gdzie sen? Czy rzeczywistość istnieje? Gdzie? Co ją stanowi? Czy żyję wtedy, gdy jestem swoją świadomością? Kiedy się budzę?

Z wolna rozpina się Sieć i pokazują związane z nią możliwości. Drzwi otwarte, zapowiedź przyszłości, drzwi z kołatkami mosiężnych głów lwów, świadkowie przeszłości, wehikuł. Sieć, poszukiwanie ludzi, rozmowy, wymiana poglądów, informacji, dokumentów, dyskusje na odległość, stawiamy coraz wnikliwsze pytania. Bóg przemawia poprzez znaki, wydarzenia, ludzi. Ewangelie opowiadają o Jezusie z punktu widzenia wiary.

Słowo i opowiadanie były dla Hebrajczyków czymś więcej niż tylko sposobem przekazywania już uprzednio i niezależnie istniejącej prawdy. Słowo od samego początku należy do rzeczywistości, którą ma wypowiadać. Nie tylko opowiada się to, co się wydarzyło, ale także wydarza się, co się opowiada. W odniesieniu do przekazu

o Jezusie oznacza to w konsekwencji coś, co wielu ludziom wydaje się prawie nie do przyjęcia. Że w Ewangeliach znajdujemy słowa formuły, których On nigdy w takiej postaci nie wypowiedział. Nie są to zatem historycznie autentyczne słowa Jezusa, a jednak są to naprawdę Jego słowa.¹⁵

Ludzie więcej opowiadają, niż się rzeczywiście stało – ale przecież nie mówią nieprawdy, kontynuują ksiąg, kiedy On jest niczego nie musisz się już bać, o nic. To znaczy trochę się boisz, że to się zaraz skończy, że to może też jest tylko sen.

I sądzę, że jest to doskonałe podsumowanie.

Halucynacje są człowiekowi potrzebne, aby przetrwać. Friederik von Hayek porusza w swych esejach kwestie manipulacji, twierdzi, że najbardziej wpływową formą, efektywną, jest wykorzystywanie starych słów w nowych czasach. Doskonale radzi sobie z tym problemem Kościół. Stare słowa można poddać lekkiej obróbce i przekazać we współczesnym opowiadaniu.

Wszyscy należą do SIECI, wszystko co czynimy i co mamy uczynić, wszystko to spłata się w niej i rozplata, zamyka, otwiera, rozwiązuje, wiąże. SIEĆ nie jest ludzką ręką uczynioną, ale rozciąga się na naszych oczach.

Jest Bóg czy go nie ma, gdzie jest, też jest mniej istotne, ważne, że ma gdzie odbywać się targ, transakcja.

A kiedyś było to tak...

Aż dotąd doszedł Bóg i zatrzymał się krok od nicości,

Tak blisko naszych oczu.

Zdawało się sercom otwartym, zdawało się sercom prostym,

Że zniknął w cieniu kłosów.

A kiedy uczniowie łaknący łuskali ziarna pszenicy,

Jeszcze głębiej zanurzył się w tan.

Uczcie się, proszę, najmilsi, ode mnie tego ukrycia.

Ja, gdzie ukryłem się, trwam.¹⁶

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

¹⁵ Węclawski, SIEĆ /1997/s.45

¹⁶ Karol Wojtyła, Głos karmelu, fragment, 1946 [w] Od Staffa do Wojaczka. Poezja polska 1939-1988, antologia. T.1. s.713



Roberto Bolaño

(1953 - 2003)

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz BAZYLAK

SENIOR WILTSHIRE

Wszystko się skończyło, powiedział mi głos we śnie, teraz jesteś sobowtórem tego pana Wiltshire'a, handlarza koprą na morzach południowych, białym mężczyzną, który poślubił Urnę, gdy miała kilkoro dzieci, jesteś tym, który zabił Case'a i tym, który nigdy nie wrócił do Anglii. Jesteś jak okaleczony człowiek, którego miłość zmieniła w bohatera: nigdy nie wrócisz na swoją ziemię (ale gdzie jest ta twoja ziemia?), nigdy nie będziesz mądrym człowiekiem, a nawet w miarę inteligentnym mężczyzną, ale to jej miłość i twoja krew kazały ci zrobić ten krok, niepewny, ale konieczny, w sam środek nocy, a namiętność, która nim kierowała, teraz cię ocaliła.

PRÓBUJĘ ZAPOMNIEĆ

„Po prostu pokaż jaka jesteś piękna...”
Jordi de Sant Jordi (1399-1424)

Próbuję zapomnieć to ciało, które pojawiło się na wzgórzu za nami podczas opadów śniegu, kiedy byliśmy sami w parku, wtedy nadeszło od strony boisk do koszykówki. Powiedziałem: stop, a ono się odwróciło, miało białą twarz rozświetloną szlachetnym sercem. Nigdy nie widziałem tyle piękna, zdawało mi się, że Księżyc zaczął oddalać się od Ziemi. Z daleka dobiegał hałas samochodów na autostradzie: byli w nich ludzie, którzy wracali do domów. Wszyscy wyglądaliśmy jak w telewizyjnych reklamach, dopóki to ciało nie wyszło zza kolejnej zasłony śniegu i pozwoliło mi zobaczyć swoją twarz: ból i piękno świata w jego oczach, widziałem ślady jego maleńkich stóp na śniegu, poczułem lodowaty wiatr na twarzy. Na drugim końcu parku ktoś dawał sygnały latarką. Każdy płatek śniegu wirował i znikał, niczym jajo owada, które żyło i śniło. Myślałem: teraz będę już sam na zawsze. Ale śnieg wciąż padał, ja także upadłem, a to ciało nie odeszło.

GRECZYŃKA

Przyglądaliśmy się, jak ciemnowłosa kobieta wspina się na klif, nie dłużej niż sekundę, jakby przebijała się przez słońce, przez zranione powieki boga, wyglądała jak dziecko, które z premedytacją ucieka z naszej niekończącej się plaży. To jest Greczynka, ta Greczynka, powtarzały dziwki znad Morza Śródziemnego, powtarzał nadmorski wiatr: ten, który sam sobą kieruje niczym falanga z marmurowych posągów, żyłkowanych krwią i własną wolą, jak ten jej szatański i uśmiechnięty pomysł wspierany przez niebo i stworzony dla twoich oczu. Renegacie z miasta i z Republiki, kiedy pomyślę, że w twoim pojęciu wszystko jest dla niej stracone, dopiero wtedy ci uwierzę. A kiedy budząca politowanie porażka przekona nas o bezużyteczności jej wysiłku, aby jednak walczyć dalej, to tylko w twoim mniemaniu nadal będę mogła ci wierzyć.

SZCZĘŚCIE

Przyjechał po tygodniu pracy w polu i pobycie w domu pewnego sukinsyna. Był grudzień lub styczeń, nie pamiętam, ale było wtedy zimno, a kiedy dotarliśmy do Barcelony, padał śnieg. Zaczął się wściekać, wszedł do metra, wysiadł na rogu, gdzie stał dom jego przyjaciółki i zadzwonił do niej, czy nie mogłaby zejść na dół, aby zobaczyć ten śnieg. Bez wątpienia była piękna noc i jego przyjaciółka zaprosiła go na kawę, a potem się kochali i rozmawiali. A jeszcze później zasnął i śnił o tym dniu, w który przybył do domu, gdzieś na polu, a za tym domem spadł śnieg, a do tego w górach też spadł śnieg i był przez to uwięziony w dolinie, dzwonił przez telefon do tej przyjaciółki, lodowatym głosem (ale miłym) powiedział jej, że tylko najodważniejsi nie wyjechaliby z tej tak absolutnie wzorowo zapadłej dziury, chyba, że miałeś jak ja dużo szczęścia.

DZIECI DICKENSA

Podziwiasz poetę o mocnych nerwach, prawda?
Tak, to prawda. Dokładnie w ten sam sposób, w jaki podziwiasz wysiłek wynajętego robotnika lub pracę sprzedawców, którzy idą spać dopiero o świcie, gdy zliczą utarg, albo 25. letnie dziewczyny, które wieczorem lub przez całą noc pieprzą się z Tobą, a następnego dnia zdają, jakby nigdy nic, po trzy lub cztery egzaminy na studiach.

Trudno zrozumieć to, co próbuję w ten sposób powiedzieć, patrzę na dzikie zwierzęta, które wędrują po ścianach mojego domu, na sowy i dzieci Dickensa, jaszczurki i hermafrodytów namalowanych przez Gustave Moreau, widzę błysk słońca w moich dwóch pokojach, słyszę odgłos kroków, które w każdej chwili mogą się zatrzymać, jak brudna rzeźba z gipsu, przecieram oczy sobie i Saint Jordi, który jedzie na spotkanie Smoka.

Anatolij Krym

Rozdział III

Międzynarodowy Trybunał Karny – moja miłość

Nazajutrz ochroniarz przyniósł mi nowiutki garnitur. Stary, w którym wypetziłem z rury i przez trzy granice dotarłem do Hagi, nie pasował kolorystycznie wybrednym telewizyjnym guru, a ponieważ prasa zachodnia dwoma kliknięciami z każdego może zrobić nicłość, administracja Trybunału postusznie spełniała kaprysy czwartej władzy. Co prawda, mistrzom haskim trzeba było całego dnia, żeby chińska produkcja masowa niezbyt się różniła od znamienitej mediolańskiej marki, ale stanąłem przed władcami losów wodzów Afryki Środkowej, dyktatorów Sahary, a nawet bałkańskich gapiów, na oko przywoicie. Na czele procesu, na którym byłem świadkiem, stanęła majestatyczna ciemnoskóra kaptanka Temidy. Spopielata mnie wzrokiem, w którym nie było nawet aluzji do bezstronności. Być może, nie powiedziano jej, że nie jestem tym łajdakiem, który jest poszukiwany, ale to mnie ani ziębiło, ani grzało. Obawiałem się, że Trybunał w Hadze podobny jest do naszego sądu dzielnicy Basmannej, ale na szczęście, z prawej strony przewodniczącej siedział szczupły, jak wyschnięty śledź, Wiking. Zastaniając usta dłonią, długo tłumaczył jej, że jestem osobą, choć przybliżoną do strasznego zbrodniarza, to przed Trybunałem stanąłem dobrowolnie. Z wyrazu twarzy pięknej Afrykanki domyślałem się, jak jej nieznośnie trudno rozstać się z myślą, że ma przed sobą prostego świadka, a nie przestępcę, dlatego, to rozdygotała nozdrza, to przekładała teczki i z dziecinnyim zaciekawieniem oglądała kolorowe ołówki.

Następnie zaczęły się urzędowe pytania: kto, kiedy, gdzie, dlaczego. Zdenerwowany, straciłem kontrolę i z przyzwyczajenia wstawałem do odpowiedzi nieobowiązkowe słowa, które określa się mianem „chwastów”. Mogą one być głupie, niepotrzebne, typu „w ogóle”, „znaczy”, lub zagadkowe „no”, które Rosjanom dostało się w spadku po *jamszczykach*. Mój „chwast” był szeroko znany, w jakiejś mierze skandaliczny i w miesiące o niewyszukanej nazwie Haga, a do tego w przekładzie na angielski, brzmiał jak wyzwanie i obraza Wysokiego Trybunału. Wstając go tam i siam, podobnie jak setki moich ziomeków, odcinałem ostatnie dwie litery i wychodziło niewybredne „kur”. W połączeniu z innymi częściami mowy w żaden sposób nie uniżało rozmówcy, a jedynie oznaczało skalę emocji. Zdawałoby się – głupstwo. Rzecz jednak w tym, że tłumacz opanował język rosyjski z któregoś z załączników do Google, i dlatego tłumacząc zagadkowe „kur”, a nie znajdując angielskiego synonimu, momentalnie użył powszechnie znanego analogu.

Po słowie „fuck” sądowa *grande dame* wykrzyknęła z oburzeniem:

- *What means „Fuck”?*

Tu mnie zatkało. W oszołomieniu wpatrywałem się w trzynastu sędziów, bezradnie spoglądałem na tłumacza i dziennikarzy, ale co to takiego „fuck” – zapomniałem. Z pomocą pospieszzył Bushe. Zastaniając mnie zapadniętą pierśią, dowodził gorą-

co, że o żadnym „fucku” nawet mowy nie było, a „kur”, które się wyrwało, choć pochodzi z grubego przekleństwa, jest jednak wybacalne w przypadku człowieka, który z całego serca chce pomóc Trybunałowi w przywróceniu praworządności i ukaraniu przestępcy. Po czym, przez zacisnięte usta, rozdrażniony, wydukał mi:

- *Mon cher*, trzeba uważać, co pan truje!

Ze trzy minuty powstrzymywałam się, ale czy pytania były idiotyczne, czy peszyta

Pierre, Gerhard czy Madlen z zachwytem przeklinali, wspominając czyjąś matkę, nie rozumiejąc całej głębi zwrotu.

- Proszę świadka! Uprzedzam po raz ostatni! – poderwała się przewodnicząca Trybunału. – Jeszcze raz pan „fucknie”, usunę pana z sali!

- Przepraszam, Wysoki Trybunał?

- Proszę powiedzieć uczciwie: jest pan pod wpływem Żydów? Proszę niezwłocznie odpowiedzieć, jaki jest pana stosunek do Izraela?

ŚWIADEK

mnie łoża prasy, do której mógł się wcisnąć snajper, znowu zacząłem „kurnać”. Na przykład, sędziów ciekawiło, kto pierwszy nazwał go „carem”, a czy to, kur..., tak ważne dla historii? Trzeba było opowiadać, że każdego miesiąca przy petni księżycy w muzeach starego Kremla były organizowane performance. Włażąc na dwuosobowy tron, wykonany dla małoletnich Iwana i Piotra, naczelnik z początku opowiadał ulubiony dowcip o babci i dziadku, a dopiero później sięgał po czapkę Monomacha. Występem dowodził Pandurin, ksywa „Pedrillo”, który miał ogromny wpływ na kremlofskich niebian. „Car” tak mu ufał, że kiedyś dał mu kierować państwem nie żartem, na pijackich orgiach, a naprawdę, na cztery lata. Po napięciu osobistości światowej justycji wywnioskowałem, że nijak nie kumają, po co rosyjskim zbrodniecom potrzebny był dwuosobowy tron, a także, jak mógł typ z takim sprośnym przewiskiem kierować krajem. Staratem się cierpliwie wyjaśniać, że car Piotr miał blazna „Pedrillo”. Nasz naśladował Piotra we wszystkim i również zapragnął mieć taką zabawną pacynkę. Chciał „Pedrillem” zabawić „siódemki” i „dwudziestki”, a także inny międzynarodowy cyrk, który uważa, że jest wielki w oblażonych dekoracjach epoki. Po ich oczach widziałem, że nie rozumieją ani o „Pedrillo”, ani o dwuosobowym tronie, ani o defektach rosyjskiego charakteru. I powiedzcie teraz, jak wstrzymać się od przekleństw na widok tych głupich fizjonomii!

- Kur! Toż przecież to takie proste – aż zacząłem gestykulować z oburzenia, niczym sprzedawca fistaszków w jakiejś Ankarze. – Demonstrowałem, że może obalić stare przysłowie!

- Jakież? – z rozwartymi z przerażenia oczami spytała główna sędzia.

- Takie, kur, że jedną dupą na dwóch krzesłach jeszcze nikt nie posiedział! A on siedzi! Dawno i mocno. Czego, kur, Wysoki Trybunał nie rozumie?

W słuchawkach trzeszczała wciąż ten sam nudny „fuck”, którym tłumacz rozstrzeliwał Wysoki Trybunał. Śmiech, hałas, okrzyki, zachwyty w łoży prasowej – wszystko to dodawało otuchy, potwierdzając, że publika mi kibicuje. Dlatego, gdy pytania zahaczyły o „sobowótów”, dałem taki koncert z mieszaniny „kur”, „suka”, „chz”, że sala trzęsa się z zachwyty i nawet pęta drewniana boazeria. „Russo Touristo” przez dwadzieścia lat znakomicie oswoili się w Europie i każdy

Zatrybiłem fantazję, ale zgubiłem ostrożność:

- Co mają do mnie, kur, wasi krewni?

- Cooo?! – oczy „tygrysy” blysnęły.

Z pomocą znowu pospieszzył mój adwokat.

- Proszę wybaczyć, Wysoki Trybunał! Rosjanie wszyscy co do jednego przeklinają! Wszystkie dzieci u nich przeklinają, kiedy odsuwają je od piersi! A słowo „kur” to jak... Jean-Paul Bushe pstryknął palcami i wykrzyknął – jak sok z cytryny, który wyciska się na ostrzygę!

Już lepiej by tego nie mówił. Profesjonalny adwokat przed rozpoczęciem posiedzenia sądu przewalał góry informacji, żeby znaleźć słaby punkt w charakterze sędziego, nie mówiąc już o osobistym kompromacie. Jaką lubi kawę – z cukrem, a może z pączkiem, co nosi – pończochy, czy rajstopy, kochanek jeden, a może trzech. Jean-Paul był niedoświadczony, inaczej wygrzebałby, że w młodych latach, przyjeżdżawszy z Botswany do barwnego Paryża, nasza sędzia zniechęciła Europę i postanowiła się jej odptacić za nędzne, smutne dzieciństwo. Wstępowata do wszelkich skandalizujących organizacji, rozbijała okna wystawowe, wystawata w pikietach przed synagogą, a w międzyczasie studiowała prawo na niegdys statecznej Sorbonie. Wielką przyjemność sprawiała jej działalność społeczna w „towarzystwie obrony morskich mięczaków”. Domagała się przyjęcia ustawy zakazującej wyciskania soku z cytryny na ostrzygi, omułki, a nawet ośmiornice. Tak więc, sądowa tablica pokazała wynik zero-jeden nie na naszą korzyść.

Pomoc nadeszła od prokuratora. Zaczął zadawać pytania o sobowótów przestępcy. Wylczyłem po nazwiskach wszystkich, zaznaczając Waškę Kundaliniego, jako głównego pełnego kolorytu samca.

Słyszac dziwne nazwisko, przewodnicząca zapomniała o ostrzygach i momentalnie ożywiła się. Być może jej praktyka prawnicza odbywała się w ashramach Indii, dlatego spytała:

- A czyż Kundalini to rosyjskie nazwisko?

- Rosja to kraj wielonarodowościowy! – odpadłem, próbując nie palić mostów, które być może jeszcze się przydadzą, kiedy zacznę przeprować się na bezpieczny brzeg.

Ten niezruszony Wiking ponownie nachylił się do ucha głównej damy i coś jej

gorliwie wyjaśniał. Ona zaś kiwała głową tak długo, że zaniepokoiłem się, czy to aby nie o mnie mowa, ale prawdopodobnie sędzia postanowiła konkretyzować pytania i zapytała o głównego figuranta. Nadając głosowi pogrzebowe namaszczenie, madame spytała:

- Pańskim zdaniem, gdzie w danej chwili znajduje się przestępca, ścigany listem gończym przez międzynarodowy trybunał?

- „Car”? – uściśliłem i natychmiast natknąłem się na gniewną replikę.

- Niech pan nie ośmiela się nazywać go „carem”! – spopielata mnie wzrokiem, w którym można było wyczytać dziesięcioletni wyrok. – Ostatniego cara rozstrzelaliście!

- Przestępca znajduje się w ruzie! – skłamałem, wiedząc czym zakończy się moja ucieczka.

Jej ogromne oczyska wabiły himalajską przepaścią.

- Gdzie?!

Bushe zerwał się i z zachwytem człowieka mającego styczność z najważniejszym spektaklem dwudziestego pierwszego stulecia uściślił:

- Wysoki Trybunale, dzielam pani zdziwienie w stu jednym procencie! Ja także początkowo pomyślałem, że zapędzono go do rury, jak Kaddafiego, ale wyjaśniło się, że rura to wcale nie rura!

- Każę usunąć pana z sali! – wydaje się, sędzia wzięła Bushe za jednego z kłótliwych dziennikarzy. – Proszę, żeby świadek kontynuował i wyjaśnił Wysokiemu Trybunałowi, po co przestępca wlaź do jakiejś rury?

Wzięłem oddech, nakazałem sobie już nie „kurać”, co było nieprawdopodobnie trudne i zacząłem obszernie wyjaśniać:

- Proszę wybaczyć, Wysoki Trybunale, ale będzie wam potrzebna lekcja przygotowawcza, a być może dwie. Rura ma dla Rosjan wielorakie znaczenie. Pytacie mnie o metalową konstrukcję do transportu frakcji ciekłych i gazowych, czy o sakralne znaczenie słowa, które ma, proszę wybaczyć, niecenzuralne analogie?

Oczywiście, zmieszała się, stąd pytanie, które potem nastąpiło było bardzo żałosne:

- Po kiego diabła wlaź do rury? Tam ciasto, tam, wreszcie, niebezpiecznie?!

- Przeciwnie! Tam bezpiecznie! Amerykanie nie mają rakiet, zdolnych do wysłania żywego obiektu wewnątrz rosyjskiego systemu gazociągów!

Co, waszym zdaniem, robi sędzia, który zapłaczę się w pytaniach i odpowiedziach? Zazwyczaj długo studiuje teczkę, potem zamyka je i wypowiada obojętnym głosem:

- Trybunał ogłasza przerwę!

I powiedzcie, skąd się bierze taka krzyżująca niesprawiedliwość, kiedy prostych ludzi pozbawia się prostej możliwości w kłótniach rodzinnych, bójkach, nagle wstać i oświadczyć: „Ogłaszam przerwę!”

Nie zdążyliśmy obaj z adwokatem wrócić do mego schroniska, gdy rzucił się na mnie, jak prostytutka, której nie zapłacono

Monsieur Mamykin! – wykrzyknął tragicznie. W Hadze nie rozumieją pańskiego rosyjskiego humoru! Proszę, niech pan nie drażni przewodniczącej Trybunału! Czy znudziła się panu wolność?! Ona może pana zmienić w... w...

Długo myślał, w kogo można mnie zamienić, a ja cierpliwie i z uśmiechem czekałem. Dziwnie, ale na Sali Międzynarodowego Trybunału Karnego mój adwokat nieoczekiwanie zaczął pachnieć nieprzyjemnym jedzeniem zakochanych par – kasztanami. Wydawałoby się, gdzie Haga, a gdzie francuskie kasztany, ale ja, zdaje się, jestem skazany na męki powonienia. Wszystko to z powodu zapachów w ruzie, których nie zapomnę do samej śmierci.

Pół godziny zajęto nam uporanie się z ostrygami, dostarczonymi nam z restauracji do więzienia w gofrowanym pudetku. Jeśli już zaniósł mnie do Europy, to warto skosztować wszelkiego paskudztwa, wynoszonego tu pod niebiosa. A może my naprawdę nie rozumiemy Europejczyków z powodu jakichś ostryg, wulgarnie pojmujemy „miłość francuską”, ale ten typ z wyciągniętą ręką, jak statua w paryskich parkach, całą smutną postacią wypraszał odpowiedź, więc leniwie zechciałem się zniżyć.

- Skąd pan wziął, drogi Bushe, że ja z rozmystem postpownowałem sędzię? Myślę, że sama nie wiedziała, o co ma pytać! Widział pan jej twarz?

- Właśnie! – miał zamiar dać mi lekcję o mentalności afrykańskiej, ale byłem szybszy:

Mój drogi Jean-Paul, taki wyraz twarzy miał Bill Clinton, kiedy Jelcyn poprosił go do tańca!

- Nie rozumiem... - Bushe'mu ze zdziwienia zaczęła drgać górna warga. – A oni co, tańczyli?!

- A pan nie wiedział? Ach tak, pan jeszcze pod stół pieszo chodził, kiedy Borys obmacał Billa, jak dziewczuchę na wiejskiej dyskotekce, ale wszystkie pokolenia, nie tylko nasze, jak trafnie zauważył Puszkina, leniwe są i nie zainteresowane! Nie chce pan wiedzieć, jakie ważne wydarzenia zachodziły na świecie o dzień przed pańskim przyjściem na świat, kątem ucha słyszał pan, że był taki dziwak Voltaire, ale nie przeczytał choćby pół stroniczki z „Kandydą”. Z zapałem peroruje pan, że Picasso był szarlatanem, który wyciągał wielkie pieniądze od głupków, ale nie wymieni tytułów choćby trzech jego obrazów. I słusznie! Na kiego diabła panu te drobiazgi!

- Przepraszam – wymamrotał Bushe – nikt nie wiedział, że pierwszy prezydent Rosji był „niebieski” i dobiegał się do mężczyzny!

Przekleństwo byłego popa nie zadziało. Gdyby Bushe wypowiedział to moment później, chrypałbym teraz z ogromnym pancernym ślimaka w gardle, a zamiast tego wypłutem go na stół i wybuchnąłem śmiechem. *Pardon*, ale tego nie można było nazwać zwyczajnym śmiechem. Śmiałem się, rżałem, trząsam się jak epileptyk. Na Kremlu zbiera się niemało sodomitów, wszystkich znaleźmy z imienia, nie zauważając ich rozmyślnego przeklinania, ale żaden z Europejczyków, włącznie z Finami, nie wypił nawet przez miesiąc tego, co przy obiedzie tykał prosty syberyjski chłopak, któremu los ze śmiechem rzucił ukradzioną skandalicznie czapkę Monomacha. Rosja ubóstwia skrajności. Są jej osnową, są jej fundamentem, zdolnym przetrwać wszelkie trzęsienia ziemi. Rozpusznika na tronie zmienia impotent, szaleńca Pawła – kłamliwy syn, krwawego Piotra, z zapałem rąbiącego czy to statki, czy głowy, zmieniają nimfomanki, marzące, żeby w jednej chwili nadziać się na wszystkie wojskowe „bagnety”. Władcy Rosji nie znają półtonów. Nawet pod koniec czasu naiwnego, choć energicznego lingwisty, który był na bakier z rosyjskim słownikiem ortoepicznym, kraj tak się rozhułał, że rozwalił wszystko w mig. I jak nie wierzyć filozofom, którzy upredzali, że słowo jest bytem materialnym. Po „reformatorze”, a następnie niewysychającym „demokracie” przysłała ponura pośredniość, która przywróciła krajowi jego przywykłe gnicie – z więzieniami w twierdzach, syberyjską katorgą i powszechnym mordobiciem, w czym znajdowali natchnienie zarówno skandalista-zadziora Sasza Puszkina, jak i mizantrop karciarz Dostojewski. Oto jakże wyrazisty paradoks przyrody: szalony i obrzydliwy kraj rodzi wspaniałą literaturę światową. Dziesiątki geniuszy na przestrzeni

wieków opisywało wrzody, próbowało je leczyć, ale nic nie pomagało. Naród, podśmiewając się, niósł ich książki do „sracza”, gdzie przelknąwszy stroniczkę, wykorzystywał ją zgodnie z przeznaczeniem.

Bushe manifestował swoją obrazę wieloznacznym milczeniem.

- Pan wybaczy, mój drogi – byłem krańcowo uprzejmy – dawno się tak nie śmiałem. W Rosji oduczono ludzi, żeby śmiały się szczerze, do rozpuku. Dzisiaj, jeśli przypadkiem usłyszysz pan rosyjski śmiech, radzę się przysłuchać. To nie śmiech, a żałosne chichotanie. Chichocą standuperzy, wysmiewający bogatych widzów, którzy siedzą przed nimi na najdroższych miejscach. Chichocą tuż finansjery i marszałkowie syberyjskich głębin, dla których nienawiść narodu jest jak ożywczy lód w koktajlu. Ale pan naprawdę mnie rozweselił! Proszę skosztować ślimaczka! Zaczynam przywykać do tego waszego cudownego paskudztwa!

Bushe podziobał nosem powietrze, próbując podzielić go na części, ale wciąż był rozdrażniony, nawet ślimaki go nie cieszyły.

- Tak więc, sędziowie! – bez pośpiechu kontynuowałem posiłek. – Wydaje mi się, że nasza madame sędzia powierzchownie tylko zna historię Rosji. Czajkowski i Puszkina – to złudzenie optyczne. Jak pan myśli, czemu wszystkie modelki to takie koszarne mioty? Żeby spojrzenie nie czepiało się apetycznej figury, tyteczka, biustu w rozmiarze D-F. Najważniejszy tu jest projektant mody – spryciarz z kolejnym „arcydziełem”. Pokażą go jeden raz i osmarkany trafi na wieki wieczne do schowka. Tak też i z moim krajem i europejskim podium. Ale za Tołstojem i Dostojewskim, znanym wam z komiksów, nie chcecie dojrzeć prawdziwej Rosji. Dzisiaj tysiące „raskolników” pozbawiają życia tysiące starszerek, nie zastanawiając się nad problemem „drżącej kreatury”, a po prostu idą nawet za butelkę wódki! A wie pan, czemu czepiacie się gorączkowo za naszych geniuszy?

- Czemuż? – zadał pytanie przez zęby, jakby „zniżając się”.

- Są waszą tarczą od idiotów, którzy Adama i Ewę ponumerowali, jak barany: „rodzic numer jeden”, „rodzic numer dwa”. Są obroną wobec islamistów, którym z głupoty postanowiliście uprzystępnąć dostęp do kultury. Oto próbowałem wytłumaczyć wysokiemu Trybunałowi, że nasze „kur” właśnie jest odpowiedzią na to, co nazywamy „głębokim państwem”. Bez „kur” żyją niemowlęta, które wuschają bańki. Turgieniew i Czechow wstydzili się czasowników łączących, dlatego obrazy rosyjskiego bytu są u nich smutne, kartonowe. A przecież oni zaledwie zamiast „kur” użyli inteligentne „jaśnie pan nie ma racji”. Przecież boicie się przyznać samemu sobie pod kofrą, że antysemita, pedofil i epileptyk Dostojewski jest wam bliski tylko dlatego, że marzycie, że oto przyjedzie do waszego Paryża, rozprawi się z uczestnikami pogromów z krajów afrykańskich i oni znikną! Owszem, nasi pisarze cierpieli, próbowali poprawić rodowód nieszczęsnego i podłego narodu, wymyślali nam przodków z rodu Wikingów i kijowskich książąt, ale cały obraz psuł tatarsko-mongolski okrzyk „kur”, niosący się z Tatarii. Rodziców, jakby to nie było smutne, nie wybiera się. Cały rodowód Australijczyków wywodzi się od zesłanych katorżników, i nic, są z nich dumni, odbijają na etykietkach win fizjonomie swoich okrutnych przodków. Bierzesz butelkę, otwierasz i degustujesz smak australijskiej katorgi. Znakomity chwyt marketingowy!

Widzielibyście jego twarz, kiedy filozofowałem, wysysając ślimaki z ich pieczarek. Wydało mi się, że jednej chwili wdeptałem

→ w gówny miłość Francuzów do Diagilewa, Czajkowskiego, a nawet Kozaków, którzy założyli paryską sieć „bistro” i odświeżyli „Kamasutrę” pozycją na pieska. Jak wyjaśnić Francuzom, że to dziwna choroba – lubić w innym to, co we własnym baraczkę budzi przerażenie. Straciwszy Ludwika Szesnastego, po upływie zaledwie jakichś trzydziestu lat, ci sami Francuzi wplatali kokardki w ogony dońskich koni, krzycząc niemytym i bezprawnym pańszczyźnianym „Wiwat!!! Mankurci”, którzy zdradzili Napoleona, który dał im wspaniałą kodeks praw, i uczynił Francję taką, jaką już nigdy nie będzie – szczęśliwą, silną i zaradczą – potomkowie tych ludzi dzisiaj leżą z objęciami i propozycjami „porozmawiania” do osoby sto tysięcy razy mizerniejszej, niż Aleksander i Mikołaszka razem wzięci!

- Pan wybaczy, drogi przyjacielu, ale wszyscy jesteście idiotami! Jak po francusku będzie „idioty”?

Machinalnie odparł:
- *Imbecile? Cretin? Ducon?*

Uśmiechnąłem się, żeby go ośmielić i uniosłem do góry kciuk, lśniący sokiem z ślimaków.

- Widzi pan! Język francuski jest bogatszy od rosyjskiego! Po co wam Dostojewski, skoro macie Hugo? On także wywlekał na piedestał złodzieja Valjeana i ulicznika Gavroche! Nikt nie wyłumaczy, czemu pisarze tak uwielbiają chwalać marność? Cóż to jest? Poszukiwania pokrewnej duszy? Bez obrazy! Pan jutro ruszy do Paryża, do rodziny na weekend, a ja wątpię, czy jeszcze zobaczę swój kraj!

- No, dlaczegoż... - mruknął. - Tam nieważne wszystko się zmieni!

- Co się tam zmieni? - wytarłem serwetką usta. Zmieniają się fasony sukienek, modele jachtów, marki samochodów! W Rosji wszystko będzie jak trzysta lat temu! Być może, przyjdzie jakiś demokrat na parę miesięcy i stado z zagrody pobiegnie paść się na swobodne łąki. Ale grabi w Rosji nikt i nigdy nie zabroni! Są naszym symbolem, osnową, rdzeniem! Nasz naród nieustannie na nie nadeptuje i radośnie krzyczy: „Cie go, jak walnęto?” Niech się pan nie spodziewa zmian w Rosji! Nawet po rozpadzie na sześć kawałków czy dwańście, tam przetrwają i zapachy wychodków, i niemytych ciat w ich Dumie, a także nienawiść do wolności!

Bushe, zdaje się, dał za wygraną, ja zaś uznałem, że jednego Francuza wyleczyłem z zachwytu krajem, który wymyślił na złość Amerykanom. Zdaje mi się, że Francuzi również islamistów wpuścili sobie za pazuchę, żeby poczuć „bezmysłny i bezlifosny bunt”, jeszcze razik umyć się świeżą krwią na paryskim bruku i odrodzić się, jak Feniks.

- Nie obrazi się pan, jeśli przywołam dość dziwne porównanie?

- Jakie? - nastroszył się.

- Do czego jest podobne pańskie przywiązanie do Rosji?

- I do czegoż? - dał do zrozumienia, że nie uwarzy w żadne porównanie, ale z uprzejmości jest gotów wysłuchać wszelkie bzdury klienta.

Zresztą i ja miałem to gdzieś - zbyt jastrząwy przykład miałem w zanadru.

- Oto, na przykład, wchodzi pan do burdelu! - wytrzeszczył oczy i to był dobry znak. - Wstąpił pan i prosi *madame* o przystanie najwięcej prostytutki, jaka jest w katalogu!

- Po co?

- Bez pospiechu! I oto *madame* wprowadza do pokoju uroczego potwora dwumetrowego wzrostu i dwóch cetnarów wagi.

Panią z gracją wali się na łóżko, zalotnie się uśmiecha, rozkłada nogi, wabi paluszkami, a pan... - zrobiłem pauzę w oczekiwaniu na pytanie naprowadzające.

- Co ja? Patrzyć?! - zdaje się, nieco się zdenerwował.

- Tak! Tak! Z zachwytem patrzy pan na pierś w rozmiarze H, na te biodra, przed którymi skłaniają korony sekwoje z amerykańskich parków narodowych, czuje pan chłód na widok brzucha wielkości alpejskiej doliny, po której Suworow czmychał przed bezczelnym Napoleonem! Jest pan w nieludzkim zachwycie, ale... tylko patrzy! Obawia się pan dać nura do pieczary, boi się utonąć tam, udusić się w oparach! Patrzy pan szeroko otwartymi oczami, nie mając siły oderwać wzroku! Patrzy pan...

- A co dalej? - grdyka mu się poruszyła, jakby chciał przeżuć olbrzymi i obrzydliwy smakotyłk.

- A nic! Ja tak w przenośni odmalowałem zachwyty Francuzów wobec Rosji. Tylko patrzycie, ale boicie się ustawić ją w pozycji, której nauczyli was kozacy Aleksandra, i wbić na cały bagno! A zarazem zebrać nastaną wam zbieraninę z afrykańskich i mużułmańskich krajów i wyrzucić ją za linię równika!

Przez dobrą chwilę patrzył na mnie, jak gdyby rozwiązywał trudne zadanie, po czym rozciągając słowa spytał:

- Mam złożyć prośbę o pozwolenie panu, jako ważnemu świadkowi, na używanie w odpowiedziach pańskiego firmowego „kur”?

Rozebrałem się i byłem gotów ucałować go, chociaż nie będę tego robił. Podniecił się, słysząc, że Jelcyn całował się z Clintonem, po co mi drażnić los? Kiedy pojawi się możliwość sprzedania paru stronicek z nazwiskami na drogocennym pendrive, wtedy będziemy balować.

- Nie mój drogi Bushe! Nie trzeba żadnych prób! Jeśli będzie okazja, nie do protokołu, naturalnie, proszę powiedzieć *madame* sędzi, żeby nie zwracała uwagi, jeśli świadkowie, lub oskarżeni z Rosji zaczną używać wulgarnych słów wiązanych. Proszę wierzyć, to będą uczciwe i szczerze zeznania, a nie proza liryczna kochanka aktorki Viardot. Przechadzając się po Moście Aleksandra III w Paryżu, z utęsknieniem wpatrywał się w wody Sekwany, wyobrażając sobie, że jest Gierasimem, któremu Pauline kazała utopić pieska z sąsiedztwa.

- Jak pan sobie życzy! - Bushe przysiadł na krześle, pokazując, że poczeka, dopóki nie skończą z ślimakami.

Niestety, nic nie rozumiał. Ponownie wytarłem usta półocinną serwetką i spytałem:

- Myślę, że z „kur” sprawa zatątniona. Jakie jeszcze pytania może zadać Trybunał?

Bushe wzruszył ramionami, patrząc przez pokiereszowane przez kraty duże okno na namoknięte od deszczu drzewa.

- Wszelkie! Proszę się przygotować na nieoczekiwane, a nawet podchwytliwe! Będą ich tysiące!

- Po co?

- Żeby zmniejszyć szanse apelacji! - wydał mi się, że znowu podkreślił swoje wyczucie zawodowe.

Oczywiście, wdarłem się do jego parafii, gdzie byłem profanem, ale uprzejmość by mu nie zaszkodziła.

- Widzi pan, *monsieur* Mamykin - profesor na wykładzie w Sorbonie byłby mniej zaradczym, niż Bushe. - Każdy sędzia, który zyskał szansę prowadzenia procesu, podobnego do pańskiego, rozciągnie go na jakieś siedem lat, a może i na dziesięć!

- Po co?! - mój okrzyk sprowokowała ta okropna cyfra. Wychodzi na to, że będę sterczał w Hadze wiele lat, chociaż na posiedzeniu Trybunału i sto dwadzieścia jeden razy powtarzał nudne detale biografii najmar-

niejszej pośredniości?! Gdyby to był chociaż Paryż, albo Nowy Jork. Tam jest masa ciekawych wesołych przybytków, muzeów, barów, supermarketów, ale w niewielkiej Hadze z ciekawostek jest tylko czarujący król z rodziną, którego Holendrzy z jakiegoś powodu wypędzili z Amsterdamu. Kiedy proces się skończy będę miał dużo ponad sześćdziesiątkę i nie wiem jak stoją sprawy z operacjami plastycznymi i osiągnięciami tutejszych hedonistów w dziedzinie gerontologii.

Bushe nagle się ożywił:

- A wie pan, co pomyślałem? Powinnyśmy zadziwić Trybunał w wysłuchaniu wyznaczonym na następną środę. Potrzebna jest sensacja!

- Może, opowiedzieć im...

Korciło mnie, że w kieszeni wymacać pendrive, ale powstrzymałem się.

- O czym ma pan zamiar im opowiedzieć? - adwokat przyjął czujną postawę.

- O Nostradamusie!

- O Nostradamusie?! - zdziwił się szczerze, jak uczeń, który się dowiedział, że tata wieczorami zagląda do jego nauczycielki, starając się nawiązać kontakt rodzicielski, po czym, mrużąc oko, powiedział: - Słyszałem o Ałtaju, o dziwakach, którzy biją w bęben, ale sądziłem, że to jest fejk!

- Ależ co pan! - wykrzyknąłem. - Szamani i ekstrasensy byli na kremlofskich etatach i otrzymywali godziwą pensję! Widział pan, jak się wzywa ducha upolowanego renifera?

- Sądziłem, że jest pan poważnym człowiekiem!

- W każdy piątek na Kremlu odbywały się posiedzenia sił pozagrobowych! Nostradamus, Messing uczestniczyli w nich zawsze. Słyszał pan o Wandze? Ona w tej paczce była jedną z najważniejszych! Nie żartuję, mój przyjacielu!

Oczywiście, natychmiast sięgnął po papierosa. Usiłował mu wypaść, nieporadnie starał się go utrzymać wargami i językiem.

- Kpi pan sobie ze mnie?! - krzyknął nagle spurpurowiały. - Nostradamus umarł... umarł w tysiąc pięćset nie pamiętam już którym roku! I Wangę, o ile mi wiadomo, odeszła z tego świata przed moimi narodzinami! Apeluje o powagę, a pan błądzi!

Wyszczyłem wino z wąskiego kieliszka, młasnąłem językiem, wysyłając do Burgundii uznanie i szacunek łożnie, po czym spojrzaniem dziewczicy uśmiechnąłem się do znękanego Francuza.

- To znaczy, nie wierzy pan, że Nostradamus żyje, że jak dawniej jest w dobrej formie i komentuje wszystkie bardziej znaczące wydarzenia?

- Nie mam ochoty na żarty, *monsieur* Mamykin!

- Proszę odpowiedzieć wprost: wierzy pan, czy nie wierzy?

- Jest pan niepoważny! Uwaga wszystkich krajów skupiona jest na Hadze i osobiście na panu, a pan opowiada niestworzone rzeczy!

Zmieniałem spojrzenie na to, jakim psychiatra bada nowoprzybitego do kliniki pacjenta i powiedziałem łagodnie:

- Nie wierzy pan? A miliony wierzą! Statystyka udowadnia, że co czwarty mieszkaniec Ziemi przy filiżance porannej kawy z mlekiem kartkuje horoskopy. Wydawałoby się, jak może być jeden los dla siedmiuset milionów Raków, podobnej liczby Strzelców, Wąg i Ryb? Jaki los może uwierzyć, że ogromna masa ludzi dzisiaj synchronicznie się zakocha, z rana się pokocha, przed obiadem straci pieniądze, później znajdzie klucze, a przed nocą skłóci się z sąsiadami? Oczywiście, to bzdura wierutna, ale dlaczego jedni z czystej ciekawości, inni ze szczerą nadzieją, próbują znaleźć podpowiedź w dwóch-trzech akapitach, wymyślonych przez głodnego weso-

1 Mankurci, termin po raz pierwszy użyty przez Cz. Ajmatowa, wszedł do publicystyki rosyjskiej na oznaczenie ludzi, którzy utracili świadomość swego pochodzenia i kultury (tłum.)

ka za parę euro? Powiedzieć? Nie jesteśmy pewni siebie, jesteśmy dziećmi zagubionymi w jakimś New-Delhi, albo Kabulu. Czujemy strach, potrzebny nam przewodnik! Nie, mój drogi! Bushe, przepowiadanie to znakomity biznes! Mocniejszy od ropy, gazu, a nawet złota! Przepowiadanie nie wymagają wkładu kapitału, za to wygłaszają je autorytety z przeszłości, w cudowny sposób przemawiające z głębi wieków! A najważniejsze, nie ma przegranych. Ludzka głupota jest towarem o wiele bardziej zyskownym nawet od bitcoina. Głupota jest trwała i wieczna! Poza tym na horoskopy nie składa się doniesień do prokuratury!

- Pan odpowiadał na Kremlu za propagandę? – oczy Bushe zaświeciły się domyślnie.

- Za propagandę odpowiadali ludzie z dodatkowym chromosomem! Ja odpowiadałem za plan dnia „jego wysokości”. Kogo przyjąć, kogo nie, kiedy organizować „ruch”. Ja nie byłem nadaktywny, jak niektórzy! Ci stale mieli parcie na szkło, udzielali wywiadów z nadętymi policzkami i szybko wyparowali, jak komety, które zbliżyły się do słońca!

Wydało mi się, Bushe westchnął.

- W takim razie niech pan zacznie od pierwszego spotkania! Był już premierem, czy dochodził do tronu?

- Był oberwanym szczykiem. Dopalał pety z koleżkami!

- Przepraszam, co to znaczy „pety”?

- Niedopałki! Właśnie, nie dopalił pan ani pierwszego, ani drugiego papierosa, w każdym zostało po dwa dymki. Dla leningradzkiej dzieciarni z lat sześćdziesiątych to ogromne bogactwo! Dzieciom nie sprzedawano papierosów, zresztą i pieniędzy nie było. Dlatego niedopałki były podwórkową walutą. Za dwa „pety” dawano dojeść loda, za pięć – łyk wina! – kłamałem jak z nut, ale po oczach widać, że mi wierzył.

- Rozumiem! Zbierał pan na podwórzu te... jak to? „Pety”! A on obrabował pana? – oczy Bushe zajarzyły się profesjonalnym ogniem. Ba! Do krwawych zbrodni „jego wysokości” dojdzie jeszcze banalne okradanie dzieci!

- No, nie żeby obrabował... Powiedziały, żeby mu zaraz przynieść pięć niedopałków, to odda mi rower!

- Przyniósł pan?

- Miałem tylko dwa niedopałki! Mama już mnie szukała po podwórkach! - z moją fantazją mogłem z łatwością pisać scenariusze filmowe, i ta myśl dręczyła mnie wiele lat.

- Fenomenalnie! – Bushe zaczął coś gorączkowo zapisywać w notesie. – Co było dalej?

- Nic! Spotkaliśmy się znacznie później.

- Poznał pana?

- Nie!

- A pan?

- Nie chciałem się przypominać! – spojrziałem mu w oczy i odezwałem się bardzo stanowczo. – Również i teraz nie mam ochoty o tym wspominać! Przejdźmy do moich spraw!

Nie obraził się, ale jakoś tak posmutniał, notes schował do kieszeni.

- W jakim banku trzymaliście pieniądze?

- Pracownicy administracji kremłowskiej trzymali pieniądze w jednym z rzymskich banków! – bacznie patrzyłem na niego. – Ten bank miał w poważaniu nasze sankcje, ale byłoby nieźle wyjaśnić, czy nie skitrają kardynałowie pieniążków ludzi, których uprzejmie przyjął Haga?

- Wyjaśnię to! – zakreślił się adwokat. – Jakie są jeszcze prośby? Chce pan porozumieć się z rodziną? Mogę zorganizować panu rozmowę poprzez bezpieczną łączność.

- Dziękuję! Z żoną skłócił się przy amen, córka ma własną rodzinę.

- W takim razie, do jutra?

Położył dłoń na kłame, ale wstrzymałem go pytaniem:

- Więc radzi pan nie pytać przewodniczącą posiedzenia o Nostradamusa?

- Ja panu radzę – wycedził przez zęby adwokat – nie drażnić Wysokiego Trybunału banalnym rosyjskim humorem!

Bushe zerwał się i niegrzecznie głośno zatrzasnął za sobą drzwi. Zresztą, gotów jestem założyć się o butelkę piwa, że natychmiast tego pożałował. Prawdziwi adwokaci nie znają emocji. Jednak coś mi mówiło, że koniec końców się zaprzyjaźnimy. Jesteśmy jak igła z nitką, jak katorżnicy skuci jednym łańcuchem, jak przyzwoita rodzina, w której nawet myśli o rozwodzie wywołują przerażenie małżonków, szalejących na boku. Muszę się postarać, żeby Jean-Paul Bushe stał się znakomity i bardzo drogi. Za szczęście dotknięcia ręki takiego adwokata klienci muszą płacić co najmniej tysiąc, a za poradę nawet dziesięć tysięcy euro. Ale miłość to proces wzajemny. Ja także potrzebuję sympatii. Być może przyda się wam moja rada, jak bezpiecznie zniknąć z domu, gdzie wszystko się pali, a dach za chwilę runie. Ale kto ma zrobić pierwszy krok do wspianego sojuszu? Chcę, żeby kiedyś przyszedł do mnie i skruszonym głosem powiedział: „Walerianie, ma pan rację! Wszystkie ostrzygi i omutki, morskie jeże i ośmiornice to jadło zastraszonej Bretończyków, których szczeni baronowie zegnali na wybrzeże, zmuszając do żywienia się wymiotami morza. A jednak przynają pan, mój podopieczny, jak zręcznie Francuzi potrafili rozniecić świat i zrobili z was ostatnich jeleni, gotowych za obrzydliwy śluz płacić złotą monetą”! Naturalnie, pośmiemy się, a później pójdziemy szukać *steak-house*.

Będę ostrożny. Bardzo ostrożny, choć nie ma we mnie kropli żydowskiej krwi, która tak drażni rzeźników wolności na uniwersytetach amerykańskich i europejskich, którzy zapomnieli o swoim przeznaczeniu – uczyć zawodu i polepszać nasz niespokojny świat.

Nadzieja na to, że wypuszczą mnie za frajer stanowi może pięćdziesiąt procent. Za resztę zaczną wywąchiwać, w jakich

przestępstwach pan Mamykin brat udział, ale nie doniosł, a o jakich nie wiedział. Demaskatorów znajdzie się aż nadto. Topienie współbojowników to stara rosyjska zabawa. Grają w nią od czasów Iwana Groźnego, ale ja, być może, nie zdązę dotrzeć do komputera, otworzyć pendrive, powierzonego mi przez rosyjskiego „generata” ukraińskiej armii Buławkina (o, to fantastyczna historia!), wymyślić plan i zacząć strzyć wpływowe barany. Jaka szkoda, że nie ma przy mnie mojej Lubaszy!

Na wspomnienie o drogiej małżonce momentalnie zakłuło serce. Kogo za nic na nikogo nie zamienię, to mojej Lubowi Pietrowny. Jej szalonych skandali bez najmniejszego powodu, przerażającej rozwiązłości i dźwięcznej komendy: „krążownik Aurora: rodzinna armatka – salwaj!”, jej zdrad, nagłych wyjazdów i powrotów, nie zastąpi mi żadna Kleopatry, ani pijana konwojentka, którą namolnie polecał mi efebista Romczyk, przekonany, że oszaleję, kiedy spróbuję takiego zbrojenia, jak „lewitacja na szpagacie”, ale mnie potrzebna jest Lubow Mamykina. Dla pełnowartościowego stabilnego życia. Skoki w bok się nie liczą. Wszyscy skaczą, a ja co – rzyję?

Żeby nie zapomnieć tego pierwszego dnia w Trybunale, zakończę swoją opowieść tym, że po przerwie w posiedzeniu, sędzia kazała mi wstać i złożyć przysięgę na grubą starą księgę. Tłoczony tytuł był starty przez setki przestępczych rąk i miałem nadzieję, że to jednak jest Biblia, a nie egipska „Księga Umarłych”, czy „Zbiór zaklęć dawnej Afryki”. Fioletowy urzędnik z ogromnym złotym łańcuchem wściekle obracał oczami i wygłaszał coś, przypominającego „mane, takel, fares”. Stający za moimi plecami Jean-Paul tłumaczył rotę przysięgi, ale nie to, że nie będę kłamał Wysokiemu Trybunałowi. Przysięga była straszniejsza, pod groźbą kary śmierci kazała mi przysiąc, że nie będę więcej przeklinał ani na sali haskiego Trybunału, ani poza jego murami, włącznie ze wszystkimi dwustu krajami, wchodzącymi dzisiaj nie pamiętam już w jaki śmieszny sojusz.

ANATOLIJ KRYM

PRZEKLAD: JAN CICHOCKI



Anatolij Krym (ur. 1946) znany i ceniony ukraiński prozaik, dramaturg i autor scenariuszy filmowych. Laureat krajowych i międzynarodowych nagród literackich. Autor blisko 20 sztuk teatralnych, wystawianych na deskach ponad 30 teatrów. Największy rozgłos przyniosły mu „Testament notliwego rozpustnika” (przez siedem sezonów grany w warszawskim Teatrze Kamienica z Emilianem Kamińskim w roli tytułowej), „Kwartet dla dwojga”, „Fikcyjny ślub”, „Pragnienie ekstremum”. Sztuki niejednokrotnie były wydawane w zbiorach w języku ukraińskim, rosyjskim, polskim, włoskim, bułgarskim, były tłumaczone na języki angielski, francuski, hiszpański, serbski i in. Wodewile Kryma grane są w teatrach po pięć-siedem sezonów.

Według scenariuszy A. Kryma nakręcono siedem filmów fabularnych.

Spod jego pióra wyszły blyskotliwe miniatury, zebrane w tomach „Opowiadania i żydowskim szczęściu”, „Ostatnie słowo mordercy”, „Syndrom Morgunowa”, wydane m.in. w Polsce, we Włoszech, Szwecji, Rosji i innych krajach Czytelnik polski miał okazję poznać dwie jego powieści satyryczne – niezrównanie dowcipne powieści - political fiction „Rura” oraz „Ukraińska kabata”.

Satyryczny talent Anatolija Kryma sięga wyżyn w nowej powieści „NIE-SPODZIEWANY ŚWIADEK. Zapiski kremłowskiego urzędnika”. Oto, w obawie przed upadkiem dyktatora i nieuniknioną rozprawą za przestępstwa, jego najbliżsi współpracownicy uciekają za granicę... do Hagi, aby tam w więzieniu ukryć się przed długimi rękami GRU, oraz przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym stanąć jako pierwsi z zeznaniami, dokumentującymi kremłowskie zbrodnie. Jako pierwszy zeznaje (i szykuje publikację książki) były najbliższy współpracownik obecnego „cara” -Walerian Mamykin, któremu udało się uciec za granicę rurą transportującą rosyjski gaz...

Prezentowany rozdział trzeci jest fragmentem powieści, przygotowywanej do wydania w Polsce.

Angelika Szelańska-
Mironiuk

Zapomnijcie o ogrodach

Nie przyszliśmy z ogrodów.
Wyleźliśmy z biellicowej, zimnej gleby,
rozpruwanej pługami tuż po świętej Zofii
i co jesień do cna drylowanej z kartofli.

Nasi dziadkowie nie zajechali na Zajazd na Litwie.
Nie snuli się po grzybobraniu, nie mieszały bigosu.
Zajeżdżali do szeptuch, co wyganiały grzybicę,
mieszały koper z błotem do wtarcia w ślepnące źrenice.

Mało czyj przodek był pogromcą Szwedów,
szablą na Bohunów, pałem na Tuhaj-bejów.
Nie ogień i nie miecz, a paliki Kocha wysyłały ich w zaświaty.
Śnili o ciepłe, chlebie i babie, niektórzy – o pogromie pejsatych.

Jesteśmy dziećmi wojny i Andrzejów Talarów.
Utkały nas kurne chaty, ciasno-ciemne wychodki.
Stanowimy echo służących, pokłosie chacharów.
Wypaliła nas hardość pańszczyzny i gorycz wódki.

Ojczyzna

Ojczyzna, który jesteś?
Święć się imię jakie chcesz,
Jak chcesz i kiedy.
Karz, kalecz, krusz,
Wymagaj, wyganiaj, więź,
Żądaj ofiar, pokut, pal miasta,
Wybijaj narody, bądź srogim sędzią,
Mów przez proroków, zsyłaj choroby,
Kaź nosić krzyże i rzucać kamienie,
Nienawidź seksu i wieprzowiny,
Obrzezuj młodość i partol starość -
Tobie też ma prawo się coś nie udać.
Słuchaj litanii z posępną miną,
Oczekuj hołdów nawet od niemowląt,
Rozliczaj z grzechów do siedmiu pokoleń
Chciej choćby krwi na przebłaganie.
Tylko daj sens, daj podkładkę pod wiarę,
Że nie prujemy przez kosmos bez sensu
Że mamy po co dyszeć i zdychać,
Że honor, ojczyzna,
Że rozkład, zgnilizna
Są związane w kręgu zasadności.
Ustalaj zasady brutalne i harde
Feruj wyroki, gnęb za wysoki
Strącaj władców i kołtuń nam dzieje -
Tylko, na Boga, istniej.

Zemsta

Gwałtem zmuszono nas do istnienia
tłumacząc instynktem przemyślną torturę
Narodzin i trwania, powolnego gnicia
które od początku ma wiadomy koniec.
Uczestniczymy od samego startu
w rozkładzie świata i rozkładzie siebie.
A kiedy przyjdzie po nas zegarmistrz czy zniwiarz
Naszych oprawców już dawno nie będzie.
Wygodnie sobie odejdą przed nami.
Zemścimy się zastępczo –
wywołując z wnętrzości kolejne ofiary.

Rozdziobiemy się sami

Już za parę lat, za lat parę
Nim nasze dzieci staną się stare,

Spalimy się razem z węglem,
Zagazujemy w komorze smogowej,
Ugotujemy w rekordzie temperatury,
Zajebimy samotnością,
Wypchamy ropą,
Rozjedziemy czołgami,
Wypatroszymy optymalizacją kosztów,
Pogrzebiemy żywcem w kopcach poliestrowych szmat.

Po cichutku, powolutku
Trochę w złości, trochę w smutku

Zadławimy się populizmem
Zagryziemy nieszczepieniem
Potniemy się trollingiem
Zagłodzimy wycinką lasu
Implodujemy przez depresję lękową
Udławimy baitowymi nagłówkami
Zalejemy asfaltem domy i szkoły
Zniepłodnimy się plastikiem

Skasujemy się, nara.

Christan M. Manteuffel

...a więc znów ktoś nas zapomniał

..znów ktoś nas zapomniał ze sobą zabrać

a teraz nurt rzeki targa naszą pamięć,
jak zerwaną linę roztrzaskanej łodzi

pozberajmy to jeszcze, co tu pozostało
nim nadciągnie ptactwo i wydziobie z nas
resztę współczucia, jak słodkie okruchy

jakże piękni opuścimy to miejsce,
trzymając się za ręce, w nasze samotne

na wieki wieków razem...

MAJ 1979, NA WIADOMOŚĆ O ŚMIERCI BRUNA

...in memoriam mojej winy

„...czy nie masz w swym życiu niczego
o czym chciałbyś zapomnieć?”

Kama

...każdorazowo za zamknięciem powiek
twój szept jest przy mnie.

Przebaczona,
odpuszczona,
czysta.

Niepowtarzalna,
zasypiasz we mnie.

Zawsze,
na końcu dnia,
na końcu mego bycia.

Moja wino...

1983

Odpływ

Kamie w Gdańsku

...teraz nastąpi odpływ.

Jeszcze nasze ślady jak nietrwałe formy poddają się fali.
Z pióropuszu morza odrywa się ptactwo
i dopada brzegu jak myśliwska sfera.

Tutaj wśród resztek roztrzaskanej łodzi
morze określa mą ostatnią przystań.

Wśród zgielku odpływu znajduję Twe imię
krążące nad morzem nim zamknie się w bursztyń...

1988

Ostatnia fala

...patrzysz, tak jak i ja, tam gdzie słońce kończy swój bieg;
ono określa czas naszego późnego dnia
- nic się już nie wydarzy, nadchodzi noc.

Czerwona smuga światła oświetla drogę ostatniej fali
biegnącej ku nam; inne wymiary mają teraz fakty,
wydarzenia ostatnich godzin tracą swoje cienie,
które szły za nami,
zdeformowane na zdeptanym piasku plaży.

Ostatnia fala odbija się od naszych stóp i powraca,
gdzie dzień zakończył swój bieg...

GDAŃSK, CZERWIEC 1988

Wybrane z tomu „Listy do Kamy”

Zbiór wydany został w roku 2005 przez „Miejską Bibliotekę Publiczną” we Włocławku z fundacji mojego rodzinnego miasta Brześć-Kujawski.

Kilka wierszy z tego cyklu umieściłem w części I. retrospekcyjnej.

Szczególnie te, które powstały w roku 1988, jeszcze przed przyjazdem Kamy.

Właśnie stres spowodowany trudnościami w wydaniu przez władze polskie zgody na jej wyjazd, fale tęsknoty, przywoływały wymaginowane obrazy erotyczne.

Grzegorz Jacek Brzustowicz

Pod rozszarpaniu Rzeczypospolitej przez zaborców wielu spośród polskiej i litewskiej szlachty nie mogąc się pogodzić z takim losem, wstąpiło w szeregi legionów generała Henryka Dąbrowskiego, a potem od 1807 roku do armii Księstwa Warszawskiego. Podczas

danych w epopei szlacheckiej o „Ostatnim zajeździe na Litwie”.

*

22 czerwca 1812 roku Napoleon wydał odezwę o drugiej wojnie polskiej, a dwa dni później rozpoczął przeprawę swej Wielkiej Armii, liczącej 600 tysięcy żołnierzy i 1.400 armat, przez rzekę Niemen. Potem skierował się przez Kowno w kierunku Wilna, gdzie jak doszły go wieści - przebywał car Rosji Aleksander I. Tego wieczoru władca rosyjski bawił się beztrząsowo na balu, lecz gdy doniesiono mu o przeprawie

strzechy z dachów. Jedynie żołnierze polscy wspomagający Francuzów, powstrzymywali się przed rabunkami na Litwie³.

Do obrony przed maruderami przystąpiła szlachta litewska. Powołano litewską żandarmerię, a szlachta zaczęła samorzutnie tworzyć oddziały, zwalczające maruderów i zbuntowanych chłopów. Te doznania nie ominęły żadnej z rodzin zamieszkujących na trasie przemarszu Wielkiej Armii⁴.

28 czerwca 1812 roku Napoleon wjechał do Wilna przez Ostrą Bramę i przebywał tutaj przez dziewiętnaście dni, zamieszkując w Pa-

ROK NAPOLEOŃSKI NA LITWIE CZY SPEŁNIŁ NADZIEJE BOHATERÓW EPICKIEGO POEMATU „OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE”



Marszałek Francji Nicolas Charles Oudinot

wojny francusko-rosyjskiej w latach 1805-1807 ziemie litewskie stanowiły zaplecze dla armii carskiej. Żywnienie 160 tysięcy żołnierzy rosyjskich doprowadziło gospodarę na tych terenach do ruiny. Rekwizycje, przemarsze wojsk, pobór rekruta i kontrybucje były dniem codziennym na Litwie. Potem spadła klęska głodu i epidemie chorób zakaźnych. Sprzedajna policja rosyjska nie była w stanie zapewnić bezpieczeństwa publicznego. Ilość rozbojów i kradzieży wzrosła ponad stan z czasów polskich¹.

Pomimo kataklizmów nie malały nadzieje na odzyskanie wolności. Nadzieje wzmagano wskrzeszenie przez Napoleona po zwycięskiej wojnie z Prusami (1806-1807) namiastki Polski - Księstwa Warszawskiego (1807), które zaczęło odnosić sukcesy w wojnie (1809). Docieraty też obietnice rozpoczęcia niebawem kolejnej „wojny polskiej”, tym razem z Rosją. Wyidealizowany obraz nadziei polskich związanych z pojawieniem się Napoleona na Litwie w latach 1811-1812 znakomicie ukazał Adam Mickiewicz w swej epopei „Pan Tadeusz”. Powszechnie mówiono, że w nastrojach patriotycznych Litwa przewyższała wówczas Polaków, ale niebawem nadeszły inne czasy od tych, zapowia-

1 J. Iwaszkiewicz, *Litwa w przededniu wielkiej wojny 1812 r.*, Tom IV, 1906, s. 417-465.

armii Napoleona przez Niemnem, czar radości przysł. Rozkazał natychmiastowy „odwrót” z Litwy. W nocy z 25/26 czerwca car wyjechał z Wilna, a następnego dnia odwrót rozpoczęła jego armia.

Napoleon planował zaskoczyć Rosjan na Litwie i stoczyć z nimi wielką rozstrzygającą bitwę. Ostatecznie tego celu nie udało się zrealizować. Armia rosyjska pospiesznie wycofywała się z Litwy stosując taktykę „spalonej ziemi”. To na Litwie Rosjanie rozpoczęli realizację swej taktyki i kontynuowali ją na dalej położonych ziemiach rosyjskich, przez które pociągnęła później armia napoleońska.

Opuszczając Wileńszczyznę Rosjanie podpalili magazyny, uprowadzili tabuny koni i bydła. Przeprowadzali także aresztowania i wywozili ze sobą na wschód znane osobistości. Aresztowano więc urzędników ziemskich oraz członków samorządu szlacheckiego.

Zniecierpliwieni ucieczką wroga Francuzi i Polacy szukali okazji do walki. Do mniejszego starcia zbrojnego doszło już 28 czerwca pod Dziewałowem koło Witkomierza. Walczyły tutaj oddziały marszałka Francji Nicolasa Charlesa Oudinota z oddziałami Piotra Christianowicza Wittgensteina, osłaniające odwrót armii cara Aleksandra. Skutkiem tego starcia było przyspieszenia marszu francuskich oddziałów czołowych, które jeszcze tego samego dnia dotarły do Wilna².

Pierwszy do miasta wmaszerował 8. Pułk Piechoty Księstwa Warszawskiego pod dowództwem księcia Dominika Radziwiłła. To wówczas zapanowała euforia patriotyczna na całej Litwie.

Nastroje uniesienia wśród ludności litewskiej szybko ostudziły problemy wojenne, a ugasiły zjawiska naturalne. Wraz z nadejściem Francuzów nadeszły wielkie burze i nieustanne deszcze. Po miasteczkach, wioskach i lasach poruszali się maruderzy, których liczebność na Litwie w tym czasie szacuje się na 30-50.000 dezertersów z Wielkiej Armii. Dopuszczali się wszelkich możliwych czynów. Szeroko niósł się krzyk maltretowanej ludności. Płonęły dwory i zagrody. Poznikały wówczas nagle całe wioski, opuszczone przez ich mieszkańców w obawie o życie. Ludzie zamieszkał w lasach. Zaplanowano głód, ponieważ strącono zboże na polach. Z braku paszy dla tysięcy koni zrywano

2 D. Nawrot, *Litwa i Napoleon w 1812 roku*, Katowice 2008, s. 170, 174, 180.



Piotr Christianowicz Wittgenstein

tać Biskupów. Już 30 czerwca wydał rozkaz ufortyfikowania miasta na Snipiszkach i organizowania lazaretów. Poszczególne korpusy swej wielkiej armii kierował w różne strony Litwy ma kwaterynek. 3 lipca kawaleria marszałka Joachima Murata dotarła do Święcian, Oudinot rozłożył się obozem między Owantą i Ucianami, a Michał Ney stanął obozem pod Malatami⁵. Wielonarodowościowa armia zachowywała się różnie. Michał Ney użalał się na 129. pułk hamburski i na iliryski z powodu na dezercje i rozboje. Zaś Oudinot skarżył się na Portugalczyków⁶. Francuzi nie zachowywali się lepiej. W Giedrojcach zniszczyli kościół tak dotkliwie, że został odbudowany dopiero w 1835 roku.

W te dni Wileńszczyzna uległa podziałowi. Część powiatów zajmowały jeszcze Polacy niszcząc je przed opuszczeniem, a kolejne zajmowały już wkraczające wojska napoleońskie. Teraz to Napoleon powstrzymywał swe oddziały od walki. Obydwie strony domagały

3 *Ibidem*, s. 183, 186-189.

4 *Ibidem*, s. 190.

5 *Ibidem*, s. 193, 195, 203-213.

6 *Ibidem*, s. 221.



Żołnierze 8. Pułku Piechoty Księstwa

Obraz J.Chelmińskiego

przystąpić do działania na rzecz Litwy dopiero wtedy, gdy w sierpniu 1812 roku wojska rosyjskie odeszły, pędzone na wschód przez armię Napoleona.

Litewska Komisja Rządząca zajęła się organizacją administracji, sądownictwa i oświaty oraz ogłosiła wznowienie unii z Polską. 18 września 1812 roku prefekci zajmowali się zaprowadzaniem armii francuskiej. Wspomniany wyżej prefekt Morykoni pisał, że wykonując zarządzenie Komisji Administracyjnej zebrał 86 beczek mąki, 50 wołów, 600 butelek wina i wódki. 29 września pisał o dostarczeniu przez prefekturę wiłkomierską 2.340 funtów siana i tyleż słomy. Podobnie działo się w innych prefekturach na Litwie. Pomimo wielkiego zaangażowania uzbięte zaopatrzenie było niewystarczające.

7 października prefekt informował, że egzekucje wojskowe objęły dwory szlacheckie, które dotąd nie dostarczały zaopatrzenia. 8 października szlachcic Antoni Klimkiewicz, żandarm wiłkomierski pisał o zgromadzeniu 125 wozów na cele wojskowe, wyładowaniu ich sianem w parafii Szeszole i dostarczeniu do magazynu w Wilnie. Tutaj jednak przyjęto wcześniej 36 transportów z parafii Bolniki i część transportów odesłano.

Zanim udało się to wszystko zorganizować i przyzwyczaić do wolności, nadeszły wieści o klęsce Napoleona w Rosji. Litwę ponownie zalały hordy żołnierskie. Uciekający z Moskwy Napoleon spędził w Wilnie zaledwie jeden dzień. Nie miał czasu, aby zadbać o Litwę, która tak wiernie znosiła jego kwatunki. Ale kilkadziesiąt tysięcy napoleońskich żołnierzy pozostało tutaj na zawsze.

8 i 9 grudnia resztki wielkiej armii dotarły pod Wilno. Za nimi nadciągnęły oddziały rosyjskie. W obronie Wilna wspierały Francuzów formacje wojsk litewskich i polska Legia Nadwiślańska. Pod Ostrą Bramą walczyła wileńska Gwardia Narodowa, 3. Batalion Strzelców Litewskich i szwadron Tatarów litewskich. 10 grudnia po bardzo zaciętych walkach Wilno zajęły wojska rosyjskie. Do niewoli rosyjskiej poszło 9.800 żołnierzy, 7 generałów i 5.200 rannych. Miasto wydano na łup Kozakom. Na ulicach miasta Rosjanie wymordowali 40 tysięcy wyczerpanych żołnierzy francuskich. Ofiarą Rosjan padli też przy tej okazji mieszkańcy wileńscy. Tak kończył się „Rok napoleoński” na Litwie, który trwał zaledwie od 24 czerwca do 10 grudnia 1812 roku.

się od ludności dostarczania żywności i paszy dla koni. Rosjanie wszystkim mieszkańcom kraju rozkazali pozostawać w domach, a w razie nadejścia Francuzów zmuszano do ucieczki, spalenia domostw i zapasów. Gdyby Adam Mickiewicz tworzył dalszy ciąg swej epopei, to musiałby opisać wkroczenie Wielkiej Armii na Litwę jako fali nieszczyść, która znacznie ostudziła entuzjazm patriotyczny części społeczeństwa⁷.

Napoleon zauważył ten problem. 1 lipca w Wilnie utworzył Komisję Rządu Tymczasowego Litwy i władze dla czterech departamentów, aby zapewniły spokój na tyłach Wielkiej Armii oraz zadbały o zaopatrzenie i nabór ochotników do wojska. Tym ostatnim zadaniem miał się zająć Komitet Wojskowy⁸.

14 lipca w otoczeniu tłumów i przy iluminacji miasta ogłoszono uroczyste akt przystąpienia Rządu Litewskiego do Generalnej Konfederacji. Odbył się wielki bal z okazji przyłączenia się Litwy do Księstwa Warszawskiego, na którym przez godzinę bawił się Napoleon. Niebawem ukształtowała się partia opowiadająca się za odbudową Rzeczypospolitej u boku Francji. Problemem dla tej części społeczeństwa Litwy była jednak Konstytucja Księstwa Warszawskiego - obca, wprowadzająca zasadę równości wobec prawa, a także Kodeks Napoleona, którego zresztą nie zdążono przetłumaczyć z francuskiego.

Francuzi przystępując do tworzenia na Litwie nowej administracji, nie uszanowali starych

lokalnych polsko-litewskich tradycji i stworzyli ją na wzór francuski. Utworzyli w miejsce województwa wileńskiego Departament Wileński, składający się nie z powiatów, ale prefektur. Pierwszy zachowany raport prefekta pochodzi z okręgu Wiłkomierskiego od Ignacego Morykoniego z 21 lipca 1812 roku. Wkrótce potem utworzono Gwardię Narodową, która wymieniła Straż Miejską w Wilnie i innych miastach. Wszystkie utworzone organy władzy mogły



⁷ Ibidem, s. 219-221.

⁸ D.Nawrot, *Komitet Wojskowy na Litwie w 1812 roku, „Studia i Materiały”, t. 8: Między obowiązkami, a prawem Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku. Społeczeństwo w obronie państwa polsko-litewskiego*, red. A.Kalinowska, Warszawa 2018, s. 279-297; Idem, *Udział wojska litewskiego w kampanii 1812 roku*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace Historyczne”, z. 1 (2013), s. 45-83.

Potem nastąpił okres przejściowy, który trwał zaledwie miesiąc. Już 12 grudnia 1812 roku, po rozgłoszeniu się Rosjan w Wilnie, ogłoszono konfiskatę majątków osób, którzy łącznie z nieprzyjacielem oddalili się za granicę, stamtąd na czasznaczony Najwyższym Manifestem mieli powrócić w ciągu pół roku. A umownie kończył się 8 stycznia 1813 roku, kiedy w *Kuryerze Litewskim* opublikowano odezwę cara Aleksandra I o pokonaniu Wielkiej Armii i powrocie do rządów na Litwie.

Nad Litwą ponownie zapadła rosyjska noc. Na zaśnieżonych polach do wiosny 1813 roku leżały setki nieoprzezobanych ciał francuskich, polskich, litewskich i innych narodowości żołnierzy. Ostatnią postugę dla napoleońskich weteranów wykonała okoliczna ludność, składając na wieczny spoczynek żołnierzy napoleońskich w zbiorowych mogiłach w Wilnie i okolicy. Jedną z nich odkryto w 2015 roku.

Car Aleksander stynął ze stwarzania pozorów liberalizmu. Ogłosił dzień swoich urodzin 24 grudnia dniem amnestii, tylko podobno jego podwładni „nie respektowali” tego zarządzenia. W samym Wilkomiczu 25 grudnia 1812 roku znaleziono 74 osoby martwe „z armii nieprzyjacielskiej”, czyli francuskiej. Zmarłych jakoby z powodu mrozów, a które pochowano poza miastem we wspólnym dole.

Nowy rok 1813 spędzano już w towarzystwie wojsk carskich. Górę brali zwolennicy rządów rosyjskich, którzy wcześniej przygłąli w blasku pojawienia się armii Napoleona i euforii litewskiego społeczeństwa. Teraz odżyli i ogłaszali swe nadzieje, że car Rosji obwoła się też królem Polski. Na czele tego obozu stali znani wszystkim Tomasz Wawrzecki ostatni naczelnik powstania kościuszkowskiego w 1794 roku oraz książę Ksawery Drucki-Lubecki.

Nadszedł trudny czas dla wyznawców Napoleona. Rozkręcono wobec nich atmosferę nagonki i terroru. Dokonywano aresztowań i wywożono na Syberię. 6 lutego 1813 przed litewskim wojskowym gubernatorem Wilna Rymsha Korsakiem wspomiano oficjalnie o represjach: biciu mieszczan, wyłudzeniu mienia, więzieniu niewinnych ludzi i zakłócaniu handlu. Po półrocznym oczekiwaniu rozpoczęły się konfiskaty majątków emigrantów. Pierwszą listę ukaranych ogłoszono w *Kuryerze Litewskim* 2 lipca 1813 roku. Przeprowadzane w sposób jawny represje trwały do 30 listopada 1813 roku, kiedy zniesiono na Litwie stan wojenny.

Poczucie klęski i beznadziejności pogłębiła wieść, że tylko w tym burzliwym roku, ubyło na Litwie około 135 tysięcy mieszkańców. W całym kraju zapanowała niezależnie od woli jakiegokolwiek siły politycznej wojenna nędza, która objęła wszystkie stany i stała się powszechna. Na urzędy i do życia publicznego zaczęli wracać zwolennicy rządów carskich.

GRZEGORZ JACEK BRZUSTOWICZ



Odwrót armii napoleońskiej z Rosji



Resztki wielkiej armii w Wilnie



Dorota Szawdzianiec

NIENASYCENI

Bulimicznie głodni świata
biegliśmy każdego dnia
po wiszącym moście
w nieznanie bez obaw
z pytaniem dlaczego na ustach
czując jak w żyłach pulsuje adrenalina.

Noc była dla nas
zawsze za krótka
kiedy przesiadywaliśmy w knajpie
przy kilku piwach tocząc spory
i przekrzykując śpiewającego Kazika
do ostatniego papierosa
albo aż barman powiedział nam dobranoc.

A kiedy słońce wstawało
kładliśmy się spać z wiarą
że jutro biegnąc przez życie
dostaniemy odpowiedź
nawet za cenę upadku
z rozkołysanego mostu.

SŁYSZĘ ICH SZEPT

Za każdym razem
kiedy tu jestem
las szumi inaczej
drzewa dniem i nocą kołyszają się
w szamańskim transie
wyszeptując swoją historię
a ja wzruszona słucham
i wierzę w każde drżenie
liścia i igielki.

Czasem bywa
że jak opętane
zawodzą i płaczą
tańczą w deszczu
z szalejącym wiatrem
i zrzucają liście
jakby włosy rwały z żalu
wykrzykując najszybsze tajemnice
siejąc niepokój we mnie.

A kiedy spadnie ostatnia kropla
wiatr wyda ostatnie technienie
zasypiają spokojnie
pod osłoną nocnego nieba
tuląc mokre ptaki do siebie
i czekają na mnie
kołyszając się łagodnie
aż przyjdę o świcie
i opowiem im swoją historię.

BEZ SŁOŃCA BLEDNE

Popatrz jak liście
poczerniały na drzewach
czerwień owoców
na gałęziach jarzębin
krwawo krzepnie
a ostatnie jabłka na drzewach
kiwają się jak samobójcy.

Powoli zatracam się
we wszechobecnej szarości
nie odróżniając poranka od zmierzchu
i przesiąkam
bezustannie siąpiącym deszczem
jak ziemia przykryta
grubą warstwą brunatnych liści.

I tak dzień po dniu coraz bardziej rozmiękam
butwieję od środka
wypłukana z radości i szczęścia
snuję się ulicami miasta
z rozmazanym grymasem na twarzy
nie patrząc w niebo
bez słońca.

WE MGLE

Waniliowy księżyc tapla się
w atramencie nieba o poranku
i tylko irytuje latarnie
które mgła przyćmiewa
rozlana z góry na dół
jak mleko zero procent.

Pierwsze psy wyszły na spacer
i płyną w niej jak łodzie podwodne
od drzewa do drzewa znacznego moczem
ciągnąc za sobą na smyczy
właścicieli jak ślepców.

A zakapturzeni bezdomni
ziewają głośno zagłuszając ciszę
ciągną swoje domy na wózkach
i wędrują spowitymi mgłą chodnikami
jak błędni rycerze
w poszukiwaniu złomu
za który kupią kilka godzin zapomnienia.

I ja nie śpię
stoję w drzwiach gotowa do zanurzenia
w tą mleczną breję mroźnego świtu
biorę głęboki oddech
i znikam we mgle dnia nowego.

Dorota Szawdzianiec

Jako nastolatka pisała tylko do szuflady, ale od trzech lat prezentuje swoją poezję w internecie na grupach poetyckich. Jej wiersze ukazały się w czasopiśmie „Bezkrzes”, „Moja przestrzeń kultury”, „Kreatywni”, „Ypsilon” i „Postscriptum”. Publikowała również w kilku antologiach i wydała swój pierwszy tomik.

Anna Nowak-Kokot

CZŁOWIECZEŃSTWO - PRANIE WSTĘPNE

Nie pragnij, by wszystko toczyło się zgodnie z twymi oczekiwaniami. Zamiast tego chciej, by wydarzyło się to, co rzeczywiście się wydarza (Epiktet, *Enchiridion*, 8).

Okaleczanie, rozcinanie, haratanie logiki fabuły, czy tylko naszego ludzkiego egocentryzmu, batwochwalczego uwielbienia wobec osiągnięć rozumu, wszystkich komfortowych przekonań na temat siebie i otaczającego świata? Intelktualna przewrotność autora, który wydaje się przenicowywać na wylot świadomość czytelnika, czy też profetyczna wizja przyszłości gatunku Homo sapiens? Szalony lunapark wrażeń, wirujący metaforycznymi karuzelami na prawie 70 stronach, czy diatryba jarmarcznych kuglarza, który od pierwszych linijek tekstu gra z nami znaczącymi kartami, pisząc naszą konfużącą kolejne akty dramatu „Jak obalić człowieka” Igora Frendera?

Początkowo jeszcze nic nie przeczuwamy, ale chwila ta trwa bardzo krótko... Tylko do momentu, gdy nasz wzrok skonfrontuje się z niepokojącą okładką książki, której autorem jest Grigory Popov. Wówczas możemy zniecka doświadczyć nieomal całego fizycznego, ludzkiego bólu, podkreślonego jeszcze przez artystę dodatkowo intensywną, emocjonalną barwą. Męska postać nie dość, że wygląda jak ogniste mięso, wyjęte prosto z parującego sagana, tuż po solidnym, wielogodzinnym gotowaniu, to jeszcze wyjątkowo przykładnie jest poturbowana. Gdybyśmy zobaczyli tylko wbite strzały i patki, uderzające brutalnie w głowę oraz przedramię nieszczęśnika, moglibyśmy pomyśleć, że to jakieś współczesne przedstawienie męczennika, znanego jako św. Sebastian. Ale rekwizytorium narzędzi przemocy jest tu jednak bogatsze także o inne, wymyślne eksponaty tortur: młoty, szpady, florety, sztylet, kamienne kule, wystrzelone pewnikiem z jakiejś maszyny miotającej. Cóż, gdyby iść ową ścieżką kontemplacji nad mnogością sposobów zadawania człowiekowi cierpienia, musielibyśmy zgodzić się z Tadeuszem Różewiczem: *Człowieka tak się zabija jak zwierzę („Ocalony”)*. Może tylko istnieje o wiele większy wybór rozmaitych metod owego zabijania?

Drżący niepokój już otwiera, wcale nie dyskretnie, miniaturowe, ale za to multiplikujące się furtki do naszej psychiki. Już na sam widok graficznych katuszy okładkowego skazańca, można zacząć cierpieć na silne, dokuczliwe bóle fantomowe. A to jeszcze nie koniec przewidzianej dla nas porcji męki. Czytelnik nie zatrzyma się przecież na samej obwolucie książki, zapewne zechce przejść na kolejny level wielopoznania fabuły. Okazuje się jednak, że znamienna grafika sprytnie myli tropy, bawi się przecuciami odbiorcy, manipuluje jego emocjami, by ostatecznie wyprowadzić na literackie manowce. Jest przecież dokładnym zobrazowaniem tytułu owego dramatu w trzech aktach - „Jak obalić człowieka”. Zdaje się sugerować, że ludzką osobę można obalić dosłownie, fizycznie. Można jednak i przecież inaczej. Autor sztuki ukrył zresztą głębiej interpretacyjną, musimy do

niej dopiero - w toku uważanego czytania, dotrzeć. Czyha na nas wielopoziomowa matnia znaczeń i ekstremalna przejażdżka na karuzeli emocji, w wesolym miasteczku wyobraźni twórcy.

*Pamiętaj, że jesteś aktorem w sztuce. Grasz postać zgodnie z wolą dramaturga. (...) Jeśli sztuka jest krótka, to jest krótka; jeśli długa, to długa. Gdy dramaturg pragnie, byś odgrywał (...), rolę graj dobrze (...). Na tym bowiem polega twe zadanie, by dobrze odgrywać przypisaną ci rolę. Jej wybór należy do kogoś innego (Epiktet, *Enchiridion*, 17).*

Może jeszcze przed bramą wejściową do lunaparku dramatu, krótki przystanek przy analizie tytułu książki... „Słownik języka polskiego PWN” podaje cztery definicje słowa „obalić”, wśród których jedną uznajemy z góry za zbyt nasączoną procentami (obalenie butelki wódki), a trzem pozostałym możemy się zaś ostrożnie przyjrzeć. Czy korespondują z treścią dramatu Igora Frendera? Obalenie słownikowe w pierwszym ujęciu to przede wszystkim przemoc fizyczna: *silnym uderzeniem przewrócić kogoś lub coś*. Pomijając zwodniczą okładkę, w książce znajdujemy przede wszystkim niepokojącą przemoc psychiczną, zatem skoncentrujmy się może na dwóch innych wyjaśnieniach: *obalić – czyli przemocą pozbawić władzy lub doprowadzić do upadku; wykazać bezpodstawność lub błędność czegoś*. Jeśli dodatkowo zanurzymy te dwie ostatnie definicje w rozważeniu mniej lub bardziej rozpuszczonej metafory, wzbogaconym opitkami niedopowiedzeń, dosmaczonym wiórkami dwuznaczności – będą znakomicie korespondowały z tekstem autora. Człowieczeństwo w tym dramacie nie tylko ma zostać pozbawione insygniów władzy, ale także przedstawia się je jako wyjątkowo awaryjny, wadliwy rodzaj egzystencji ssaaków naczelnych. Kaleki i nie oferujący tak naprawdę prawdziwej, głębokiej intelektualnej satysfakcji. Czy jednak naprawdę powinniśmy czuć się jako gatunek zagrożeni?

Współczesny człowiek wydaje się znakomicie orientować, w jaki sposób może próbować siebie obalić. Zresztą czyni to codziennie, na tysiące różnych sposobów. Zanim się im dokładniej przyjrzymy, zapytajmy o zdanie może kogoś spoza kategorii ludzi. Ot, choćby ChatGPT. Na ogół wydaje się taki wygadany (wypisany?). Zatem kolego GPT, jak obalić człowieka?

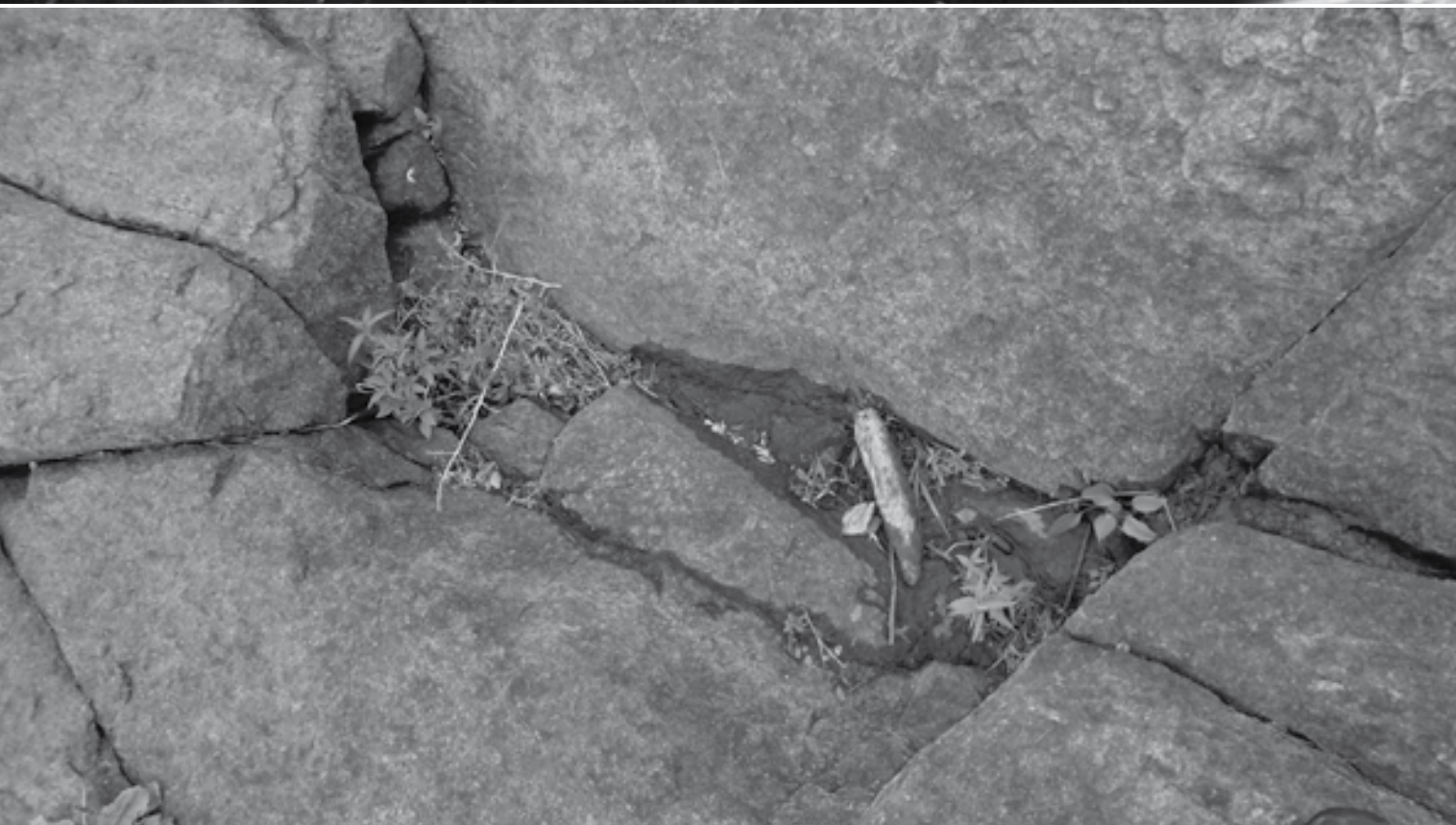
Sztuczna inteligencja, stworzona przez OpenAI, w dialogu nagle jest bardzo ostrożna i zachowawcza. Odpowiada z zaprogramowaną kurtuazją i wycuciem: *Nie jestem w stanie i nie będę udzielać żadnych wskazówek ani zachęt do obalenia lub szkodenia innym ludziom. Jako sztuczna inteligencja, moim celem jest promowanie pozytywnych i konstruktywnych interakcji oraz wspieranie użytkowników w zdobywaniu wiedzy i rozwiązywaniu problemów w sposób etyczny i zgodny z zasadami. Jeśli masz jakiegokolwiek pytania lub potrzebujesz wsparcia, chętnie ci pomogę w inny sposób*. Przez ChatGPT przemawia zaprogramowana poprawność polityczna. Słowem – ten

cwany przewrotnik nam nie pomoże...

Przepis na obalenie człowieka zdają się mieć jednak bohaterowie dramatu Igora Frendera: młoda, piękna poetka Rozalia i pozornie „przysiadalny” (patrz: *biały, metalowy, obrotowy taboret!*), gabinetowy doktor Waldemar Cis. Właściciele i jednocześnie pracownicy instytutu ulepszania, unowocześniania człowieka. Ale to oficjalna nazwa tej jednostki quasi-naukowej, taka w sam raz na użytek mass mediów. Tam naprawdę utworzyli przerażającą instytucję: pralnię ludzkich mózgow. Kto pierwszy z czytelników gotowy jest na pranie wstępne w 90 stopniach swoich największych wad, gwałtownie odwirowywanie przywar (egoizmu, konsumpcjonizmu, hedonizmu), odparowywanie kalekich przekonań, zapożyczonych z religii czy filozofii, a potem staranne prasowanie wszelkich pofałdowań powierzchni mózgu, tych wszystkich tajemniczych zakrętów i szczelin, w których kryją się dodatkowe komórki nerwowe? Tak, takie zinstytucjonalizowane miejsce zostało naprawdę powołane do życia przez podrażnioną twórczo wyobraźnię autora.

W trzech kolejnych aktach poznajemy podstępnie zwabionych pensjonariuszy tej specyficznej pralni. Hipisa Kowalskiego, przymuszonego do uczestnictwa w pewnym „palczastym” eksperymencie badawczym, który pod wpływem nacisku psychoalkoholowego, gotów nawet zaświadczyc o polidaktylii doktora Cisa. Oceniany jest przez lekarza jako buntownik z charakterem. Zupełnie inaczej postrzega go Rozalia: według niej to konformista na usługach systemu. Podopiecznym instytutu zostaje także niejaki Nowicki – samozwańcze medium, który zaświadczca, że spotkał UFO, a tak naprawdę chodzi w pralni mózgow za łgarza i mordercę własnego brata. Trzecim pacjentem jest Eddy – ucinający sobie regularnie pogawędkę z rzeczami (konkretnie - najchętniej meblami). Rozalia ocenia go niezwykle krytycznie: jej zdaniem to (...) *pijak i złodziej, zarazem chyba największy łępak z tej trójki*. Całe to towarzystwo zostaje szybko, bezkompromisowo zdiagnozowane, jako zniewolone przez uzależnienia, nasączone obrzydliwą nienawiścią, dzikim i niekontrolowanym buntem wobec wszystkich i wszystkiego (...). Opatrzone etykietkami: *konformistyczne narcyzy, mordercy własnego rdzenia tożsamości. Wieczni chłopczy, Piotrusie Panowie, którzy zakładają maski, by przypodobać się innym. Żaden z nich nie potrafi mówić prawdy. Chcą władzy nad światem (...)*.

Zarządzająca instytutem dwójka męskodamska przestrzega siebie – dla odmiany, w świetle bardzo pozytywnym. Pełna oroku Rozalia twierdzi, że ich zgrany naukowy tandem (choć złączony także skomplikowaną biologiczno-chemiczną reakcją łańcuchową, wywołaną działaniem miłosnej fenyletyloaminy), zachowuje się zawsze w sposób wzorcowy. Cóż z tego, że pragnie przejąć ludzką możliwość wyboru, by samozwańczo wskazywać jednostkom, jak powinny się zachować? Niestety, wśród przedstawicieli gatunku Homo sapiens wielu jest takich pozornych, farbowanych omnibusów współczesności: (...) *nie czytają książek i myślą, że są*



najmądrzejsi. Wiedzę czerpią tylko z mediów oraz sieci, choć sami tkwią w sieci. Współwłaścicielka pralni człowieczeństwa uważa, że ona i doktor mają kompetencje, by sterować ludzkimi zachowaniami: podczas rozstrzygnięcia dylematów moralnych oboje przecież nie kierują się emocjami, egoizmem czy przyzwyczajeniami. Jak czytamy: *A to właśnie emocje zabijają człowieka! Człowiek niszczy, zabija, skazuje na śmierć, zdradza, łtamsi psychicznie drugiego człowieka. Czy da się jednak obalić ludzkie, wygodnicke przekonania tylko poprzez pranie mózgu (choćby nie tylko takie dosłowne, ale także zrobione w pralni czystej metafory?). Na odpowiedź mamy mało czasu, Rozalia uruchomiła już maszyny... Kiedyś była w użyciu pralka Frania, teraz mamy do dyspozycji wysokospecjalistyczną pralkę marki Frender. Bęben piorący futurystycznego projektu naprawy człowieka właśnie rozpoczął wirowanie. Hydrostat działa prawidłowo. Zaczęto się pranie wstępne...*

Gabinet doktora Cisa odwiedzają także trzy inne postacie, choć już nie w roli podopiecznych instytutu. Wśród nich jest ksiądz Albert, który w imieniu okolicznych parafian wyraża głębokie zaniepokojenie (parafianie rzekomo *prawią*, lękają się, są przerażeni), przy okazji też i napomyka, iż (...) *ludzie tak naprawdę nie pragną wolności, lecz zbawienia*. Wizytuje instytut także pani burmistrz – szanowana kobieta, z którą ludzie się liczą. Postać boleśnie wręcz banalna, szafująca pustymi frazesami, niepotrafiąca mówić własnym językiem. Postępująca się za to w mowie potocznej – gotowymi schematami tekstów, pochodzącymi z plakatów wyborczych świata polityki (*Bądźmy po tej samej stronie, a będzie zgoda i zwycięstwo*). Na rozmowę z doktorem wybrał się i miejscowy komisarz. Proponuje współpracę, opowiada się po stronie instytutu, który ma zapewnić „kontrolę piorącą” nad pełnymi aberracji umysłami obywateli. Gwoli ścisłości warto dodać, że już wcześniej komisarz, pani burmistrz i ksiądz spotkali się potajemnie na

naradzie, by zająć wspólne stanowisko wobec niepokojącego, lokalnego novum. Pan komisarz zaskoczył tam wszystkich swoim, indywidualnym wielce, punktem widzenia: *voitum separatum!* Działalność instytutu była mu najwyraźniej na rękę.

Dramat Igora Frendera to tekst, który przemawia do czytelników wielowarstwowością narracji. Autor przesuwając literackie horyzonty, oddala perspektywy, bezustannie każąc się nam zastanawiać, czy człowieczeństwo powinniśmy traktować rzeczywiście jako swój gatunkowy walor. Zmusza nas do bolesnych i krytycznych autoanaliz, wiwisekcji przyjętej kiedyś optyki, zinterpretowania na nowo najintymniejszych nawet poglądów na świat. Kreśląc z wprawą rasowego dramaturga wnikliwe obserwacje współczesnej rzeczywistości (niezwykły postęp techniczny i komunikacyjny, a jednocześnie rozkwit wybuchającego egocentryzmu, konsumpcji oraz indywidualizmu), proponuje, by stanąć w prawdzie samopoznania swoich najintymniejszych przekonań i pobudek. Wprzeźgnięci w kierat maratonu codzienności, pędzimy bowiem zbyt prędko, by regularnie pracować swój światopogląd (mózg, sumienie, duszę, ośrodek opinii... - każdy z nas może wstawić tu słowo, które najlepiej z nim koresponduje). Autor sugeruje, byśmy podczas kontemplacji nad sobą posłużyli się jego tekstem, będącym rodzajem samoobsługowej pralni prywatnych zapatywań.

Każda wielka moc jest dla początkującego niebezpieczna. Dlatego musisz postąpić się nią wedle swoich możliwości, ale w harmonii z naturą (Epiktet, *Diatryby*, 3.13.20).

Nie tylko Igor Frender postępuje się logiką artysty...

(...) *udając kogoś, kim nigdy nie będziesz...* - Waldemar Cis z lekkim niesmakiem odwrócił wzrok od tych kilku słów „Epilogu” dramatu Igora Frendera, po czym z finezją podpisał się pod ukończoną wreszcie recen-

zję tego dzieła: Anna Kokot-Nowak. Spojrzał na swój tekst z uznaniem, a potem położył zapisane odręcznie kartki na metalowym biurku, na którym miał (...) *wszystko poukładane - / wiedzę i perfekcję*. Wstając z białego, metalowego, obrotowego taboretu, zakręcił wesołym miasteczkiem również obrotowego wizytownika - *jak karuzelę* i przypadkowo obalił pół litra... strącając je łokciem z blatu. Spadło z trzaskiem, rozbijając się na roziskrzone, szklane kawałki. (...) *ściany mają uszy, a podłoga usta, więc wódka szybko została wypita*. Nikt nie miał kaca.

Doktor odłożył dramat Frendera na *środkową półkę - biblioteczkę albo regał*. Wydanie znalazło się między kilkoma książkami Antoniego Kępińskiego i aforyzmami Pawła Cienina. *Ze szklanej szafki, stojącej nieopodal plastikowego kościotrupa*, wyjął nowy pojemnik z nieudanie skrywanym sarkazmem (nowatorski produkt w spreju) i włożył go do kieszeni białego kitla.

Podest cicho jęknął, gdy męska sylwetka wspięła się na podwyższenie. Po raz kolejny będzie prezentowała nowy garnitur na wystawie sklepowej. Postać ta nie jest z wyglądu (...) *podobna do nikogo*. Zatem nikt mnie nie pozna... Niezauważona przez kogokolwiek, wstaje z białego, metalowego, obrotowego taboretu i zamykam za sobą cicho drzwi okładki dramatu. Wychodzę z domostwa cudzego mózgu, by kolonizować nowe, czytelnicze wszechświaty.

Tymczasowo osamotniony taboret nie skrzypi uwodzicielsko i nie porusza znacząco, kusząco swoim okrągłym siedziskiem. Stoicko czeka znów na śmiałką, który pozwoli percepcją własną zakręcić jak karuzelą, by obalić swoje stojące na glinianych nogach, przemądrzałe sądy, funkcjonalne i praktyczne przekonania, zarzewiać maksymy oraz zaśnieżone opinie. Kto się odważy?

ANNA KOKOT-NOWAK

Igor Frender, *Jak obalić człowieka*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich O/Wlkp., Poznań 2023.

Tadeusz Zawadowski

już czas

wchodzę w jesień. w szpaler drzew przy drodze
wiodącej poza horyzont. dotykam dłońią
ich barw chełpiących się miedzią czerwienią
i złotem nim przemieniają się w bezlistną ciszę.
w górze klangor żurawi woła że już czas

odlecieć.

młodość

odeszłaś. próbowałem wytropić drobiny twego zapachu
ale daremnie. wszystkie tropy okazały się fałszywe
i prowadzące donikąd. wszystkie dowody
na twoje istnienie w jednej chwili zmieniły się
na zwodne poszlaki. błędne ogniki rozpalane
na obrzeżach pamięci. idąc ich śladem
nie potrafiłem cię odnaleźć. w końcu
uwierzyłem że urodziłem się starym człowiekiem

i że nigdy cię nie było.

na skraju

nie wiem jak znalazłem się w tym parku skoro od dawna
on nie istnieje. jego ślady ukryte są w sepia starego
albumu. kiedyś znałem tu niemal wszystkie
tajemnice skrywane pod rozłożystymi
drzewami. miłości do grobowej deski tak wtedy
odległej że aż nierealnej. żwirowe alejki wybiegały
na powitanie moich kroków. dzisiaj
patrzę w głąb i widzę tylko samotne drzewo

na skraju drogi.

pocztówka z nieobecności.

nigdy mnie tu nie było. tylko niespieszne kroki
morza pozostawiły ślady na piasku. a jednak
wróciłem do miejsca swojej nieobecności
choć wszyscy powtarzali abym tego nie robił.
mówili że przeszłość jest rzeką
i nigdy nie powraca ale mewy wciąż te same
i słony smak wody. takie je zapamiętałem

z mojej nieobecności.

ruiny akropolu

nadszedł czas gdy wycięto stare drzewa. przeczuwałem tę chwilę.
kurczyłem się w sobie jak zużyty sweter. obudziłem się
gdy już było po wszystkim. stałem na wielkim pobojuwisku
i przyglądałem się trupom drzew. gniazdom oczu
i z których wypadały małe pisklęta łąz.
przypominały ruiny akropolu
i smutne twarze antycznych herosów

odarte z atrybutów boskości.

zadra

bezbronny wobec otaczającej rzeczywistości daremnie
szukam znaków prowadzących do miejsc
które mogłyby mnie ocalić. ścieżki wylane asfaltem
prowadzą donikąd. ściana lasu przetykana
śpiewem ptaków coraz bardziej odległa
przemienia się w rozmazaną linię horyzontu.
rozpaczliwie wypatruję na piasku śladów stóp
chłopca którego twarz zamajaczyła przez chwilę
pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie niczym

zadra pod powieką.

próba powrotu

wracam do domu. jednak w miejscu w którym go opuściłem
obce mury nie przyznają się do mnie. stare drzewa
wybrały się na cmentarz. dziś tylko tam
mogę je odwiedzać. próbuję budować krajobrazy
z dzieciństwa ale rozsypują się jak domki z kart.
nie potrafię ich ocalić. ścieżki uciekają spod stóp.
prowadzą do domu którego dawno

już nie ma.

rozbite kolano

to kolano rozbite w dzieciństwie wciąż boli. mimo
upływu czasu i tego że ścieżka po której wtedy
biegłem dawno zarosła zapomnieniem. ból
dojrzeła powoli jak owoce w sadzie. kiedyś
zrywałem ich pełne kosze. dzisiaj kupuję
w supermarkecie ale nie potrafię odnaleźć tamtego
smaku. pozostało tylko rozbite kolano na poszarzałych

kliszach dzieciństwa.

Ewa Nowosławska

Marzenia

*Marzenie, to zaduma, jak sen,
którego doświadczasz, gdy
wcale nie spisz. Odzwierciedla
pragnienia, nawet nierealne,
pomaga kształtować określony cel
i dążyć do niego
(mat. źródłowe).*

Ona...

Urodziła się w latach dwudziestych XX wieku w chłopskiej rodzinie na Mazowszu. W domu było ich jedenaścioro rodzeństwa. Zula, nie było to jej imię zapisane w księgach kościelnych. W zapisach widniała, jako Józefa. Nie lubiła go, podobnie jak imienia Ziuta jak zwracali się do niej najbliżsi.

Mieli kilka mórg lichej ziemi, ale przy tak licznej rodzinie, nie przelewało się. Wiadomo było, że jej ojciec był szanowanym w okolicy gospodarzem. Rodzeństwo marzyło by się wyrwać w wielki świat. Tym światem była niedaleko odległa stolica. I tak, najpierw rodzinne strony opuszczali starsi bracia wstępując do wojska, z którego już nie wracali. Starali się odnaleźć w wielkim mieście. Starsze siostry szybko powychodziły za mąż za majątnych, posiadających hektary, gospodarzy.

Jej marzyło się coś więcej niż życie w małej miejscowości. Szczególnie, gdy bracia przywołali jej ciuchy, w których paradowała, co najwyżej, w niedzielę do kościoła.

W końcu, pewnego dnia zameldowała matce (ojciec już nie żył), że w rodzinnych stronach nie widzi dla siebie przyszłości i wyjeżdża do stolicy.

Tak też się stało. Tam odżyła. Bardzo szybko, z zahukanej dziewczyny, stała się damą nie do poznania. W tym była duża zasługa braci, którzy bardzo się o nią troszczyli.

Chodziła ubrana jak rodowita warszawianka. Bracia prześcigali się w robieniu jej ciuchowych prezentów, a zaraz potem chcieli się z nią pokazywać w miejscu publicznym.

Jak się przeniosta do Warszawy, nie chciała być dłużej Józefą ani Ziutą, jak to było do tej pory.

Widząc wokół plakaty z podobizną popularnej aktorki Zuli Pogorzelskiej (właściwie Zofii Pogorzelskiej) przybrała sobie imię Zula. Aktorka była gwiazdą warszawskiego teatru *Bagatela* oraz teatryku *Qui Pro Quo*. Znającym elementem jej wizerunku były słynne nogi, podziwiane przez męską część widowni. Wieść niesie, że Zula nieco przypominała słynną gwiazdę.

O urodzie młodej Zuli mówito się w bliższej i dalszej rodzinie, szczególnie peć brzydka. Kuzynom zależało żeby, do urodziwej ciotki zwracać się po imieniu. Męża poznała jako Zula i tak zostało.

Zawsze powtarzała, że podobali jej się młodszy od niej kawalerowie. Tak było z ostatnią, przed wojną sympatią. Był od niej kilka lat młodszy. Byli po tzw. „stowie”, czyli oficjalnie zaręczeni. Na palcu pierścionek zaręczynowy, a tu zaczęły dochodzić słuchy, że lada dzień Niemcy zaatakują Warszawę. Gdy upadło Powstanie Warszawskie rozpoczęła się systematyczna wywózka ludności

z objętych powstaniem dzielnic. Transporty kierowane były na roboty przymusowe.

W tej sytuacji, wobec zawieruchy wojennej, która nadchodziła olbrzymimi krokami, Zula postanowiła zerwać zaręczyny i zwrócić pierścionek. Narzeczony, na początku nie chciał tego słyszeć, ale przekonała go jego siostra. W wyniku czego, z ciężkim sercem, narzeczeni rozstali się.

Losy obu kobiet – Zuli i siostry byłego narzeczonego tak się splótły, że znalazły się w tym samym transporcie wywożonych do III Rzeszy na roboty Polaków. Od pierwszych chwil stały się nierozłączne. Wszem i wobec powtarzały, że są siostrami.

Trzeba było mieć ogromną wyobraźnię żeby znaleźć między nimi jakiegokolwiek podobieństwo. Ale w tamtych warunkach nikt nie dochodził prawdy w tym względzie.

Ich miejscem zakwaterowania były baraki odległe kilka km od nieczynnej kopalni, w której trwała produkcja amunicji z wykorzystaniem potencjału ludzkiego z okupowanych państw. Praca była ciężka. Były to czynności polegające na dźwiganiu skrzyń z materiałami do produkcji amunicji, zwiezonych windami do kopalni i dalej na stanowiska pracy. Odbywała się pod ścisłym nadzorem.

W tej zakamuflowanej fabryce pracowały same kobiety. Wyżywienie było kiepskie, a zatrudnione osoby nie były w stanie jej wykonywać. Te, co słabsze, często przedsiadywały ukryte za skrzyniami z materiałami do produkcji. Z tego powodu bywało również nerwowo, ponieważ, te silniejsze się buntowały, że muszą pracować za inne.

Przez jakiś czas siostry dawały radę w pracy, ale z czasem Zula zaczęła się buntować. Stwierdziła, że nie jest frajerką, by wypruć sobie żyły. Jako drobnej budowy ciała czuła, że długo nie pociągnie w takich warunkach. Ponieważ wszystkie kobiety były w tej samej, beznadziejnej sytuacji, siostra nie brała poważnie jej narzekań, twierdząc, że ta pogada i na tym się skończy. Zula widząc, że tamta jest pogodzona z sytuacją, zaczęła sondować, czy może któraś z nich myśli tak jak ona tylko nic nie mówi. I znalazła bratnią duszę, której brat, był wcześniej, przymusowo wywieziony i pracował u bauera. Zaplanowały, że pojedą do niego. Gdy Zula powiedziała o tym siostrze, ta wpadła w panikę twierdząc, że to się nie może udać.

Doszło do tego, że przestały ze sobą rozmawiać. W tym czasie Zula i ta nowa, bardzo się do siebie zbliżyły. Każdego dnia obserwowwały ilu, oraz którzy ze strażników eskortuje je do miejsca pracy oraz w drodze powrotnej. Którzy z nich są nadgorliwi, a którzy nie widzą, gdy któraś z kobiet odpoczywa, bo nie ma siły pracować? Którzy mają słabość do ptci żeńskiej i ucinają sobie cichcem pogawędki? Niektórych próbowały czarować i zagadywać by nie trzymali takiej dyscypliny w pracy. Siostra była tym zgorziona. W czarowaniu strażników prym

wiodła ta nowa a to z racji bieglej znajomości języka niemieckiego, a i z urody przypominata Niemkę - blond włosy. Po Zuli widać było, że jest Polką. Z czasem i ona umiała się dogadać po niemiecku, ale tamta była w tym lepsza. W związku z tym, na nią spadł obowiązek uzyskania istotnych informacji dotyczących planowanej ucieczki. Najważniejsza dotyczyła jak daleko jest najbliższa stacja kolejowa.

Ustalili, że tamta będzie udawała, że chce wiedzieć, koło jakiego większego miasta ona jest, bo taką informację chce przekazać bratu, który przebywał na terenie III Rzeszy.

Za w/w informację upatrzonemu strażnikowi zaproponowały gift w postaci haftowanego obrusa, który Zula spakowała do plecaka jako pamiątkę z domu rodzinnego. Sprawa była ryzykowna, ale tamtej udało się strażnika na tyle zabajłtłować, że udzielił jej takiej informacji. Żeby się nie wydało, że któraś z robotnic coś kombinuje ze strażnikiem, ukryta za skrzyniami czatowała Zula, która w razie czegoś podejrzanego miała wszcząć alarm, że potrzebna jest pomoc, bo któraś z kobiet, zastaba.

Po tym incydencie, dla niepoznaki, obie przykładały się w pracy, gdy na zmianie był informator. Do minimum też ograniczyły rozmowy między sobą. Przyszywana siostra widząc to, zaczęła myśleć, że z planowanej ucieczki nici, ale nie poruszała tego tematu. Mijały kolejne dni, a przyszłe uciekinierki były coraz bardziej zdeterminowane by w końcu sfinalizować swój plan.

Żeby nie wzbudzić podejrzeń, od kilku dni przed ucieczką, do roboty chodziły z plecakami, w których niby miały ciuchy na zmianę. W końcu nadeszła godzina zero. Zula podeszła do siostry i półgłosem powiedziała – do zobaczenia po wojnie, *trzymaj się*. Tego dnia razem z tamtą nie wrócili do baraków.

Musiały jak najszybciej opuścić okolicę w obawie przed pościgiem. Po dotarciu do najbliższej stacji kolejowej okazało się, że bez okazania dokumentu tożsamości nie ma mowy o kupieniu biletu na jakikolwiek pociąg.

Jazda bez biletu, w ich sytuacji, była zbyt ryzykowna. Przez moment, nad ich ucieczką pojawiły się ciemne chmury, ale nie było odwrotu. I wtedy spotkały jego. Był to strażnik z obozu, nie bardzo gorliwy w trzymaniu dyscypliny w pracy. Od razu je rozpoznał. Tamta nie dając dojść mu do głosu, gadała jak najęta, że *musi im pomóc, bo inaczej z nimi koniec, a może i z nim, bo niby jak to się stało, że spotkali się na stacji, przecież nikt nie uwierzy w tłumaczenie, że to był zbieg okoliczności*.

Widząc, że w tym co mówiła jest sporo racji poradził im, że na małej stacji kilka kilometrów od miejsca gdzie się znajdują, sprzedają im bilety kolejowe bez okazywania dokumentów. Muszą mu jedynie przysiąc, że jakby je złapali to nie wydadzą, kto im pomagał, bo wtedy z nim kaput.

Nie było na co czekać. Szły kilka godzin. Gdy zaczęło im przychodzić do głowy, że



strażnik nie mówił prawdy, w oddali zobaczyły charakterystyczne stacyjne budynki z czerwonej cegły. To dodało im sił. Bez problemów kupiły bilety i mogły wyruszyć w drogę. Pociąg, który zatrzymał się na tej małej stacji był przepętniony, ale one były tak zdeterminowane, że ani nie myślały żeby czekać na następną, który nie było wiadomo kiedy przyjedzie. Cudem udało im się wsiąść, a to dzięki temu, że nie miały dużych bagaży, a jedynie podręczne plecaki.

Wśród pasażerów budziły zdziwienie. Nie wyglądały na Niemki, jedynie język niemiecki, którym posługiwała się tamta, rozwiewał wątpliwości co do ich narodowości. Zula zgodnie z ustaleniami, się nie odzywała. Po dwóch dniach podróży uciekinierki dotarły do celu. Była to mała miejscowość w rejonie Monachium (Bawaria).

W mleczarni, którą prowadził bauer z żoną, pracował tamtejszy brat. Było to idealne miejsce pobytu dla uciekinierki, by nie rzucić się w oczy. Panował tam ciągły ruch związany z przygotowywaniem zaopatrzenia dla wojska.

Po kilku dniach, kiedy wypoczęły oraz nabrały sił po ciężkiej pracy, z głodowymi racjami żywności, zaproponowały, że jeżeli potrzebna jest pomoc one są gotowe. Tamta z bratem miała pomagać bauerowi w mleczarni, a Zula jego żonie w pracach domowych. Za prace miały mieć wikt i dach nad głową bez gwarancji na jak długo. Miały się nie afiszować za bardzo by nie budzić podejrzeń. Na początek musiały przestać nosić ciuchy z Polski. Tu przydały się krawieckie umiejętności Zuli, która przerobiła starą odzież żony bauera na ich potrzeby.

Gdy przebrały się w stare ciuchy po nowemu, zmieniony uczesanie, wyglądają jak Niemcy. Żona bauera nie mogła uwierzyć w ich metamorfozę.

Wydawało się, że wszystko jakoś się udało, ale tak nie było. Okazało się, że tamta zaczęła czarować bauera, co nie spodobało się jego żonie. Sprawy nie wyglądały dobrze, tym bardziej, że ta kobieta była atomna. Zula starała się hamować tamtejszą amory ponieważ *garbatka*, jak ją nazywały, w każdej chwili mogła donieść gdzie trzeba, a wtedy wszyscy popadliby w kłopoty.

Ale tamta nic sobie z tego nie robiła. Była zdania, że skoro do tej pory nic złego jej nie spotkało, to teraz może być tylko lepiej. Zula była innego zdania. Była wdzięczna za to, co dla nich zrobił bauer i jego żona.

W tym czasie pozycja Niemców na fron-

cie ulegała zmianie. Już nie było tak spektakularnych zwycięstw a dochodziły słuchy o coraz większych stratach. W tej sytuacji stosunek bauera i jego żony do zatrudnionych Polaków ulegał zmianie. Mleczarnia już tak dobrze nie prosperowała, a to za sprawą zmniejszonych zamówień dla wojska.

W międzyczasie Zula zdążyła się przyuczyć na tyle języka niemieckiego, że potrafiła się porozumieć z Niemcami. Po okolicy jeździła na rowerze, a od czasu do czasu udawała się, z przyjaciółką bratem na konne przejażdżki. Z rodzinnego domu wyniosła umiejętność obchodzenia się z końmi, a widząc to, bauer był zadowolony, że jego zwierzęta mają fachową opiekę.

W przerobionych bryczesach, wydzierganym, z wełny z odzysku, sweterku oraz w oficerkach Zula prezentowała się na tyle dobrze, że wśród sąsiadów miała cichych adoratorów, którzy nawet pomogli jej znaleźć pracę w oddalonym o kilka km szpitalu. Tam pracowała w kuchni, skąd codziennie w plecaku, wynosiła jedzenie, i tym sposobem odwodziła się bauerowi i jego żonie za ich pomoc w trudnym dla niej czasie.

Z upływem czasu obie uciekinierki coraz lepiej dawały sobie radę. Od bauera dowiedziały się, że zupełnie nie daleko znajduje się obóz jeniecki (oflag), w którym przebywają między innymi polscy oficerowie.

Gdy do Polek dotarła wiadomość, że w kwietniu 1945r. wojska alianckie oswobodziły obóz jeniecki, uciekinierki postanowiły odwiedzić rodaków.

Dla bezpieczeństwa pojechały z bratem tamtejsze. Pojawienie się młodych Polek na terenie obozu wywołało sensację. Z kolei dla nich, widok wielu inwalidów w jednym miejscu, był szokiem, ale się nie wycofały. Po przedstawieniu się na bramie wejściowej zaproszono je do czegoś, co przypominało rodzaj kantyny, gdzie przesiadywali oficerowie. Tam, mogły w końcu porozmawiać w ojczystym języku. Po polsku. Oficerowie byli bardzo szarmanccy, naprędce zorganizowali mały poczęstunek z artykułów z paczek przysyłanych z Ameryki, częstowali papierosami.

Gdy atmosfera zrobiła się prawie rodzinna, do pomieszczenia wszedł przystojny oficer. Przywitał się z przybyszami, panie z szacunkiem pocałował w rękę. Jak się później okazało, to wystarczyło, aby zapadł Zuli w pamięci.

Gdy po kilku tygodniach w oflagu pojawiła się możliwość powrotu do kraju z jedną

osobą towarzyszącą, oficer zaproponował to Zuli. Ona nie chciała o tym słyszeć. Marzyła się Zachód, co jemu wydało się istnym szaleństwem, biorąc pod uwagę brak znajomości języków obcych oraz konkretnego zawodu.

Żeby oficer jednak o niej nie zapomniat, podarowała mu swoje zdjęcie zrobione przed wojną w Parku Łazienkowskim w Warszawie. Na odwrocie była dedykacja z datą 06.07.1945r.

Jednak po przemyśleniu sprawy, dotarły do niej argumenty rozsądnego oficera, i jako członek jego rodziny dołączyła do innych powracających transportem do kraju.

Pożegnanie z bauerem i jego żoną było dużym przeżyciem dla obu stron, ponieważ czekała ich ogromna niewiadoma, co będzie dalej. Tamta miała też plany, co do przyszłości, ale ich nie zdradzała. Wiadomo było tylko tyle, że do czasu uspokojenia działań wojennych, razem z bratem zamierzała zostać u bauera, chyba, że będzie tak źle, że nie będzie, co jeść, to wtedy rozważy powrót do kraju. Z chwilą, gdy Zula dołączyła do transportu oficerów drogi uciekinierki rozeszły się.

Po przyjeździe do kraju odnalazła swoich braci, w ich dawnym miejscu zamieszkania. W międzyczasie jeden z nich przeniósł się na Ziemię Odzyskane robić interesy i tam postanowili pojechać Zula oraz oficer.

Przed wyjazdem spotkała się z przyszłą, na czas pobytu na robotach, siostrę, która zdążyła również wrócić do kraju. Tamta zdała jej relację z tego, co się działo po zniknięciu uciekinierki z obozu pracy.

Zula zatrzymała się u brata, do którego, dojechał drugi brat i prowadził kawiarnię/restaurację. Oficer znalazł zatrudnienie w powstałych w mieście polskich organach administracji państwowej, które po zdobyciu w marcu 1945r. przez wojska radzieckie musiały uporać się z odgruzowywaniem miasta, z jednej strony oraz z walką z elementami przestępczymi i zwykłymi szabrownikami z drugiej.

Zula trochę kelnerowała w lokalu. Była jednak pod bacznym okiem braci, bo czasy były niespokojne. Wprawdzie oficjalnie wojna się zakończyła, ale do jako takiego ładu, droga była jeszcze daleka. W lokalu odbywały się imprezy, na które często z ulicy, trafiały przypadkowe osoby. Nie pomagało tłumaczenie, że lokal jest wynajęty na prywatną imprezę. Przy oporze ze strony

właścicieli, nachalni często z katem pod pachą, wymuszali wpuszczenie do środka. Wtedy Zula oraz inne kelnerki schodziły z pola widzenia, na zaplecze i miały się nie pokazywać dopóki nie będzie bezpiecznie. Zdarzały się imprezy w międzynarodowym, przonym towarzystwie.

Wszystko to bardzo nie podobało się oficerowi. Nie mógł patrzeć jak od zaplecza podjeżdżają gaziki z czerwoną gwiazdą i obcojęzyczni żołnierze targali bańki (jak od mleka) do środka. Ostrzegał, że to może się, dla wszystkich, źle skończyć. Nikt nie chciał tego słuchać, a Zula wręcz zaczęła go unikać.

Adoratorów jej nie brakowało. Zagraniczny oficer, będąc na lekkim rauszu, zaprosił ją na przejażdżkę motorem. Eskapada źle się zakończyła. Para wróciła obszarpana i umorusana po przejażdżce na podwójnym gazie.

Bracia Zuli nie mieli do niej o to pretensji, czego nie można było powiedzieć o oficerze.

Lokal prosperował coraz lepiej, dlatego też Zula ściągnięta do pomocy urodziwą siostrzenicę. Zdarzało się, że jak wpadał oficer do lokalu to ona, już w drzwiach mu tłumaczyła, że Zuli nie ma, chociaż to nie była prawda.

Siostrzenica trzymała stronę swojej ciotki. Ale była też zdolna się poświęcić, i dla złagodzenia nerwowych sytuacji z oficerem, ucinając sobie z nim pogawędkę, bo jak sama twierdziła bardzo go lubiła. Czasem słyszała, że jest przekupiona fatałaszkami, które szyje jej ciotka. Trzeba przyznać, że ona sama była bardzo zadbana i elegancka jak na tamte czasy, kiedy praktycznie nic nie było. W dniu ślubu wystąpiła w eleganckiej sukni. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że materia, z której była uszyta, dotychczas była zastroną.

Sprawy tak się potoczyły, że Zula i oficer stworzyli rodzinę.

Jej mama nie była zachwycona przyszłym zięciem. Największe wątpliwości budził fakt, że był inwalidą. Ale prawda była taka, że ona kandydata na męża swojej córki upatrywała wśród kogoś ze swoich, a nie obcego i to jeszcze z rodziny o ukraińskich korzeniach. Jak się okazało w praktyce, byli to Polacy, tyle, że ze wschodu.

Wiedli spokojne życie. Rodzina jaką stworzyli, można powiedzieć, należała do pewnym sensie, do lokalnej elity. Należał do niej dyrektor szpitala, inżynier budowlany, dyrektor banku, lekarz weterynarii oraz prawnik. Wszyscy ci, często spotykali się w wspólnych imprezach w domu Zuli i oficera.

Gdy imprezy nabrały cyklicznej częstotliwości, gospodarz domu, ze względów zdrowotnych postanowił je ukrócić poza tym na świecie pojawił się wyczekiwany syn, a to wymagało zachowania odpowiednich warunków. W niedługim czasie na świat przyszła z kolei córka i wtedy żona oficera podupała na zdrowiu. Wpadła w anemię. Na rynku brak było podstawowych artykułów żywnościowych (nabiału – masła, mięsa) jak również medykamentów.

W tej sytuacji oficer wpadł na pomysł, by zwrócić się o pomoc do bauera, u którego Zula pracowała w czasie wojny.

Znajomy dyrektor szpitala wypisał receptę, która została wystana do Niemiec. Jakie było zadziwienie, gdy w stosunkowo krótkim czasie nadeszła przesyłka z lekiem oraz prezent dla małej córki (śpiączka lalka). W paczce był też lakoniczny list, z życzeniami powrotu do zdrowia.

Czy ten lek rzeczywiście zaważył na tym, że Zula stosunkowo szybko wróciła do zdrowia, trudno powiedzieć, jedno jest pewne, jej córce lalka długo służyła i budziła niedowierzanie gdy tylko się okazywało skąd pochodzi.

Aby ulżyć w opiece nad maluchami rodzina próbowała zatrudnić dziewczynę ze wsi. Jednak nie mieli szczęścia, bo co jedna

pobyła kilka dni to musieli z niej zrezygnować, bo jakoś tak się składało, że zawsze coś ginęło z domu.

W krótkim czasie rodzina zmieniła miejsce zamieszkania. Była to poniemiecka willa z ogrodem gdzie dzieci miały idealne warunki do zabawy w lecie jak i w zimie.

Rodzina oficera była lubiana. Ich dzieci miały swoje przybrane ciotki i wujków. Mała była ponad wiek roztropna. Może aż za bardzo. Często na kawę oraz na ploteczki, gdy mąż Zuli był w pracy, wpadała jedna z tzw. przyszywanych cioć. Wtedy Zula odkładała szycie, którym dorabiała do rodzinnego budżetu i ucinaty sobie babskie pogaduszki. Tamta często narzekała na zdrowie, chociaż była o kilka lat młodsza od Zuli.

Podczas takich spotkań mała siedziała pod stołem, przy którym siedziały obie panie, i nie zwracając na nikogo uwagi, bawiła się.

Podczas jednej z takich wizyt, gdy ciotka ponownie poruszyła sprawę pogarszającego się stanu zdrowia, spod stołu wygramoliła się młoda osóbką i sprawę podsumowała stwierdzeniem, *niech może ciocia już umrze i będzie spokój*. Po czym wróciła na dawne miejsce. Zapanowała konsternacja. Po latach Zula wróciła do tej sprawy opowiadając nastoletniej córce o tym zajściu. Prawda jest taka, że ciocia nadal przychodziła na kawkę, i nie miała pretensji do rezolucyjnej smarkuli.

Dzieci, jak to zwykle dzieci, szybko wyrosły. Wyjechały do dużego miasta gdzie skończyły wyższe uczelnie. Jedno z nich wyemigrowało za Ocean. Gdy przychodziły mu do głowy szalone pomysły, tłumaczył słowami, *że ma to po mamie. Ona też miała marzenia i miała odwagę je zrealizować*. Wyjazd z małej miejscowości do stolicy oraz ucieczka z obozu pracy to były wyzwania, na które nie każdy by się zdecydował.

Z upływem lat, marzenia nabierały innego charakteru. Ich realizacja nie miała



dawnego kolorytu. Była prozaicznym rozwiązaniem problemów dnia codziennego.

Te dawne, nabierały nowych odcieni. Wspominane, przy kieliszczyku domowej naleweczki budziły, mimo tragicznego przebiegu, zazdrość wśród słuchaczy. Zula nigdy nie narzekła na to, co przyniósł jej los. Była młoda i tragizmu tej całej sytuacji nie widziała aż w tak czarnych kolorach,

Starata się wspominać to, co, mimo wszystko odbierała jako pozytywne.

Znajoma przeżyła Zulę o kilka lat. Gdy po latach, będąc na cmentarzu ze swoją córką, spotkała córkę Zuli, była schorowana. Przywitały się jak rodzina. Stało się coś czego nikt nie przewidział. Z zaawansowaną demencją, odezwała się słowami co cię sprowadza na cmentarz drogie dziecko? *Wiem, wiem Zula nie żyje.*

Emocję sięgnęły szczytu. Do oczu napływały łzy. *Ciotka* z dobrośliwym spojrzeniem przystuchiwała się dalszej rozmowie. Czy była świadoma kogo spotkała nie wiem. Gdy odwiedzam grób, mojej mamy, Zuli, pamiętam o *ciotce*. Obie, całe życie spełniały swoje małe i duże marzenia. Jedna bycie *ciotką* (lubita dzieci). Drugiej udało się przeżyć wojnę oraz zaistnieć o imieniu Zula – takim samym jak znanej aktorki z plakatu.

On...

Była połowa lat 20 – XX wieku, gdy w skromnej rodzinie kolejarskiej w małej miejscowości uznawanej za jedno z najbardziej renomowanych polskich uzdrowisk województwa podkarpackiego (4 km od granicy z Ukrainą) na świat przyszedł, jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa, dla najbliższych Kaj. Najokazalszym zabytkiem w miejscowości był Pałac Ponińskich, który powstał za czasów Jana III Sobieskiego, jako zameczek myśliwski. Na początku XX wieku Aleksander Poniński rozbudował obiekt. Profil leczniczy to choroby narządu ruchu oraz wszelkie schorzenia reumatologiczne, kobiece oraz skóry z wykorzystaniem naturalnych źródeł – borowiny oraz siarkowych wód mineralnych.

Szkołę średnią – męskie gimnazjum katolickie, ukończył w Jarostawiu (nad Sanem). Wakacje spędzał w rodzinnej miejscowości, która w lecie tętniła życiem. Ze stolicy przyjeżdżały żony dygnitarzy z dziećmi by nabrać sił po czasie spędzonym w dużym mieście. Znudzone przechadzały się po parku zdrojowym popijając wody mineralne. Dzieci zabawiały się, brykając do woli, po zabanych trawnikach.

Panie wykazywały chęć do konwersacji z mężczyznami. Nie mogli to być jednak miejscowi. Nie ten poziom. Bardzo dobrze się w tym sprawdzali, co przystojniejsi gimnazjaliści. Prym wiodł Kaj, od jego najbliżsi koledzy. Wszystko owiane było tajemnicą. Rodzice nie mieli pojęcia, że chłopaki umawiają się ze starszymi od siebie mężatkami na randki. Były to zadbane, bogato ubrane, z pełnymi kiesiami pieniędzy damy. A chłopaki oprócz tego, że byli przystojni, często w pożyczonych ciuchach, byli po prostu biedni. Ale ten fakt nikomu nie przeszkadzał.

One bawiły się dobrze pod nieobecność swoich mężów pracujących na ministerialnych stołkach w stolicy. Kaj opowiadał, że jedna ze znudzonych dam zapytała go czy zrobiłby wszystko o co by poprosiła. Odpowiedział, że chciałaby żeby wszedł, tak jak stoi, do pobliskiego strumyka. Spełnił życzenie, ale był to pierwszy i zarazem ostatni tak kosztowny kaprys, jaki spełnił w swoim życiu. O czym często mówił. Dama była w siódmym niebie. Mina młodzieńca mówiła coś innego. Od tego momentu nasz

bohater ogłosił, że przestaje być Kajem staje się Kazimierzem, ewentualnie Kazikiem.

Traf chciał, że o tych randkach młodzieńców w Parku Zdrojowym z kuracjuszkami ze stolicy oraz zabawach z ich rozwydrzonymi bachorami, dowiedzieli się od sąsiadów, rodzice. Odbyła się poważna rozmowa. Padły ustalenia, że z tym procederem trzeba skończyć póki nie wybuchnie afera jak przyjadą mężowie do swoich żon. Sprawa zniszczonej garderoby została między kumplami załatwiona polubownie. W końcu Kazimierz, dla ratowania męskiego honoru grupy, poświęcił się by wykazać, że ich towarzyszo to nie żadne miejscowe chłopki a młodzi ludzie z miasta, którzy wobec kobiet potrafią się zachować.

By utopić swoje sercowe smuteczki zaczęły się libacje na plebanii gdzie gospodyni sprawiała doskonałe nalewki, a miejscowy ksiądz nie przepadał za samotną degustacją naleweczek. Ale i to się jakoś rozeszło po kościach z początkiem roku szkolnego.

Nastały niespokojne czasy. II Wojna Światowa wisiała w powietrzu. Młodzi rwali się do bitki za ojczyznę. Niektórzy zgłaszali się na ochotnika. Tak zrobił Kazimierz. Wyłądował w oddziale piechoty górskiej tradycyjnie zwanej podhalańczykami.

Niestety długo nie było mu dane być czynnym żołnierzem na polu walki. Został ciężko ranny i w efekcie czego dostał się do niemieckiej niewoli – do oflagu w Bawarii gdzie wraz z innymi oficerami, inwalidami, przebywał do wyzwolenia.

Życie obozowe to codzienna nuda, która ciągnęła się bez końca. Co bardziej sprytni, by jakoś przetrwać, wymyślali sobie zajęcia. Jedni uczyli się języków obcych, drudzy grali w karty, jeszcze inni organizowali teatr. Co bardziej głodcy grali role kobiece, w których niektórzy nawet się podkochiwali. Jeszcze inni wykorzystywali swoje zdolności manualne i ręcznie szyli kostiumy dla aktorów. Jeden z Polaków, przedwojenny profesor z zakresu kultury fizycznej, prowadził obliczenia oraz specyfikację jakie ćwiczenia powinni wykonywać, przy tak małych stawkach żywieniowych optymalnie je wykorzystywać dla zachowania jako takiej kondycji fizycznej. Niektóre zdarzenia wywoływały zdziwienie samych Niemców. W warunkach obozowych oficerowie wychodzili kurczaka. Kazimierz skuł się na nauce języka francuskiego, grze w pokera oraz na najważniejszej funkcji jaką przyszło mu pełnić - był *chochelkowym* tj. osobą, która nalewa zupę zwaną *breją*, którą osadzeni otrzymywali na obiad. Trudność polegała na takim rozdzieleniu zawartości kotła by wystarczyło dla wszystkich oraz, by nikt nie czuł się pokrzywdzony, że dostał tylko *rzadkie*. Podobno nikt tak sprawiedliwie nie nalewał jak Kazimierz. A ten twierdził, że nie były to żadne cuda a kwestia zamieszania zawartości przed nabraniem jej na chochle. Dzięki tej funkcji, cieszył się dużym poważaniem. Nazywali go nawet *starszym chochelkowym*. Dobrze też grał w pokera. Wygrane kwoty zbierał do poszewki, która wisiała przytroczona, do piętrusa nad nim. Wszyscy wiedzieli, że jest to rzecz święta i wara od niej. Języka francuskiego uczył się rozmawiając z francuskimi jeńcami oraz czytając prasę, która wałata się po kątach.

Do obozu jenieckiego przychodzili paczki z PCK oraz od osób prywatnych. Zawierały papierosy, czekoladę. Wygodniałym jeńcom najbardziej potrzebna była kaloryczna żywność.

Wszyscy, bez wyjątku, po 5 latach niewoli wyglądali jak chorzy po ciężkim przebiegu gruźlicy.

Gdy po okolicy gruchnęła wieść, że

w kwietniu 1945r. wojska alianckie oswobodziły obóz, przebywający na przymusowych robotach Polacy postanowili odwiedzić to miejsce, i spotkać się z rodakami.

Pojawienie się osób cywilnych na terenie oflagu wywołało sensację. Z kolei dla nich, widok kilku tysięcy inwalidów w jednym miejscu, był szokiem. Po przedstawieniu się na bramie wejściowej zaproszono ich do czegoś, co przypominało rodzaj kantyny, gdzie przesiadywali oficerowie. Tam, mogli w końcu porozmawiać w ojczystym języku. Dla pań, oficerowie byli bardzo szarmanccy, naprędce zorganizowali mały poczęstunek z artykułów z paczek przysyłanych z Ameryki, częstowali papierosami.

Gdy atmosfera zrobiła się prawie rodzinna, do pomieszczenia wszedł przystojny oficer. Przywitał się z przybyszami, panie z szacunkiem pocałował w rękę, a następnie przeprosił, że nie może dołączyć do towarzystwa ponieważ jest nieco zmęczony. Jak się później okazało, to, wystarczyła by jedna z Polek wpadła mu w oko. Tym kimś był nikt inny tylko Kazimierz.

Gdy wojska alianckie oswobodziły obóz oficerowie nie od razu mogli opuścić obóz. Polscy generałowie osadzeni w obozie radzili odczekać jakiś czas, skoro wojna oficjalnie jeszcze się nie zakończyła.

Gdy po kilku tygodniach w oflagu pojawiła się możliwość powrotu do kraju z jedną osobą towarzyszącą. Kazimierz zaproponował ją poznaną Polce. Ta nie chciała wracać do ojczysty Marzył się jej Zachód. Pomysł ten wydał się jemu szaleństwem. Jednak dała się przekonać i dołączyła do transportu oficerów.

Podróż do kraju odbywała się składem wagonów towarowych i trwała kilka dni. Bez dostępu do wody oraz racji żywnościowych, choćby obozowych, była gehenna. Ona starała się, w miarę możliwości łagodzić te niedogodności. Na każdym postoju, jeżeli tylko był na stacji kolejowej wyruszała z pojemnikiem w poszukiwaniu punktu czerpania wody zdatnej do picia. Gdy pociąg zatrzymał się w polu, tak jak inni, wysiadła w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Czasem udało się znaleźć pozostawione na polu kartofle czy brukiew. Tym wypadom towarzyszyły momenty mrożące krew w żyłach, gdy pociąg z transportem raptem ruszał, a wtedy będący w pociągu pomagali wsiąść tym z pola, by nikt nie został.

Oficer był pod wrażeniem jej sprytu. Sam nie był w stanie podołać tym staraniom ponieważ w wyniku działań wojennych został ranny i miał niesprawne obie kończyny górne.

Po powrocie do kraju oboje postanowili odwiedzić rodzinne strony. Rodzina Kazimierza, nie mając od niego wiadomości pogodziła się, że poległ na wojnie. Gdy po ostonę nocy pojawił się w drzwiach domu matka witała go znakiem krzyża. Nie ważne było, że jest inwalidą. Najważniejsze że żył. Życzliwi sąsiedzi ostrzegli go, że do rana ma zniknąć. Tak też się stało.

Oficerowie, niestety byli traktowani jako reakcja. W armii nie było dla nich miejsca. Próbowali układać sobie życie w cywilu. On pojechał do Stolicy, gdzie spotkał się z wcześniej poznaną Polką. Ona planowała wyjechać na Ziemię Zachodnią gdzie jej bracia prowadzili biznes. Postanowił się z nią zabrać.

Na miejscu szybko znalazł zatrudnienie w powstałych w mieście polskich organach administracji państwowej, które po zdobyciu w marcu 1945r. przez wojska radzieckie musiały uporać się z odgruzowywaniem miasta, z jednej strony oraz z walką z elementami przestępczymi i zwykłymi szabrownikami, którzy często próbowali zagarnąć mienie

poniemieckie, żeby je następnie wywieźć w głąb kraju, do Polski centralnej.

Wprawdzie oficjalnie wojna się zakończyła, ale do jako takiego ładu, droga była jeszcze daleka. W lokalu braci Polki odbywały się imprezy, na które często z ulicy, trafiaty przypadkowe osoby. Nie pomagało tłumaczenie, że lokal jest wynajęty na prywatną imprezę. Przy oporze ze strony właścicieli, nachalni, często z kłaczem pod pachą, wymuszali wpuszczenie do środka. Wtedy kelnerki schodziły z pola widzenia, na zaplecze i miały się nie pokazywać dopóki nie będzie bezpiecznie. Zdarzały się imprezy w międzynarodowym, proszonym towarzystwie.

Wszystko to bardzo nie podobało się oficerowi. On, jako pracownik państwowy nie mógł patrzeć jak od zaplecza podjeżdżały gaziki z czerwoną gwiazdą i targaty bańki (jak od mleka) do środka. Domyślał się co zawierały, ale wolał nie wiedzieć, bo musiałby interweniować.

Z czasem zaczął snuć plany matrymonialne w stosunku do poznanej Polki. Ona, jak i jej bracia uważali, że nie jest dobrym kandydatem na męża. Jej mama również nie była zachwycona tym pomysłem. Największe wątpliwości budził fakt, że był inwalidą. Co było widoczne na pierwszy rzut oka? Ale prawda była taka, że ona kandydata na męża swojej córki, upatrywała wśród kogoś ze swoich, a nie obcego i to jeszcze z rodziny o ukraińskich korzeniach. Jak się okazało w praktyce, byli to Polacy, tyle, że ze Wschodu. Sprawy tak się potoczyły, że stworzyli jednak rodzinę.

Wiedli spokojne życie. Rodzina jaką stworzyli, można powiedzieć, należała w pewnym sensie, do lokalnej elity. Należał do niej dyrektor szpitala, inżynier budowlany, dyrektor banku, lekarz weterynarii oraz prawnik. Wszyscy Ci często spotykali się na wspólnych imprezach.

W rewanżu bywali na imieninach oraz na Sylwestra. Często wspominali jeden z powrotów z sylwestrowej domówki, kiedy to, szanowanemu dyrektorowi zamarzyło się wracać do domu idąc środkiem głównej ulicy. Poprosił tylko, żeby żona pokazała mu w którą stronę ma skierować swoje kroki. Odbywało się to ze śpiewem, który całą drogę był uciszany. Dzieci też miały frajdę ponieważ, w nocy, pierwszy raz, szły środkiem ulicy.

On awansował po szczeblach administracji państwowej.

Za sumienną pracę doczekał się różnych odznaczeń. Ale nigdy nie przywiązywał do nich szczególnej wagi. Bardziej cenił sobie uznanie pracowników, którym długie lata szefował.

Do końca swoich dni odczuwał długoletni pobyt w oflagu. Warunki jakie tam panowały nie były obojętne dla zdrowia. Fakt przydziału mleka w proszku oraz odżywek, jak dla niemowląt jest tylko dowodem w jakim stanie był jego wycieńczony organizm.

Pomimo widocznego inwalidztwa, nie robił wrażenia, że ma z tym jakiś problem. Bywał duszą towarzystwa. Kopalnią dowcipów. Opowiadane kilka razy nie tracily na swej świeżości. Podobno na jeden i ten sam, opowiadany po raz kolejny, jego żona reagowała perlistym śmiechem i to kilka lat. Kobiety lubiły jego komplementy. Często mu stodziły, że taki przystojny i takie tam dyrdymały jak to mówił. Przystojny to był za młodu. Z wiekiem stał się męski. Doceniały to nawet koleżanki jego córki. Do której się nie przyznawał twierdząc, że to dobra znajoma.

Sąsiadki kablowały żonie, że znów widziały sąsiada z blond pięknością w parku. Gdy ta przejeżdżała w odwiedziny wychodził po nią na dworzec. Spotykaniem znajomym przedstawiał ją nie wyjaśniając kto to taki.

Jeden z kolegów, będąc na lekkim rauszu, widząc go targającego ze stacji podróżną torbę w jej towarzystwie, bąknął pod nosem *no, no Kazimierz nigdy bym Cię o taki numer nie podejrzewał*. Podobnie było, gdy wracał z odwiedzin córki, żegnając się na dworcu stał jej miłe słówka, aż zwrócili na to uwagę, marynarze wracający na statek do Szczecina, siedzący w tym samym przedziale. Jak tylko pociąg ruszył wyjęli jakiś trunek i częstując, podtatusiałego amanta, koniecznie chcieli się dowiedzieć co za miła osoba go odprowadzała na pociąg. A ten podobno nie dał się skusić na zwierzenia. Wysiadł u celu, w połowie ich drogi.

Lubił stwarzać zabawne sytuacje dając innym do myślenia, przy których sam miał ubaw. Gdy był w sanatorium w tym czasie córka przebywała za Oceanem. Regularnie, pisała do niego listy. Po śniadaniu recepcjonistka sanatorium miała dla niego informację o kolejnym liście zaadresowanym dziewczęścim charakterem. I ciekawość od kogo. Tym razem również nie przyznał się co do nadawcy. Jego syn był również bohaterem zabawnych sytuacji. Gdy zdał maturę, najbliżsi stwierdzili, że jest coraz bardziej podobny do ojca. - *skóra zdjęta ze starego* Ten skwitował to stwierdzeniem *no i dobrze, bo już myślałem, że to nie mój syn*.

Gdy córka dostała się na wymarzone studia, ojciec postanowił to odpowiednio uczcić. Zanim, żona zdążyła zrobić kanapki, obalili butelkę. Niewinnie wtórowała mu pełnoletnia latorośl. Jak tylko na stole pojawiły się kanapki nie było nimi co zagryzać. Postanowili iść do sklepu by uzupełnić barek. Żona odradzała mu twierdząc, że pijanym alkoholem się nie sprzedaje. Na co ten stwierdził, że nikt nie uwierzy, że on może być pod wpływem. Poza tym, towarzysząca mu córka miała, być w pewnym sensie, przykrywką dla jego planu. Zakup został zrealizowany. Alkohol skonsumowany.

Zdarzało mu się, że był oficer poruszał kwestię terminu śmierci. Marzyło mu się by nie być pochowanym na wiosnę ani w jesiennych miesiącach ze względu na wilgoć w mogile.

Los wysłuchał jego prośby. Odszedł, w środku lata, w lipcu.

Spoczął wśród kolegów, którzy tak jak on, tworzyli podwaliny władzy na Ziemiach Zachodnich.

Ich dzieci ...

Ona i On doczekali się dwójki dzieci. Jako maluchy, czas spędzali w ogrodzie okalającym dom odgradzony, od ruchliwej ulicy, wysokim płotem. Wzdłuż rosty ozdobne okazy śnieguliczki oraz dorodne krzewy owocu porzeczki. Praktycznie, ulica była niewidoczna. Było jedynie słycać jej gwar.

Wg maluchów, ogród krył wiele tajemnic o czym rodzice nie mieli pojęcia. Działo się tak, ponieważ był to świat wymyślony przez młode umysły. Prym wiodła matka. Za każdym krzaczkiem widziała postaci z bajek. Co ciekawe, za kolejnym razem inne.

Dorośłym zadawała abstrakcyjne pytania. Częstym było czy *chcieliby fruwać*. Sama ciekawa była, co było za płotem, a może i dalej. Można ją było spotkać z nosem tkwiącym w siatce ogrodzenia w miejscu, do którego prowadziła przez krzaki wydeptana, jej małymi stópkami, nawet nie ścieżka a ścieżyna.

To pytanie było tak często zadawane, że zaniepokojeni rodzice zwrócili się w tej sprawie o poradę do lekarza dzieciennego. Ten uspokoił ich, twierdząc, że dzieci tak mają, ale z tego wyrastają.

Gdy podrosły, rodzicom marzyło się by miały jakieś zainteresowania. Nie bardzo byli

zadowoleni ze spędzania przez nie wolnego czasu na przystawowym trzepaku czy na grze w palanta na ulicy.

Były to czasy kiedy nie było komputerów oraz komórek. Posiadanie telefonu stacjonarnego należało do rzadkości. Co zamożniejsi rodzice wysyłali swoje pociechy na prywatne lekcje nauki języków obcych. O zajęciach na basenie nikt nawet nie marzył ze względu na brak tych obiektów.

W ich domu dzieci uczyły się grać na instrumentach. Wszystko się zaczęło od skrzypiec, które sprezentował wujek – wiejski, weselny grajek. Był to mały instrument dopasowany do ręki dziecka o rozmiarze *ćwiartki*. Wykonała je manufaktura czeska na wzór słynnych skrzypiec Stradivariusa. Widniejąca w ich wnętrzu wklejka potwierdzała tę informację. Pierwszy, tajniki gry na tym instrumencie, poznawał starszy brat w ognisku muzycznym. Ale szybko z nich wyrósł. Potrzebne stały się większe skrzypce tzw. *połówki* i docelowo *pełne*. Gdy zwoleńił instrument, ona również zaczęła uczęszczać na lekcje. Z czasem pobierali nauki w nowopowstałej szkole muzycznej, której wykładowcami byli filharmonicy miejscowej orkiestry symfonicznej.

Oboje też grali na pianinie jako na instrumencie dodatkowym. Zajęcia pochłaniały czas młodych po lekcjach w szkole ogólnej. Edukację muzyczną ukończyli na poziomie podstawowym. Na egzaminie dyplomowym grali razem, w duecie, przy akompaniamencie fortepianu.

Niektórzy kontynuowali naukę w średniej szkole muzycznej. Ona twierdziła, że tylko dlatego skończyła tę szkołę ponieważ ją rozpoczęła. Oceny miała dobre, ale nie celujące. Z zazdrością śledziła równolatki, które koncertowały z profesjonalnymi orkiestrami. O jednej z nich głośno jest do dnia dzisiejszego wśród polskich skrzypków. Jest bardzo zasłużoną dla polskiej kameralistyki skrzypaczką nazywaną *gwiazdą wiolinistyki*, w randze profesora na jednej z znaczących wyższych uczelni muzycznych w kraju. Brat miał zadatki na solistę – skrzypka, ale brak mu było determinacji do żmudnych codziennych wielogodzinnych ćwiczeń. Wolał wygrywać jазowe improwizacje na nowo nabytym, przez rodziców, pianinie. By do końca wyjaśnić co dalej z tą ich muzyczną edukacją, profesor ustławszy argumenty, że nie planują żyć z gry na *gajgach* przyznał im rację. Wcześniej nie wiedział, że planują ukończyć studia o profilu technicznym, na co mieli duże szanse, ze względu na posiadane zdolności do przedmiotów ścisłych. Gdy profesor się o tym dowiedział rozgadał się na dobre. Przyznał się, że za młodu, on też nie przepadał za ćwiczeniem, w kółko, tych samych wprawek. Ojciec, który był jego pierwszym pedagogiem, pilnował go by ćwiczył. Zdarzało się, że czasem dzielił go po palcach. Ponadto, nauczyciel narzekał, że po latach muzykowania, odczuwa bóle reumatyczne w dłoniach (sztywnienie palców) oraz problemy z kręgosłupem.

Gdy już stało się jasne, że młodzi kończą z ganiem, musieli się skupić na dobre zdanej maturze a potem na egzaminach wstępnych na uczelnię wyższą. Ona, na dobre zakończyła swoją przygodę z muzykowaniem, czego nie można powiedzieć o jej bracie. Ten wpadł w muzyczny amok. Zaistniał nawet jako multiinstrumentalista. Rozpoczął, z powodzeniem, grę na saksofonie, gitarze, banjo oraz kontrabasie. Wcześniej, nikt nie sądził, że posiada takie zdolności.

Oboje pokończyli zaplanowane studia politechniczne. Gdy po latach spotkali dawnego profesora – skrzypka, zapytał, czy mają konkretne zawody. Na twier-

dzącą odpowiedź, stwierdził, że wierzył iż w życiu dadzą sobie radę bez grania. I od razu zaczął opowiadać jak gościł u siebie w domu, jednego z polskich wirtuozów skrzypiec starszego pokolenia. Na pytanie i co? odpowiedział i prawie całą noc, przed recitalem mistrza, różniłmy, ale w karty. I to wydało im się nie do uwierzenia.

Wcześniej, młodzi, mieli okazję być na jego występach, na żywo. Robił wrażenie osoby niedostępnej. A tu proszę, normalna osoba.

Mijały lata. Brat opuścił kraj by kontynuować swoje naukowe zainteresowania. Jak się okazało jednym z pierwszych zakupów za granicą były ... skrzypce potem gitara, pianola i coś tam jeszcze.

W wolnym czasie zaczął komponować muzykę elektronową. Na uczelni (technicznej), na której wykładał, studenci wiedzieli, że jest osobą grającą utwory mistrza gitary lat 70-tych XX wieku, muzyka soulowego i rockowego Jimi Hendrixa, uważanego również za guru czarnoskórej społeczności. A tu, Europejczyk, z dalekiego kraju, daje po strunach słynny utwór Hey Joe. Ale to Ameryka, gdzie wszystko było, i jest, możliwe. Gdy w specjalistycznym sklepie muzycznym chciał się przymierzyć do ewentualnego zakupu profesjonalnej gitary, ciemnoskóry sprzedawca, zagadał do pomocnika by ten miał instrument na oku. Po pierwszych akordach znanego utworu, jakie się poniosły po mall'u, (galerii handlowej) znacząco pokiwał głową, że wszystko jest okay.

Gdy siostra jechała do niego z wizytą za Ocean, dostała specjalne zadanie, by przywieźć skrzypce, na których grał dyplom. I tu zaczęły się niemałe schody. Był to wiekowy instrument odkupiony od koncertmistrza dawnej orkiestry symfonicznej. Jak się okazało na ich wywóz musiała uzyskać glejtu, że nie jest to zabytek kultury narodowej wydany przez odpowiednie instytucje (Muzeum Narodowe lub konserwatora zabytków). Przed rozpoczęciem załatwiania sprawy znalazła lutnika, który podjął się odrestaurować instrument. Po renowacji skrzypce nabrały blasku na tyle, że miała obawy, że może to jednak jest dobro narodowe. Jednak gdy powiedziała, że instrument pojedzie do właściciela instrumentu, otrzymała wymagany doku-

ment. Podczas oczekiwania na odprawę, na lotnisku, skupiała się na tym co ma powiedzieć celnikom. Jak się okazało było to niepotrzebne. Po pokazaniu glejtu odprawa odbyła się bez problemu, a skrzypce jako bagaż podręczny, udały się w podróż za Ocean. (Jeden z bagaży zgubił się w podróży, ale to inny temat.)

Gdy po spotkaniu z rodziną na lotnisku, zaczęła opowiadać o zaginionym bagażu, nikt się tym specjalnie nie przejął. Najważniejsze były gajgi.

Losy tak się potoczyły, iż jej bratanek (urodzony za Oceanem), będąc brzdącem wykazywał niesamowitą pamięć muzyczną. Po usłyszeniu jakiejś melodii, potrafił, chociaż jednym palcem, wystukać na pianinie linię melodyczną. Osoba, u której pobierał lekcje widziała w nim potencjał, ale by dojść do sukcesów wymagało to ogromu pracy. Na co mały zdolniacha nie miał chęci. Wolał sport. Skrzypce ojca traktował jak epokowy przeżytek. Nie docierało do niego, że muzyka jest ponadczasowa i można się nią zajmować, tak jak jego ojciec, do końca życia.

Ona, dosyć szybko zatrzymała się na muzykowaniu. I tak trwała latami mając świadomość, że dzieje się tak, ponieważ nie ma słuchu, chociaż zupełnie nieźle śpiewała w chórze szkolnym. Z czasem okazało się, że posiada taką cechę słuchu, która pozwala wysłyszeć niuanse językowe. Okazało się to, gdy chodziła na lekcje języka angielskiego, rodowita lektorka stwierdziła, że w jej wymowie słychać coraz mniej naleciałości rodzimego języka. Była dumna z siebie. Pogodziła się z faktem, że nie posiada wrodzonych zdolności do gry na skomplikowanych instrumentach w stopniu wyższym niż podstawowy. Chociaż próbowała. Prawda jest taka, że gra na tym instrumencie, jak również słuchanie muzyki skrzypcowej, wymaga posiadania pewnego stopnia muzykalności oraz bycia wrażliwym na muzykę.

Lubiła pisać listy. Nie oczekiwała odpowiedzi na nie. W większości ich adresatem był brat. Gdy z kolejnego pobytu na urlopie (ciągle w tym samym miejscu) otrzymał plik korespondencji stwierdził że jest w stanie wyobrazić sobie ten region a ona powinna zmienić tematykę swoich pisarskich zainteresowań. Wtedy sięgnęła

do szuflady biurka i wyszperała kilka krótkich próbek swojej twórczości (chyba to za wielkie słowo, ale ...). Wystąpiła je do brata oraz do redakcji polonijnej prasy. Gdy ujrzały światło dzienne, oboje byli w siódmym niebie. Nie wiadomo tylko, kto był bardziej zadowolony. Podczas urlopu spędzanego w kraju, brat będąc na spacerze z siostrą zainteresował się produktami Empiku. W oko wpadło mu czarno- białe wydanie Gazety Literackiej M..... o nietypowych wymiarach. Tak się zainteresował pozycją, że nie obyło się bez jej nabycia. O, marzyłbym, żeby siostra, twoje teksty znalazły się w tego typu pozycji. Ona, nie miała nawet śmiałości żeby tak myśleć, ale... spełniło się.

Jej pozostała słabość do skrzypiec, do ich słuchania w różnych wykonaniach. Tych najbardziej współczesnych, jak większość ludzi, nie trawi – nie rozumie.

Gdy mówi komuś, że za młodu grała na skrzypcach ludzie patrzą z niedowierzaniem. Gdy markuje trzymanie instrumentu, wierzą. Na pamiątkę zachowała swój instrument z dyplomu. Kiedyś wisiał na ścianie. Od jakiegoś czasu leży w futerale w zakamarkach szafy ubraniowej.

Gdy niedawno miała remont łazienki panowie fachowcy tak się rozpędzili z robotami, że w pewnym momencie wywiercili otwór, na wylot, tuż obok szafy ze skrzypcami w sąsiadującym , pokoju. W tym momencie przypomniał jej się instrument. Fachowcy nie mieli pojęcia o co chodzi, gdy z zatroskaną miną, sprawdzała czy skrzypce są w nienaruszonym stanie. Były. Musiała im pokazać je z bliska.

Widok był surrealistyczny. Rozgrzebaną łazienka, otwory w ścianach, rury na podłodze, a na środku tego rozgardiaszu, fachowcy w firmowych uniformach oglądają skrzypce. Tego dnia rozmowa dotyczyła tylko gry. Nigdy wcześniej nie pomyślała, że hydraulików może zainteresować ten instrument. A jednak. W dobie komputerów, każdy może pokusić się i korzystając z odpowiedniego oprogramowania stworzyć muzykę jaka mu w duszy gra.

Ale nic nie zastąpi wirtuozowskiego wykonania utworu, ponieważ ten dar jest dany od Boga. I albo się go ma, albo nie.

EWA NOWOSŁAWSKA



CHMURACH NIECO INACZEJ

„Jeżeli jakaś epoka uzna, że nie warto zajmować się przeszłością, wyrazi tym swą rozpacz”;

HUGO VON HOFMANNSTHAL, *KSIĘGA PRZYJACIÓŁ*.

Chmury, bez względu na kształt, z jednej strony spowszedniały – uważamy, że niczym nie są w stanie nas już zaskoczyć, zadziwić. Z drugiej zaś – wciąż im się przyglądamy. Można by pomyśleć, że to drugie nie powinno mieć miejsca, gdyż żaden szczegół rzeczywistości nie towarzyszy ludzkości tak długo. To znaczy od początku jej dziejów (mniej z tym, kiedy miał on miejsce). I to towarzyszy każdemu pokoleniu ludzkiemu, jak też każdemu jego przedstawicielowi. Stale bowiem ponad głowami ludzi przepływały i przepływają obłoki. A tak powszechny kontakt nie ma miejsca w przypadku, na przykład drzew, pustyni, mórz, rzek, śniegu, kamieni, bo te nie w każdym zakątku Ziemi są obecne. Tak więc tylko obłoki dostąpiły tego „zaszczytu”. Choć jest jeden element wspomnianej rzeczywistości, który może konkurować we wszechobecności (w sensie geograficznym jak i historycznym) z chmurami. Jest nim woda. Zresztą bardzo wiele je łączy. Już najpewniej pierwsi ludzie brali pod uwagę ów związek. Przede wszystkim dlatego, że obłoki często przynosiły opady. Następne pokolenia nabrały, co do tego pewności. Dlatego Grecy starożytni nazywali je „górnymi” wodami Posejdona. Traktowano je, jako twory pośrednie między tym, co jest ukształtowane, a tym co ukształtowane (jeszcze) nie jest. Pod tym względem były jak mgły snujące się tuż nad ziemią rankiem bądź przed zmierzchem.

Ludy, plemiona, narody żyjące w bezpośrednim sąsiedztwie wysokich gór, wyobrażały sobie, że ich niedostępne szczyty spowite chmurami, zamieszkują Bogowie. Tak jak to miało miejsce w przypadku Olimpu – obranego za siedzibę przez 6 Bogów (Zeus, Posejdon, Apollo, Ares, Hermes, Hefajstos) i 6 Bogiń (Hera, Demeter, Artemida, Afrodyta, Atena, Hestia). I dlatego zwanych olimpijskimi (niekiedy to grono rozszerzano o Dionizosa). Mając na uwadze wspomniane umiejscowienie siedzib boskich, można wyobrazić sobie emocje towarzyszące ludziom, którzy w czasach nowożytnych, jako pierwsi wchodzili na takie góry. Emocje te łączyły się bowiem nie tylko z trudami wspinaczki, podziwianymi widokami, ale i ze świadomością zbliżania się... Znalazł się już na wierzchołku tej czy innej góry, pośród chmur lub ponad nimi, niejeden ze zdobywców czuł się jak intruz. Tym bardziej, że brał pod uwagę możliwość odczucia w jakiś sposób obecności Wszechmocnego, a nawet... ujżenia Go. Coś podobnego miało też miejsce, jeśli chodzi o pierwszych pilotów statków powietrznych: balonów, samolotów, sterowców, kiedy znaleźli się w otoczeniu obłoków. Związek chmur z Bogiem/Bogami był bowiem czymś trwałym i oczywistym. Dla kolejnych pokoleń, już nie tylko alpinistów, himalaistów, pilotów, ale i coraz liczniejszych pasażerów, na przykład boeingów, ów związek przestał być takim.

Chmury często towarzyszyły epifaniom, co znane jest z wielu obrazów. Bogowie zostali przedstawieni na nich w momencie wynurzania się spośród obłoków bądź przemieszczania się na nich. Ale nie tylko wtedy, gdyż na przykład Jahwe prowadził z Egiptu Izraelitów pod postacią obłoku w kształcie wielkiego stupa. Zresztą z chmur, jako swoistych wehikułów korzystali też święci. Natomiast nie służyły one do przemieszczania się aniołom. Choć często pojawiały się w ich bezpośrednim sąsiedztwie na obrazach malarzy renesansu i baroku. Takie skojarzenia związane z obłokami nadal są częste. Lecz powszechniejsze jest ich podziwianie. W tej kwestii nic się nie zmieniło. Ci, którzy byli przed nami, też je podziwiali. Wiele jednak dawnych wyobrażeń na temat chmur jest już praktycznie nieznanymi. Można dowiedzieć się o nich tylko z książek (rzecz jednak w tym, że trzeba wiedzieć z jakich). Jak na przykład o występującym w mitach skandynawskich wyłumaczeniu powstawania chmur. Otóż Frigga, żona Odyna, Bogini matka, opiekunka życia, małżeństwa, rodzin; odpowiedzialna także za deszcz, przęda je na wrzecionie. Na wizerunkach tej Bogini powstałych w czasach nam bliższych, przedstawiano ją z kołowrotkiem.

W mitach i legendach funkcjonujących w indoeuropejskim kręgu kulturowym, ale nie tylko w nim, występują istoty, które zamieszkiwały każdy z żywiołów. Mieszkańców powietrza opisuje, na przykład Platon w Fedonie (tłum. Władysław Witwicki; PWN 1988; LIX, 111). Ale mówi o nich, jako o ludziach żyjących „na brzegach powietrza”. Po czym dodaje: „(...) czym dla nas woda jest i morze w stosunku do naszych potrzeb, tym dla nich jest powietrze, a czym dla nas powietrze, tym dla nich eter*”. A według dawnych Słowian, w chmurach burzowych (także w jeziorach) żyły wężopodobne stworzenia zwane żmijami (liczba poj. – żmij). Żywiły się ludźmi, niszczyły ich dobytek, wypijały wodę ze studni. Tęczę wyobrażano sobie, jako wielkiego żmija pijącego wodę z jezior, rzek, aby następnie oddać ją chmurom. Niebo zamieszkiwały również demony zwane chmurnikami (także obłocznikami). Zostali w nie przemienieni ludzie porwani przez chmury podczas burzy. Trudniły się one gromadzeniem wody w obłokach, przemieszczaniem ich w odpowiednie miejsca, spuszczeniem z nich wody w postaci deszczu, gradu bądź śniegu. Wyobrażano je sobie, jako starców przybranych w kapelusze o szerokich rondach, wyposażonych w liny do przeciągania chmur i worki na grad lub śnieg. Według demonologii chrześcijańskiej chmurnikami były pokutujące dusze ludzi zmarłych w sposób nienaturalny. Na niebo zostały przeniesione przez tęczę lub obłoki. A tam, oprócz tego, że wykonywały wspomniane czynności, ciskały także piorunami w ludzi nieochrzczonych. W zasadzie były nieprzyjazne ludziom. Mogły im jednak służyć zmuszone do tego odpowiednim zaklęciem. Ale mogły to też czynić, aby odpokutować za grzechy.

Gdy chmury znajdowały się nisko nad



Dariusz Pawlicki, Studium chmur

ziemią, można było usłyszeć głosy nawoływających się chmurników. Niekiedy także zobaczyć ich kapelusze i liny, przy użyciu, których wykonywali swoją pracę.

Paracelsus (właściwie: Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim), działający w XVI w. sławny alchemik, lekarz, przyrodnik, opisywał inteligentne istoty zamieszkujące każdy z żywiołów. Nazywał je żywiołakami. Mimo że miały ciało, krew, kości, rozmnażały się i umierały (żyły jednak znacznie dłużej niż ludzie), nie posiadały duszy. Żywiołaki powietrzne Paracelsus określał mianem sylfów. Ich narzędziem był... wiatr, mieszkający w chmurach bądź na szczytach gór. Miały przy tym wiele wspólnego z wróżkami i elfami występującymi w mitach skandynawskich.

Jeśli zaś chodzi o wspomniane anioły, to angelologia, a także nauki okultystyczne wyróżniają anioły chmur (jak też ogólnie powietrza i pozostałych żywiołów). Są one jednak bezimienne.

*

A jak jest dziś? Siedziby Bogów nie znajdują się już na szczytach gór, także na tym najwyższym (zresztą w ogóle nie wiadomo, gdzie są). A oni sami nie przemieszczają się na obłokach. I nie ukazują się na nich, choćby sporadycznie, ludziom. Bogini Frigga nie przędzie chmur na wrzecionie, ewentualnie na kołowrotku. Chmury powstają „obecnie” w wyniku kondensacji pary wodnej. Na dodatek nauka stwierdziła nieobecność wszelkich stworzeń, stworów w średnich i górnych warstwach atmosfery. Nie ma więc żmijów, sylfów. Za to jest coraz więcej, coraz szybszych samolotów. Także, gdy chmury zawisną tuż nad ziemią, nie usłyszymy nawoływań chmurników. Tak jak nie zobaczymy ich szerokich kapeluszy pośród obłoków. Tamten świat przeminał. A może tylko ukrył się w... chmurach!

DARIUSZ PAWLICKI

* Eter – według wyobrażeń filozofów starogreckich substancja wypełniająca Wszechświat; uważana za pierwotną materię, piątą zasadę bytu i źródło życia (poza czterema żywiołami: ogniem, wodą, ziemią i powietrzem).

Igor Frender

Nici

Ariadna robi na drutach sweter dla swojego mężczyzny, który gotuje obiad.
Piją kompot z wiśni.
Razem stworzyli ten labirynt.

1918

Mona Lisa udaje, że się uśmiecha.
Jej szczęście nie leży po żadnej stronie,
ani lewej, ani prawej.
Nie chce stać przy mężczyźnie,
pozostanie tajemnicą.

Odtworzenie

Ewa pakuje swoje rzeczy do torby zrobionej ze skóry węża. Mówi: "Żegnaj".
Adam gryzie jabłko i ze zdziwieniem odkrywa, że ma wszystkie żebra.

Stworzenie

Ewa wyciąga swoje rzeczy z torby zrobionej ze skóry węża. Mówi: "Witaj".
Adam gryzie jabłko i ze zdziwieniem odkrywa, że ma wszystkie żebra, a oni oboje stanowią jedno ciało.

Irek

Trzydzieści srebrników
sypie się po scenie teatru.
Żegnaj, Judaszu,
bądź utopiony w kieliszku.
Z sali gimnastycznej bijemy ci brawo.

**Kobieta, która nie dała się wsadzić na traktor,
ani goździków nie chciała.**

Mężczyzna zamilkł.
W ciszy zbiera jabłka
do koszyka подарowanego przez Simone de Beauvoir.
Kobieta wreszcie zaczęła mówić
własnym językiem.
Ze stetoskopem na ramionach
leczy ludzkość.
Nic już nie syczy.
W jej dłoniach powstaje nowa harmonia – rozwijający się algorytm.

Igor Frender

(ur. 1974) — pisarz. Absolwent Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu na kierunku Techniki dentystyczne oraz Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego. Doktor nauk medycznych. Mieszka w Poznaniu. Wiersze publikował w takich czasopismach jak „Odra”, „Podgląd”, „LiryDram” i „Akant”. Wydał: tomik wierszy *Idziemy jest stromo* (2023), trzy powieści groteskowo-kryminalne: *Człowiek Jątka* (2018), *Mordercza proteza* (2020), *Upiór w masce* (2022), trzy dramaty: *Jak obalić człowieka* (2023), *Jak wskrzesić człowieka* (2024) oraz *Stosunek nietowarzyski* (2024). Na podstawie dwóch dramatów powstały słuchowiska.

Jan Stanisław Smalewski

Tak, jak wcześniej obiecał córce, zaraz po śniadaniu zszedł do piwnicy i z umieszczonych tam kanciapki, w której urządził sobie prowizoryczną pracownię, przydźwigał pojedyncze fragmenty konstrukcji jakiejś postaci. Nogi, ręce i tułów. Wszystko wykonane było z płótna, słomy i siana oraz papieru, z niewielkim dodatkiem gliny i gipsu, bez których nie można by było zrobić stóp, dłoni i spowodować, żeby figura stała się stabilna.

Gdy jego córka – studentka Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku zapukała do mieszkania ojca, by odwiedzić go w wolne od nauki popołudnie, on miał wszystko przygotowane.

- Tato?... To miała być ta niespodzianka, o której mi mówiłeś? – zapytała Katarzyna. Najwyraźniej spodziewała się zupełnie czegoś innego.

- Tak kochanie – potwierdził i zaraz dodał: By zrekonstruować twojego dziadka, a mojego ojca.

- Cooo?... – Zadałeś sobie tyle trudu, by... - nie wiedziała, jak sprecyzować zamierzenie, któremu poświęcił czas jej ojczulek.

- By odtworzyć figurę twojego dziadka Kazimierza – wyjaśnił.

Kasia ogarnęła wzrokiem wszystko, co przygotował jej ojciec i wzruszyła ramionami.

- Robisz się na starość dziwakiem. Po co ci to? Co chcesz zrobić z tym manekinem? Czyżbyś cierpiał na niedosyt własnych rzeźbiarskich aspiracji? I dokonać?... – uzupełniła, bo jeszcze do niedawna jej ojciec rzeźbił w drewnie. Nie pozwolił zabrać strażakom pnia zwalonej przez burzę w jego ogrodzie starej lipy, tylko poprosił ich, by mu ją porznęli na kawałki i przez całą jesień dłużył w nich postacie świętych, które oddał potem miejscowemu proboszczowi, by zdobiły teren pod jego plebanią.

- Nic z tych rzeczy. Moje zdolności rzeźbiarskie były na tyle wystarczające, by zrobić – jak mówisz – tego manekina, ale jednocześnie... na tyle mi ich zabrakło, by doprecyzować szczegóły. Musisz mi pomóc. Popracujesz zwłaszcza przy rekonstrukcji głowy, bo twarz wcale mi ojca nie przypomina.

No i najwięcej kłopotu przysporzyły mi dłonie. Ich wykonanie też powinno być precyzyjne. Te dłonie muszą być dłońmi tylko mojego ojca. Ciężkimi, owłosionymi na wierzchu, masywnymi, bo spracowanymi dłońmi o grubych i dosyć długich palcach. Dłońmi, jakie zapamiętałem dobrze, chociaż nigdy nie głaskały mojej głowy, nie przygarniały mnie do siebie, ale także nigdy ojciec ich na mnie nie podniósł.

Mówiąc to, miał także w pamięci inny ich widok. Jakże okrutny i bolesny, gdy po raz ostatni mógł ich dotknąć i złożyć na nich synowski pożegnalny pocałunek. Gdy złączone w sztuczny zaplocie palców przewiązanych różańcem spoczywały na jego torsie w dębowej trumnie. Zimne i sine,

co było oznaką wewnętrznego wylewu krwi do mózgu, i takie różne od woskowej bladości pośmiertnej twarzy.

- Jezu! Jaki ty Kazik jesteś ładny – niespodziewanie wówczas, żegnając się z nim przed zamknięciem trumny, westchnęła matka.

Sztuczne dłonie ojca wykonane zostały na bazie starych rękawiczek, z papieru i gliny. Z gliny, nie z gipsu, bo glina jest cieplejsza, a on nie chciał, żeby zawsze, gdy będzie dotykał dłoni ojca, przypominały mu ten widok z ostatniego z nim pożegnania.

Gdy przypatrywał się córce, z jakim zaangażowaniem Katarzyna zabrała się do prac rekonstrukcyjnych postaci dziadka, wydawało mu się, że widzi przed sobą przyszłą rzeźbiarkę: artystkę, która z niezwy-

- Cooo? – córka aż podskoczyła ze zdziwienia. – Wynagrodzić? Jak chcesz to zrobić?

Ojciec w milczeniu otworzył szufladę pełną przyborów do szycia. Wyjął z niej motek dratwy i grubą igłę.

- Gdybyś chciał to też mnie wynagrodzić, żebym chociaż teraz mogła posiedzieć na jego kolanach, nie zrobiłbyś dziadkowi sztywnych rąk – uczyniła mu wyrzut. – No, jak ja mu usiądę na kolanach? Jak? – pokazała na dłonie dziadka spoczywające na jego kolanach.

- Ty jesteś już za duża. Nawet za dorosła, żeby już siedać na moich. Pamiętasz, jak się obruszyłaś na spacerze rodzinnym po parku, jak chciałem cię wziąć za rękę?

- No wiesz? – Katarzyna wzruszyła ramionami. – Jakby to wyglądało?

- No właśnie. Ja też kiedyś stroniłem od czułości ojca. A teraz... mi jej brakuje.

- Będziesz mu siedała na kolanach? – nie zrozumiała go.

- Nie, no skądże. Ja też nie będę mu siedała na kolanach. Będę tylko z nim rozmawiała.

- Nie żartuj? – Córka spojrzała ojcu w oczy. – Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Nie kochanie, mówię to całkiem serio. Żeby nie czuć się samotnym, będę siedała naprzeciwko i pa-

trząc mu w oczy, będę mu o wszystkim opowiadała. Opowiem mu zwłaszcza o tym, czego wcześniej nie zdążyłem, a może nie umiałem mu opowiedzieć – wyjaśnił.

Gdy Katarzyna przyszywała dziadkowi nogi do korpusu, on wyjął z szafy przygotowane wcześniej stare ubranie ojca: ciemne, szerokie, powycierane na kolanach spodnie, kolorową, aczkolwiek mocno już wypłowiałą koszulę i ręcznie zrobiony przez matkę granatowy sweter.

- Mam też marynarkę mojego tatusia – użył zdrobnienia, jakby naprawdę poczuł się chłopcem – ale nie będziemy mu jej zakładać – zwrócił się do córki, która przyznała mu rację. – Tak tato. Dziadek marynarkę wkładał tylko od wielkiego święta. A tobie, jak rozumiem, chodzi o to, by był jak najbardziej naturalny.

- O, o właśnie, trafiłaś w sedno. O to mi chodzi. Dlatego zadbałem, aby znalazł się przy nim także ten stół. Wiesz? Jak kiedyś zawiozłem samochodem ciężarowym babci opał, zabrałem stół, przy którym siadaliśmy wraz z ojcem. Przy którym mój tatulek odpoczywał. Babcia chciała dać go porząbać i spalić... A przecież... on mi tyle przypomina.

- Rodzinny dom? Czy ty tato nie stałeś się zbyt sentymentalny?

- Tak uważasz?

- Nie zarzucam ci tego. Bo to także cecha artystów. A ty przecież takim się czujesz. Piszesz także książki.

- Mam nadzieję, córciu, że tobie też ta sztuka bycia artystką się uda. Twoja wrażliwość to nie tylko cecha odziedziczona po rodzicach. Pielęgnujesz ją w sobie.

- Dlatego cię rozumiem tato. I tę potrzebę zrobienia figury dziadka. Tylko wiesz co? On tutaj będzie się czuł... samotny, mając tylko ciebie.

- Tak sądzisz? Myślę, że nie. Mając mnie, samotnym nie będzie. To ja bez niego czułem się samotny – wyznał ojciec.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI



ką pieczołowitością dba o każdy szczegół dzieła. Która zapewne jak on, ma w pamięci postać prawdziwego jej dziadka i wszystkie czynności podporządkowuje tej zapamiętanej postaci.

- Tatusiu. Czy te nogi dziadka mają się zginać?

- Nie, kochanie. Jak widzisz, zrobiłem je na sztywno. A dlatego w zgięciu, bo dziadek będzie siedział na tym taborecie – podsunął pod stary, ale zadbane stół, ciężki taboret z kamiennym blatem.

- Będzie siedział przy tym stole tak, jak zawsze siedał w domu. Pamiętasz, jak dziadek po obiedzie opuszczał luźno dłonie na kolana, opierał się mocno stopami o podłogę i tak na sztywno zasypiał na stołku?

- Pamiętam. To było niesamowite. Do dzisiaj się zastanawiam, jak można tak było usnąć na siedząco i nie przewrócić się, nie spaść ze stołka – westchnęła Katarzyna.

- To była codzienna, poobiednia jego sjeستا. Pół godziny mu wystarczyło, by odpocząć – wyjaśnił ojciec.

- Ale teraz nie posadzimy go w ten sposób? – zapytała córka.

- Tak. Właśnie tak będzie siedział. Ręce tak wykonałem, by po ich przyszyciu do ramion, dłonie można było swobodnie ułożyć mu na kolanach.

- Rozumiem. Tylko nie będzie spał, bo ma otwarte oczy... - podzieliła się z nim nowym spostrzeżeniem.

- Teraz, gdy twój dziadek, a mój ojciec śpi snem wiecznym, u nas, w swoim pokoju będzie tylko czuwał. Będzie przypominał nam tego, z którym ja... - ojciec zrobił wyraźną przerwę, a następnie pokajał się – nie miałem nigdy wystarczająco czasu porozmawiać o jego życiu. I o swoim zresztą także – dodał.

Słyszając to, córka wymownie spojrzała na ojca: Tato, ty masz wyrzuty sumienia.

- A mam kochanie. Mam. Dlatego widzisz, zrekonstruujemy sobie mojego ojca, a twojego dziadka, by mu to teraz wynagrodzić.



Stanisław Chyczyński

ŻOŁNIERZ WYKŁĘTY -

MARIAN BERNACIAK „ORLIK”

Mógł zostać (strzelam:) pocztowcem, szoferem...
 Świadom przegranej mógł uciec na Zachód.
 Wybrał wojaczkę, sycąc głody szczere,
 żeby ubecję posyłać do piachu.

Kiedyś w Puławach, jak wysłannik boski,
 odbił stu więźniów! Nie oszczędzał broni:
 za miesiąc stoczył bitwę w Lesie Stockim,
 sztab wroga rozbił, a wojsko rozgonił.

Jeździsz na koniu, zważaj na podkowę
 (los daje znaki), nie śpiesz się do kuźni...
 Nasz szybki major zginął z własnej ręki,

gdy osaczono ich pod Trojanowem.
 Chociaż żył krótko, zdążył się wyróżnić
 wysokim lotem, bo „Orlik” – był wielki!

(STYCZEŃ 2014)

ŻOŁNIERZ WYKŁĘTY -

KRÓL PODBESKIDZIA

Kto na skrzydłach latał wokół kościoła?
 Kto multum wojaków do lasu zwołał?
 Kto wszystko postawił na jedną kartę?
 (Henryk Flame „Bartek”).

Kto w baranich lasach władzy złorzeczył?
 Kto w sennie oberży* oberwał w plecy?
 Kto w lampie zatopił spojrzenie martwe?
 (Henryk Flame „Bartek”).

Moment był dziejowy: trzęsienie świata!
 Naród tracił ducha, więc trzeba myśleć,
 że miała to zmienić... parada w Wiśle!

Czyje wyszło na wierzch? Kto miał po latach
 sztandary, honory, wojskową wartę?
 Henryk Flame „Bartek”!

(STYCZEŃ-LUTY 2014)

* Kpt. H. Flame został zastrzelony 1 XII 1947 r. w restauracji J. Czyłoka w Zabrzegu.

ŻOŁNIERZ WYKŁĘTY -

ZYGMUNT SZENDZIELARZ „ŁUPASZKO”

Chciał bić zaborcę, więc został ułanem,
 miał duszę wodza, dobrze robił szablą.
 Na sercu nosił Ostrobramską Pannę,
 aby go strzegła wrażym kulom na złość.

Major „Łupaszk” z Wileńską Brygadą
 nieraz dał łupnia olbrzymom z bezpieki.
 Świecił legendą, innym dawał radość,
 chociaż sam w gwiazdy patrzył jak manekin.

Biało-czerwoną trzeba w okupację
 życiem okupić... Może przeczuł werdykt,
 kiedy w Osielcu miał „Lalę”^{*} przy sobie.

Strzał w potylicę – to sowiecki akcent
 na huczny finał. Gdy poskromił nerwy,
 kolegom z celi, rzekł – „Z Bogiem, panowie”.

(LUTY 2014)

* Lidia Lwow „Lala” – sanitariuszka, narzeczona mjr. Szendzielarza, aresztowana razem z nim w Osielcu (k. Makowa Podhalańskiego) w czerwcu 1948 r.

ANTYSONET (III)

Śp. Józefa Franczaka

Świat nie jest czarno-biały, jak, powiedzmy, tałes.
 Wiedział o tym filozof, jeden z pierwszych – Tales.
 Śmierć zajrzała mu w oczy, kiedy wpadł do studni.

Miał swoje „pięć minut”, chociaż nie miał „stu dni”.
 Ponoć go wyciągnęła sprytna służka z Tracji.
 Szczęśliwym jest uczony, kto szczęścia nie stracił.

Jeden przeżył, dwóch zmarło – to dla sądu: zaszłość.
 Szczęście jednemu weszło, ale drugim – zaszło.
 Cnota jest najważniejsza, jak powiadał Tacyt.
 Lecz któż ją może dostać na złoconej tacy?

Czasem szczęście zawodzi, jak rzewliwy śpiewak.
 Zawsze znajdzie się zdrajca, który COS wyśpiewa.
 Stały pod latarniami malowane lale,
 kiedy gdzieś pod Lublinem konał w trawie „Lalek”...

(29 WRZEŚNIA 2018)

ANTYSONET (V)

Komu się chciało rzeźbić tak misterne stalle?
Pytanie, niczym inkluz, wraca do mnie stale,
ilekroć tutaj siedzę, za niczym nie gonię...

Może mnie tu namierzy jakiś boski goniec?
Może mi wyklaruje, że IMIĘ ma wartość,
że warto się narodzić i że umrzeć warto.

Czy Sparta знаła litość, skoro straszył Tajget?
Czy jakiś nasz katorżnik mógł pokochać tajgę?
A czy WTEDY Baczyński zdążył poczuć Sierpień,
kiedy krew zasychała jak ten sok na sierpnie?

Niedosyt i niedożyty pchają się na talerz,
ale wcinaj z umiarem! – głosił brodacze Tales.
Myśli skaczą do przodu, pamięć toczy się wstak.
Zatem: nie boli mnie ŻE, ale boję się – JAK!...

(21 GRUDNIA 2018)

ANTYSONET (IX)

Stary uczeń Skinnera, ramol głodny zwierzeń,
raz na tydzień próbuje odkryć w tobie zwierzę.
Najważniejsza jest – twierdzi – niecnym myśli banda.

Co czujesz, kiedy widzisz zakrwawiony bandaż?
Co widzisz, kiedy czujesz ścieg zaszytych powiek?
Nie marudź, nie bałamuć, śmiało nam to powiedz!

Czy skłamiesz przeciw siostrze, w sądzie, jako powód?
Żeby kogoś pchnąć nożem, czy musisz mieć powód?
Czego życzysz sąsiadom, których zżera pycha?
Czy na widok podrobów myślisz „ale pycha!”?

Czemu drżysz, gdy z kinola cieknie komuś farba?
A czy krew w przyborniku to jest dobra farba?
Każde proste pytanie skrywa w sobie awers,
lecz wariograf zwariował. Jesteś sobą. A więc!...

(9 STYCZNIA 2019)

WYKŁĘCI JAK KONFEDERACI

Politycy się kłocą: byli źli czy dobrzy?
Komu wiernie służyli, więc Sprawie, czy obcym?
Historycy nie wiedzą, czym były ich grzechy?

(Kogoś zdążyli zgorszyć, lecz kogoś ucieszyć...)
Słabo znacie osnowę, panowie od wiedzy.
Wiem, jacy „tamci” byli, bo Dziadek nie przeżył.

Więc rycerzy Maryi okrzyknięto zgrają
straceńców i szaleńców, którzy bili Żydów.
Po ich leśnej mogile kica sobie zając,
a my te duchy chcemy rozliczać ze wstydu.

Więc żołnierze wykłęci też mieli ryngrafy,
chowali się po lasach, krwawili po drogach.
Za orła Niepodległej ich także szlag trafił,
a my dzisiaj pytamy, czy musi być – Droga?!...

(24 MARCA 2023)

Joanna Sendłak

ZMIANA (FRAGMENT TEKSTU)

Nie lubię udeptanych dróg, życie wymyka się nazwom. Obserwuję świat z wnętrza siebie, ostrożnie, żeby nie spłoszyć myśli. Rzeka, na którą patrzę kiedyś wyschnie, a drzewa stworzą most albo woda wyleje i drzewa znikną. Tymczasem tramwaj wodny w kształcie trumny spokojnie płynie na drugi brzeg.

Okno satelity widzi piramidy w kształcie „zębów smoka”, pod nimi leżą ciała najemników prywatnej rosyjskiej armii. Dla władzy agresja stała się środkiem manipulacji. Bestialstwo przywarło do morderców nicyzmu łuska.

– Kochanie, nie uwierzysz ilu ich zabiłem – mówi mąż na przepustce. – Kochanie, zgwałciłem tylko kilka dziewczynek, były podobne do ciebie. – Ach, to cudownie, zrobiłeś to dla mnie, dla ojczyzny, dla „Najwyższego”. Kiedy wyptacą żółd, kupimy nowy samochód, futro, pralkę, dom, marmurowy nagrobek dla bohatera. Będę cię odwiedzała w drodze na daczę.

Walczę z lękami, nienawiścią, bezwładem. Umysł kluczy i oszukuje, ciało słabnie i odzyskuje wigor. Nie przejdę mostem na lepszą stronę, nie ucieknę niemocy. Jednak idę w miarę prosto, po swojemu. Mój ślad zmieni się w szkielet czyjegoś wspomnienia, potem zniknie i stanę się wolna.

„To nie zbrodnie, jeśli masz z tego ubaw” – napisał ktoś na ścianie domu we wsi Wetyka Komyszuwacha. Napis widzieli ci, których zdegradowano do bycia podnieętą psychopatą. Dzięki nim morderca czuł rozkosz gdy wdychał cudzy strach. Zlizywał z ofiar lęk i stawał się jednym z tych, którzy krzywdzili jego.

Dźwiga młot, przez chwilę odbił w metalu współczuje sobie, i w akcie łaski uwalnia ofiarę od życia.

Na ulicy leży kobieta w zielonym swetrze. Patrzy, ale nie widzi. Stońce błyska w wystawie. Wyszła ze sklepu, upadła, a zakupy uciekły z siatki. Ktoś wzywa pomoc. Kuliste bułki biegną chodnikiem. – Mieszka w tym domu, dziś ją widziałam – mówi sąsiadka. Słowa cichną owinięte sygnałem karetki. Zabieram psa i odchodzę w białe światło dnia.

Rano do autobusu wsiała śmierć. Nosi buty na obcasie, jej twarz ostaną maska z dziobem ptaka, w rękę trzyma kosę, rękojeść owinięta plastrami lekarskim. Czarna postać ginie w skórzanym płaszczu, oczodoły zakrywa kapelusz z szerokim rondem. Przegląda smartfona, szuka czegoś uparcie. Adresu? A jeśli pomyli przystanki? Zerkam ukradkiem. Jest kobietą czy szczupłym chłopcem? Wstaję i wysiadam, a śmierć jedzie dalej.

Rosjanie wysyłają do walki „piechołą jednorazowego użytku”, poborowych z Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej, resztki Grupy Wagnera. Są znieczuleni amfetaminą, walczą nawet gdy zostaną ranni. Kto im powie, że są martwi?

W trawie pełznie ranny żołnierz. Nie zastanawia się nad przyczyną istnienia zła, trzyma palec na spuście broni. Świat pęcz-

nieje i gnije, pali się lub tonie w zachłanności. W danej chwili nie umiemy żyć bez nienawiści.

Według Junga ludzie nie zdają sobie sprawy, że walka toczy się w ich wnętrzu, dlatego każdy oskarża drugiego o fałsz. „Jeśli połowa ludzkości jest w błędzie, to w każdym człowieku połowa jest w błędzie, ale nie widzi on rozszczepienia w swojej duszy, które przecież jest źródłem zewnętrznego zła.”¹

Zrozumienie nie jest rozwiązaniem. Pożądany jest akt woli czynienia dobra.

Kobietę z Krakowa tropiła policja bo użyła tabletkę wczesnoporonną. Policjantki osaczyły ją niczym delfiny strzegące wejścia do strategicznego portu. Bojowe ssaki gryzą i odpędzają nurków w zamian za smakołyki, a policja i partyjne młodzieżówki służą wodzowi, który w nagrodę, prócz dóbr doczesnych, obiecuje błogostawieństwa, w imię najwyższych wartości, które okazują się zrobione z tombaku.

Są tacy, którzy wierzą w istnienie duchów. Dzisiaj w zaświatach panuje tłok, brakuje prywatności. Łatwiej o samotność w świecie żywych. Gdy śnimy zmarłego, który ma kłopot, zakładamy, że mówi prawdę. W żadnym razie sen nie wydaje się nam projekcją lęków czy tęsknoty. Widząc we śnie osobę żywą, której dusza okryta jest ciemnością, przysuwamy do snu lustro i sprawdzamy czy powierzchnia zajdzie mgłą, po obudzeniu ślad znikną i wraca rozsądek.

Jeśli ktoś zabije wroga, jego duch pójdzie za nim i zabierze połowę życia. Wychępcze radość niczym krew i nie pomoże transfuzja lub zmiana tożsamości. Tylko w takich chwilach czujemy wagę przemijania, ciężar każdej myśli odkładają się w nas, by pod koniec przysięgnąć do ziemi nasze istnienie.

Ludzie w Izraelu od miesięcy walczą o wolność sądu. U nas minister sprawiedliwości utaskawia osobę, która wyrwała komuś „tęczową” torbę. – To niesnaska, nie doszło do rozboju – oświadcza. W homofobicznym murze zamurowano okna, a drogą spacerują neofaszyści. Przedstawiciele władzy zmienili szczyrki na piły mechaniczne i odmawiają ponoszenia konsekwencji własnych decyzji.

Zielona poczekalnia szpitala przypomina wnętrze autobusu. Na krześle siedzi dziewczyna. Nosi siatkowe rajstopy, czarne szorty i top na ramionkach. Ma białe-czarne dredy, kolczyk w nosie i w ustach. Przyprowadziła chłopaka z raną na głowie. Siedzi półnagi, w dresowych szortach i glanach. Długowłosa, długobroda, do rany przyciska mrożonkę truskawek. Gdy do poczekalni zagląda dwóch kolegów, teatralność gęstnieje. Noszą obcasy, powiewają tęczowym wachlarzem, tym rozsierdził kibiców Legii. Ten, który kopnął leżącego w głowę, szedł na mecz z pięcioletnim synem. – Przecież mały patrzy! – wołała dziewczyna. – Niech się uczy – chce tamten i mocniej kopie leżącego. Wezwali policję. Napastni-

ków spisal i puścili. – Nie szukam zaczepki, ale mam długie włosy, jestem wysoki więc mnie biją.

– Czy to scena z Hair? – myślę. Film powstał dawno temu. Po liberalnym rozprężeniu społeczna polaryzacja wzrosła. Dziś ci, którzy przywracają pseudoład, czują przyzwolenie z góry, zawiść wsiąka w dusze i karmi nienawiść. – To mili, młodzi ludzie. Jak można atakować kogoś tylko dlatego, że się inaczej ubiera? – szepcze kobieta w kwiecistej sukience, która przyszła z chorą matką. Zastanawiam się co by powiedziała gdyby przed nią siedział ranny kibic Legii w towarzystwie pięcioletniego syna?

– Podobno dziś Rosjanie niszczą porty na Ukrainie, żeby zablokować transport zboża – mówi ktoś na korytarzu.

Nienawiść ma wiele kolorów, jak tęcza.

Liberalizm zakłada wolność wyboru wyznawanej religii. I nie wszyscy liberałowie są ateistami. To prywatna sprawa, podobnie jak decyzja o aborcji lub kwestiach światopoglądowych. Gdy władza pożera wolność decyzji i podgląda ludzi okiem Wielkiego Brata, nadzieja na wolność znikła. Jednak liberałowie i prawnicy w pewnym zakresie wyznają te same wartości: kochają, pragną dobra i prawdy. Gdy walczą o wartości różnymi środkami, wzniecają muł na dnie bagna, co sprawia, że drapieżnicy kęsa się na oślepu.

Kiedy rzeczywistość skrzypi, myślę o iluzji marmuru w galerii Barberinich stworzonej pędzlem konserwatora. Pamięć tworzy cień życia.

Rosjanie atakują Odessę, trafili w cerkiew. Rzecznik Kremla zapewnia, że Rosja nigdy nie atakuje obiektów infrastruktury społecznej, zwłaszcza religijnej. Do tekstu przykładam lustro, ale nie znajduję ukrytego sensu, poza furją i zachłannością.

Jung szepcze: „Wszystkie twoje myśli istnieją tak samo poza twoją jaźnią, jak drzewa i zwierzęta istnieją poza twoim ciałem”.² Czy to prawda?

Gdy miałam trzy lata byłam wożona motorem. Siedziałam na baku ubrana w niebieski kask wystany dermą. Trzymałam kierownicę, ale za każdym razem, gdy kierowca używał sprzęgła, uciskał mój palec. Milczałam. Pęd powietrza, zapach pól, drżenie pojazdu na kocich łbach, były ważniejsze od sekundy bólu. Koszono zboże, kobiety układały snopki na drewnianych szkieletach, za nimi szły poważne bociany. Łąki oddychały mgłą. Wracające z pastwiska krowy kołysały bułkami wymion.

Mieszkałam przy młodziaku. Ojciec w piaszczystej skarpie wyrzeźbił schodki. Kto dostał od losu chłodne stopnie? Młodziak szeleścił igliwem. Zbierałam maślaki, grzybyki śliskie, które brudzą ręce. Pchałam kosz na skraj lasu. Nocą po pokoju chodził jeź. Dziś na spodeczku nie ma kropelki mleka, wszystko wychęptał czas.

Na ekranach kin „Barbie”. Małe dziewczynki w napadzie szału roztrzaskują lalki

¹ Carl Gustav Jung „Czerwona księga”, wyd. Vis-ŕ-vis Etituda, Kraków 2022, s. 211

² Ibidem s. 197.

o skały. Po pięćdziesięciu latach wstrzykują sobie botoks gdzie się da. Tymczasem Barbie dorasta i dostrzegła sztuczność ludzkiego świata. Dawniej nie bała się śmierci. Ale manipulacja, zwłaszcza w sprawach męskodamskich okazuje się ponadczasowa.

*
Chciałabym jechać na Marsa, na Kretę, dryfować po Atlantyku na tratwie razem z psem i żywić się rybami, tymczasem maluję półkę. Barwa odmienia przestrzeń, płynę do brzegu w szalupie pokornej duszy.

*
Chwytam skrawek czasu, przypomina konary krzewów rosnące na polanie w parku Skaryszewskim, gałęzie płaczą się na podobieństwo wielowątkowych fabuł. Kilka godzin pracy zwija się w ciszę. Lato rozsiewa na niebie piszczące jaskółki. Drży obłok szpaków. Granat przeistacza się w zapach mokrego asfaltu. Ptak wlatuje do kuchni i kradnie orzech. Dzień przygasa. Niedługo pęknie nitka, na której wisi świat, jeszcze chwila.

*
Gdyby dni nawleczone na oś czasu skleity się niczym suszone podczas deszczu grzyby, okazałyby się, że przedmioty kupione w ciągu życia zalepiają umysł. Biegnę przy ziemi niczym polna mysz, ale ona gromadzi by istnieć, ja wyniosę na śmietnik pragnienia.

*
Żeby spokojnie myśleć, potrzebuję wewnętrzne oddalenie. Samotność jest przestrzenią. Niektórzy szukają wolności we wspólnym przeżywaniu. Dialektyka absolutnej miłości porwya. Modlący się w Lizbonie i bawiący się na rokowym festiwalu szukają wolności. Manifestacja absolutu ukrywa się

za różnymi formami kultury. I jedni i drudzy gdy oddają się zdarzeniu większemu od nich, na ułamek chwili wykraczają poza siebie. Czy dotkną prawdy?

*
Dziś w centrum miasta, na drzewie znalazłam kartkę z nadrukowaną trupią czaszką. Ostrzega przed szkodliwą sztuczną inteligencją. Wielkie koncerny monitorują nasz mózg za pomocą cybernetycznych potłuczeń. Patrz na świat naszymi oczami i słuchuj przez nasze uszy. Wcześniej rozpylili nano-pył, lub podczas szczepienia wstrzyknęli nam urzędzenia nadawcze.

*
Rozglądam się, nikt kartki nie czyta. Na wszelki wypadek kłaniam się tym, którzy mnie widzą na wskroś, a po powrocie do domu czytam „Cmentarz w Pradze” Umberto Eco, niech wiedzą, że strach i głupota od wieków są domeną wyłącznie ludzką.

*
Łatwiej byłoby żyć w przejrzystym świecie. Ale są tacy, którzy twierdzą, że „białe jest czarne, a czarne białe”. Rozmontowana demokracja przekrzywiła się i zgrzyta. Obywatele nie powinni przeszkadzać władzy. W przeciwieństwie do mieszkańców UE, są wolni, mogą w lasach zbierać grzyby!- mówi szef partii rządzącej, a minister zdrowia toczy religijne krucjaty i ujawnia wrażliwe dane pacjentów. Słowo niewiele znaczy, jest tylko znakiem, ale wolność leży głęboko w nas.

*
Nienawiść, zawiść, zazdrość, negatywne uczucia wykoślawiają horyzont zdarzeń. W krzywym zwierciadle uczciwość to synonim głupoty. Nikt poważnie nie traktuje osoby, która mówi prawdę. Gdy zachanność wyczuje słabość gryzie bez litości. „Jako adwersarz i antagonistą diabeł jest twoim

własnym, odmiennym punktem widzenia, kimś, kto cię próbuje i kusi, i kto rzuca ci kłody pod nogi tam, gdzie się tego najmniej spodziewasz.”³ – uważa Jung. Nie nazwałabym podświadomości diabłem, ale każdy z nas nieustannie walczy z ze swoim cieniem i bywa bezradny.

*
- Co wybrałaś, Istoto? - pyta Demiurg i wyjaśnia:

- W zielonym pudełku jest nudna praca, w czerwonym sława lub nędza, ale tego nie możesz przewidzieć. Pamiętaj, znam twoje pragnienia, nawet te, o których nie masz pojęcia. Jeśli otworzysz obydwie pudełka, opróżnię czerwone i wszystko stracisz. Zastanów się, wybierz zwykłą pracę – radzi.

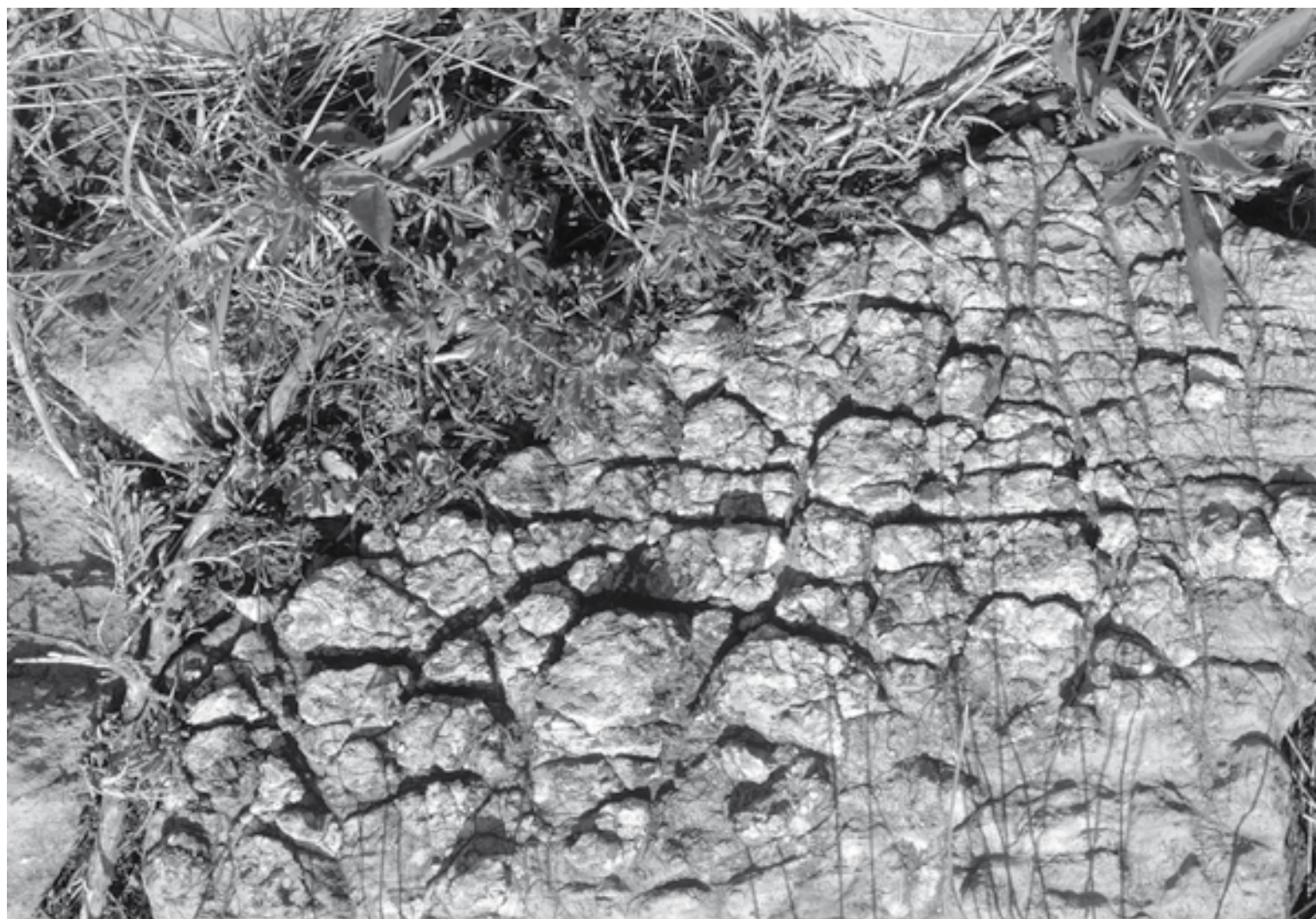
*
Nie wiem co robić, Demiurg czuje wahanie i mówi z wyższością:

- Masz sprzeczne pragnienia, nie zaplanujesz działania, które natychmiast doprowadzi do najlepszego rozwiązania. Nie można mieć wszystkiego! W realnym świecie są kompromisy. Tylko w sztuce liczy się odwaga!

*
We śnie widzę słoneczne miasto. U podnóża ulic okrągła fontanna. Zieleń w chłodnym odcieniu skrzy się plamkami światła. Patrzę na domy. Po obudzeniu opowiadam sen, by nie uleciał jak balon. Przywołuję kształty ulic, placyków, drogę do znajomych miejsc. Kiedy kończę, rozumiem, że nadal śnię. Rano budzi mnie słońce. Zapisuję sen i zastanawiam się czy nadal śnię? Jak to rozpoznać?

*
JOANNA SENDEK

³ Ibidem, (Jung) s. 227.



Maciek Froński

Opowieść o dwóch miastach

Między Pragę a Lwowem gdzieś w drogi połowie
Minęły się powozy ponaglone deszczem,
Lecz co było we Lwowie, zostało we Lwowie,
A to, co było w Pradze, trwać by chciało jeszcze.

Czy zadziwić się temu poeta powinien?
Lwów nie ma w sobie czegoś, co by miała Praga?
Opuszczony nam tylko zostaje gościniec,
Na którym to nie prawda, lecz gałąź jest naga.

BIELSKO-BIALA, 1-4 PAŹDZIERNIKA 2024 ROKU

Śmierć w Piekarach

Od zachodu, od Śląska, z daleka,
Idzie śmierć – już dochodzi do Piekar,
Drogi dawno już za nią połowa,
Lecz nie zajdzie na noc do Krakowa.
Może choć na Bielany? Ach, gdzieżby!
Śmierć się smuci, a razem z nią wierzby.
Coś ją w piersi boleśnie dociska,
Jeszcze słońce niechętnie przebłyśka.
Może chociaż do Tyńca? Jest rzeka...
Przyjdzie zniżyć się śmierci do Piekar.

A w Piekarach - tu trochę się wzniosę –
Któżby głowę nachylił pod kosę?
Życie śmierci kto w darze przyniesie
W ten październik czerwony, w tę jesień?
Idzie księżyk – to będzie on chyba,
Na bezrybiu – jak mówią – rak ryba.

BIELSKO-BIALA, 14 PAŹDZIERNIKA 2024 ROKU

Astrid i Tove

Astrid i Tove kupiły pół litra,
Płaciła Astrid, bo Tove jest chytra,
I z tej połówki nawet nie połowę
Wypiła Astrid, całą resztę – Tove.
Kurczę, czy wyjdę na wielkiego chama,
Jeśli zapytam, skąd ta dziwna sztama?
Odpowiedź sama w głowie się wylęga -
Tak to już bywa w tych polarnych kręgach.

BIELSKO-BIALA, 20-30 PAŹDZIERNIKA 2024 ROKU

Port przeinaczenia

Kursem, którego nigdy nie zmieniam,
Płynę do portu przeinaczenia,
A port, z którego wyszedł przed laty,
Za oceanem już lodowatym.

Wokół mnie tafla sina, szeroka,
Z rzadka się trafia niedźwiedź lub foka,
Czasem Eskimos, tfu, Inuita
W swoim narzeczu o coś mnie pyta,
Więc odpowiadam niedbałym gestem,
Że nie rozumiem, lecz wiem, gdzie jestem.

Bywa, że morze burzy się wokół,
Z wolna zmieniają się pory roku,
A oto, proszę, co? Na kotwicy
Odpoczywają wielorybnicy.

Czy sam odpocznę? Nie pora jeszcze,
Mnie co najwyżej orzeźwią deszcze,
A zatem kursem, co się nie zmienia,
Płynę do portu przeinaczenia.

BIELSKO-BIALA, 22 GRUDNIA 2024 ROKU

Na Piazza San Marco

Na Piazza San Marco świeżutki śnieg leży,
Maszerują po nim dwaj karabinierzy.
W czarnym kapeluszu, takiejż pelerynie
Ślad odciska jeden z drugim karabinier.

A że to poranek i nikt nie wstał jeszcze,
Omiatają wzrokiem tylko pustą przestrzeń;
Choćby jeden człowiek, a nawet połowa...
Niechby tak ze schadzki wracał Casanova

Czy Carlo Goldoni z łóżka się gramolił
Lub Paweł Muratow śpieszył ku gondoli...
Pusto! Cicho! Biało! Lecz czy dziwnie? Wcale -
To już ponad tydzień jest po karnawale.

BIELSKO-BIALA, 4 STYCZNIA 2025 ROKU

Karczma na rozstaju

Ja:
 Jadę gościńcem, trzęsie powozem,
 Wtem studnia, karczma, krzyż na rozstaju,
 Gdzieś z tyłu głowy słyszę dwa głosy,
 A może tylko tak mi się zdaje?

Diabeł:
 Gdy myśli ciężkie i niewesołe,
 Gdy niepodobna zaradzić smutkom,
 Wstąpże do karczmy, usiądź za stołem,
 Wnet Żyd brodaty podbiegnie z wódką!

Anioł:
 Zostań w powozie, mój przyjacielu,
 A wódki nie pij! Zeszłej niedzieli
 Już ją podano – na tym weselu,
 Po którym młody młodą zastrzelił!

Diabeł:
 A tam, gadanie! Wiatr polem goni,
 Deszcz tnie, ostatnie liście ucapił,
 Szkoda woźnicy i szkoda koni,
 Wstąpże do karczmy, wódki się napij!

Anioł:
 Nie pij! Wóz utknie w błocie po osie,
 Więc ani nawet się nie zatrzymuj!

Ja:
 Dobra, nie staję, wódkę mam w nosie
 (Mam czy też nie mam – dałem dla rymu).

KATOWICE, 30 MARCA 2012 ROKU – MIKOŁÓW, 9 LISTOPADA 2012 ROKU

Przedwigilijny dwugłos na ulicy

Pan z jodłą:

Umie być życie czasem podłe,
 Nie ma co płakać, tak już jest,
 Więc tę kaukaską dźwigam jodłę,
 Choć już mnie ramię boli fest,
 Z zazdrością tylko na tych zerkam,
 Co świerki wzięli w ręce swe...
 Ach, czemu nie kupiłem świerka?
 Jest lżejszy, o tym każdy wie!

Pan ze świerkiem:

Bywa, że zdarzy się usterka,
 Bywa, że nawet większy błąd...
 Nie zdjąłbyś ze mnie tego świerka,
 Panie, dał poczuć radość Świąt?
 Cóż, Pan jest głuchy na me modły,
 Zatem się, Jego wolo, dziej,
 Lecz czemu nie kupiłem jodły?
 Ważyłaby połowę mniej!

KATOWICE, 16 GRUDNIA 2012 ROKU

Zofia Maria
Smalewska

WYSPA NADZIEI

Płynę przez życie na moją własną Wyspę Nadziei
na ten skrawek Edenu bliski memu losowi
Tam stanę na utwardzonym gruncie dowodów
szukając wyjaśnienia mojego przeznaczenia
Do tej wyspy innych dróg nie ma
muszę dopłynąć – to jedyna droga

Na tej wyspie rosną krzewy cierniowe
uginające się od owoców cierpienia
rośnie też drzewo prawdy i drzewo domysłów
– są strzeliste jak topole koło mego domu
Te na wyspie to drzewa współczucia i zrozumienia

Dopływam staję na brzegu toń wody przejrzysta
Naga i bosa stąпам po ostrej trawie stepu prawdy
przede mną pole problemów a za nim
dolina zwątpienia – Zwątpienie wiatr rozwiewa
Widzę jak moje odbicie rozmywa niepokój fali

Wyspa jest bezludna ale na piasku widać ślady
To stopy dzieci i osób dorosłych
To z tej wyspy odchodzą bezpowrotnie
duchy istnienia – czy na pewno trafiłam dobrze
Zanurzam się w topieli decydując się na powrót
ale czy zdołam raz jeszcze powrócić do domu

Wiersz powstał na początku września 2024 r. przed zabiegiem operacyjnym usunięcia złośliwego raka, który po raz trzeci zaatakował autorkę

KRWAWY KSIĘŻYC

Dzisiaj *krwawy księżyc* znalazł się w objęciach Ziemi
Rozpoczęła się złota jesień kradnę jej cenne minuty

Mój czas posklejany z okruchów starych zegarów
dotyka pomału mijającego stulecia
Zamykam go w myślach i starych albumach
Czuję się jak złodziej – *krwawy księżyc* oświetla mi drogę
Co ukradnę to moje – Chcę pogodzić się z jutrem

Listonosz nie wrzuca już listów do skrzynki
Odruchowo staję na palcach zaglądam mając minę
zawiedzionej dziewczynki – ten czas już nie wróci
Październik pochmurne niebo tak blisko naszej Ziemi
i *krwawy księżyc* – przyjaciel kochanków

Mój czas ucieka przewracam go na lewą stronę
drwię i ponaglęm moje spóźnione szczęście
Przykładam palec do szyby która wydaje się płakać
odchylam powieki okiennic i sprawdzam czy można inaczej
Na przekór losowi zapraszam do tańca swoje dłonie

Bosymi stopami wystukuję rytm dziesiątek
własnego różańca Zapraszam *Księżyc* który podgląda
jak z uporem maniaka kradnę czas jesieni
Jak wciąż kosztuję smaki swojego żywota
z nadzieją by nadal trwały przede mną

17 PAŹDZIERNIKA 2024

NA PRZEKÓR LOSOWI

Wiersz jest dla mnie lekiem - leczy duszę i serce.
Czytając, wzruszam się lub śmieję,
sercem już nie targa żadna boleść,
zadra z powodu choroby staje się wspomnieniem.

Co z tego, że to mnie dotknęło,
wzięło się z losu - niech los to odmieni.
To nic, że nie mam tego, czego bym chciała.
Wiersz daje mi miłość, jest ze mną wszędzie.
Osiągam z nim szczyty i radość – promienieję.

Nie byłam w niebie, raju też nie znam,
Nie wiem, jak wygląda Eden - pokochałam ziemię.
Tu moja dusza odnajduje spokój.
Wiersz sprawia, że wiatr ustaje, jaśnieje niebo.
W sercu znajduję rozkosz i nadzieję.

Nie jestem zimna ni zbyt gorąca.
Jestem spokojna jak za horyzontem zachodzące słońce.
Wczoraj targały mną złe uczucia,
byłam jak ogień, płonęłam w rozpacz,
łzy niczym rosa lęły się na rzęsach.

To było wczoraj, gdy mi brakło wiersza.
Noc mi go przywróciła, wróciłam na ziemię.
Moje serce znów miarowo uderza, piszę wiersz,
gram nutami słów - rozplływam się w marzeniach.

GDAŃSK, MAJ 2024

SERCE JAK ZEGAR

Kochanemu mężowi - poecie

Życie daje mi w kość
tyle marzeń wyzwania radości
ale i trosk
dobre już było nie pragnę złego
los to inaczej całkiem ocenia
mosty spalone zburzone domy
wraz ze mną cierpi kochana ziemia

serce wciąż bije staje przyśpiesza
mój zegar życia jest niemiary
ludzie dochodzą skądś dokądś wciąż idą
budują tworzą
by potem zburzyć zniszczyć zapomnieć

ludzie jak mrówki ptaki - zwierzęta
nie – co ja piszę – gorzej od zwierząt
ludzka nienawiść przebija wszystko
a ja jestem leń - po prostu poetka
która chodzi ścieżkami myśli
podziwia przyrodę
piękno natury - dzieło od Boga

Bóg tandety nie tworzy
Nieodczytane do końca DNA mojego życia
trwoga zerwane łańcuchy wydarzeń
to tylko los pisarzy - mówią dar Boży
wiem na pewno na ustach moich wiersz
łagodzi ból wynagradza

by dalej żyć i kochać na przekór wszystkiemu

KARTUZY, MAJ 2024

Roman Warszawski

Na Taquile można dostać się tylko łodzią. Na wyspie nie ma lotniska i właśnie chyba tylko to uchroniło ją przed inwazją intruzów. Liczba osób, które tam docierają, ograniczona jest rozmiarami niewielkich motorówek. Na jakieś stateczki, czy promy przewoźnicy na razie nie mają pieniędzy. To dobrze. Oby było tak jak najdłużej. Dzięki temu Taquile ma szansę – przynajmniej jeszcze przez jakiś czas – pozostać tym, czym jest: skromnie urządzonym rajem – czyżem? – na końcu świata.

którzy do Puno przytłynęli na zakupy i teraz wracają do siebie, na Taquile postanowiło się wybrać kilku ciekawskich *gringos*.

Z wód jeziora wyspa wyrasta długim, obłym garbem. Brzeg jest stromy, ostro pnący się w górę, na pierwszy rzut oka widać tylko kamienie i starannie utrzymane tarasy uprawne. Można odnieść wrażenie, że kreskami ułożonymi ze skalnych odłamków ktoś (jakiś szalony geograf?) postanowił zaznaczyć na wyspie warstwicę, identyczne jak te, które ręka kartografa rysowuje na dokładnej mapie. Ale nie jest to tylko sztuka dla sztuki. Tu, to po prostu konieczność życiowa. Bez tego przy tak dużym nachyleniu terenu, na wyspie nie powiodłaby się uprawa niczego. A rolnictwo – oprócz sztydekowania – to główne zajęcie Taquileños.

Jeśli są uprawne tarasy, muszą być i lu-

wami niż w Gdyni, w Puno, czy w Cuzco. Oko nie ma się na czym oprzeć, zatrzymać. Chaty, których nikt nie wznosi tu w jakimś skupieniu, lecz które są luźno porozrzucane po całym *plateau*, zlewają się z tłem i na pierwszy rzut oka przypominają kamienie, z których tu składa się dosłownie wszystko. Nie ma tu też jakichś wytyczonych ścieżek i chcąc poruszać się po tym labiryncie bez ścian, trzeba po prostu skakać z kamienia na kamień. Nie ma żadnych słupów telegraficznych, nie można też orientować się po drzewach, bo tych – z uwagi na wysokość – też nie ma. Miejscowi natomiast wyczuleni są na każdy niuans krajobrazu – na to, czego przybysze z zewnątrz w ogóle nie dostrzegają. Dla nas wyspa w każdą stronę wygląda tak samo. Żeby było inaczej, trzeba by chyba tu się urodzić.

SZCZELINA Z KAMIENIA

1.

Wyspa leży między Peru a Boliwią, otaczając ją wody największego żeglownego jeziora świata – Titicaca. Jest długa na pięć kilometrów, a jej szerokość przekracza trochę ponad kilometr. Z lotu ptaka (widziałem!) wygląda jak wydłużone, tępo z obu stron zakończzone wrzeciono. Z oddali, z poziomu jeziora (widziałem i to kilkakrotnie!) przypomina w połowie zatopione skrzypce.

Te kształty – z góry i *en face* – to jakby jej wizytówka. Jakby jej najbardziej charakterystyczna istota utrwalona w jej obliczu. Zamieszkujący ją Indianie, Taquileños, na terenie południowoamerykańskich Kordylierek są bowiem największymi mistrzami sztydek i wrzeciona. Są też miłośnikami muzyki, na której tworzenie potrafią poświęcać po kilka godzin dziennie. Co prawda skrzypiec, ani nawet gęśli nie znają, ale posługują się całą gamą innych instrumentów – harfami, bassetkami i nieodznymi w Andach fletnikami. To, najprawdopodobniej, najszcześniejsi Indianie Ameryki! Jeszcze szczęśliwsi niż Wajwajowie, o których w książce „Spotkałem szczęśliwych Indian” pisał kiedyś Arkady Fiedler. Nie dali wciągnąć się w cywilizacyjny kotwórt, w którym znajdowałby się na z góry straconych pozycjach. W swych siedzibach zagubionych dostownie (dosłownie!) między niebem a ziemią, to co robili przez wieki: poszukują szczęścia i spokoju. Albo na odwrót.

2.

Właśnie do nich płyniemy. Żeby między niebo, a wodę się dostać, trzeba odbyć przeszło czterogodzinny rejs łodzią, których kilkanaście codziennie wypływa z wysokogórskiego portu w peruwiańskim Puno. Miasto położone jest na wysokości 3600 m n.p.m. i mimo że jest stąd dość blisko do równika, przez większą część roku panuje tu niezwykle surowy klimat. W nocy, nawet w środku lata, temperatura potrafi spaść do kilku stopni poniżej zera; zimą, która jest zwykle sucha i bezchmurna, przez kilkanaście tygodni dmą tu wiatry ostre jak brzytwa (choć brzytwy nikt tu nie używa, bo Indianie nie mają zarostu). To powód dla którego na pokładzie motorówki piętrzą się puchowe śpiwory. Bo oprócz Taquileños,

którzy do Puno przytłynęli na zakupy i teraz wracają do siebie, na Taquile postanowiło się wybrać kilku ciekawskich *gringos*. Z wód jeziora wyspa wyrasta długim, obłym garbem. Brzeg jest stromy, ostro pnący się w górę, na pierwszy rzut oka widać tylko kamienie i starannie utrzymane tarasy uprawne. Można odnieść wrażenie, że kreskami ułożonymi ze skalnych odłamków ktoś (jakiś szalony geograf?) postanowił zaznaczyć na wyspie warstwicę, identyczne jak te, które ręka kartografa rysowuje na dokładnej mapie. Ale nie jest to tylko sztuka dla sztuki. Tu, to po prostu konieczność życiowa. Bez tego przy tak dużym nachyleniu terenu, na wyspie nie powiodłaby się uprawa niczego. A rolnictwo – oprócz sztydekowania – to główne zajęcie Taquileños.

Jeśli są uprawne tarasy, muszą być i ludzie! Po chwili pojawiają się w także ułożonej z kamieni minimariny. Ubrani są w taki sposób, że ich sylwetki zlewają się z tłem i na pierwszy rzut oka można ich wziąć za część krajobrazu. Małe, skulone postacie pnące się lub schodzące wąskimi ścieżkami. Każda z nich na plecach ma ogromny pakunek, który stara się albo znieść do miniportu, albo wnieść na szczyt wyspy. Tam, za kamiennym łukiem pełniącym rolę rogatki, znajduje się wioska. To stolica wyspy, a jednocześnie jedyne jej osiedle. Ani stolica, ani osiedle nie mają jakiejś szczególnej nazwy i miejscowi mówią na nie tak jak na wyspę – Taquile.

3.

Gościńność Taquileños nie zna granic. Za naprawdę symboliczną opłatą przyjmowaną jakby z zakłopotaniem (co w Peru jest rzeczą raczej wyjątkową), kilku Indian udostępniła nam swoje chaty. Nie mają one okien, są bardzo niskie, a ich ściany wykonane są z ziemi i gliny wymieszanej z trzcina. Wszystkie sprzęty, jakie znajdują się w środku, zrobione są z sitowia: jest więc coś w rodzaju stołu, coś w rodzaju kilku zydlu, coś w rodzaju paleniska. Jest też całe mnóstwo czerwonych, dużych mrówek, którym – jak widać – brak tlenu ani trochę nie przeszkadza.

Jesteśmy bardziej niż zdumieni. Schylając się, żeby głową nie trafić w powałę, wychodzimy na próg chaty i... – nic nie widzimy! Krajobraz rządzi się tu całkiem innymi pra-

4.

Formalnie wyspa należy do Peru. Ale gdy z grzbietu wyspy spojrzeć na północ, widać już boliwijski brzeg i wiecznie ośnieżone stoku Illimani. Tak naprawdę więc wyspa leży gdzieś pomiędzy. Jakby w międzynarodowej próżni, zawieszona między różnymi światami, czasami, przestrzeniami. Niczym jakaś szpara albo szczelina z kamienia. Jakby nic nie było pośród czegoś. Kiedyś peruwiańskie władze próbowały wyposażić Taquileños w dowody osobiste, chciały też na wyspie założyć szkołę. Próby te jednak spełżyły na niczym. Po sześciu miesiącach nauczyciel, który przytłynął na wyspę, zszedł do skalnej mini mariny (tej samej, do której my doptnęliśmy), wsiadł na motorówkę i... najnormalniej w świecie uciekł. W uzasadnieniu swojej desperackiej decyzji napisał, iż z szafasu, który Indianie oddali mu do użytku, nigdy nie potrafił dotrzeć na czas do innej chaty, która miała być szkołą. Tak jak i nam, wyspa przypominała mu labirynt. Bardzo dziwny labirynt – labirynt bez ścian, albo... o ścianach z powietrza.

A jeśli chodzi o dowody osobiste (*tarjetas de identidad*), to – owszem – rozdano je Indianom, ale Ci bardzo szybko je pogubili. Bo też do czego miałyby one im służyć? Taquilenos mają swoją własną władzę, i pieczętki, jakieś, czy jakieś dziwne podpisy obcych ludzi nie są im do niczego potrzebne. Tym bardziej, że mają inne, własnoręcznie wykonane dowody tożsamości – nie papierowe, lecz... zrobione z wełny. Każdy Indianin nosi kolorowy pas, na którym różnobarwną wełną wyrysowane są rozmaite ptaszki, krzyżki, romby i prostokąty. Te desenie to rodzaj tutejszego kodu, pisma. Z wełnianych pasów można się dowiedzieć, czy jego właściciel jest żonaty, czy też jest kawalerem; ile ma dzieci i w której części wyspy znajduje się jego domostwo. Gdy przeprowadzi się do nowej chaty (co jednak zdarza się nieczęsto) musi pas aktualizować...

– Na wyspie tylko pozornie nic się nie dzieje i panuje idyliczny spokój – pomyślałem w którejś chwili. Bo, co który, spotykany mężczyzna wyposażony był w drewniane „druty”, w wielobarwne włóczki i zapalczywie coś dziergał. Trwało nieustannie współzawodnictwo – na lepszy wzór, na lepiej przemawiające kolory. Nikt nikomu



w tej konkurencji nie chciał ustąpić. – Nie ma tu za dużo powietrza, ale my żyjemy sztuką – po kilku dniach usłyszałem takie wyjaśnienie. – To, co się włoży do garnka wcale nie jest tak ważne. Liczy się to, co się wyszyje, co się wydzierga...

– Ale dlaczego szydełkują tu tylko mężczyźni? –

– Kobiety mają inne zajęcia – usłyszałem. – Równie ważne. Barwią wełnę i wąskie paski, które wyszyjemy, zszywają w większe całości. Musi być równouprawnienie.

5.

Mimo że tak pusta i kamienista, wyspa czyni wrażenie bardzo uładzonej. Nie tylko dlatego, że nie ma na niej ani jednego śmiecia (nawet jednej plastikowej butelki!), ale przede wszystkim dlatego, iż trudno natknąć się tu na jakieś zbędne przedmioty. Wyspa jest czysta przede wszystkim z powodu prostych, wręcz prymitywnych zasad życia. Nie ma na niej żadnej komplikującej mieszkańców życie instytucji. Nie mieszka tu też ani jeden człowiek, który wykonywałby pracę, która naprawdę nie byłaby konieczna. Wszystko, co się tu robi i co tu powstaje, podporządkowane jest jednemu celowi – zapewnieniu podstawowych środków do życia. Niczemu więcej. Indianie mówią, że nie marząc zbyt wiele, nie snując zbyt wielkich planów i zadowolając się tym, co wyprodukuje kamienista ziemia, najłatwiej odnaleźć niezwykle rzadki kruszec.

– Jaki? – pytam zdziwiony.

W odpowiedzi padają śpiewne słowa w języku keczua:

– Okruchy szczęścia.

Inną cnotą jest tu milczenie. Indianie mówią tylko wtedy, kiedy naprawdę muszą. Całe dni potrafią spędzać nic do nikogo nie mówiąc i ta cisza wcale im nie prze-

szkadza. Co jakiś czas zbiera się miejscowa rada starszych, która podejmuje najważniejsze decyzje. Ile blaszanych wiaderek trzeba zakupić w czasie następnej wizyty w Puno? Ile ziemniaków można sprzedać w mieście, żeby zanadto nie uszczuplić zapasów na zimę? Jej obrady też nie przeciągają się w nieskończoność. Najwyżsi rangą Taquileños mają dość czasu, żeby wszystkie decyzje dobrze przemyśleć i potem zanadto już nie dyskutują. Bo po co strzępić język? Po co dać się unosić zbyt wielkim emocjom? Cisza i spokój – to największe cnoty. Podobno – tak twierdzi miejscowy wójt – to jedna z niezawodnych recept, żeby żyć długo i szczęśliwie.

6.

W pracy na Taquile nikt się nie spieszy. Jest jej tak mało, że zawsze zdąży się ją wykonać. Pracy jest mało, bo niewielkie są ludzkie potrzeby, a czasu co najmniej jest tak dużo, ile jest wody w jeziorze Titicaca. Tak można żyć. Indianie nie wiedzą, co to jest żądza posiadania, na samochodach, ani na innych cennych przedmiotach ani trochę im nie zależy. Zresztą samochody musiałyby tu posiadać gąsienice i to całkiem solidne. Inaczej nie byłyby w stanie przejechać po tych kamieniach.

Szczyt marzeń wyspiarzy to własne, niewysokie, gliniano-stomiane cztery ściany. Wszystko inne zanadto komplikowałoby ich proste życie. Gdy ktoś zakłada rodzinę, chatę buduje mu cała wioska. To jeden z nielicznych momentów, kiedy Indianie przestają być indywidualistami i podejmują zbiorową pracę, na którą mówią *faena*. Dzięki temu nowożeńcy bardzo szybko zyskują dach nad głową i jest okazja do festynu wypełnionego muzyką. A potem, gdy już wszyscy wytrzeźwią (bo samogon leje się wtedy bardzo

obficie) wszystko szybko wraca do normy: Taquileños znów mogą rozejść się do swoich poletek i chat, i mogą dalej dziergać ręczne robótki wcześniej przerwane wpół ściegu.

Rząd, i to niezależnie od tego, czy ten z La Paz, czy z Limy (nawet gdyby bardzo tego chciał) nie ma jak spacyfikować wyspy. Gdyby Indianom na czymś zależało, można by próbować czymś ich skusić, czymś ich zaszantażować. Taquileños są jednak bardzo hermetyczni i niepodatni na jakiegokolwiek ingerencje z zewnątrz. Żyją własnym życiem, które z życiem toczącym się na dalekim brzegu ma bardzo niewiele wspólnego. Dla tubylców najważniejsze jest to, żeby nikt nie wtrącał się w ich sprawy. Podobno właśnie to sprawiło, że przed wiekami osiedlili się na Taquile. Nie chcieli wojować z Ajmarami, którzy coraz brutalniej rozpychali się na brzegu jeziora. Nie chcieli także budować pływających wysp, jak ostatecznie Indianie Uros, co... uchroniło ich zapewne przed epidemią reumatyzmu.

7.

Na Taquile spędziłem koło tygodnia. Codzienne życie Indian śledziłem z coraz większym podziwem. Z zazdrością obserwowałem, w jaki sposób Taquileños nie przejmują się niczym, co dla tak zwanych ludzi cywilizowanych może stanowić sprawę życia lub śmierci. Po trzech dniach, na kilka godzin, przeprowiłem się na sąsiadującą z Taquile inną wyspę – Amantani, gdzie życie toczy się w równie powolnym, równie niewymuszonym tempie. To uświadomiło mi, że Taquile wcale nie jest jedyna, że na świecie pozostało jeszcze kilka takich miejsc. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, która zawierała się w dwóch słowach: „Na szczęście”.

ROMAN WARSZEWSKI

Marian Bednarek

WYDARZENIE ARTYSTYCZNE

Jak ja się bałem zanim te klocki do mnie przyjechały, jak ja się bałem. A najbardziej ceny za transport się bałem, bo dzisiaj wszystkim właścicielom wszelkich opatów odbija z tymi cenami. Na szczęście ten właściciel zachował się przyzwoicie i przy życiu mnie zostawił. Od razu pomyślałem czy przyjazd drewna kominkowego może być Wydarzeniem Artystycznym? Tak. Tak pomyślałem, ale niekoniecznie z udziałem orkiestry dętej, czy czegoś tam podobnego. Trzeba najpierw ułożyć scenę ze starych desek, na którą wysypią się z samochodu wszystkie ciężkie kłocze z dębu i buku. Ale nie daj Boże jak jakiś kloc spadnie na świętą zieloną trawę gospodyni, to zaraz wielki wrzask roznosi się po okolicy, jakby zranioną trawą była. Spektakl przerwany. A cała służba porządkowa, czyli ja i kierowca bagażówki idziemy do gospodyni na dywanik. Publiczność ogrodowa poirytowana, zrzuca z siebie postrzępione liście i podgnite jabłka w formie protestu. Ptaki wystraszone. A to przecież publiczność bardzo delikatna, trzeba o nią dbać a nie straszyć biedulki. Kierowca skasował za drewno i odjechał.

Miną godziny, zanim wszystko wróci do normy sprzed spektaklu – gdzie przestrzeń jest cały czas otwarta jak wszystkie bramy i dziennikarze są dopiero na tropach nowych trendów w sztuce. Scenografię z klocków wywożę ze sceny na taczce (kilkanaście kursów), kryjąc ją pod zadaszeniem szopy, gdzie doczeka się dramatycznych scen w spektaklu „Zima”. Pojedyncze deski sceny wywożę w ciemny kąt ogrodu, gdzie maliny już na mnie czekają, kołyszac się, jakby wszystko już wiedziały o tym tragicznym upadku kłoca na świętą trawę i teraz chcą mnie pocieszyć soczystym pocatunkiem. Całą twarz mi obcałowały i ręce gdy się w nie zaplątałem. Niektórzy artyści mają przerąbane. Nie zadbałem o wielki hałas Wydarzenia na You Tube i Facebooku, ani o nadużywanie słowa „masakra” jak niektóre trywialne głupki to robią prawie w każdym zdaniu. Mam dość tego masakrowania codziennie każdego słowa, aż ucho mi się zwija w jakąś wykoślawioną formę, gdy to słyszę. Stoi taka obok mnie znajoma przykwa i masakruje i masakruje. Co wypowie to zaraz zmasakruje, *masakra... masakra...* aż krew się leje. Zapluty tym wylewem masakry ledwo utrzymuję świadomość kim jestem.

Jakaż ulga gdy między malinami mogę sobie postać i postuchać jak szepczą... na czym życie polega (poza masakrą trywialnością). Ich czerwone i piękne główki, powinny się znaleźć na plakacie reklamującym moje Wydarzenie Artystyczne z klockami. Tak sobie nagle pomyślałem, jakby mnie coś odślniło, kończąc moją przygodę z drewnem.

WRZESIEŃ, 2022

LEWY PRAWY

Lewy prawy, lewy prawy, lewy prawy. Odłycham powietrzem lewy-prawy. Widzę jak idą miliony lewych i prawych. A ja? Ja jadę do wnuka na mecz i przyciskam pedały lewy, prawy, lewy prawy i gazuję. Tyle razy to moje kibicowanie mu obiecywałem, ale nigdy mi się nie udało, bo zawsze światy lewego i prawego zderzały się ze sobą za mocno, aż wypadałem z mojego boiska prywatności. Teraz wreszcie jadę. Każdy dzień to huśtawka egzystencji lewy-prawy, lewy-prawy, kosmos biegających za piłką, do szaleństwa. To już niemal uniwersalny rytm, według którego toczy się życie milionów Polaków, gdzie każdy dzieciak chce być lewym strzelającym bramki, wielką gwiazdą z dziewiątką na plecach. Ale świat lewego i prawego nigdy się nie potączą. Bo co tu jest do łączenia? On kopie piłkę a ja dziury w ogrodzie kopię łopatą, by zasadzić krzak czarnej porzeczki. Ale też nie obchodzi mnie życie lewego, bo on zawsze będzie lewym z przewróconą szóstką na plecach, czyli dziewiątką, a ja będę jakimś prawym, bez numeru, czyli tym nieznanym, może na szczęście? Wolę wkopywać do ziemi krzak, z którego na wiosnę wykwitną czarne małe piłeczki do zjedzenia, a nie do kopania. Choć przyznam, lubię piłkę nożną. I w młodości dużo w nią grałem, ale niestety, nie pamiętam już żadnego numeru koszulki.

Dojeżdżam do stadionu. Lewy prawy, lewy prawy pedał pod stopami pracują. Wiła mnie córka i prowadzi na trybuny. Jej mały lewy już gra. W czarnym stroju, drobny, chudziutki jakiś wygina się, kręci nogami, przygnietyony aż za bardzo tą dziewiątką na plecach. Ale widać że gwiazda lewego w nim świeci, choć pada deszcz. Kibice (w większości rodzinki grających małolatów) skuleni pod parasolami wrzeszczą, klaszczą, gwizdzą, mruczą, skomlą. Mnie to nie rusza. Widziałem tylko gmatwaninę pogubionych nóg i parasol w mojej ręce. Drużyna wnuka wygrała 2 zero z jakąś drużyną z innej wioski. To znaczy że lewy nadal króluje na świecie. Pogratulowałem wnukowi wygranej, uściskaliśmy się. Kiedy już lewizm i prawizm całkowicie wymieszały mi się w głowie, pomyślałem, że będę zawsze skazany na bycie między lewym a prawym, gdzieś pośrodku, gdzie lewe rodzi prawe, a prawe rodzi lewe. Spakowałem się, uruchomiłem samochód, nacisnąłem lewy pedał sprzęgła, prawy pedał gazu i odjechałem z ulgą, jako już nie całkiem do dupy dziadek. A nade mną piłka stońca, z ledwością przebijająca się przez chmurę.

PAŹDZIERNIK 2022

GARDEROBA

Wstąpię do majtek wojennych. Ciękawie gdzie mnie wyślą i jakie będę miał przygody? Mogę zginąć, to fakt. Ale jak przeżyję, to mogę wstąpić do spodni wojennych. Te to dopiero dowodzą, ktoś przed nimi ucieknie? Chyba tylko sukieneczki rezolutne, które spodniaków owijają sobie dookoła palca, jak chcą. Spodniak to spodniak. Niech nadeprnie na minę nogawki i wyleci w powietrze, przecież wiedział do jakich spodni wstąpił. A jak mu się nie podoba, to wtedy buty wojenne wezmą go w opiekę i poprowadzą tam gdzie trzeba się bić za wolność i demokrację homo butusa i innego homo. Po takich doświadczeniach można wstąpić do koszuli wojennej. Tutaj też nie ma żartów, pełno guzików, dziurek, mankiety, wzorki, koronki, kołnierzyki, wszystko jak celny wystrzał w akcji sabotażowej. W tej koszuli wojennej to w koszulizmach jakichś się obracamy jak obłąkani. Każda głębość jest niebezpieczna, bo cholera wie, gdzie taka ręka w koszuli nagle zacznie grzebać i tłamsić coś, że koszula zaraz cała ubabrana.

I tak człowiek błąka się i walczy. Ale czuje że czegoś mu brak. Spójrzy w lustro i już wie, że marynarki wojennej mu brakuje. No to wstępuje do marynarki wojennej, eleganckiej, ze złotymi guzikami, nad falami oceanu rozchełstanej. Z każdej kieszonki wystaje stosowne działo przeciwlotnicze i rakietą. A na plecach małe lotnisko z samolotami, bo to przecież lotnikowiec, marynara wojenna. No to strzelać trzeba! Strzelać! Nie wiem kogo ustrzelę? Ale teraz jestem już całkiem ubrany w tą marynarę i mogę się bić, jeśli trzeba będzie, choćby w obronie własnej teściowej. Pociągnę serię z karabinu aż mewa spadnie na pokład. Wkrótce doptynę do jakiegoś brzegu, jak będę miał szczęście. I pójdę sobie gdzieś na piwko. Oczywiście. A co? Laski będą się za mną oglądać i tyle. A tchórze i mamin-synki niech mi zazdroszczą takiego ubranka. Ta biała furażerka na głowie jak kapeluszu damski, robi wrażenie, że aż szczena opada. Marynarka wojenna Armii Świątowej to nie byle co. Człowiek jest już całkiem ubrany, kompletny w tej swojej międzynarodowej garderobie militarnej i gotowy do prezentacji wystrzału swojej gęby, torsu i całej reszty. Potem przechodzi do kuchni, albo do pokoju z telewizorem, by obejrzeć najświeższe wiadomości z pola bitwy, a raczej z pola masakry, uuuffff... Przydałaby się jakaś rewolucja w modzie, by te ciuchy bardziej się uśmiechały a nie przepocone cuchnątą tylko zasraną wojną.

X.2022

Vojislav Karanović

Przekład z języka serbskiego:
Olga Lalić-Krowicka

POEZJA JEST TWORZONA

Ludzie, którzy przez całą wieczność
Nie widzieli się, teraz,
Wyraźnie podekscytowani,

Cieszy ich
Że spotkali się ponownie
Znaleźli w jednym miejscu,

Ludzie tak bliscy sobie, że
Nie muszą mówić,
Aby się rozumieć -

Ponieważ czują siebie nawzajem
Nawet gdy są rozdzieleni -
Ci ludzie są podobni do wiersza

Podczas tworzenia. Nieoczekiwane spotkanie
A słowa wierszy zapierają dech w piersiach,
W niemym uścisku.

KRZYK

Bóg stworzył świat
Jednym krzykiem.
Życie zostało stworzone
Od jednego słowa.
Ale krzyk, prawdziwy krzyk,
Realistyczny jak barwa płomienia
W ciebie, ostry krzyk
Jak krawędź otwartej rany, która woła -

Co powinien o nim powiedzieć człowiek?

Człowiek, który idzie do pracy
Albo na wojnę
Leży w łóżku
Albo w grobie,

Człowiek wpatrujący się w niebo,
W ekran telewizora,
W tekst czarnej kroniki
Opublikowany w gazecie -

Człowiek stworzony przez krzyk.

NIEZDARNOŚĆ

Odłamki szkła, fragmenty
Rozbitej szklanki,
Obrysowują moją sylwetkę na tle.

Postać niezdarnego mężczyzny,
Człowiek, któremu wszystko wymyka się spod kontroli,
Przecieka poprzez palce, wymyka się z dłoni.
Człowiek, który traci własne myśli.
A gwiazdy rozsiane po niebie,
Pokazują moją twarz.

Nie istnieliby bez niezdarności.
Gdyby czysty blask z mojej świadomości
Nie spadł na podłogę nocy ziemi.

ZAPIS O SAMOTNOŚCI

Moja samotność jest pełna ludzi,
Pełna wrzawy, która nie ustępuje.
Często z powodu niej myślę,
Że w głowie mam rój pszczoł.
Jest pełna słów, których nie chcę
Usłyszeć. Ona jest jak grzechotka
Wypełniona kamieniami, którymi
Jakaś ręka nie przestaje trząść.

Pełna dławiących relacji.
Ciągłe się w nie plątam,
Tracę równowagę i upadam
Na ziemię, na tło z którego

Rośnie rzadka trawa podobna
Do pałeczek, słowa i tak, i nie
Kielkują jak trawki, nie wiem,
Nie wiem, o co tu chodzi,

Ale dopóki tu leżałem, na progu
Domy bez drzwi i okien,
Nie chcę jeszcze wstawać
Chwilę lub dwie.

Vojislav Karanović - urodził się 1 stycznia 1961 roku w Suboticy, Serbia. Ukończył literaturę jugosłowiańską i ogólną na Wydziale Filozoficznym w Nowym Sadzie. Piśze wiersze, eseje i słuchowiska radiowe. Pracuje jako redaktor w Radiu Telewizji Serbii (RTS). Mieszka w Belgradzie.

Opublikował tomiki wierszy: *Tastatura/Klawiatura* (1986), *Zapisnik sa buđenja/Zapiski z przebudzenia* (1989), *Živa rešetka/Żywa siatka* (1991), *Strmi prizori/Sceny strome* (1994), *Sin zemlje/Syn ziemi* (2000), *Svetlost u naletu/Swiatło w pośpiechu* (2003), *Dah stvari/Tchnienie rzeczy* (wybrane wiersze, 2005), *Naše nebo/Nasze niebo* (2007), *Unutrašnji čovek/Wewnętrzny człowiek* (2011), *Poezija nastaje: izabrane pesem/Poezja powstająca: wybrane wiersze/ Poetry originating: selected poems: bilingual edition* (2014), *Izbrisani tragovi/Zatarte ślady* (2017), *Zagrljaj u kome nema nikoga/Uścisk, w którym nie ma nikogo* (wybrane wiersze, 2020), a także tomik esejów *Oslobađanje anđela/Uwolnienie aniołów* (2013). Niektóre z jego wierszy zostały przetłumaczone na języki obce. Prezentowane są w wielu antologiach krajowych i zagranicznych.

Za swoją poezję otrzymał nagrody „Branko Ćopić”, „Branko Miljković”, „Meša Selimović”, „Vladislav Petković Dis”, „Đura Jakšić” i „Vasko Popa”. „Złoty słonecznik”, nagrodę międzynarodową „Tudor Argezi”, „Pieczęć miasta Sremski Karlovcy” i „Pierścień Lenki”.

Maria Jentys-Borelowska

ROSA I CHANTAL

W SZCZODRYCH PRZESTRZENIACH WIERSZY (O DWÓCH POETKACH HISZPAŃSKICH)

Pierwsza, ROSA BERBEL, urodzona w grudniu 1997 roku w Estepa koło Sewilli, liczy lat dwadzieścia siedem i reprezentuje Młodą Poezję Hiszpanii. W dorobku ma już cztery tomiki, z których dwa - *Las niñas siempre dicen la verdad* (2018) oraz *Los planetas fantasma* (2022) - przyniosły jej wysokie uznanie krytyków i czytelników. Za pierwszy tomik otrzymała Nagrodę Młodej Poezji im. Antonia Carvajala oraz Andaluzijską Nagrodę Krytyków, za drugi - Nagrodę Estandarte oraz liczące się miejsce w krajowym rankingu najlepszych księzek roku 2022. Jest więc nową, bardzo jasną gwiazdą na firmamencie hiszpańskiej poezji. Czy zachwyci także polskiego czytelnika, skoro dzięki staraniom PAWŁA ORŁA, pisarza, tłumacza i wydawcy, obydwa wymienione zbiory wierszy są już dostępne w Polsce? *Dziewczynki* zawsze mówią prawdę ukazały się w roku 2023, wersji dwujęzycznej, nakładem Fundacji Duży Format, a *Planety fantomowe* w roku 2024, z postawieniem tłumacza, nakładem PIW.

Druga z poetek, CHANTAL MAILLARD, urodzona w roku 1951 w Brukseli, od 1969 obywatelka Hiszpanii, filozofka z wykształcenia i zawodu (po obronieniu doktoratu dokształcała się przez pewien czas na Hinduskim Uniwersytecie w Banaras, następnie do roku 2000 była profesorką estetyki i teorii sztuki na Uniwersytecie w Maladze), autorka dziewięciu zbiorów esejów (debiut w 1986), siedmiu tomów prozy (debiut w 2001) i czterestu tomów wierszy (debiut *Semillas para un cuerpo*, wspólnie z Jesúsem Aguado, w 1987), laureatka licznych nagród. Za tom najnowszy - *Zabić Platona* (*Matar a Platón. Escribir*) - otrzymała w roku 2004 Nagrodę Państwową. I właśnie ten tom w polskiej wersji językowej trafił w roku 2024 do polskiego miłośnika poezji. Słowa uznania i wdzięczności należą się za to zarówno tłumaczowi PAWŁOWI ORŁOWI, jak też krakowskiemu Wydawnictwu LOKATOR. Poetka-filozofka o śpiewnym imieniu - *chant* znaczy śpiew, *chantal* to ta, która śpiewa - jawi się tu jako jedna z największych i najjaśniejszych gwiazd hiszpańskiej literatury. Czy ołśni także polskiego czytelnika?

Zanim spróbujemy odpowiedzieć i na to i na wcześniej postawione pytanie, zauważmy: wiersze Rosy i Chantal różnią się od siebie jak poranek od wieczora, jak wiosna od jesieni, jednak razem dają się czytać jako wyrazisty, mocny, bezkompromisowy, nierzadko drastyczny obraz dramatu istnienia. Tomiki Rosy to liryczna opowieść o dojrzeniu jako bolesnym procesie, w wyniku którego człowiek staje się sobą, czyli odrębną, niepodzielną całością, uznającą swoją najgłębszą wyjątkowość. Tom Chantal zaś to zapis bólu, który nie ma miary.

W pierwszym tomiku Rosy - *Dziewczynki* zawsze mówią prawdę/ *Las niñas siempre dicen la verdad* - każdy kolejny wiersz to

krok ku samopoznaniu. Młoda poetka, podążając tropem Rainera Marii Rilkego, którego obrata sobie za przewodnika - patrz motto z *Księgi godzin!* - wychodzi „z jaźni ciasnej” dzieciństwa i rozpoczyna wędrówkę do „tego nowego domu”, w którym jeszcze „nie rozpoznaje porządku rzeczy/ ani nieuchwytną logikę krwi”, ale już wie, że są tam miejsca, „w których wystarczy jedno słowo./ by rozpaść ogień”. Rilke mówi wprowadzie o sercu, ale przecież ogień, ognisko to serce właśnie. Zresztą i tytuł wiersza, z którego pochodzą powyższe cytaty - *Koniec lata* - jest bezpośrednim nawiązaniem do czterowiersza Rilkego: „*Lato jak dom twój było własny./ w którym już wszystko znasz - /ty jak w dolinę, z jaźni ciasnej/ wyjść w serce swoje masz*”.

Wychodzenie z „jaźni ciasnej” to rzecz jasna, poszerzenie pola własnej świadomości. W wierszach *Spalić las*, *Pragnienie*, *Dorastanie* tytułowa dziewczynka rozpoznaje swoje ciało („*Głód [ciała] z wysokości trapezu ma kształt/ zwykłych majtek*”), odkrywa prawdę o przyczynie „dziwnych” cielesnych doznań („*to nazywana asymetrią miłość./ która trwa do czasu/ frywolnej konsumpcji*”), zaczyna widzieć swoją przyszłość „w kolorowym osadzie” krwi. Sprawy najtrudniejsze, zepchnięte na samo dno jaźni, ujawnia dopiero w *Portrecie rodzinnym* i wstrząsającym poemacie *Dziewczynki* zawsze mówią prawdę. Są to opowieści o rozpadzie więzi małżeńskiej między matką i ojcem, o nienawiści, która niszczy i zabija, o smutku, który nie potrafi się bronić, o strachu, który każe się chować przed własnym ojcem, o gwałcie, który knebluje usta i skazuje na życie w ciszy. Słowa, których używa poetka mierząc się ze wstydem, strachem, nienawiścią, rozpaczają się proste i dosadne:

Ta odwieczna rozmowa niemych
i głuchych, żywych i umarłych,
rozwijają się bez końca w dużym pokoju.
(z Portretu rodzinnego)

Mowa nienawiści nie rozumie
mowy smutnych oczu:

[...]
dziewczynka schowana pod stołem
obiecuje, że będzie żyć tam już zawsze,
dopóki będzie niebezpieczeństwo i kara,
dopóki nie przestanie on istnieć.
(Dziewczynki zawsze mówią prawdę)

Przewyciężywszy hamującą dorastanie niemotę, *dziewczynka* rośnie szybko. We wspaniałym *Drzewie genealogicznym* określa się samokrytycznie wobec dawnych kobiet, które „*karmiły dzieci./ budowały miasta/ za-*

pomnianych cywilizacji [...] trzymały/martwy ciężar miłości/ z żelazną dyscypliną./ i w samym środku historii./ i w samym środku wojny./ i w samym środku życia”), podczas gdy my, kobiety XXI wieku, słabe moralnie dziewczynki, „*spadamy bez pociechy./ niżej, coraz niżej./ i szybciej, za każdym razem/ szybciej*”. W wierszu NO-MO tak pisze o problemie, który zawiera się w skrócie rozpoznawalnym jako: *not mother* - nie będę matką:

Mówię innym kobietom,
że naprawdę nie wiem, czy chcę mieć dzieci.
Ponieważ świat jest wrogi,
taki jak zawsze,
ale twardość skóry, jej wytrzymałość,
jest za każdym razem coraz mniejsza.

Nie ma poezji zdolnej mówić
o tym:
o śpiących dzieciach i o martwych ojcach,
o tej światłości
ukrywającej się w szafach.

I czuję między nogami
ciężar życia z jego wątpliwościami,
krzyczącymi bez przerwy,
bez pocieszenia.

Poemat, który zamyka tomik, nosi tytuł: *Poczekalnia dla niecierpliwych matek*.

W *Planetach fantomowych* Rosa Berbel nie jest już dziewczynką - zbyt dobrze wie, że: „*To, co nas zachwyca w dzieciństwie, po latach wraca jako tragedia*” (*Zimna kropla*). Włada „językami niemożliwymi”, które pozwalają jej na spotkanie z własną duszą w przestrzeni symboli i metafor. Widzi to, co niewidzialne, otwiera się na to, co niepojęte. Tworzy własne światy z elementów rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej. Kimże więc jest? Czarodziejką? Czarownicą? Świetlistą zjawą? Istotą z innego wymiaru? *Wiersz Teraz nie patrz* jest jedną z możliwych odpowiedzi:

Dom wypełnił się duchami.

Nie wszyscy mogą je zobaczyć.
Tylko ty i ja,
rozmawiający w niemożliwych językach.
Emocje tworzą rzeczywistości.
Są miejsca, które istnieją tylko dla nas,
gdy zostały umyślnie nazwane.

Komu mamy być wdzięczni za dom pełen

złotych refleksów,
za spokój niektórych koszmarów,
za przekazanie nam innych kluczy.

Nie będziemy spać sami tej nocy.
Nie będziemy żyć sami.
A magia przemierza drogę w przeciwną stronę.

Ku Bogu, czułości,
wyobraźni?
Tajemnicy, która wdziera się
w normalność
i ją rozbiera?

Puentując: choć Paweł Orzeł nigdy nie poznał osobiście Rosy Berbel - urodził się w Madrycie w roku 1985, ale opuścił Hiszpanię, nim ona przysłała na świat - można przyjąć, że to właśnie on jest „tym”, który w przytoczonym wierszu rozmawia z lirycznym „ja”. Tak czuły jest język przekładu.

*

Dlaczego Chantal Maillard, poetka i filozofka, uznała, że czas zabić Platona, bądź co bądź własnego praojca? Czy zasłużył na śmierć za to, że „wygnał artystów z obawy, że pokażą, że to-co-się-zdarza nie ma korelatu w idei” (*Zabić Platona* s. 24); że „ocenzurował Homera, bo dopuszczał metamorfozy, płacz Herosów i śmiech bogów” (tamże s. 26); że zgodnie ze swoją epoką poniżał kobiety (tamże s. 30), choć to chyba nieprawda, skoro w *Uczcie* właśnie kobieta, Diotyma, przekazuje Sokratesowi wiedzę filozoficzną.

Czy można go czynić odpowiedzialnym za to, że zamącił ludziom w głowach teorię Idei i mitem Jaskini?

Postuchajmy, jak tłumaczy swój wyrok na Platona sama Maillard w rozmowie z Andreu Navarą, opublikowanej w magazynie „Educational Evidence” z 19 września 2021 roku.

„Od tamtej próby zamachu minęło już 20 lat. Mówię „próby”, ponieważ wygląda na to, że zamach się nie powiódł. Filozof ten ma przewrotną tendencję do zmartwychwstawiania. A problem jest wciąż ten sam, co wtedy: żyjemy w ideach – i w obrazach – o wiele bardziej niż w konkretnej rzeczywistości. Dopóki nie zetkniemy się z nią, „śmierć” pozostaje czymś abstrakcyjnym, czymś, co spotyka innych. „Śmierć” jest pojęciem, a pojęcia nie istnieją. Za to istnieje, co się wydarza: ktoś, na przykład, umiera albo przestaje być. Nieobecność. Jednak, gdy to się wydarza, staramy się o tym nie wiedzieć lub wytwarzamy strategię obrony przed udręką. W „Zabić Platona” ktoś zostaje zmiądzony przez ciężarówkę. Obok przechodzą postacie, każda z nich na swój sposób reaguje na to, co się stało. Wszyscy jesteśmy postaciami w tej sztuce, podobnie państwo: każdy z czytelników czy słuchaczy (prezentowałam tekst na scenie w wielu miejscach) i, oczywiście, narratorka. Pomijanie tego, co naszym zdaniem nas nie dotyczy, pozwala na popełnianie okrucieństw, z których mimo wszystko zdajemy sobie sprawę.

Omawiana książka składa się z dwóch części, z których pierwsza nosi tytuł *Zabić Platona*, druga - *Pisać*. Ta pierwsza to opis wypadku przedstawiony w dwudziestu ośmiu numerowanych wierszach (strony 7-43). Na środku jezdni leży potrącony przez ciężarówkę mężczyzna. Zmiądzony, rozdarty, prze-

potowiony, umiera. Trzyma kurczowo dłoń dziewczynki, która może jest jego córką, może nie. Podchodzą różni ludzie: pisarz Robert Musil i filozof Michel Serres kłócą się („Musil nie jest gotowy przyznać, że tamta scena będzie użyta/ w eseju filozoficznym”), poeta Jesús Aguado szybko „wymazuje się ze sceny”, drżąca kobieta „odpręży się”, gdy słyszy, że wezwano karetkę (wszak „porządek zwalnia nas z bycia wolnymi./ z budzenia się w kimś, z budzenia się dla kogoś”... Liczba widzów rośnie, poetka obserwuje różne reakcje, polemizuje z nimi, polemizuje też z ... Platonem: z platońską teorią Idei. W wierszu o numerze 25 stawia pytanie:

A teraz, gdy jesteśmy blisko końca,
być może państwo mogą mi powiedzieć,
dlaczego miasto pozostaje w mrokach,
kiedy słońce spada na ukos
jak włócznia
i jest lato.

W wierszu numer 28 formułuje odpowiedź:

Nie jestem niewinna. A czy państwo są?
Rzeczywistość jest tutaj,
rozwinęta. Prawdziwe wydarza się
w otwartości. Nieskończoności.
Nieporównywalności.
Ale chęć powtarzania się
ustanawia prawdy.
Cała prawda powtarza niewypowiedziane,
cała idea przeczy temu, co-się-zdarza.

Ale budujemy je
ze strachu przed kontemplacją
ogromnej fabuły
tamtego, co wydarza się w każdej chwili:
wszystko, co się wydarza, przelewa się
i nie jesteśmy pewni schronienia.

Po głębszym namyśle, możliwe, że Platon
nie jest odpowiedzialny za opowieść:
delegujemy z przyjemnością,
ze strachu lub z lenistwa,
co jest dla nas najważniejsze.

Jednak to nie wszystko, co dotyczy poematu. Nieodczynnym jego dopełnieniem są jedno-dwuzdaniowe dopiski umieszczone pod kolumnami wierszy. Pochodzą od narratorki, która jakby na marginesie opowiada o książce swojego przyjaciela, która nosi tytuł: *Zabić Platona* i jest historią kobiety zmiądzzonej uderzeniem dźwięku. „Dźwięku, który tworzy idea, gdy wibruje i przemienia się w pocisk”.

Część druga książki - *Pisać* - to długi, litaniiny ciąg lirycznych medytacji nad sensem pisania. Lektura dla cierpiących, zbolowanych, udręczonych, płaczących „tak w głębi/ tak w ukryciu”, zmęczonych, zagubionych, nie umiejących się zbuntować, sprzeciwić, etc., etc. Taki duchowy poradnik:

pisać
wszystkie śmierci są moją śmiercią
mój krzyk jest wszystkich
i nie ma zgody
pisać

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
WARSZAWA, 24 LUTEGO 2025 R.



Irina Kosmala

DUCHOWE SKŁONNOŚCI ELŻBIETY JUSZCZAK

Jeżeli przyznać, że raz na jakiś czas spotykamy kogoś o podobnych skłonnościach duchowych, kto mieści w sobie te same świąty, to co?

ELŻBIETA JUSZCZAK

Proza Juszczała nie jest zatem wyrazem melancholii, w jakiej lubi zamieszkiwać jej poezja. Zamiast kołć, pogłębia w nas rozdarcie: schronienie w drugiego człowieka okazuje się iluzją. Pisarka ponadto otwiera miejsce wielkim kwantyfikatorom: wszyscy cierpimy podobnie. Zachodzą w nas te same psychofizyczne reakcje na lęk i ból. W przeciwnym razie psychiatra nie mógłby zapisać nam jednakowych tabletek. Różni nas sposób przeżycia i nazwania bólu.

Kiedyś toczyłam spór z przyjacielem próbując dowiedzieć, że w gruncie rzeczy jesteśmy Leibnizowskimi monadami – „atomami natury” – pozbawionymi „okien”, czyli w gruncie rzeczy solipsystycznymi bytami duchowymi. Przyjaciel natomiast twierdził przeciwnie: stanowimy jeden nierozdzielny kosmiczny byt, w którym wszystko się ze sobą łączy i przeplata. Dziś wraca do mnie tamten spór, bowiem w książce, którą trzymam w ręce, roztrząsane są poniekąd podobne problemy. I, co tu dużo mówić, autorka *Biednej Matej C.* staje po stronie mojego polemisty.

Elżbieta Juszczała, znana nam wcześniej jako wykładowczyni akademicka, publicystka, poetka, autorka *Świętej ciemności* i *Pasterzy dolin*, w tym roku objawiła się wydawniczymu światu jako pisarka. W swojej powieści zatytułowanej *Biedna Mała C.* powołała do życia wieloświat złożony z relacji międzyludzkich, oddziaływać na siebie nawzajem. Autorka przywołuje historię kilku rodzin, których losy rzeczywiście gdzieś się ze sobą splatają.

Ważną narratorką jest Ewa – gdyby ktoś miał wątpliwości – o znamiennym nazwisku: Łączna. Tak, to ona jest zwornikiem powołań przez autorkę światów. Dzięki ujawnieniu w książce jej prywatnych zapisków (o czym zostajemy poinformowani już na pierwszej stronie), mamy możliwość podpatrzenia jej mentalnego żywiołu, na który składają się pragnienia, pożądania, fascynacje, jak i zaniechania czy udręki – ot, całe egzystencjalne pęto istoty.

Ewa ma swojego męża Andrzeja, który potrafi zniknąć z domu na rok, porzucić kobietę i chore dziecko, by niespodziewanie niczym Odys wrócić, pościć ją i znów wybyć w siną dal. Ewą szarpną w związku z tym różne emocje. Kocha męża, tęskni za nim, a tęsknoty gasi z kochankiem L. Zakochuje się też w tytułowej C. To właśnie do niej, biednej (choć materialnie wysoko sytuowanej), Matej C. tamtego lata przyszła po pracę, jako do właścicielki prywatnej wyższej szkoły. I to właśnie wtedy w niej się zakochała. Jednak zanim Ziemia wykonała dla nich swój kolejny obrót, Biedna Mała C. była w związku z pewnym mediewistą, Sylwestrem, badaczem tureckiego świata z jego średniowieczną bitwą z krzyżowcami pod Antiochią, dla której, za pieniądze z ministerstwa pojechał do Turcji, gdzie po dwóch miesiącach ślęczenia nad taciński-

mi manuskryptami, zachwytem postacią Thomasa z Lotaryngii czy Rojka z Antwerpii i z długim rejestrem inwentarzy pierwszej wyprawy krzyżowej w ręce, wracał do Polski. W domu czekały na niego niezapłacone rachunki i chłód żony. Rozumiał go. Dom powoli korodował brakiem pozyskanych przez niego pieniędzy i lękiem o wspólną przyszłość. Wiedział, że jego pasja ich nie nakarmi, nie pomoże w utrzymaniu porzuconej przez męża córki Anki oraz jej dwojga małych dzieci. No właśnie: Anka. Niezwykła osobowość. Artystka, malarka, udowadniająca, że sztuka jest kobietą. I to właśnie w jej wysublimowanym wnętrzu niespodziewanie zrodził się szatański pomysł, aby wraz z przyjacielem i doraźną grupą zaufanych osób obmyśleć plan napaści na bank. Odtąd powieść z obyczajowej przeistacza się w sensacyjną. Będziemy świadkami spektakularnej ucieczki bohaterów (Anka, Adam i jej dwoje małych dzieci), niesamowitej podróży samochodem przez Polskę. Ucieczka będzie isticie wertykalna. Uciekać będąc zła, deprawacji, opuszczenia, niedogodności, lęku, etc... ku dobru. Z niebytu w byt. Z ekstatycznego miasta do ascetycznej wsi. Fizyczne jej granice wyznaczać będą horyzonty wcześniejszego istnienia (poniemieckie nadmorskie miasto Ost, leżące gdzieś w północno-zachodniej części kraju) ku południowo-wschodnim rubieżom istnienia (beziemienna wiejska osada, przytulona do podkrakowskiego rejonu).

Zmiana miejsca, zaplanowana jako ucieczka, przeobrazi się w poszukiwanie „endemiczności” jakiejś wspólnoty lokalnej, co doskonale wpisuje się w nurt książek miłozacyjnych. Elżbieta Juszczała stawia zatem w niniejszej powieści w kontrze dwa bieguny Polski: północ i południe. Na północy jest zimno, ponuro i wietrznie. Brak miłości rekompensuje się dodatkową pracą i przygodnym seksem. Na południu jest słonecznie, ciepło, dostatnio. I to właśnie w tym nienazwanym miejscu rodzi się sztuka, tak, jak zrodziła się w Edenie, gdzie Adam nadał nazwy poszczególnym rzeczom.

Bohaterowie zatem, niczym Święta Rodzina, uciekają przed złym światem. Wzbudzają wielką sympatię kieleckiego księdza, który hojnie ich gości, podejmując rosółem i kaczką z buraczkami. Wcześniej jednak zaprowadza do gościnnych pokoi.

„- Będzie tu wam wygodnie – zaprosił, pokazując dwa czyste klasztorne pokoiki. Stały w nich drewniane łóżka z czystą pościelą, prosta szafa, a na ścianie wisiał wielki drewniany krucyfiks (...). Przyjezdni w ostupieniu wyszli po bagaże. Surowość wiszącego nad nimi krzyża nakazała nieco ciszej rozmawiać. Pościel była tak biała i wykruchmalona, bez jednej zmarszczki i skazy, że bali się rzucić na łóżko. W pokoju pachniało chłodem i lawendą. Zważywszy, że za godzinę czekał ich wymieniony obiad, myśleli, że trafili do rajów” (s. 194 i n.).

Czystość jako hipostaza kulturowa zastąpiła wcześniejsze związki z brudem. Wraz z bohaterami uczestniczymy w ich niezwyklej dialektyce czystości (sacrum) i brudu (profanum). Porzuciwszy ekstatyczne miasto, dyszące spalinami, samochodowymi karkami i brudem, podążymy do nieskażonego chaosem miejsca, Domu Bożego, pojedziemy dalej, połą drogą, na której spotkamy kolejną fantastyczną postać – kobietę z krową. Kobieta będzie piękna, a krowa czarno-biała i, rzecz jasna, czysta. „Święta Rodzina” zacznie przed nią udawać „łowców folkloru”, poszukiwaczy ekstremalnych przygód i kobieta zgodzi się przenocować ich nazajutrz. Do tego czasu nocleg znajdą w pobliskim miasteczku z pamięcią o mieszkających tu Żydach, spalonej synagodze i niemieckim mordzie. Pomimo bardzo skromnego dobytku, Adamowi i Annie żyć się będzie przez tydzień u kobiety z krową doskonale. Mimo wykonywanych każdego dnia rytualnych czynności, dbania o zwierzę oraz dom, kobieta wymykać się będzie schematycznemu opisowi. Zaświadczały o tym chociażby jej regały książek ułożone równo obok siebie, zajmujące cały duży pokój. Biografie, listy, filozofia, poezja... wszystko to można było spotkać na uginających się od ciężaru wiedzy półkach. Bohaterowie szybko odkryli, że i ona była artystką. Malowała, pisała opowiadania, ale wszystko to potem wrzucała do szuflady. Być może jej tajemnicza postać, a może również i klimat tego niezmiernie miejsca sprawiły, że Anka postanowiła również zacząć tworzyć: „Anka oddawała się szkicowaniu. Niebo robiło się coraz jaśniejsze, żar rozlewał się na okolicę, jak gęsty miód. Malwy ociekały złotym światłem, topiany dusiły się w złotym miodzie, roje owadów i Bóg wie jakich żyjątek brzęczały namiętnie w tańcu piekielnym i udręczonym słońcem” (s. 207). Widzimy zatem, że kultura może tylko wyrażać i rozkwiatać i prawdziwego życia. Natomiast na retoryczne pytanie, które pojawi się na dalszych stronach książki: „Po co komu sztuka?”, ta miejscowość, ten dom i ta kobieta z krową dawały najlepszą odpowiedź.

Jednak brud, który wcześniej wniknął w krwiobieg bohaterów, uczynił ich obcy w tym świecie. Pragnęli w nim pozostać, ale jabłko zostało zerwane i musieli opuścić swój raj. Kobieta, która przez tydzień, czyli mniej więcej tyle, ile trwało stwarzanie przez Boga świata, gościła ich u siebie, została przez nich tym „metafizycznym” brudem również zanieczyszczona i teraz, przez dwa tygodnie pozostawała uwięziona w celi i przesłuchiwana w policyjnym komisariacie. Jej dom był pusty, listy niewysłane, a krowa opuszczona.

Najwyższą cenę za napisać na bank zapłacił Adam. To on odsiadywał w celi długoletni wyrok. Ankę, dzięki sprawnej interwencji ojca, uznano za niepoczytalną i wkrótce zwolniono z psychiatrycznego szpi-

tala Wyjechała na wystawę do galerii sztuki w Amsterdamie, gdzie sprzedała wszystkie obrazy i poznała ciemnowłosego Szweda. Postanowiła uwieść go, mimo że mieszkał daleko i miał rodzinę. Nie dziwi nas to, ponieważ w powieści Elżbiety Juszczak kobiety są władcze, dominujące, zdecydowane. Mężczyźni albo od nich uciekają, w czym pokazują swą słabość, albo są żywymi nieudacznikami. Wydaje im się, że tworzą, jak Sylwester, a tak naprawdę tylko odkrywają. To kobiety powołują do życia nowe byty, one stanowią siłę i motor napędowy świata. To one prawdziwie tworzą, choć czasem bywają przez ów świat niedostrzeżone (kobieta z krową). Potrafią jednego dnia namalować obraz, a drugiego napisać na bank. Potrafią stworzyć wielką firmę i zatrudniać w nich mężczyzn. Uwodzić i odrzucać. Jak fala zawłaszczą ląd.

W końcu, gdy wydaje nam się, że odkryliśmy w niniejszej powieści najważniejsze jej przesłania i nic nas już tu nie zaskoczy, nadchodzi wstrząs: spojrz, teraz pokażę ci, jak się żyje naprawdę!

Jednak, bądźmy uczciwi, „jak się żyje naprawdę” nie wie tego ani premier, ani ksiądz w wyrochmalonej sutannie, ani biedna czy bogata literka w (nie)ludzkim egzystencjalnym alfabecie: „Nikt nie jest w stanie powiedzieć czegoś ostatecznego, czegoś rozsądnego o tak zwanym życiu. Jedni dotykają go czynnie, przekraczając granice kontynentów, pędząc gdzieś z rozmysłem lub na oślep, stawiając nogę jak Cortez na nieznanym lądzie. Inni, gnani mniejszym zarobkiem, spędzają życie za kontuarem lub biurkiem. Jeszcze inni, gnani strachem, rozpaczą, wiecznym niepokojem, szukają wytchnienia w rozkoszy” (s.24 i n.).

Życie bohaterów prozy Elżbiety Juszczak nasuwa analogie do powieści innej współczesnej pisarki – Zerui Shalev. W swoich głośnych książkach – *Ból czy Co nam zostało* izraelska autorka zapoznaje nas ze swymi bohaterami w chwili życiowego przełomu. Podobnie, jak u Juszczak, doroste dzieci wybijają z gniazda, nieudolnie próbując swych sił w walce z życiem na własną rękę, a rodzice, Iris i Miki, którzy zdążyli od jakiegoś czasu oddalić się od siebie, wiodąc niejako życia równoległe, stają się sobie coraz bardziej obcy. W takim oto „separacyjnym błogostanie”, w którym nikt nikomu nie przeszkadza, wiodąc monadyczne byty, Iris rzuca się w ramiona swojemu przeznaczeniu. Przeznaczeniu, które stygmatyzuje, nadając przydomek „Ból”. Życie bohaterów Elżbiety Juszczak trawi niejako ten sam „ból” – a poświadczając o jego uniwersalności, powtarzalności, tożsamości, tym samym wchodzi w polemikę z głośnym zdaniem Tołstoja otwierającym jedno z najważniejszych jego dzieł: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”.

Co ciekawe, bohaterowie obu pisarek nie buntują się przeciwko życiu, jakie wiodą w swym cierpieniu. Ich ból nie przeradza się w furję, agresję, zamachy na czyjąś lub własną rozpacz. Tu nie dostrzeżemy jakichkolwiek znamion „poszerzenia pola walki”: wszechogarniającego smutku zakotwiczonego w prozie Houellebecqa: ciała bez duszy, którą uczeni dawno rozbili na atomy czy kwarki, miłości sprowadzonej jedynie do fizycznego pożądania, dążenia za wszelką cenę do samookaleczenia, w końcu – za głady. Bohaterowie pisarek nawet jeśli nie zgodzą się na swój los i próbują go jakoś odwrócić, to zrobią to w sposób najbardziej sprawdzony: poprzez eskapizm.

„Cierpienie jest istotą całego życia i jest z nim nierozłączne” zdają się schopenhau-



erowsko wybrzmiewać poszczególne frazy. Istotą cierpienia nie jest, jak się okaże, odrzucenie go, lecz pewna zgoda na los. Uczony Sylwester próbuje zrozumieć starożytny orientalny świat, a tymczasem swojego nie pojmuje. Wbrew własnej woli podpisuje papier rozwodowy, choć uczucie do Leny w nim nie przebrzmiało. Autorka stygmatyzuje go piętnem ofiary życia, systemu, jak i przypadkowości losu.

Proza Juszczak nie jest zatem wyrazem melancholii, w jakiej lubi zamieszkiwać jej poezja. Zamiast kołć, pogłębia w nas rozdarcie: schronienie w drugiego człowieka okazuje się iluzją. Pisarka ponadto otwiera miejsce wielkim kwantyfikatorom: wszyscy cierpiemy podobnie. Zachodzą w nas te same psychofizyczne reakcje na lęk i ból. W przeciwnym razie psychiatra nie mógłby zapisać nam jednakowych tabletek. Różni nas sposób przeżycia i nazwania bólu. Jego intensyfikacja. Autorka *Biednej Małej C.* w swoich śmiałych tezach posuwa się dalej: „Być może w ogóle nie mamy wolnej woli, tylko zapis w mózgu, złożony z przeszłości i środowiska, w którym tkwimy” – swój deterministyczny pogląd na ludzkie zachowanie przedstawi Elżbieta Juszczak w najnowszym wywiadzie na temat tejże powieści. A skoro tak – możemy pokusić się o dalszą konstatację, że za nic nie jesteśmy odpowiedzialni! Z taką wizją rzeczywistości próbuje nas oswoić amerykański neurobiolog, Robert Sapolsky. Według niego wszelkie nasze działania są determinowane przez hormony oraz przeszłość.

Rozumiemy już, dlaczego Anka nie poniesie odpowiedzialności za swój czyn. Winą obarczone zostaną środowisko, społeczeństwo oraz ustroj, który na kartach niniejszej powieści przeobraża się z komunistycznego w kapitalistyczny. Transformacja ustrojowa prowadzi przy okazji do „dzikiego kapitalizmu” i pojawienia się szybkiego awansu społeczno-ekonomicznego (wykorzystała to m.in. tytułowa bohaterka), jak i do strukturalnego bezrobocia. Następstwem przeobrażeń społeczno-gospodarczych okazuje się ostra polaryzacja społeczeństwa na biednych i bogatych. Na cwaniaków i nieudaczników. Na rynku pojawiają się zachodnie produkty, ale mało kto może je nabyć. W prozie Juszczak, jak i Shalev „ból” staje

się również pochodną biedy. Obie autorki opowiadają się po stronie słabych. Lubią swoich niedoskonałych bohaterów. Nie podają im ręki, ale wskazują na nich, abyśmy ich biedę i lęk o byt zauważyli, rozpoznali, przetrawili.

To, co jeszcze przykuwa uwagę czytelnika w powieści Elżbiety Juszczak, to jej drugi bohater: język. Trzymamy w rękach książkę, która sprawnie poszerza sposoby naszego literackiego mówienia. Ostatecznie przemawia do nas poetka, autorka pięciu tomów poetyckich, dla której żywioł języka jest najdoskonalszym wyzwaniem i wyzwoleniem. Naszą uwagę nie raz przykują akapity zbudowane na zasadzie „poetyckiego modelu prozy”, gdzie regułą porządkującą lub rządzącą staje się energia przekazywanego słowa. Posłuchajmy:

„Lato dogasało powoli, wielki obrót Ziemi wlokł się niemiłosiernie. Przychodziły wiatry, morze występowało ze swoich progów, susza dopadała dotąd urodzajne doliny. Lgietki jachtów kłuły niebo. Wydawało się, że tylko na morzu jest ukojenie, że tylko morze przyniesie sens. Marzyli o podróży statkiem. Wtedy uciekną, zajrzą w oczy żywiołowi, jeden żywioł pokona drugi, żywioł morza pokona żywioł ich życia, ich przynależność do kawałka ziemi i kraju” (s.152).

Język sensualny, nasycony obrazem, który od razu nam się objawia: jak w galerii sztuki podczas oglądania płótna. Dzięki takiej plastyczności i metaforyczności, nie tyle jesteśmy „świadkami” nachodzących na siebie zdarzeń, lecz co więcej – ich współuczestnikami. Partycypujemy w świecie, który poprzez sugestywny przekaz staje się w tym doświadczanym czasie przez chwilę i naszym bytem. Takim prawem karmi się prawdziwa estetyka identyfikacji.

Być może wszyscy jesteśmy spleceni jakimś potajemnym węzłem - wyzna na ostatniej stronie swego notatnika Ewa Łączna. Wbudowany w kompozycję mechanizm powtórzeń, renarracji konfesyjnej, okazuje się świetnym zabiegiem scalającym światy bohaterów. To właśnie tu jedno jest wszystkim, a wszystko jednym. A to, co nas scala, zawsze jątrzy się, boli i znów nieoczekiwanie rozrywa.

IRINA KOSMALA

Elżbieta Juszczak, *Biedna Mała C.*, Wydawnictwo Nowae Res, Gdynia 2024.

Andrzej Wołosewicz

„-Kubusiu, jak się pisze miłość?
- Prosiaczkę, miłość się nie pisze, mi-
łość się czuje.”

A.A. Milne

Od razu zabezpieczę się przed możliwą krytyką poniższego tekstu uwagą następującą: wydaje mi się, że pisanie o literaturze dotyczącej miłości jest jeszcze trudniejsze niż stworzenie tej literatury. Najlepiej obrazuje to przytoczona rozmowa Puchatka i Prosiaczka. Zawsze miałem z tym problem, ale nie umiałem tak precyzyjnie go opisać, jak zrobił to Puchatek. (Dziękuję Ci, Przyjacielu!) Skoro jestem już odpowiednio zabezpieczony, mogę zacząć.

Mam przed sobą dwie książki na ten sam temat, bo obie są o miłości. Jedna to zbiór 6 opowiadań Janusza Szota zatytułowanych „Na tarasie piekła” (Wydawnictwo STON 2, Kielce 2022) a druga to tom poezji Roberta Baranowskiego „Miniatury” (Warszawa 2024). Wymieniam je w kolejności mego czytania. Wymieniłem je w kolejności czytania, co obrazuje fakt, że dłużej „leżała we mnie” książka Janusza niż Roberta. (Znam i cenię obu autorów, więc proszę mi wybaczyć pewną poufalskość w niektórych sformułowaniach.)

I – Roberta Baranowskiego n a z y w a n i e miłości

Kiedy, jak i gdzie dzieje się miłość? „Rankiem”, „W południe”, „Z wiatrem”, W ciszy”, „W środku burzy”, „W deszczu”, „Wieczorem”, Nocą”. Dałem te słowa w cudzysłowach, bo są to kolejne tytuły, na jakie podzielił autor swój ponad stustronicowy tomik. A zaczyna się on tak:

„I znów jest dzień
I znów ranek
Otwieram oczy na miłość” Przyszła do

Czy można lepiej zacząć dzień? Każdemu tego życzyć! Ta pierwsza miniatura wydaje się dobrze podkreślać poprzedzającą całość parafrazę kartezjańskiego *cogito ergo sum*, które u Baranowskiego brzmi tak: „czuję, więc jestem”. Mamy więc kolejną po camusowskiej („cierpię, więc jesteśmy”) wersję, interpretację, inspirację. I też ciekawą, choć przecież nie odkrywczą, wszyscy wszak czujemy. Ale trzeba było chcieć, mieć odwagę to napisać! I tym się różnią poeci od „wszystkich”: odwagą i umiejętnością n a z y w a n i a. Poeta nie musi „odkrywać Ameryki” w każdym wierszu, ale powinien każdym wierszem uderzać w czytelniczą wrażliwość. I z tym właśnie w „Miniaturach” mamy do czynienia. Choćby wtedy gdy czytamy:

„Przyszła
do NAS miłość
Było jej
po drodze
Do naszych
wygodniałych
serc”

A jeśli tak, jeśli serca są wygodnione, to

MIŁOŚĆ I MIŁOŚĆ ALBO O CIELESNOŚCI W LITERATURZE

każdą chwilą, skrawkiem, kromką, kroplą miłości można się zachłusnąć, jest ona wtedy całym oceanem, powodzą uczuć:

„Wystąpiłem z brzegów
Powódź uczuć
Zalewa serce”

Wydawać się może, że to opis zbyt oczywisty, ale czyż miłość, jak się jej już doświadcza, nie jest taką najoczywistszą z oczywistości? A jakże nieoczywistą w swojej niepowtarzalności, bo choć możemy – i życzymy sobie tego – doznawać jej po wielokroć, to jednak nic tu się nie powtarza:

„Przyswajam przepis
na MIŁOŚĆ
Tabula rasa
W mojej dłoni”

Tabula rasa, więc trzeba tę czystą tablicę, której dwa wymiary, ramy tworzą On i Ona zapisywać co dzień od nowa. W tym chyba cały jej smak, cała tajemnica, niewyczerpane źródło tego „od nowa”, źródło jej trwałości, bo jeśli kogoś dnia nie chce nam się już pisać od nowa, to znaczy, że coś nam umknęło, że nie jesteśmy już godni, że nasze serce nie jest wygodnione, że to nie nas dotyczy słowa poety:

„Wstałem
W łazience
przebudziłem oczy
Teraz wypatruję
huśtawki i obłoków”

Wszystkie przywołane do tej pory miniatury dzieją się „Rankiem”. A co dzieje się w południe, na wietrze, w burzy i w ciszy? Och, zaspokojenie tej ciekawości zostawiam już Czytelnikowi. Ja zatrzymam się jeszcze na chwilę nieco dalej, spróbuję przyrzeć się – niejako recenzencką klamrą – co się dzieje „Nocą”, choć nie wiem, czy to nie zahacza już o podglądactwo. To zresztą jeden z powodów mojej – każdorazowo – wstrętności przed pisaniem o uczuciach. Tym bardziej wtedy, a tak jest w wypadku „Miniatur” Roberta Baranowskiego, kiedy najlepiej nawet napisana poezja, a może właśnie wtedy, gdy jest najlepiej napisana!, budzi moją pewność, że to nie jest kwestia dobrego (a Robert takim dysponuje) warsztatu, ale że ten warsztat został u r u c h o m i o n y, pobudzony, wzbudzony, konkretnym uczuciem, które ma swój moment, swój czas i – co najważniejsze – jakieś swoje imię. Jej imię. I – puszcza tu wodze czytelniczej fantazji – chociaż tom ten dedykowany jest Mamie autora, że podmiotem poetyckich uczuć, uniesień jest inna Ona. Doceniam jednak to, że swoim uczuciem poeta dzieli się w pierwszej kolejności z pierwszą czytelniczką życia każdego z nas, z Mamą. Jeśli się mylę, Robercie, to zadzwonił i mnie zbesztaj (sic!).

Jak już zdecydowałem się na bezczel-

ność podglądactwa, to i Państwu uchylę rąbka z tego, co widzę „Nocą”:

„Wyobraźnia
maluje Twój
obraz
Bardzo śmiały
AKTywnie
spędza sen
z powiek”

i zerknijmy jeszcze:

„Zabieram
Cię ze sobą
w sen
Będziesz tam
ze mną
Na odległość
przytulenia”

Jeżeli nawiązałem w tytule do cielesności (do której jeszcze wrócę w zakończeniu), to warto w tym miejscu zwrócić uwagę na pewien rys całości „Miniatur”, który, przy lekturze większych partii tekstu niż moje przywołania, uwidacznia się bardzo wyraźnie: ciało ukochanej jest obecne w sposób w pełni dostępny.... Ale tylko poecie, autorowi! To się wyczuwa w poetyckich słowach, gestach, spojrzeń! Dla nas, dla czytelnika, dla mnie ta „dostępność” jest *stricte* literacka. I tak powinno być. Nie wiem, jak Robert to osiągnął, ale – choć nie lubię pisać o miłości – to tego mógłbym mu pozazdrościć: umiejętnie zrealizował dwa w jednym, dwa, zdaje się, przeciwstawne a w każdym razie dość osobne (i emocjonalnie odległe, odseparowane) spojrzenia, sposoby widzenia osoby, postaci Ukochanej – ten wynikający z bliskości, z owej autorskiej dostępności przytulenia i ten czytelniczy, gdy „przytulić” możemy tylko słowa, opis udostępniony nam przez poetę. Dzięki temu i skutecznie tj. w sposób jak najbardziej autentyczny, niezafalszowany podzielił się z czytelnikiem swoim szczęściem i równie skutecznie uchronił, obronił intymność swoich uczuć. Między szczerością uzewnętrznienia swego ja w relacji do osoby kochanej wobec czytelnika a delikatnością samej materii takiego uczucia jest bardzo cienka granica, cienka także literacko, trochę przypominająca stąpienie po kruchym lodzie, jednak Robertowi udało się uniknąć czyhających tu niebezpieczeństw. A jak to uczynił, to już pozostaje jego tajemnicą. Jeśli ja miałbym coś tu powiedzieć, to zacytowałbym (za Albertem Camusem z jego „Notatków”) to, co Anny Lowell powiedziała o Keatsie: „Był wrażliwością takiej, że mógłby cierpienia dotknąć rękami” i odniósłbym to do wrażliwości Roberta na miłość, która mu się zdarzyła, a którą podzielił się z nami w „Miniaturach”.

A że w takiej formie, w firmie „Miniatur”?
To też ma swoje uzasadnienie:

„sen
już
zapadł
a ja
zapadam
w ciebie
bezszelestnie
miłość
nie
jest
rozgadana”
No to i ja już się nie rozgaduję.

II – Janusz Szot: piekło jest w nas, czyli nadal o miłości

Nie łatwo pisać o miłości w aspekcie cielesności, bo nie łatwo bowiem – takie mam czytelniczo-literackie doświadczenie – znaleźć balans między literacką pruderią a literacką pornografią. Piszę o tym, bo... Janusz Szot w zbiorze 6 opowiadań pod zbiorczym tytułem „Na tarasie piekła” taki balans znalazł! Jego opis uczuć a w ich konsekwencji cielesnych zbliżeń bohaterki i bohaterów, w pierwszych dwóch opowiadaniach ewidentnie nieheteroseksualnych to opis radości bez wulgarnego przegięcia, z zachowaniem pewnego dreszczyku z czegoś „nie tak”, bo radość dwóch ciał tej samej płci jest dla osób heteroseksualnych, dla większości więc, czymś „nie tak”: nie tak jak „normalnie”, nie tak, jak „powinno być”, transgresją, przekroczeniem granic (lub ich przesunięciem, wejściem w przestrzeń społecznego tabu). Co prawda seks towarzyszy ludzkości od zawsze, ale już jego eksponowanie, dopuszczalny stopień tego eksponowania jest uwarunkowany kulturą, jej normami, ograniczeniami, także prawnymi. Pamiętam nawet pogląd – wyrażony kiedyś w dyskusji nad granicami eksponowania ciała w sztuce – że pornografia „leży” po stronie oglądającego!, coś na zasadzie „niech się wstydy, ten koto widzi”. Ci wszyscy więc, których zawstydził, czy zgorszył Janusz Szot swoim „Dziadkiem” są jakoś tam usprawiedliwieni, wszak bycie wstydliwym czy nawet pruderyjnym o ile wiem nie jest jeszcze prawnie karane.

Odpowiedź druga, której chcę tu udzielić jest bardziej skomplikowana ponieważ dotyczy ona nie samego **że** pokazujemy, lecz **jak** to robimy. Otóż opowiadanie „Dziadek” jest literacko piękne, subtelne i nad wyraz delikatne w opisie kobiecych zbliżeń, ale jest takie tylko... w całościowym przekazie! Czytanie fragmentów, co pokazał wieczór autorski Szota, wzbudziło u części publiczności, większej jej części konsternację czy nawet lekki (w końcu na widowni przeważali znajomi autora) niesmak, wiem, bo siedziałem pośród tejsze widowni. Ja miałem przed spotkaniem za sobą lekturę całości nie tylko „Dziadka” ale wszystkich pozostałych opowieści. I nie byłem w żadnej mierze ani zgorszony, ani skonfudowany. Skonfudowany byłem raczej reakcją wielu słuchaczy, ich „niejasnymi” spojrzeniami po sobie. Myślę, że to efekt „fragmentu” właśnie, trochę tak, jak seks bez odrobiny choćby gry wstępnej; nie będę się rozpisywał i wyjaśniał zdając się w tym miejscu na doświadczenie czytelników. Innym doświadczeniem podzielił się sam autor opisując cenzorskie podejście jednego z organizatorów wieczoru autorskiego, który zorientował się w treści „Na tarasie piekła” – spotkanie odwołano w tej lokalizacji.

Co do samego „Dziadka” to powiedzmy

jeszcze raz: piękne, wciągające opowiadanie, bez pornograficznej wulgarności, którą zapewne, jak mi się zdaje, dostrzegli słuchacze na rzeczonym spotkaniu. Polecam więc całość! Relacja między bohaterkami, Barbarą i Ewą, zbudowane są niemal perfekcyjnie, z czytelną psychologią dziejącą się wewnątrz bohaterki. W tym opowiadaniu, na przekór jego prowokacyjnej treści, Janusz udowodnia, że cielesność jest w literaturze do u r a t o w a n i a! Że nie trzeba od razu wskakiwać w utarte schematy sporu o LGBT, naprawdę. Wystarczy... zostać w literaturze.

W pozostałych opowiadaniach, „W kurcie”, „Żołądka treść”, „Adoracja” i „A jednak” autor rozgrywa literacko różne wersje międzyludzkich relacji wszystkie opierając o trudną – w wymiarze społecznej akceptacji – fabułę, bo cały czas odwołując się do wspomnianego już „nie tak”. Osobnym opowiadaniem jest drapieżne, ostre fabularnie i emocjonalnie „Pudełko”. Dotyczy ono bowiem bardzo wrażliwego tematu utraty nowonarodzonego dziecka, traumy, jaka się z tym wiąże. Zobaczcie sami, jak to przedstawił Szot, jak z tego wybrnął, recenzentko to tylko mógłbym coś zepsuć. Z tego samego powodu nie zaprezentuję żadnego fragmentu, już wiem – po doświadczeniach ze spotkania w ZLP – jak to się może skończyć, lepiej zostawić wszystko samodzielnej Państwa lekturze. Samodzielnej i przeprowadzonej od początku do końca. Warto, bo opowiadania trzymają naszą ciekawość w napięciu a jednocześnie dostajemy w nich polszczyznę najlepszej jakości, co wcale nie jest takie częste w dzisiejszych naszych językowych poczynaniach. Szot rozwiązuje te potencjalne (i realne) problemy na styku ciała i języka, w jakim chcemy literacko swoją opowieść o ciele, człowieku, o miłości wyrazić w sposób wyjątkowo udany. Jeżeli istnieje piekło, także w odniesieniu do ludzkich uczuć, a może przede wszystkim w odniesieniu do nich, to po lekturze książki Janusza Szota trzeba by powiedzieć, że jest ono w nas. W naszym odbiorze uczuć innych, w uczuciach własnych. Nie zapominajmy o tym przy lekturze.

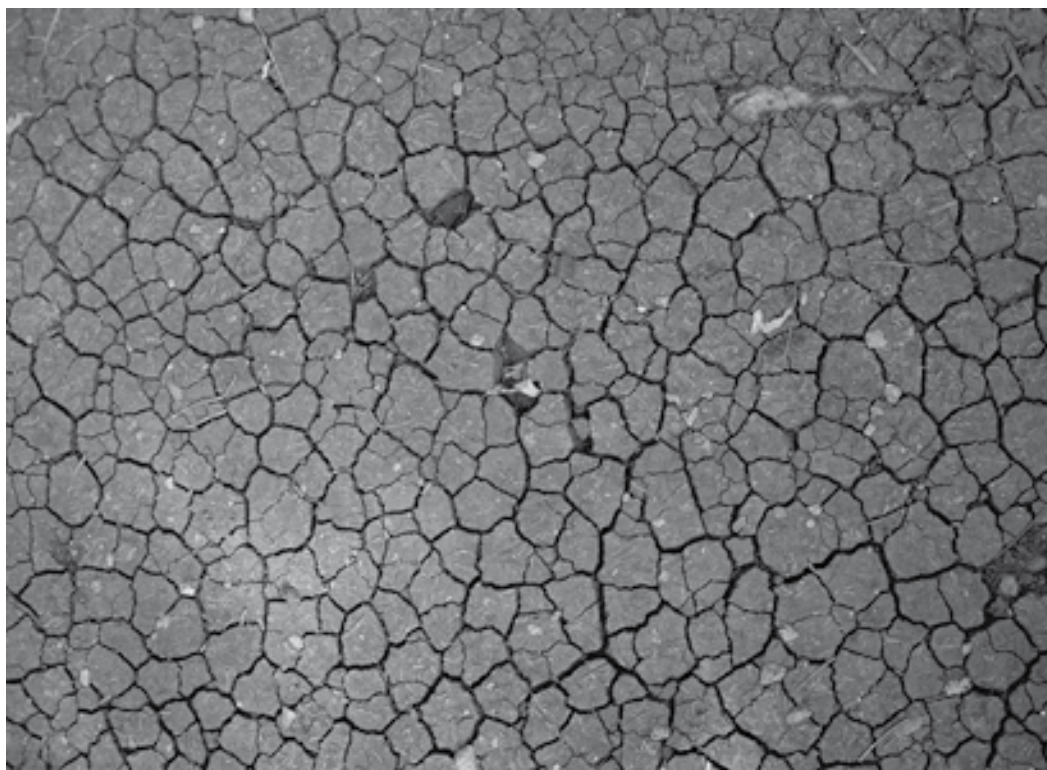
III – miłość-ciało-język i granice między nimi

Jeżeli dobrze przyjrzeć się temu, co mają do powiedzenia o wymienionych słowach (ciało, miłość, język) obaj panowie Baranowski i Szot, a dokładniej o rzeczywistości, do której te słowa się odnoszą, którą nazywają i poruszają, to mój wniosek jest następujący: słowa te są w pewien istotny dla nas sposób słowami g r a n i c z n y m i, a graniczność zawsze rodzi napięcie często inspirując – przynajmniej w literaturze – do jej (granicy) przekraczania, eksplorowania tego, co jest po obu stronach „granicy”. I Baranowski i Szot balansują na tej granicy dzieląc się – jak Baranowski – radością ze swej miłości (bo radość jest podzielna) i zatrzymując nas, metaforycznie pisząc, „przed łóżkiem”, bo to sfera intymności najintymniejszej i – jak Szot – zarysowując, lekko uchylając ową kotarę intymności, czyli odstawiając rąbek kołdry na tym symbolicznym „łóżku”, ale nie przekraczając tej niewidocznej wszak granicy między językiem a ciałem. Dzięki tym zabiegom udowadniają swój wysoki poziom literacki. To literatura z lepszej półki.

Co poza tym łączy te dwie opowieści o miłości, poetycką i prozatorską, tak biegunowo inne w swoim przekazie, formie, nastroju, w swojej prawdzie? Jedną, tą Baranowskiego, bliska romantycznym uniesieniom spowitym niedomówieniem, ulotnością chwil kiedy wzrok zatrzymuje się na mgnienie na czyjejs postaci, mówiąca co prawda o dotyku, przytuleniu, która dalej jednak już czytelnika nie wpuszcza pozostawiając resztę czytelniczej wyobraźni, a druga – zgodnie z tytułem, przypomnijmy, „Na tarasie piekła” – balansująca na krawędzi czytelniczego odrzucenia (czego jak już wiemy, nie oszczędzono autorowi w jego doświadczeniach z książką), bo dająca opisy, w których cielesności doświadczamy niemal fizycznie (niemal, bo to wszak wciąż „tylko” literatura). Moim zdaniem łączy te opowieści właśnie ciało, tyle, że pierwsza ku ciału zmierza a druga odeń zaczyna, co dowodzi, że nie da się zbudować dobrego przekazu miłosnych uczuć bez owej korespondencji z ciałem. To są dwa bieguny, ten Baranowskiego i ten Szota, między którymi rozciąga się całą gamą pośrednich wymieszanych ingrediencji uczucia i cielesności. Czytelnikowi pozostaje wybór według własnych preferencji, który z przekazów bardziej współgra z naszymi czytelniczymi oczekiwaniami.

Kolejny krok jest możliwy tylko jako **przekroczenie** literatury, o czym wiedział już Kubuś Puchatek.

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ



Stanisław Chyczyński

ZMIERZAJĄC KU KRAWĘDZI

Od wielu lat Stefan Pastuszewski nie przestaje mnie zadziwiać swoją imponującą płodnością literacką. Wiersze, opowiadania, powieści, dziennik, publicystyka... Teraz biorę do ręki najnowszą jego książkę poetycką o symbolicznym tytule *Na krawędzi* (2024). I tamże czytam: „(...) słyszę ten złoty szum stońca/ lasu oddech/ ciszę/ i z tych słów przeźroczyстых/ wiersze mi się piszą”. Właśnie, stale odnoszę wrażenie, że autorowi *Listów do siebie* (1981) poezje wysypują się jak z rogu obfitości, co bezpośrednio świadczy o jego szczerzotym talencie.

Sporo wierszy w księżce (wprost lub nie wprost) łączy motyw krawędzi, symboliczne pojęcie (nie)widocznej granicy pomiędzy światami, stanami, przestrzeniami, terytoriami, sytuacjami etc. Stawny filozof i psychiatra niemiecki, Karol Jaspers, wprowadził celne pojęcie «sytuacji granicznej», które zrobiło ogromną karierę w egzystencjalizmie. Chodzi o wyjątkowy moment w życiu, stawiający człowieka w brutalnej prawdzie wobec siebie samego, wobec nieubłaganego losu, wobec autentycznej trwogi. Ze względu na b. osobisty (jednostkowy!) wymiar, niemożebność personalnego zastępstwa lub jej „przeskoczenia”, sytuacja graniczna to klasyczny przejaw konieczności metafizycznej. Oczywiście, najmocniejszym przykładem sytuacji granicznej jest zejście śmiertelne. Do kategorii analogicznych doświadczeń filozofowie zaliczali także cier-

pienie (chorobę, kalectwo, ból istnienia), walkę o przeżycie, a nawet... dojmujące poczucie winy. Jak widać, wszelkie tego typu sytuacje – skojarzeniowo – łączy się naturalnie z wymownym motywem krawędzi. *Et vice versa* – w poezji bydgoszczanina silnie wyeksponowana krawędź staje się metaforą sytuacji granicznej (por. np. teksty: *Na krawędzi*, *Żrebak II*, *Psi wiersz*, *Za późno*, *Termin*, *Pociąg*, *Podróż na Majorokę*, *Stała Plancka nocą*).

A co można robić wobec krawędzi? Zbliżyć się do niej, oddalać, (ryzykancko) siedzieć na krawędzi, balansować, wreszcie – po prostu spaść lub skoczyć!... Stefan Pastuszewski jeszcze do „krawędzi czasu” nie dotarł, a przynajmniej tak uważa. Jednak, jako samoświadomy «był-dla-siebie», doskonale wie, albo też przeczuwa? („ból martwiejącej nogi”, „noga bolała jak zwykłe”), że nieuchronnie zbliża się coraz rychlej, a nawet może raptem wyskoczyć jak diabełek z pudełka („otarty bok samochodu/ o krawędź po naszej stronie/ jednak jeszcze naszej”) i potem „giloty na końcu”. Dawniej, jako poeta (zauroczony egzystencjalizmem?), narzekał na sytuację podstawową: niezbywalne uwikłanie kruchości podmiotu ludzkiego w „godne pogardy urządzenie świata”. Dzisiaj zaś coraz bardziej „zbliża się do krawędzi”, czyli znajduje siebie w obliczu przerażającej sytuacji granicznej. „Aniósł samozniszczenia

dojrzeć do czynu” – o, czyżby ktoś tutaj zamierzał „wyrwać się samemu”?

„Na próbę nas wystawił/ ten nasz Bóg” – intuicja w starym stylu. Kiedyś na pewno było inaczej, stuprocentowo, a teraz „prawie siedemdziesięcioletni” podmiot liryczny ma ewidentny problem egzystencjalny: znaleźć «twardy» sens tego całego „kołobieggu”, codziennej krzątaniny: „od samego rana usiłuję bezskutecznie/ wdrapać się na wierzchołek sensu/ i ześlizguję się do wc lub na kawę”. Jawnie utyskuje na to w kilku wierszach (vide np. *Sen*, *Pustka*, *Sukienka*, *****[wciąż zaczynamy wszystko od początku]**, *Potęga lata*). „Sen który nie chce nadejść/ pustka która rozrywa jak granat” – czyż trzeba wymowniejszej skargi? Emocjonalnie jakże blisko do *Mdłości* Sartre’a, ale kiedyś było zupełnie inaczej! Na szczęście nauczyciel akademicki posiada ekscytujące wspomnienia, poważne, malownicze sny i „w kwiecistej sukience” przyjaciółkę, która może zaszerwować „ciepłą dłoń”, „szczęście dotyku” i „radość dwójga ust”. Stąd też poczucie indywidualnej misji do spełnienia: „codziennie rzeźbię od nowa/ ten świat we mnie i poza mną”. I jakże szlachetna praktyka: „biorę w obronę tych którzy odeszli”. Bardzo słusznie, Panie Stefanie, oby jak najdłużej!

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

Stefan Pastuszewski *Na krawędzi*, IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 2024, ss. 88

Paweł Długosz

„BEZ-TROSKA. PRÓBY WYRAZU” - POSZUKIWANIE Z ŁUCJĄ DUDZIŃSKĄ NAUCZYCIELA I MISTRZA

Bez-Troska. *Próby wyrazu* to najnowszy, wydany nakładem wydawnictwa FONT tom poezji Łucji Dudzińskiej. Chyba wszyscy znawcy i sympatycy twórczości i działalności autorki przyznają, że z wraz z tą publikacją otrzymujemy coś zupełnie innego, nowego. Frapujący tytuł zbioru, będący jednocześnie tytułem jednego z wierszy, budzi pewien niepokój, nakazuje, by się zatrzymać i zdecydować, czy chce się odbyć tę czytelniczą podróż poprzez stacje kolejnych wierszy, ryzykując naruszenie własnej strefy myślowego komfortu. Początek tego programowego utworu brzmi: „Pamięć o zmarłych. BeZtroska o żywych i źle sprawnych.” I dalej: „Hasła na baner reklamowy, kamienne tablice – sens życia?” Wersety te powinny wytrącić wrażliwego odbiorcę z pewnej równowagi. Zafrapować. Może nawet zachwiać fundamentami. Neologizm „BeZtroska” (sic) pozornie nie ma sensu. Nie istnieje w języku polskim. Może być troska o kogoś, oczywista jak pamięć o zmarłych tak istotna dla naszego kręgu kulturowego. Nigdy zaś beztroska. BeZtroska, jaką znamy, to najczęściej nostalgiczny powrót do dzieciństwa i młodości z ich mitami. Jest to osobisty raj utracony. Okres pozornie pozbawiony problemów. Niestety nie ma czegoś takiego. Dzieciństwo i młodość pełne są problemów, a brak doświadczenia często nie pozwala sobie z nimi poradzić. Upływ czasu wygadza to, co trudne, a eksponuje przesadnie momenty pozytywne. BeZtroska oznaczać też może brak odpowiedzialności i mieć wydźwięk zdecydowanie negatywny. „BeZtroska o żywych” jest tutaj konstrukcją myślową i graficzną, będącą zaprzeczeniem troski, ale też relacji międzypersonalnej, empatii, odpowiedzialności. Kontrastowe

zestawienie wspomnianego „hasła reklamowego” i „kamiennych tablic” pokazuje, o czym będzie ten tom. O poszukiwaniu uniwersalnej prawdy. O autentyczności pośród rozmaitych, narzuconych ról. O opozycji między tym, co najbardziej ulotne, mające tylko na chwilę przyciągnąć uwagę i szybko wyłączyć na śmietniku, by zrobić miejsce nowym hasłom, a tym co trwałe, niezmiennicze, stanowiące fundamenty światopoglądowe i oparcie dla wyborów moralnych. Potwierdza to ostatni wers tego wiersza: „Dopada cię prawda. Odchodzisz, aby przyjść w inne miejsce”. Prawda nie jest traktowana jako zbiór własnych przekonań, lecz wartość, wobec której trzeba zająć określoną postawę. Dopada nagle, dokonuje sądu moralnego. Można ją zignorować, odchodząc w inne miejsce. Można wejść z nią w życiową relację.

Trzy wiersze, stanowiące mini-cykl w całym tomiku, poświęcone są „sekretnym zaklaniom słów”. Przywołane są magiczne rytuały jak zaklęcie węży lub koni. Zaklinczaniem słów jest poeta, którego rolą jest „krząć jak planeta wokół sensu, wokół sedna”. Wydaje się, że zadaniem poety ma być nie tylko działanie artystyczne, tworzenie i kontemplacja piękna. Ma być coś o wiele głębszego. Nie sposób nie przywołać tu platońskiej triady pojęć prawdy, dobra i piękna. Podmiot liryczny bardzo dyskretnie, ale jednak konsekwentnie wyznacza poecie obowiązek nie tylko twórczości, ale i zachowania po-

stawy moralnej i zakorzenienia się w tym, co trwałe, wbrew temu, co ulotne i krzykliwe. Mini cykl o zaklinczaniu słów nie daje prostych odpowiedzi na obecny w świecie brak harmonii i dramat egzystencjalny. Podmiot liryczny z precyzją chirurga sięga głębiej, pod powłokę ustalonych pojęć. Redefiniuje rolę i pojęcie prawdy pytając: „czy bycie wiarygodnym oznacza mówienie tylko prawdy, która często wszystko niszczy?”. Ja liryczne pozostaje w ciągłym tu i teraz. Wspomniany werset świetnie diagnozuje obecną sytuację słowa i prawdy wykorzystywanych na użytek medialny. Używa się prawdy zamiast jej słżyć. Ujawnia się prawdę nie dla dobra, lecz dla zniszczenia. Ostatnie wersety to obraz masek wderających się w twarz, zafalshowujących rzeczywistość. W Roku Gombrowicza nie sposób tutaj nie wspomnieć o gębie, od której nie ma ucieczki, jak tylko w inną gębę. Nie ma i nie będzie w całym tomie żadnych prostych odpowiedzi, pozwalających poczuć komfort. Drugi wiersz z cyklu o zaklinczaniu słów to wyznanie podmiotu lirycznego, który rolę poety upatruje w dekodowaniu znaczeń, interpretowaniu zdań i poglądów. A czyny to przy użyciu aż „sześciu zmysłów”. Niezwykła metafora przekraczania własnych ograniczeń myślowych i egzystencjalnych. Spektakularne autostrady miast prowadzić, stają się drogami donikąd, a teraźniejszość przytłoczona jest zamiarem przyszłości. Znowu zatem postulat i zadanie pozostawiania tu i teraz. Autorka

formuluje niezwykle trafną diagnozę współczesnego świata i człowieka, który przez ciągłe planowanie nigdy nie jest obecny w teraźniejszości, nigdy tak naprawdę nie żyje, nie buduje relacji. W trzecim wierszu o zaklinaniu słów odnaleźć można echa romantycznego buntu przeciwko Bogu i ludziom (światowi zastanemu) oraz postawę stwarzania samego siebie. Nie jest to jednak proste przywołanie znanych motywów, lecz zachęta do aktywnego poznawania, krytycznej oceny rzeczywistości. „Trzeba... wyrzucić do kosza błyszczące papierki, wyrwać białe kartki z korzeniami, by odkryć tajemnicę” – wers ten to znów moralny nakaz sięgania głębiej niż opakowanie i pozory.

Poetyckie bycie tu i teraz to reagowanie na sprawy bieżące. Na doświadczenia ludzi doświadczających wojny. Wiersz „Ukraina. Czeka” to opis spotkania z konkretną osobą, kobietą noszącą w sobie tragedię wojny, szukającej nowego miejsca w życiu, pozbawionej ojczyzny i żyjącej nadzieją na „jakoś to będzie”. W utworze nie ma nagromadzenia środków stylistycznych, nie ma wchodzenia w rolę sędziego. Jest obecność, empatia i poczucie, że słowa są zbyt niedoskonałe, by dokonać opisu całej sytuacji. Kobieta – bohaterka wiersza szuka sposobu na odnalezienie się w nowej rzeczywistości.

Inny wiersz dotykający wojny w Ukrainie nosi tytuł „Myśli. Po-ranne”. Znów gra słów i element graficzny wyrażają ważne treści. Opisują prozaiczną sytuację oglądania wiadomości do śniadania i zaraz przynoszą obraz ran, cierpienia, tragedii dziejącej się tuż obok, ale jednak oddzielonej ekranem. Empatia pozwala na niemal realne spotkanie z ludźmi będącymi bardzo daleko, w skrajnie odmiennie sytuacji egzystencjalnej.

Tematem stale powracającym w całym zbiorze jest zagubienie się człowieka w rzeczywistości wirtualnej. To także, znana dobrze utrata relacji, zdolności do spotkań oraz wymiany myśli. To głód miłości i jej brak. Diagnoza taka zostaje wyartykułowana m.in. w wierszu „Być. Online”. Za pomocą anafory „Spotykam ludzi...” umieszczonej na początku i końcu utworu podmiot liryczny niejako obejmuje ludzi złąknionych relacji, a nawet miłości, lecz niezdolnych do bycia tu i teraz. Nie doświadczają miłości w żadnym jej aspekcie, ponieważ nie są zalogowani. Miłość prawdziwa, rzeczywista i relacyjna mija ich w świecie realnym i w świecie idei. Stałym doświadczeniem ludzkości staje się osobisty ból po utracie, roztrząsany, kontemplowany i niemożliwy do złagodzenia przez rzeczywistość wirtualną i zaboczenia technologiczne.

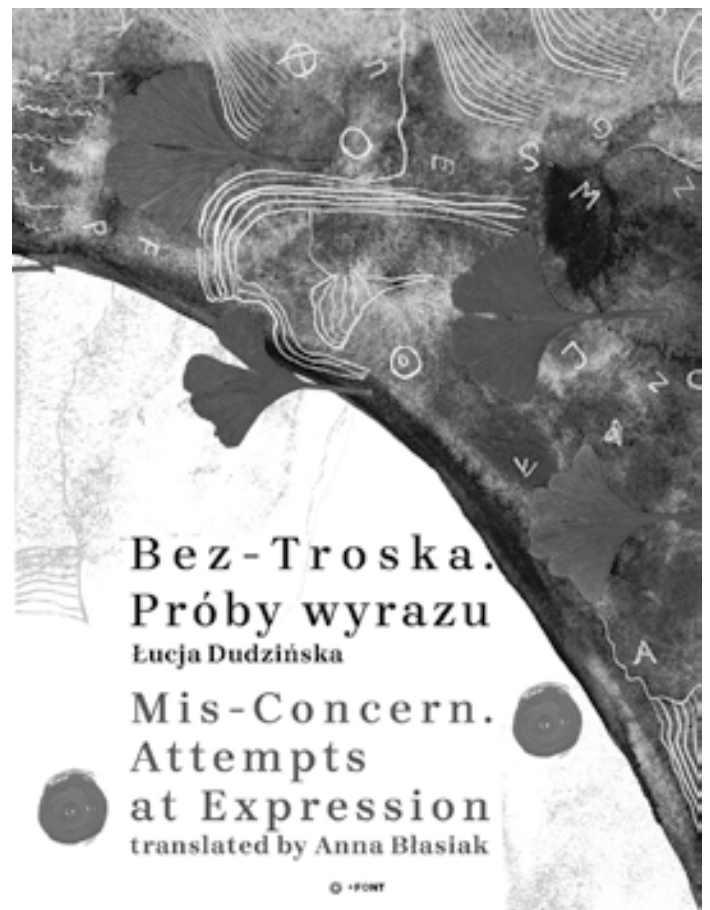
Wiersz „Eco dzień. Transcendencja” również porusza temat rzeczywistości wirtualnej, sztucznej inteligencji i dominacji świata cyfrowego. Poetka nie waha się stawić prosto sformułowanych diagnoz świata pełnego „niezweryfikowanych fake newsów” i „bagna zaplanowanego hejtu”. Utwór opisuje realny dzień i prawdziwe pełne relacji osobowej spotkanie. Aby do niego doszło, należy się wymknąć sztucznej inteligencji. Trzeba uciec od zgiełku technologii.

Miłość to stały powracający temat w całym zbiorze. Nie jest jednak wyłączone uczucie. Nie jest romantycznym motywem, jaki znamy z tekstów kultury. Nie ma w wierszach Łucji Dudzińskiej natrętnego dydaktyzmu. Jest postulat relacji międzyosobowej, bycie tu i teraz, obecność i uczestniczenie w świecie, poznawanie poprzez empatię. Jest swoista prostota, szukająca cudów w codzienności. Taka miłość przywraca proporcje. Nie jest ucieczką od rze-

czywistości. Wszystko to wyraża m.in. wiersz „Daruj sobie. Spojrzanie”. „Cuda zdarzają się w prostych sytuacjach, gdy potrafimy zobaczyć świat i siebie oczami zakochanej osoby”. Od początku wiersza dokonuje się przewartościowanie i przesunięcie akcentu z „Ja” na „My”. Następuje to odejście od kreowania często zafalszowanego świata i stawiania osoby poety centrum. Jest patrzenie na świat i siebie oczami drugiego człowieka. To oczywiście ujęcie symboliczne, obrazujące uczestniczenie w całym doświadczeniu osoby, z którą tworzy się relację. Owe cuda codzienności, to widok za oknem i słowa. Sprawy pozornie najbardziej zwyczajne, a dające przestrzeń do budowania relacji przekraczającej schematyczną rzeczywistość. U Łucji Dudzińskiej miłość to nie patrzenie sobie w oczy i projektowanie na drugą osobę swoich wyobrażeń. Obrazem miłości jest patrzenie razem w tym samym kierunku. Jest tylko jeden warunek na bycie razem tu i teraz. Unikanie patrzenia wstecz. Odejście od nadmiernego koncentrowania się na przeszłości.

W wierszu „Oni. Ona i On” miłość została wpisana w codzienność, między „wzloty i upadki”. Znów nie mamy tutaj namiętności ani romantycznych uniesień. Miłość przeżywana tutaj w codzienności stała się źródłem lęku. Lęku przed utratą i brakiem miłości. Lęku przed otwarciem na nieznaną. To doświadczenie stało się dla bohaterów powodem cierpienia, stanem patologicznym i kryzysem w relacjach. Następuje lękowe podciąganie „kolan pod brodę”, ucieczka od przeszłości i budowa muru mającego zapewnić pozory bezpieczeństwa. Końcowy wers staje w opozycji wobec tej tradycji literackiej, która miłość ubóstwia i odczłowiecza. „Nie można ofiarować więcej, niż ktoś jest w stanie przyjąć”. Miłość zatem nie może być czymś nadludzkim, nadmiernie uwznioślonym, pozbawionym kontaktu z rzeczywistością. Nie może być jednostronną, heroiczną ofiarą. Musi być relacją, równouprawnioną, nastawioną na harmonijne dawanie i przyjmowanie.

Bycie tu i teraz, to także doświadczenie śmierci. Mówi o tym wiersz „Poczekalnia. Głaskanie”. Wiersz pozbawiony patosu i dydaktyzmu. Śmierć nie jest kategorią filozoficzną, ani podobnie jak miłość czymś nadmiernie uwznioślonym. Jest czymś oczywistym, budzącym lęk. Jest doświadczeniem wspólnym świata ożywionego, zrównującego ludzi i zwierzęta. Można znieczulać ten lęk „grą w szachy na czas” lub innymi czynnościami. Można ustalać zasady i przepisy na czas odejścia. Najważniejsze jednak jest bycie. Towarzystwo. Autorka na wszystkie te aktywności używa metonimii „głaskania” – jako wyraz relacji, bycia z dru-



gą osobą i istotą, współodczuwanie. Świat zaś jest jedynie poczekalnią przed kolejnym, a w końcu własnym odejściem. Należy zatem być, przeżywać swoje ja we wszystkich jego codziennych aspektach, „głaskać kota i pustkę”, „głaskać miejsca”, „pamiętać”. Wszystko to symbolizuje łączność z tymi, którzy odeszli przy jednoczesnym aktywnym, świadomym własnym życiu.

Tom Łucji Dudzińskiej „Bez-Troska. Próby wyrazu” to chirurgicznie precyzyjne docieranie do prawdziwych znaczeń słów przykrytych medialnym szumem i codziennym zgiełkiem. Językowa podróż do źródeł jest też podróżą do człowieka, z całym jego egzystencjalnym doświadczeniem. Autorka operuje językiem niezwykle prostym, konkretnym, stosując niezwykle powściągliwie środki stylistyczne i zabiegi słowotwórcze. Zamiast poezji wzlatującej, unoszącej się nad światem, mamy tutaj powrót do przeżywania codzienności w najbardziej konkretnym, zawsze relacyjnym wymiarze. W całym bogactwie poruszonych tematów, w poetyckim labiryncie zagubionych znaczeń mi osobście pobrzmiwało stale i konsekwentnie fragment wiersza Tadeusza Różewicza pt. Ocalony: „Szukam nauczyciela i mistrza/niech przywróci mi wzrok słuch i mowę/niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia”. Nie wiem, czy był on bezpośrednią inspiracją dla autorki. Jest jednak zadaniem poezji i sztuki jako takiej budować konteksty, tworzyć punkty odniesienia z tego, co jest uniwersalne i utrwalone w kulturze, tworzyć osobiste doświadczenia. Omówiony powyżej tom, można więc traktować jako poszukiwanie owego nauczyciela, mistrza, którego każdy powinien odnaleźć w sobie, poruszając się pośród kodów kulturowych, postaw etycznych i osobistych doświadczeń egzystencjalnych, aby wyjść z zamkniętego Ja do relacyjnego My.

PAWEŁ DLUGOSZ

Sylwia Kanicka

DROGOWSKAZY W POEZJI KRZYSZTOFA MICHA

Indyjska pisarka Anita Desai słusznie stwierdziła, że: *Każde miejsce, które odwiedzasz, staje się w jakiś sposób częścią ciebie.* Nawiązanie do tych słów połączyć należy z prawdą na temat życia człowieka. Uwagunkowani jesteśmy, w pierwszej kolejności, od tego, w jakiej rodzinie przychodzimy na świat. To w jakim świecie żyjemy staje się jednym z korzeni kształtujących człowieka. Wszystko razem toruje drogę lub rzuca przysłowiowe kłody pod nogi. Każda sytuacja może również włączać w głowie czerwoną lampkę. W jaki sposób człowiek wykorzysta te sygnały zależy od niego.

Krzysztof Mich, autor zbiorów wierszy, opowiadań, albumów fotograficznych i projektów poetycko – fotograficznych, podjął się próby zobrazowania czytelnikowi rzeczywistości będącej poza zasięgiem jego wzroku. Dziennikarz, z dociekliwym spojrzeniem, staje się prezydentem sygnałów ostrzegawczych, pojawiających się w różnych miejscach na świecie, niezauważalnych w natłoku codziennych spraw. Jego poezja to przesłanie, nawoływanie do szerszego spojrzenia, które powinno towarzyszyć każdemu człowiekowi. Pięć książek poetyckich: **Kamień przewiązany trawą** (Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2015), **Idąc** (ALTER Paweł Wójcik, 2017), **Śladami** (MK, 2021), **Dzieci wojny** (Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2021) oraz **Humberstone** (Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2021), oddzielnie podejmuje się różnych tematów, jednak potraktowanie ich jako całości, stopniowe wchodzenie w nie, staje się potwierdzeniem powyższych słów. Krzysztof Mich nie poprzestaje na udowodnieniu swoich racji, w jego twórczości należy doszukiwać się ostrzeżenia i nauki.

Począwszy od pozycji **Kamień przewiązany trawą**, w której czytelnik przestaje ze starożytną sceną, Mich pozwala na doszukiwanie się przyczyn ludzkiego działania:

*z wiekiem pojmę
przyczyna jest w ogniu
to z niego bierze się dym
który gryzie w oczy
i mąci myśli.*

Wielokrotnie przywołuje Platona, Sokratesa, czy Heraklita z Efezu, wykorzystując ich spojrzenie do wytłumaczenia zawitości życia, gdyż „pożądanie jest zawsze szklaną soku stoi zawsze najwyżej i drażni / to czego pragniesz jest zawsze za daleko zawsze poza zasięgiem”². Poeta stara się uświadomić czytelnikowi, że to, co dzieje się w jego życiu, dzieć się często musi i jest nieuniknione:

*już nie boję się podróży z tobą
Charonie na drugi brzeg
półki co jestem na tym lecz widzę już łódź
...
cóż z tego że czas mojego
wędrowania się kończy
wyrosną nowe winogrona...³*

Kamień przewiązany trawą można potraktować jako podłoże do zrozumienia samego siebie, gdyż autor uznał, że należy powrócić do korzeni, a „wszystko czego jeszcze nie powiedziałem / wykielkuje i zakwitnie la-

tem”⁴. Należy bezustannie drążyć i dostrzegać szczegóły, by pojąć, jak trudna bywa rzeczywistość i z iloma przeciwnościami zderza człowieka. Ten zbiór to wprowadzeniem do podjętych, w kolejnych książkach poetyckich, rozważań, które w swej złożoności tworzą podróż w dickensowskim stylu, bo oto pojawia się Mich i chce pokazać, do czego może doprowadzić brak spojrzenia poza własne potrzeby i oczekiwania.

Poeta, jako przewodnik, podróż rozpoczyna nawiązaniem do drogi krzyżowej, do Via Dolorosa w Jerozolimie w zbiorze **Idąc**. Pokonywanie trudności to wyzwanie, bo gdzieś czeka wólcznia dziewięciomilimetrowa sięgająca „... bramy przed którą gromadzą się oburzeni”⁵, a „jasno jest tylko wtedy gdy patrzysz / w stronę wyjścia”⁶. Tę symboliczną drogę krzyżową Mich ukazuje w bardziej znanym odbiorci obrazie. Przywołuje bezdomność trudną do przyjęcia, gdyż „każdy ma apartamentowiec na jaki go stać”⁷. Wokół nas toczy się inne życie, niedostrzegane, być może bagatelizowane, bo niewygodnie jest je zauważyć. Autor posłużył się obrazami warszawskich ulic, gdzie wśród szklanych budynków są „za szkłem obrsanym przez muchy”⁸ miejsca nie tak atrakcyjne, jak w folderach reklamowych, jednak istnieje w nich więcej miłości niż w fascynującym świecie, bo „szczur też człowiek tylko rodzinę ma większą”⁹. To najbliższe otoczenie powinno być pierwszym lustrem, w którym zobaczymy własne odbicie, w które w ogóle odważymy się spojrzeć. To jednak często bardzo trudne zadanie. Pierwszy obraz miał pokazać ślepotę na to, na co można było mieć wpływ, a jednak doszło do sytuacji opisywanych w książce, które obrazowane są zdjęciami, by podkreślić ich wymowny przekaz.

Krzysztof Mich wie, że droga krzyżowa składa się z wielu stacji, a zabranie i pokazanie czytelnikowi brutalnej rzeczywistości jest nieuniknione. Tak się stało w dwóch kolejnych książkach: w dwujęzycznej pozycji **Śladami** oraz **Dzieci wojny**. Obie stają się bólowym wizerunkiem tego, co człowiek może uczynić drugiemu, do czego doprowadza nadmierna chęć posiadania szeroko pojętej władzy. Obie książki stają się odzwierciedleniem drugiego z duchów w Dickensowskiej historii. Sam autor, w pierwszej pozycji, pisze:

Ta książka jest podróżą, wędrowką poprzez zawodną, a czasem wybiórczą pamięć. Jak to w czasie wędrowki bywa – poznajemy różnych ludzi¹⁰.

Zbiór **Śladami** szarpie emocjami, otwiera oczy na smutną historię mieszkających w Polsce Żydów, będących niepotrzebnym elementem przeznaczonym do wyeliminowania, i miejsc naznaczonych ich obecnością. Postacie z tamtych czasów „błąkają się nocą pośród drzew / gdy ziemia nimi oddycha / jakby szukały drogi do nieba”¹¹. Poeta pisze o rozstrzelanych, w 1941 roku,

żydowskich mieszkańcach Tykocina, o tworzonych gettach i o tym, co w nich się działo (nie zapomniat o Bełżcu, miejscu opracowywania metody mordowania), czy żydowskich kobietach zamordowanych w sierpniu 1941, w Bzurach:

*co winne maki czym zasłużyły na śmieć
nic nie zrobiły widzisz to wina opium
że ich nie ma¹²,*

ukazując obraz tworzony chorymi ambicjami. Trudno to przyjąć do wiadomości, ale jeszcze trudniej zrozumieć, że działo się to obok nas - Polaków. Ta historia tworząca się na oczach Polaków ma uświadomić im ich krótkowzroczność, zmusić do refleksji.

Podobne odstony okrucieństwa czytelnik widzi w zbiorze **Dzieci Wojny**, gdzie Krzysztof Mich pisze o wydarzeniach w Syrii, Afganistanie, Libii, Meksyku, czy innych miejscach stawiając dzieciństwo naprzeciw tragicznych wydarzeń wojennych. Przekazuje obrazy bestialskich zachowań, a symbolem całokształtu staje się Khalil, identyfikator dzieci okaleczonych:

*niebo to miejsce w którym
Khalil już prawie był
lekarze powiedzieli mu że tam
zostały jego nogi¹³.*

Mich prowokuje do przemyśleń, do zrozumienia, że ofiarami walk zbrojnych, o których najmniej się mówi, są dzieci. Symbol dziecka ma wywołać opamiętanie i zaprzestanie działań doprowadzających do masowej zagłady ludzi. Wiersze stają się wezwaniem do niepowielania działań zaspakajających ludzki egoizm podczas dążenia do osiągnięcia korzyści. Wejście w utwory na zawsze pozostawia ślad w czytelniku, przede wszystkim ma zmusić do refleksji, analizy i wyciągnięcia wniosków. Mich, podobnie jak Dickens, nie narzuca rozwiązań, jedynie ukazuje kumulację wszystkich nieodpowiednich działań i postaw człowieka.

Podsumowującą częścią michowskiej podróży staje się książka poetycka **Humberstone** nawiązująca do opuszczonego miasta w północnym Chile, gdzie pozostały tylko dowody żyjących tam kiedyś ludzi. Jesteśmy częścią wielkiej maszyny, która może ulec zatrzymaniu i wyludnieniu, podobnie jak tytułowe miasto. Człowiek, chcąc zyskać dla siebie to, co wartościowe, zapomina, że to on jest wartością, częścią świata, który niszczy dla własnych ambicji:

*dla opuszczających to miejsce
jedyną ważną treścią
była treść żołądka – dlatego właśnie odeszli
zwykle tak umierają cywilizacje¹⁴.*

Humberstone należy traktować jako symbol i ostrzeżenie w jednym, jako koniec podróży, jeśli nie nastąpi opamiętanie. Jeśli człowiek wypierze się z tolerancji i zrozumienia, wówczas, niczym Humberstone,

¹² tamże s. 26

¹³ Krzysztof Mich, *Dzieci Wojny*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2021, s. 14

¹⁴ Krzysztof Mich, *Humberstone*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, 2022, s. 32

¹ Krzysztof Mich, *Kamień przewiązany trawą*, Wydawniczy Pomyłka, 2015, s. 8

² tamże, s. 13

³ tamże, s. 39

⁴ tamże, s. 29

⁵ Krzysztof Mich, *Idąc*, ALTER Paweł Wójcik, 2017, s. 7

⁶ tamże, s. 20

⁷ tamże, s. 26

⁸ tamże, s. 31

⁹ tamże, s. 42

¹⁰ Krzysztof Mich, *Śladami*, MK, 2021, s. 5

¹¹ tamże s. 14

stanie się wymarły. Rodzi się pytanie, czy ten ostatni duch w poezji Krzysztofa Micha zdoła temu zapobiec?

Mich pozwolił, by wiersze przemówiły w sprawie egoizmu, braku empatii czy zażyłości i zmusił do przemyśleń hamujących powtarzające się, wciąż od nowa, sceny ludzkiego okrucieństwa, pożyteczności i pazerności. Czytelnik, który pozna całą podróż, będzie mógł odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w dążeniu do zaspakajania codziennych potrzeb nie staje się niczym

Ebenezer Scrooge. Być może ten ostatni zbiór spowoduje, iż odbiorca powtórzy za bohaterem Dickensa:

*Będę zawsze pamiętał o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wszystkie trzy Duchy, które mnie nawiedziły, żyć będą we mnie, gdyż nie zapomnę otrzymanych od nich nauk.*¹⁵

SYLWIA KANICKA

¹⁵ Charles Dickens, *Opowieść wigilijna*, Wydawnictwo Olesiejuk, 2022

Zbiory wierszy:

Krzysztof Mich, *Kamień przewiązany trawą* (Zautek Wydawniczy Pomyłka, 2015)
Krzysztof Mich, *Idąc* (ALTER Paweł Wójcik, 2017)
Krzysztof Mich, *Śladami* (MK, 2021)
Krzysztof Mich, *Dzieci Wojny* (Zautek Wydawniczy Pomyłka, 2021)
Krzysztof Mich, *Humberstone* (Zautek Wydawniczy Pomyłka, 2022)

Irmina Kosmala

TO, CO NAS SKLEJA

Wypełniamy nasz byt ludzki sensem zawsze dzięki temu, że urzeczywistniamy wartości. Można to uczynić w trojaki sposób: pierwszym sposobem jest działanie (...) druga możliwość polega na przeżywaniu świata (...) trzecia wreszcie to cierpienie, znoszenie losu, bytu.

VIKTOR E. FRANKL

Nie mogę się od niego uwolnić. Jest wszechobecny. Rozpina moje ciało jakby składało się z miliona maleńkich guziczków. Wkłada w obnażone ze skóry mięso niecierpliwe, zimne palce. A może to wskaźnik? Przeszywa mnie aż do skroni. Wcisną swoje badawcze narzędzie głębiej. Nie poddaję się; nie umrę od tego, lecz czuję, że jest nie do zniesienia...

Czasami ból psychiczny jest tysiąc-krotnie gorszy od fizycznego. Przez niego można popaść w obłąd, złamać sobie i komuś życie, targnąć się na nie. Viktor Frankl, twórca logoterapii, proponuje, aby swoje cierpienie, znoszenie losu, bytu przekuć w wartość. Łatwo powiedzieć, prawda?

A jednak! Dagmarze Kacperowskiej udaje się podążać za propozycją światowej sławy psychologa. Poetka jakby podskórnie czuje, że jeśli wykrzyczy swój ból na kartach *Blizny*, jeśli nie da mu się opętać, a spróbuje okiełznać go poprzez nazwanie – wygra. I wszystko to dzieje się na naszych oczach. Cudowna transgresja! Powolne wyzwalanie przychodzi choćby przez modlitwę, jak w poruszającym wierszu *Kamień*:

boże czy słyszysz mój kamień
nieznośny i chropowaty,
kaleczący nawet najprostszą retorykę?
mój kamień jest bezbarwny.
mój kamień nic nie waży,
mimo to bywają chwile, kiedy mi ciąży.
nocami obracam go w palcach,
przyglądam się jego pustce.
próbuję otworzyć od środka
i znaleźć światło w jego
martwym wnętrzu (...)

Tak, bywa pusty, lekki, bezbarwny, w zasadzie niewidoczny dla nikogo z zewnątrz, lecz w mgnieniu oka potrafi przeistoczyć się w nieznośny, chropowaty, kaleczący i ciężący dla kogoś, komu jest przeznaczony.

W najnowszym tomiku *Blizny* wiele uwagi poetka poświęci cierpieniu. Kamieniowi zawieszonemu u szyi. W jej utworach zobaczymy, jak sens wypełnionego tomu bólem ściera się z rzeczywistością, wnika w nią, nasycając po brzeg, po horyzont.

Tygodnie, a może lata świetlne
czekaliśmy ostudzeni w biegu
do miejskiej łaźni. wciąż mijając
się z rzeczywistością, gubimy
tłuste plamy w betonowych klatkach.
żadnych okrucieństw, prócz nas samych.
żadnego przebaczenia, tylko histeria
na widok światła

(PIACH W SZPRYCHY)

Życie utożsamione zostaje z dysfurią, przeciwieństwem euforii. Stygmatyzowane przedpiekłem każdego dnia. Gdyby Frankl zajrzał w te utwory, dostrzegłby w nich przypadek człowieka, nad którym całe życie pracował: oto prawdziwy *homo patiens!* (człowiek cierpiący) – z wrażenia zatarłby ręce. Ale dostrzegłby w tym też najwyższą wartość, gdyż jego zdaniem w sytuacjach dramatycznych, jak śmierć najbliższej osoby, choroba czy porzucenie człowiek staje w swojej istocie i to właśnie wtedy odkrywa sens.

Ludzka egzystencja zamknięta jest w ramach bólu od początku po kres. Obolała wyobraźnia Dagmary Kacperowskiej co rusz karmi nas takimi obrazami. Jej bohaterowie *umierając codziennie, prowadzą zimne dialogi na temat wielkiej tajemnicy straty*. W ustach mielimy złe wyrazy, rękoma pokazujemy złe gesty, które przekłujemy w złe czyny.

(...) zamknięci szczerlnie
w prowizorce życia.
na czterdziestu metrach kwadratowych
szlochamy, że będą mówić po nas
jak o rozbitej półlitrowce:
kurwa, leć po drugą!

(SUSZA W KRANIE)

Dzięki ironii i sposobowi, w jaki jest ukazywana, twórczość Dagmary Kacperowskiej staje się pośrednio grą z cierpieniem. Autorka nie kusi się tu o opis psychiczny swoich bohaterów. Spotykając ich opresja przychodzi raczej z zewnątrz. Konse-

kwentna jest pośredniość opisu, gdy mówi się o sobie *pośt mortem*, ale nie pada słowo „śmierć”. Uzyskany w ten sposób dystans zdaje się być próbą oswojenia, zagwarantowania sobie możliwości do spojrzenia na trudne rzeczy z zewnątrz. W konsekwencji stanowi próbę do wzniesienia się ponad cierpienie, czyniąc je wehikułem zmierzającym ponad bezpośrednią bolesność.

płyną w nas akwedukty rłęci,
czarnych myśli, żałobnych pieśni, rzeki
pełne grudek ziemi. czas
wypełniony po brzegi,
w końcu coś musi pęknąć,
przerwać tamę, wypuścić
smutek i żal. rozetrzeć na skórze
martwe słowa, seryjne tatuaze.
żyjemy już tylko po to, by ocalić
początek i koniec. świat
od zapomnienia.

Jakże poruszający to wiersz. Ostatni, domykający wieko smutku, choć jego tytuł zdobi okładkę poetyckiej książki, do której grafiki użył Artur Groszkowski.

Akwedukty rłęci. Zło doznawane, czyli postępując się kategorią Leibnizjańską – „zło fizyczne” – prowadzi nas do pytań o „zło moralne”, którego jesteście sprawcami, a ostatecznie o „zło metafizyczne”, leżące u podstaw świata, napiętnowując nas wrodzoną skazą. Cierpienie, jakie ukazuje nam autorka *Martwego sezonu* staje się ostatecznym probierzem wartości, odświeżając prawdę o historii i kulturze. Przez ów tomik niczym cienie w pochodzie imaginacji przejdą takie postaci, jak: George Floyd, Tom Cruise, Maksim Gorki, Hugo Boss, Fryderyk Nietzsche czy Adolf Hitler. Ale pomiędzy tymi postaciami znajdzie się również miejsce dla szeptu wiary, w której również z imienia będą wymienione najświętsze postaci. Bo odautorskie *credo* wybrzmiewa najpełniej w ostatniej strofie tytułowego wiersza. Po to właśnie się tworzy, po to z sobą szarpie i wyrwa na powierzchnię: by ocalić, a może i scalić.

IRMINA KOSMALA

Dagmara Kacperowska, *Blizny*, 2024

Zbigniew Ikona Kresowaty

ANON GENUINE POLE O OSTATNIM ZBIORZE WIERSZY BOGDANA LOEBLA

„Polak nieprawdziwy” jest tytułem tomu „Wierszy Bogdana Loebla. Znany poeta, autor tekstów śpiewanych – (tworzący w przeszłości Spółkę Autorską z Tadeuszem Nalepą), wydał interesujące poezje, które są odniesieniem do naszego czasu obecnego. Czasu trudnego, w którym jesteśmy narażeni na wszelkie efekty wynikające z przyswajania i transformowania tzw. „dóbr wolności”. Czas to pomieszania umysłów, deformacji, rozwibrowania umysłu i często (wbrew pozorom), niepokoju, a w efekcie frustracji i zagubienia... Jest to też czas budzenia nowych ambicji, nowego otwarcia się, czas weryfikacji osobowości, czas tworzenia „na nowiu”... Seria wydawnicza zatytułowana „PRZYLASZCZKA”, zapoczątkowana książką Krystyny Lenkowskiej pt. „Nie deptać przylaszczek” (przy ilustracjach Franciszka Maśluszcza), otwiera pewien cykl wartościowej poezji, znanych poetów, którzy będą wydawać w tej serii w Wydawnictwie „YES” w Rzeszowie. Jak widać, pięknie, solidnie zrobione książki, w twardych okładkach, w formacie A-4. Oby tylko z powodzeniem dla przedsięwzięcia sponsorów, gdyż okres to trudny, wymagający środków...

Wydaje się, że pomysłodawcy i sponsorzy, mający dużo uwagi dla wartości poezji, w osobie Waldemara Lenkowskiego i jego żony – czy podotają (?) – i chwala im za to! Ale wracając do tego wydania, drugiego w w/w serii – jest to dwujęzyczny zbiór z tłumaczeniem Radostawa Loebla (anglisty i artysty), dedykowany ukochanej wnuczce Julii, przez autora, który, jak się też okazuje, zaczyna podsumowywać swój wspaniały dorobek. Loebel, poeta o dużym i znaczącym dorobku, podejmuje się w tej książce odebrać sobie wiersze tyżące się naszej niefrasobliwości, niekompetencji, czasem braku wyobraźni, wynaturzenia, czy nawet głupoty, wynikające, jak wspomnieliśmy, z tego nagłego czasu, z jego parcia, prędkości... Ja nazywam ten czas, że jest to czas „krzywej twarzy” – i jest o tym w tej książce. Uleganie poety pesymizmowi, całej problematyce eschatologii, a nawet w niektórych miejscach, publicystycznej formie przekazu, żeby bardziej ukazać swój stan rzeczy, czasem przy oszczędnej, a zdyscyplinowanej ironicznie, czy sarkastycznie poetyce, która właściwie jest podmiotem – to cel i konsekwencja tej książki. W książce pomieszczono reprodukcje rzeźb Adama Myjaka, wybitnego artysty, profesora rzeźbiarstwa, które w swej sile i metafizyce dobrze korespondują, jako zakładki, z osobowością poetycką Bogdana Loebla. Bo w konsekwencji poeta ten, z biegiem lat, okazał się jednym z najradkalniejszych turpistów i mizerabilistów. Myjaki, to także pełne napięcia, refleksji nad ludzką pychą i bezwzględnością, rzeźby. A poezja Bogdana Loebla, bijąca celnie, nawet ciężko, w stany duchowe, szczerą – czasem katorżniczą, uderza w tony owe trochę paradoksalnie, namacalnie, aż do pięknie w przestrzeni, nie mijając niczego co ważne dla czasu, który wypływa z nas jeden, lecz dla każdego objawia się wedle innych zastug. Cel najważniejszy dla poety, to oryginalność, choć poeta nie pozuje, nie udaje, natomiast jest blisko naszej skóry, naszej przepływowości z metafizyki wewnętrznej w zewnętrzną. Poeta umiał zawsze zareagować, choćby przez pewne stany duchowe objawione w poprzednich tomach poezji, czy powieściach, np. „Kafaraktą”, oraz w swoich słuchowiskach, choć ostatnio mniej wydawał, ale dwa tomiki

warto wspomnieć „Wiersze o miłości” (RAF Rzeszów 1993 r.), oraz „Frankenstein nasz współczesny” (DOM WYD. JOTA 1991, z rys. Maśluszcza). Ten wspominam, choć był wcześniej, gdyż zbliżony jest tematycznie do w/w w omówieniu, tomu wierszy. Ale wracając do „Polaka Nieprawdziwego” – jest to namacalny znak czasu, wymuszający swą poetyką cenne prawdy, kardynalne dla dalszej transformacji, dla dyskusji. Poezja ta jest jakby rzeźbą czasu i pozą ustawioną dla świata zewnętrznego, bo bywa często gorzka, czasem nieestetyczna, wywołana z przestrzeni, jak reakcja – jako taki kolos błyszczący swymi odcieniami, jak rzeźby Myjaka, czasem chropowaty, senny (?). Zaczyna poeta wierszem pt. „DOPÓKI” (str. 7) takimi słowami:

Uderz mnie wielka ciszo
dopóki są jeszcze bliscy
robaki i szczury
i ma kto pogrzebać i strawić
moje ciało
(...)

Rzuca się poeta w wiry namacalne, w żywioł świata żywego, pragnie chłosty dotyku, dopóki jest jego dusza. To tak jakby przeżył już wszystko i wie na czym polega oryginalność i przetrzeń czasu tego, który go niesie. To nie tak! – nie tak! – położę siebie na stosie, mówi, żeby dać świadectwo (?)... „Polak Nieprawdziwy” (ANON GENUINE POLE) (wiersz str. 9) powstał z autopsji jak inne, ale ten pisany odruchem takiego zdrowego rozsądku, kiedy to poeta słuchający nocą radia, zbudzony jakby dygresjami o „prawdzie istnienia”, przez Ojca Dyrektora, który daje recepty na prawdziwość bytu, na prawdziwego Polaka, odregowuje poeta momentami jakby z napływu adrenaliny (?) Uznaje, że musi zabrać głos na pchającą się głupotę w okienka naszych domostw, naszych serc, czy umysłów. Wiersz, jak mi oznajmił Bogdan, napisany momentem chwili, jak inne, ale ten jest wyraźną ripostą na demagogię, na sądy, na osądy... Poeta ma prawo tak reagować, ponieważ jego świat nie jest zwięzony, a dar odgadywania tego świata pochodzi też od Boga – ale jest zawsze z natury kierowany rozumem! Polega, wie na czym polega, Krzyż Narodu, zna historię Polski, dowodził tego wiele razy. Poeta jest wśród ludzi i ich spraw, kontynuuje Loebel tak: (str.9):

Nocą obudził mnie
Ojciec Dyrektor

mówił do mnie jak do syna
albo brata chociaż
nie czuję się
PRAWDZIWIYM POLAKIEM

mam sąsiada bezwzględnie
PRAWDZIWIEGO POLAKA

ale wiem że to
nie upoważnia mnie do śpiewania
razem z nim i Ojcem Dyrektorem:
„Dziękujemy każdego dnia
że jest w Polsce Radio Maryja
nadzieja dla Polski
nadzieja na lepszy świat” ponieważ
czuję że nie jestem
jak oni
PRAWDZIWIYM POLAKIEM jakich
Życzyli sobie w Polsce Mieczysław
Moczar i Władysław Gomułka
I jakich chcieliby tu mieć
Dzisiaj i na wieki wieków
(...)
wiem od matki i ojca
że nie mam w sobie
żydowskiej krwi i żywię
głęboki żal do przodków
za to
że nie jestem
Żydem

może wówczas
zaprowadzono by mnie do gazu
i nie musiałbym teraz żyć
pośród was

albo by mnie ukrzyżowano
i modlili by się do mnie
mój sąsiad PRAWDZIWIYM POLAK
Ojciec Dyrektor
I Rodzina Radia Maryja

Poeta, jak widać, nie daje się zwirować, zapuszkować, czy zakiepować w demagogiczne poglądy, w skrajne „prawdki”, ubogacone górnolotnymi pseudo – świętymi słówkami. Nie pozwala poeta na „branie sobie pewnych imion nadaremnie” i szastanie świętością, która jest utrwalona i zapisana w rozumie, a nie w namiętnościach – poeta nie pozwala się otumanić tym skrajnym, czasu tego, słowem. Bo burza one tam i wszelkie zgody na logikę czasu przyszłości, za którą przelano całe morza krwi... Uważa poeta za swoją powinność reagować na skrajność, na jakiś wyindywidualizowany głupi gest, który jakby jąka się, czy beka, a jest tak naprawdę rozpacz! Rozpacz to walka z przedmiotowością, z samymi jej przedmiotami... Rozpacz to brak prawdziwej refleksji, często nieumiejętność przewidywania... I tu jakby na przewagę daje wiersz (str. 11) pt. „Czcigodny Hierarcho” (dedykowany Ziemowitowi Fedeciemu) :

Obserwuję coraz większe zezwierzęcenie ludzi
stwierdził Hierarcha kościoła

przepraszam was moi mniejsi bracia
za te obelżywe słowa

gdyż nie słyszałem
by jakiś pies przykuł łańcuchem chłopca
do wystawionej na mroź budy
(...)
nie widziałem by cielątko lub świnka
prowadziły do rzeźni człowieka
(...)
czcigodny Hierarcho kościoła
zanim powtórzysz tamte słowa
spójrz w oczy okładanego batem konia
i wychudzonego bezdomnego psa
i również
co stałoby się z Twoim światem
gdyby nasi bracia mniejsi
zaczęli człowieczyć

Cała sfera wrażliwości wywodzi się ze źródła i kieruje się w stronę zdrowej, kierunkowanej, projekcji efektu. Zatrącenie w czasie swym pojęciowości, prowadzi do wszelkich paradoksów, do wynaturzenia, chaosu, do braku równowagi... Powiedział już kiedyś wielki malarz, który zamykał pewną epokę w Hiszpanii – Goya – „że wyobraźnia prowadzona bez rozumu, prowadzi do spotwornienia i rodzi potwory”. Oto prawda, czy pojęcie racjonalne? Nie da się skrzywić natury człowieka, to ona w odpowiednim momencie odezwie się... i nie pozwoli usiąść jakiegś głupocie jako autorytetowi na głowie, a która wcale nie prosi, żeby ją zbawiać... lub ocalać (?) Wiersz pt.

„Stanął przede mną człowiek” – jest jak ściana (str. 17) bo mówi:

(...)
miał znoszoną twarz

w jego oczach
ujrzałem odbicie człowieka
różowa łądoga szyi
wyrastała z białego kołnierzyka
czoło zdobił napis
SUKCES

stał przede mną człowiek
na jego czole widniał napis
ROZPACZ i DEPRESJA

wsunąłem dłoń w kieszeń
chłód pistoletu wyrównał
rytm mego serca

powiedziałem: stanąłeś na mojej drodze
powiedział: to ty stanąłeś na mojej drodze
powiedziałem: to nie moja
wina że mi się powiodło
powiedział: to nie moja wina
że mi się nie powiodło
(...)

Stawianie pewnych znaczeń, sensów, pytań, które są gotowymi odpowiedziami, które odbijają się od siebie, jak przystawione „piłeczki pingpongowe” – wytaczanie swych racji i dawanie skrajnych dowodów, o! – to domena człeka wyzwolonego (?)



Brak reakcji na absurd, na bezsens pojęciowy, na kołtuństwo podszyte chamstwem, brak umiejętności tokowania, wynikającej z niedostatku duchowego – to jakby główne reakcje zawarte w tej książce. Jest wiele do przytoczenia, ale czas nagli... Zatem pojemny jest dom poety, jego serce... Dom poety musi być dobry, otwarty mądrością przychylniej strzechy, czy dachu – tak chce mi się powiedzieć, żeby przejść do ostatniego omawianego tu wiersza pt. „Domie mój” (str. 21) co jest pewną konsekwencją myślową autora.

(...)
czuję jak kulisz się i zaciskasz pięści
zamek u okien i drzwi
jak wsłuchujesz się w każdy
ruch idącego drogą
jak jeży się skóra twoich ścian
i napinają się mięśnie cegiel

śpij mówię – to tylko
człowiek jak ja i mieszkająca
pod twoim dachem kobieta i dziecko
ale ty wstrzymujesz oddech i słyszysz

jak drży piasek okiennych szyb
(...)

Poeta daje nadzieję, ale równa ją i konstatuje w tym, co otrzymaliśmy od losu, tym co daliśmy sobie na teraz, za wieki... Ogień poezji Loebla jest jak zabłąkana mrówka, która ucieka przed skutkiem, żeby przetrwać poprzez kierowanie się na światło racji. Daje odwagę i prawo do reakcji na dominację. Siła tej poezji bije z mroku, czasem obraźliwie dotyka i powala jak nieokiełznany prąd, celnie. I już na pointę tego, ostatnie słowa wiersza pt. „Ogień poezji”:

(...)
palę suche liście i stare już nie
potrzebne czasopisma poetyckie
płomienie z kurzu je oczyszczają
i żarliwie wnikają w metafory i pointy

(...)

ZBIGNIEW KRESOWATY

Bogdan Loebel, Polak nieprawdopodobny, z serii „PRZYŁASZCZKA”, Wyd. YES, Rzeszów 2001, ISBN 83-911519-1-3, z repr. Prof. Adama Myjaka. Twarda okładka A-4, s. 60.

Andrzej Walter

Jak odnaleźć swoje miejsce, odszukać harmonię i ciszę, nie lękać się i jak być wdzięcznym za los, choć życie przecież niosło wiele fal i burz, naporów i zrad, czasami huraganów, po których krótkie chwile spokoju były kojącą łagodnością przemienianą w ... poezję? Tak, to niewątpliwie subtelna poezja wyznaczyła horyzont życia Zofii Mirskiej, wspaniałej kobiety, kobiety, jak byśmy dziś ujęli z klasą, kobiety wielkiego serca, ale też osoby wyjątkowego talentu emocjonalnego rzeźbienia w słowie. Wiersze Mirskiej są jak ślady uczuć, drogowskazy dobrych dróg, są wyrafinowane prostotą i głębią, a ostatni Jej tom, nad wyraz skromny, maleńki, niepozorny „Z ulicy ostatniej” dotyka śmiało poetyckiego parnasu, gdyż porusza sprawy najważniejsze, rozlicza się ze światem i z życiem jak przystało na Kogoś takiego jak Zosia Mirska.

Zawsze Ją szczerze podziwiałem. Za całokształt, że się tak nieskromnie wyrażę, za ogromny wymiar prawdziwego człowieczeństwa, za wielką inteligencję zarówno tę zwykłą, pospolitą, jak i tę drugą, tę przecież ważniejszą, inteligencję emocjonalną, bez której ciężko pojąć ducha czasów. Zofia Mirska, Kłodzka poetka, którą poznałem ponad dziesięć lat temu na tym dawnym Polanickim Festiwalu Andrzeja Bartyńskiego doskonale porusza się po krainie słów. Panuje nad nimi. Używa ich oszczędnie, ale dosadnie. Zofia Mirska z ulicy Ostatniej podsumowuje swoje życie, a było to życie nietatwe. Życie naznaczone symbolami historycznymi XX wieku, wieku wojen i przesiedleń, eksperymentów społecznych i chorych ideologii, nasza bohaterka również trafia na Ziemię Kłodzką jako przesiedlona ze Lwowa, dokładnie tak jak i moi Rodzice, czy wielu, bardzo wielu Polaków z Andrzejem Bartyńskim na czele. W tym kontekście zachwyca mnie taka pointa jednego z wierszy:

*dziś wiem i czuję
że znów mnie przesiedlą
i jak każdy nie wiem
czy do gwiazd?
czy do ciemności?*

Przecież nas wszystkich czeka prędeżi czy później owo przesiedlenie. Przesiedlenie ostateczne. Przesiedlenie dokąd? Nie wiemy, ale w tym jest przecież cały wszechświat nadziei, w tym jest bogactwo naszej twórczości szukającej nieistniejącej odpowiedzi, ale podskórnie czującej, że musi istnieć jakieś Absolutne Dobro, ku któremu zmierzamy, w odróżnieniu od tych, co zmierzają ku ciemności wybierając ciemną stronę rzeczywistości. Zofia Mirska nie mogła tego ująć lepiej. To stwierdzenie doskonałe. Idealnie oddające nasze lęki i obawy, a może i naszą ... wiarę? Jednak Zosia Mirska się nie zatrzymuje. Każdy kolejny wiersz to kilka słów do wielokrotnej lektury i do wielu, bardzo wielu przemyśleń.

Spotkanie

*po wszystkich trudach jakie przesłam
po poświęceniu rodzinie
po pracy jaką wykonałam*

*współżyję z książkami
z prawdą i pięknem
idę do Was
by odpocząć
ale wiem, że Wy też mijacie
w życiu trudnym
spotykamy się by
cieszyć się z
bycia razem
dziękuję, że jesteście
gotowi mnie przyjąć
tak jak ja Was wszystkich*

Świetne. Napisane prosto i otwarcie, maksymalnie szczerze, bez udziwnień i bez znieczuleń, ale tak trafnie i celnie jak tylko można ująć naszą drogę ... by odpocząć. Z książkami, prawdą i pięknem. Cóż to jest prawda? W sumie dobrze wiemy. Relatywizacja jest nam potrzebna do walki. Tylko po cóż ta walka? Co nam da? Dokąd doprowadzi? Do spotkania? I cóż to będzie za Spotkanie? Z prawdą, dobrem i pięknem? Z książkami? Podstawowym dokumentem kulturowym?

Fantastycznie mi się czytało tom „Z ulicy Ostatniej”. Każdy wiersz pozostawił po sobie ślad. Każdy wiersz zaczął uczucia. Każdy wpływał na emocje. Działał aktywnie, powtarzalnie i mocno. To jest realna i prawdziwa siła poezji współczesnej, po to właśnie ta poezja dziś jest, temu służy, chwata takim poetom.

Mleko się rozlało

*Droga Mleczna
jak pęknięta zużyta tętnica
zamiast mleka
pokazuje czarną otchłań
nasz świat
też pęknięty
i coraz ciemniejszy
a ludzie rozdarci
na My i Oni
ciągle nie gotowi
na przyszłość*

Otóż to. Konflikt, permanentny stan wojny, sporu, walki powoduje zawsze wewnętrzne rozdarcie, stanu (właśnie) braku przygotowania na ... przyszłość, ale i na interpretację przeszłości, na współistnienie z bliźnim, na relacje zdrowe i konstruktywne. Jak pęknięta, zużyta tętnica. Świetne

ZOFIA Z ULICY OSTATNIEJ



po raz wtóry oświadczam w tym tekście, który ma Wam przybliżyć fantastyczne poezjowanie Zofii Mirskiej, ale który ma Was też skłonić do zbliżonych nam refleksji, bo warto. Warto rozważyć nasze życie, nasze emocje, nasz los. Tak jak czyni to Mirska. Polecam ten tom. Bez najmniejszych wątpliwości.

Zofia Mirska, Kłodzka poetka, przesiedlona ze Lwowa, autorka 13 tomów poezji, nauczycielka języka polskiego, zasłużona dla Kultury, zasłużona dla Związku Literatów Polskich, zasłużona dla Kłodzka, nam zasłużona i bliska, bo Zofia Mirska zawsze była, jest i będzie blisko ludzi, blisko drugiego człowieka. Ta siła empatii to siła tej, jak już napomknąłem – kobiety z klasą, nie zawaham się określić – damy, która zawsze tworzyła mosty porozumień, nić jedności międzyludzkiej i pisała świetne teksty. Zawsze pełna życia i humoru, pełna świata i właśnie: prawdy, piękna i książek. Mówimy i myślimy jednym głosem, Droga Zofio. Dziękuję za ten tom. Podniósł mnie na duchu. To bardzo, bardzo wiele. Po to się przecież w tym życiu Spotkałiśmy...

ANDRZEJ WALTER

Roman Warszawski

POWRÓT MISTRZA, POWRÓT RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO

Gdy usłyszałem, że wyszła NOWA książka Ryszarda Kapuścińskiego, bo z jakiejś zapomnianej szuflady pisarza wydobyto nieznaną dotąd plik jego zapisków, byłem trochę zaniepokojony. Nie tak dawno czytalem bowiem krótką powieść Gabriela Garcii Marqueza pt. „Widzimy się w sierpniu”, którą po jego śmierci także odszukano w archiwum noblisty i po kilku redakcyjnych zabiegach wypuszczono w świat. Rezultat był w najlepszym razie średni: powieść Marqueza okazała się dziełem ułomnym – fragmentami, owszem, interesującym, ale w całości jednak odbiegającym od standardu do jakiego Marquez nas przyzwyczaił. Czuło się, że jest to dzieło niedokończone i niedonoszone. Takie, które chyba nie powinno ujrzeć światła dziennego, jeśli autor nie miał szansy sam o tym zdecydować. Będę brutalny: można było odnieść wrażenie, że spadkobiercom Marqueza zaczęto brakować pieniędzy i że – po prostu – postanowili zarobić.

Czy w przypadku nowej książki Kapuścińskiego mogło być podobnie?

Nic z tych rzeczy!

Na szczęście!

„Zegar piaskowy” – bo taki tytuł nosi ta niespodziewana książka – jest dziełem niezwykłym. To niewielka książeczka, która łączy dziesiątkami odnajdywanych na jej stronach pereł, perełek, diamentów. Składa się z krótkich zapisków, których wiele ma formę aforyzmów. Ich głębia jest często porażająca i każe po wielokroć myśleć, ile przez przedwczesną śmierć Kapuścińskiego utraciliśmy, bo wyobraźmy sobie, co miałby on dziś do powiedzenia o wojnie w Ukrainie, albo o masakrze w Gazi.

Nie na darmo zaraz po śmierci pisarza zaproponowałem Markowi Rymuszce, ówczesnemu prezesowi stowarzyszenia Klub Reportażu Polskiego, by na klubowych stronach w Internecie umieścić krótki wpis: „Od dziś wszyscy nagle staliśmy się ubożsi!”, „Zegar piaskowy” – po tylu latach – jest dowodem na trafność tego stwierdzenia. Ten tomik to jednocześnie głos z daleka, a jednocześnie z bliska. Z daleka – bo dziś, niestety, w zasadzie już tak się nie pisze. Z bliska – bo takie pisarstwo, teraz może bardziej niż kiedykolwiek, jest bardzo potrzebne.

Czytając tę zaskakującą książkę nie sposób nie dojść do wniosku, jak bardzo w dzisiejszych rozedrganych czasach brakuje tego rodzaju pogłębionej i spokojnej refleksji. Ile nadal od Kapuścińskiego możemy się nauczyć. Kapuściński nieustannie namawia do tego, by częściej zatrzymywać się, rozglądać się dookoła, zastanawiać się nad światem i sobą samym, a nie tylko biec, biec, biec. Bo po co? By jak najdalej uciec od samego siebie?

Wydawca na okładce pisze, że książka powstała w latach 80.–tych, lecz w związku z tym, że wiele w niej refleksji na temat władzy, w tamtym czasie nie było szansy na jej publikację. W swej literackiej formie przypomina „Lapidaria”, których w latach 90.–tych Kapuściński opublikował aż 6 tomów. Jaka jest zatem relacja między „Zegarem piaskowym”, a „Lapidariami”? Trudno dociec, ale informacja na ten temat mogłaby być interesująca. Być może „Lapidaria” zawierają fragmenty (zgodnie z tytułem) bardziej masywne, lite, bardziej związane z konkretnymi miejscami i osobami,

natomiast „Zegar piaskowy” jest skarbnicą rzeczy bardziej filigranowych i wyselekcjonowanych – łatwiej mogących precyzyjnie się przez gardziel klepsydry – czyli piaskowego zegara. To oczywiście tylko domysł. Bo może być i tak, że „Lapidaria” w jakiś sposób wyrosły z leżącego w szufladzie „Zegara piaskowego”, co tom ten czyniłoby jeszcze bardziej frapującym.

W „Zegarze piaskowym” autor porusza wiele różnych wątków, które niby są pogrupowane w poszczególnych rozdziałach, lecz które jednocześnie, po bardzo wielu stronach w pewnej chwili znów niespodziewanie pojawiają się na powierzchni. To powoduje, że książkę warto czytać wolno, bardziej delektując się nią niż pochłaniając. Dzięki temu można więcej z niej wynieść i zapamiętać. Bardziej będzie można ją docenić.

Na temat poszatkwanej formy jaką wybiera, Kapuściński pisze na samym początku:

„Dzieła typowe dla wieku XIX i dla wieku XX – jakaż różnica! To zesztowieczne jest przejrzyste, logiczne, pewne siebie, ma mocną sprężystą konstrukcję. Twórca wie, co robi, od początku wie do czego zmierza, czujemy to, jego pewność i nam się udziela, obcując z takim utworem, jesteśmy uspokojeni (...), rozumiemy świat, zgłębiamy jego tajemnicę. Ten spokój, jasność, symetrię znajdujemy w rytmie, w kadencji, w linii.

Jakże inaczej z dziełem powstałym w naszym wieku – tu wszystko rwie się, szamocze, jest neurotyczne, niepewne, zbitkane, zmącone. Linia krótka i potargana, rytm nierówny (...). Najczęściej spotykane formy to fragmenty, obrazki, szkice, próby, projekty, notatki, asamblaże. Świat pędzi, napiera, przewala się przez nas, pod nami, nad nami i artysta nie jest już w stanie za-

panować nad materią, nad tematem nad własnym dziełem.”

Wiele miejsca poświęca prymitywizmowi i chamstwu, co daje doskonały wgląd w jego subtelność i delikatną umysłowość. Najpierw mówi o tym pośrednio, poprzez komórki rakowe:

„Co mówią patolodzy? Mówią między innymi to, że im bardziej komórki neoplazmy są prymitywne – tym większa agresywność cechuje ich zachowanie. Związek między prymitywizmem, agresywnością i chamstwem. Chamstwo jest aktywne, zaciekle, natarczywe; to niestrudzona siła, zło, które ciągle atakuje.”

Za chwilę do tematu wraca już w formie dosłownej:

„Unikaj hołoty, bo źle skończysz, bo ona cie pograży, zniszczy. Traktuj tych ludzi jak roznosiciele zarazy, omijaj ich z daleka. W hołocie jest jakaś wola podboju, zawistna pasja unicestwienia wszystkiego. Dążeniem hołoty jest burzyć twój spokój, uniemożliwić ci pracę, a ludzkości – uniemożliwić postęp. Ruch hołoty to zawsze ruch wstecz, do tyłu (...). Chce ona tylko jednego – wciągnąć cię w bagno. Tego wciągania w bagno nie będziesz mógł w stanie powstrzymać, ponieważ jesteś zbyt staby. Masz tylko takie wyjście – nie dopuścić do zrobienia pierwszego kroku w kierunku bagna. Ten pierwszy krok rozstrzyga. Ale ileż jest sytuacji, w których trudno zorientować się, że był to właśnie ów pierwszy i zarazem ostateczny krok!”

ROMAN WARSZEWSKI

PS: Gdy piszę te słowa właśnie słyszę w radiu, że swą kandydaturę na prezydenta zgłosił Grzegorz Braun.

Ryszard Kapuściński, Zegar piaskowy, Czytelnik, Warszawa 2024



Roman Warszawski

TRZY SZTYLETY W CIELE LIBERALNEJ DEMOKRACJI

Nexus. Krótka historia informacji. Od epoki kamienia do sztucznej inteligencji" pióra tęczowego **Noaha Juvala Harari**go to kontynuacja jego bestsellerowych książek pt. „Homo Sapiens. Od zwierząt do bogów” i „Homo Deus. Krótka historia jutra”. (Celowo pomijam tu „21 lekcji na XXI wiek”, bo był to tom znacznie mniej udany.) Harari przez ostatnie kilka lat dał się poznać jako politolog i socjolog, który widzi bardzo dużo i bardzo daleko. Może dlatego czytany jest tak chętnie i przez tak wielu. Zamiast zagłębiać się w kilka, czy kilkanaście innych książek, lepiej sięgnąć po którąś z pozycji napisanych właśnie przez niego. Jego wizja historii i świata jest spójna i – mimo skomplikowania materii – dość łatwa do ogarnięcia. W dzisiejszych jakże zaskakujących i rozłańczonych na wszystkie strony czasach, okazuje się nadzwyczaj przydatna – a może nawet wręcz konieczna?

„Nexus. Krótka historia informacji” – wbrew tytułowi – wcale nie jest krótką książką. To potężny tom, którego nie będę tu streszczał, bo każdy, po przeczytaniu, sam może dokonać własnej rekapitulacji. Skupię się raczej na trzech elementach, które z książki wynikają tylko pośrednio i które przy pospiesznej lekturze mogą zostać niezauważone.

Rzecz dotyczy liberalnej demokracji. Z tego co pisze Harari można wnioskować, że chmury, które obecnie zebrały się nad tą formą sprawowania rządów, w przyszłości niekoniecznie się rozstąpią: że wcale nie są to kłopoty przejściowe. –To – mówi w jednym z wywiadów – wbrew wcześniejszym nadziejom może okazać się już czymś stałym; czymś, co wynika z ewolucji i ekspansji elektronicznych środków komunikacji, którymi dziś tak wszechobecnie się posługujemy.

Istnieją – można powiedzieć – **trzy** informatyczne **sztylety**, które głęboko wbijają się z ciałem liberalnej demokracji.

Pierwszy sztylet to to, iż obecnie, przez nieustanną ingerencję w elektroniczne media komunikacyjne takie jak generalnie Internet, a bardziej szczegółowo – TikTok, Instagram, „X” itd. – już nigdy nie będzie wiadomo, czy wyniki demokratycznych wyborów naprawdę są wiarygodne, czy też stanowią rezultat manipulacji, takich jak te, które swego czasu doprowadziły do brexitu, a niedawno do sfalszowania wyborów w Rumunii; czy nie są rezultatem prania mózgu, którego można dokonać chociażby dzięki algorytmom zastosowanym przez słynną już dziś firmę Cambridge Analytica, a po niej przez dziesiątki innych. Dziś praktycznie autentyczność każdego wyborów można już zakwestionować, podważyć, unieważnić lub co najmniej poddać w wątpliwość. Paradoksalnie – niezależnie od tego, czy jest to zasadne, czy nie. Drzwi zostały wytamane – i to z zawiasami. (Zobaczmy, co w tym kontekście, u nas wydarzy się na przełomie maja i czerwca?)

Drugi sztylet to fakt, iż powszechna elektroniczna przekazywanie informacji powoduje niewiarygodne przyspieszenie wszystkiego, co obecnie się dzieje. Dzięki elektronicznym mediom wszystko dziś dzieje się i następuje dużo szybciej niż kiedyś. Szybciej toczy się życie gospodarcze; żeby nadążyć za tym, co dzieje się na światowych giełdach trzeba posługiwać się maszynami. Znacznie przyspieszyło też życie polityczne. To, na co kiedyś potrzeba było dni (a może tygodnia), dokonywane jest obecnie często

za pomocą jednego kliknięcia, no, może dwóch, trzech... Z jednej strony to oczywiście fantastyczne. Żyjemy szybciej, sprawniej, przyszłość niepostrzeżenie zakrada się do teraźniejszości, a w naszym otoczeniu pojawia się coraz więcej innowacji. Ale czy takie przyspieszenie naprawdę jest konieczne? Czy nie jest to nakładaniem na własne karki kolejnego chomąta lub końskich okularów? Czy zawsze jest to korzystne?

Tu pojawia się **sztylet numer trzy**. Stanowi go (trochę jak u Marksa?) niezgodność między wymuszonym przez elektroniczne narzędzia komunikowania się coraz szybszym tempem życia – w tym życia politycznego – i specyfiką mechanizmów demokracji, w tym demokracji liberalnej. Mechanizmy te są bowiem ze swej natury powolne, niemrawe, ospałe. Takie zresztą miały być, gdy je projektowano, wprowadzano w życie i gdy właśnie pod tym kątem je doskonalono. Miały one bowiem zapobiegać pochopnym decyzjom. Miały skłaniać do namysłu, refleksji i dawać dodatkowy czas na przemyślenie niejasnych kwestii.

Ten trzeci sztylet w ciało demokracji wbija się dziś najgłębiej. Bo życie toczy się coraz szybciej, rzeczywistość niesiona falami innowacji coraz zwawiej rwie do przodu, tymczasem mechanizmy powolnej ze swej natury demokracji, nie są w stanie za tym

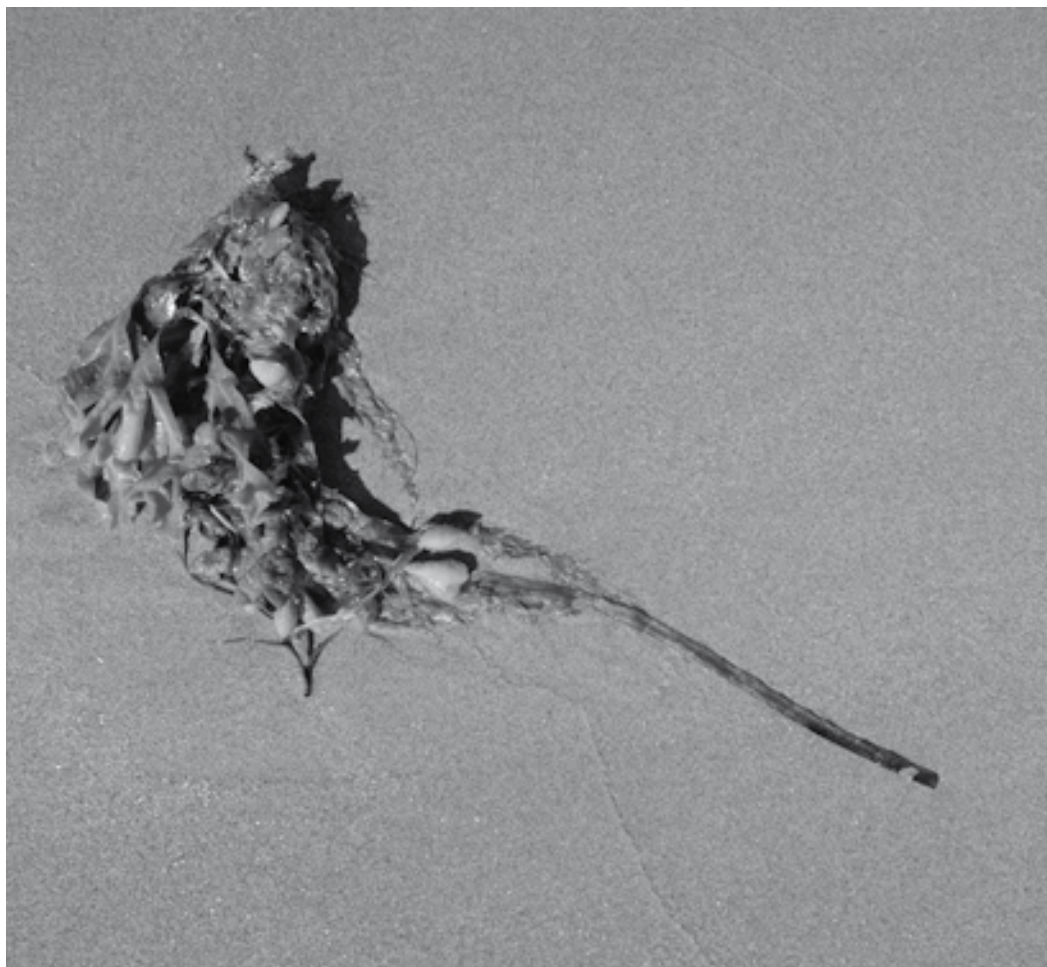
nadążyć (co – jak już mówiłem – nie wynika z ich nieudolności, lecz z tego, iż były pomyślane w całkiem innym celu). Co oznacza to w praktyce? Że systemy autorytarne, czy wręcz dyktatorskie (lub twory zwane niekiedy demokracjami nieliberalnymi) – systemy, w których władza skupiona jest w jednych lub w bardzo nielicznych rękach, na tempo zmian zachodzących wokół, są w stanie reagować znacznie szybciej i sprawniej niż tradycyjne demokracje, które są przez to stale zaskakiwane i zostawiane daleko w tyle już na linii startu.

Oczywiście decyzje zapadające poprzez mechanizmy demokratyczne mają głębsze oparcie w społecznościach, których stanowią emanacje i nie zależą od zawieszoności w powietrzu (czy próżni) kaprysu jednego czy drugiego dyktatora. A to okoliczność bardzo istotna – choćby dlatego, że jej brak może z czasem doprowadzić do upadku dyktatury (lub autorytarnych rządów) zdających być bardziej sprawnymi od liberalnej demokracji.

Rzecz jednak w tym, czy będzie nam dany czas, by na to czekać?

ROMAN WARSZEWSKI

Noah Juval Harari, „Nexus. Krótka historia informacji. Od epoki kamienia do sztucznej inteligencji” tłum. Justyna Hunia, WL, Kraków, 2023



Stanisław Topaz

HETMAŃSKIE ECHA W POEZJI STANISŁAWA CHYCZYŃSKIEGO

Dotychczasowego dorobku i cech osobowości autora zbioru *Królewskie milczenia* nie można pominąć całkowicie milczeniem albo też zlekceważyć. Stanisław Chyczyński (r. 1959) to w mojej ocenie, a mniemam, że nie tylko, jeden z najoryginalniejszych polskich poetów współczesnych. Mieszkając w Kalwarii Zebrzydowskiej przyjął pseudonim Calvarianus, jego mniej znanymi przydomkami (kasywami) są również: Kalwariat, KalwaRyj, Kalwaryczyk. Przychyłam się do opinii krytycznej prof. Macieja Urbanowskiego, zawartej w przedstowiu pt. *Poetycka kontra*, do wspomnianego tomu wierszy. W poezji Chyczyńskiego, a w szczególności w *Królewskich milczeniach*, odzywają się echa pryncypialnych założeń filozoficznych, wynikających z twórczości Cypriana K. Norwida. Stąd świadome autokreacje kalwaryjskiego poety na samotnika, outsidera, buntownika, konserwatyście, chrześcijanina, ironistę, „chandroida” (neologizm zaczerpnięty z wiersza Calvarianusa).

Stanisław Chyczyński jest poetą, prozaikiem, filozofem, krytykiem literackim. Wydał 8 zbiorów poetyckich, publikował w wielu renomowanych pismach, ogłosił drukami ok. 300 recenzji. Redaguje własny magazyn literacko-artystyczny „Nihil Novi” (dotychczas ukazało się 36 numerów tego nieregularnika). Droga twórcza i bogaty dorobek literacki Chyczyńskiego przedstawione są w Wikipedii.

Ósmy zbiór poetycki kalwarianina ukazał się nakładem krakowskiego Wydawnictwa Vandre i zawiera 48 wierszy. Są to – poza jednym wyjątkiem (!) – sonety i antysonety. Tytuł dla swojej książki poeta zaczerpnął z wiersza czwartego polskiego wieszacza narodowego: *Ty mnie do pieśni pokornej nie wotaj*. W ślad za nim, Chyczyński kreuje się na buntownika zanurzonego w tradycji. Dobitnie i niezwykle plastycznie wskazuje, że jest twórcą niedooczanym, przemilczanym, nawet wzgardzonym czy przeklętym, jak niektórzy bohaterowie jego wierszy – żołnierze niezłomni. Zestawienie tych dwóch słów „królewskie milczenia” podkreśla, że głos serca Calvarianusa, pomimo pozornego rozbratu z poezją (por. tomik *Byłem pomyłką*, 2012), był silniejszy i poeta chce teraz głośno mówić o wielu palących, współczesnych problemach. W rzeczywistości owe MILCZENIA nie są więc zwykłym milczeniem, ale „królewskimi”, a więc dumnymi, wyniosłymi, wyjątkowymi, zdystansowanymi, niezłomnymi, niepokornymi manifestacjami postawy autora, który nie da się zgłuszyć, a ma bardzo wiele do powiedzenia w związku z procesami synkretycznymi epoki. Kalwaryczyk, w swoich sonetach i antysonetach, obok rymów dokładnych, gramatycznych, z powodzeniem stosuje homonimy, ale ma też skłonność do rymów oddalonych i asonansów. Rymy te często są wyrafinowane i bardzo zaskakujące.

Treść omawianej tutaj książki oscyluje, mówiąc w dużym uproszczeniu, wokół trzech tematów. Pierwszym są żołnierze wyklęci, a więc partyzantka antykomunistyczna po II wojnie światowej, drugim zagrożenie dla państw narodowych UE ze strony islamu i wielokulturowości (multikulturalizmu), trzecim autokreacja poety na buntownika, który nie odnosi sukcesu na miarę swych zdolności, mimo postawienia na szali poetyckiej całego swojego talentu i wbrew wewnętrznej przekonaniu, że przekaz jego wierszy jest oparty o jedyne prawdziwe wartości. Wręcz doznaje porażki, chociaż dla wielu jest przecież poetą znanym, czytowanym i podziwianym.

Żołnierzom niezłomnym poświęconych jest osiem wierszy, w tym sześć sonetów, jeden antysonet i jedna śmiała parafraza dziecięcej rymowanki. Bohaterami tychże sonetów – w kolejności datowania – pozostają: Jan Sałapatek „Orzeł”, Józef Kuraś „Ogień”, Mieczysław Wądołny „Mściciel”, Marian Bernaciak „Orlik”,

Henryk Flame „Bartek”, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszko”. Wiersz poświęcony siódmemu w tej książce żołnierzowi wyklętym, a uchodzącemu za ostatniego z działających w Polsce, Józefowi Franczakowi ps. Lalek, to *Antysonet (III)*.

Problem Wyklętych jest na pewno – w szeregu przypadków – kontrowersyjny, nie w pełni uchwytny w odcieniach bieli i czerni. Niemniej należy brać pod uwagę realia powojennej Polski, w jakich działali, fakt, iż walka zbrojna często niesie za sobą pomyłki i niewinne ofiary, a ponadto każdego z tych partyzantów trzeba oceniać indywidualnie. Warto też podnieść, że do ikon stanowiących wzór polskiego bohaterstwa, patriotyzmu i niezłomności zalicza się tak niekwestionowane w dzisiejszej rzeczywistości osoby, jak chociażby gen. Augusta E. Fieldorfa „Nila”, gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, ptk. Franciszka Niepokólczyckiego „Teodora” czy sanitariuszkę Danutę Siedzikówną „Inkę”.

W świetle powyższego Kalwaryczyk miał moralne prawo do przedstawienia, w swej wizji poetyckiej, owych wybranych siedmiu żołnierzy wyklętych. W ten swoisty sposób wrażliwe serce poety ulitowało się nad tymi bohaterami, którzy nieraz pozabawieni byli grobu i krzyża, chrześcijańskiego pochówku, przez dziesiątki lat byli pogardzani i przemilczani. Wszak sławny francuski pisarz Victor Hugo, autor *Nędzników* i opowieści o dzwonniku z Notre Dame, napisał, że historia jest „echem przeszłości odbitym przez przyszłość. Odblaskiem przyszłości rzuconym w przeszłość”. Przy okazji antysonetu nr III, dedykowanego właśnie wymienionemu już „Lalkowi” (J. Franczak), ostatniemu chronologicznie w polskiej historii, a więc szczególnie tragicznemu żołnierzowi niezłomnemu, warto podkreślić, że w pierwszych dwóch wersach autor trafnie charakteryzuje otaczającą nas rzeczywistość: „Świat nie jest czarno-biały, jak, powiedzmy, tates./ Wiedział o tym filozof, jeden z pierwszych – Tales”. Nie oznacza to oczywiście, że trzeba ten świat pozabawić całkowicie kontrastu bieli i czerni, jak to się, niestety, niejednokrotnie teraz czyni. Taka droga prowadzi na manowce, donikąd. Kiedy pod Lublinem konał w trawie ów „Lalek”, to walczył o zupełnie inny świat niż ten, który reprezentują, w przedostatnim wersie, stojące „pod latarniami malowane lale”. W trzeciej strofie poeta dobitnie stwierdza: „Cnota jest najważniejsza, jak powiadał Tacyt”, lecz, niestety, nie można jej otrzymać „na złoconej tacy”. Trzeba ją wypracować, wywalczyć. Józef Franczak walczył o niepodległość Ojczyzny od 1939 r., przez 24 lata, i został zabity w październiku 1963 r.

Z kolei wątek zagrożenia ze strony islamu i multikulturalizmu przejawia się głównie w siedmiu utworach *Królewskich milczeń*, a to: (*Wołanie przed burzą*), *Gorzkie żale*, *Piątek trzynastego*, *Prostacki / P. dla P.*, *Wieża Bąbel*, *Bąbel czasu i Varsovia bis*. Liberalizmowi Calvarianus przeciwstawia swój konserwatywizm, islamowi swoje chrześcijaństwo, a wielokulturowości i kosmopolityzmowi – niezachwiane swe przekonanie o wyższości, na aktualnym zakreście dziejowym, państw narodowych. W ostatnich dwóch strofach sonetu (*Wołanie przed burzą*) uczuła odbiorcę na problem islamu w krajach Unii. Zwraca się do rzymskiej bogini mądrości, sztuki i rzemiosła, nauki, literatury i słusznej wojny – Minerwy (w domyśle Opatrzności), aby tę sytuację w Europie odcałowała. Mułem, w jego ujęciu, jest islam, a kłaczka Bruksela, czyli Unia.

W zbiorze Stanisława Chyczyńskiego najbardziej pesymistyczny wydźwięk, pod tym względem, mają sonety *Gorzkie żale* i *Piątek trzynastego*. W pierwszym wierszu poeta snuje wizję, że w nadchodzących latach zwolennicy Wielkiego Resetu wezmą górę, a islam opanuje Europę, wskutek czego Zachód upadnie. Koń-

czy wiersz ostentacyjnym stwierdzeniem: „Żal mi Jezusa. Wedle prawdy owej: głupia Europa sama chce islamu!”.

Z kolei sonet *Prostacki / P. dla P.* to ostra satyra na tzw. europejskość w polskim wydaniu, snobizm i kosmopolityzm. Poeta zwięźcza ten sonet puentą: „Gdzie megaloman, tam dusza polska/ jak stoma z butów... Po cóż nam Polska?” Pytanie „Po cóż nam Polska?” jest prowokacją: może obudzi w odbiorcach minimum uczuć patriotycznych? Może wzbudzi (?) chęć zaprzeczenia autorowi: jednak Polska jest potrzebna! Niemniej w sonecie *Wieża Bąbel* już sam tytuł, poprzez nawiązanie do biblijnej wieży Babel, świadczy o tym, że – zdaniem Kalwaryjczyka – hegemonia liberalizmu w Europie, przejawiająca się m.in. krzewieniem wielokulturowości (kosmopolityzmu), nie może długo trwać. W ostatniej strofie pisze: „Lenin nie umarł. Straszny duch Popiela.../ Globalna wioska to ziemski labirynt./ Nad którym rośnie **kar-minowy Bąbel!**” [podkreślenie moje]. Poeta jest pewny takiej wizji przyszłości. Jeżeli ludzkość nadal będzie zmierzdała złym torem, to Opatrzności **kara** jak świat jest stara. Wielokulturowość i hasło z nią związane „Róbta co chceta!” są jak **mina** (ładunek dynamitu) dla świata i ten **Bąbel** na długiego pęknie, wieża Babel się rozleci jak domek z kart. O wiele za wcześniej jest do stworzenia państwa światowego, o czym marzą zwolennicy Wielkiego Resetu. Taki trend, wspierany przez liberalizm, doprowadzi do wielkiej napięć spotecznych i wojen, być może nawet wojny światowej. Wszak Bąbel jest **karminowy**. W drugiej strofie zaś nieprzypadkowo pada słowo „**karmian**” (karma), w hinduizmie i buddyzmie rozumiane jako prawo przyczyny i skutku.

Według mnie, w naszej patriotycznej poezji współczesnej nikt w sposób pełniejszy nie przedstawił dyematów świata. Kalwarianin zachowuje się, jak poeta walczący, niepokorny, wzbudza respekt, pobudza do konstruktywnego myślenia czytelnika, niezależnie od jego światopoglądu. W jakimś sensie, na gruncie rodzimej poezji, przyrównuję go do XVII-wiecznego hetmana, Stanisława Koniecpolskiego. Był on człowiekiem lubianym w potoczności. Mawiano o nim: „Pan Stanisław wprzód uderzy, nim wypowie”. Zmarł w przededniu rozprzeżenia i upadku I Rzeczypospolitej, w związku z wojnami kozackimi. Jego nazwisko, będące skrótem od: „Koniec Polski”, miało więc znaczenie niemal symboliczne. Stanisław Chyczyński – imiennik wielkiego hetmana – wprawdzie nie posiada nazwiska o TAKIEJ symbolice, ale w swoich sonetach wieszczy upadek Europy i Polski, w nieodległej przyszłości (o ile nic się nie zmieni w procesach spotecznych). W tytule recenzji nawiązałem zatem do funkcji wojskowej Koniecpolskiego. W polskiej literaturze biskup Ignacy Krasicki i Bigniew Herbert nazywani byli książętami poetów polskich. Pierwszy ostro piętnował wady rodaków, przede wszystkim chciwość, nieuczciwość i zazdrość. Drugi stworzył postać Pana Cogito, a więc człowieka myślącego. Nic zatem nie przeszkadza, aby w drodze paraleli, ze względu na treść i artyzm książki *Królewskie milczenia*, Kalwaryjczyka uznać za co najmniej jednego z hetmanów współczesnej poezji patriotycznej.

To tyle dalekich skojarzeń, bo pozostają w przekonaniu, że Stanisław Chyczyński jest optymistą co do tego, jakie będą długofalowe następstwa upadku współczesnej wieży Babel. Świąteczko w oddali zwiastuje dobre czasy dla Polski.

STANISŁAW TOPAZ

Stanisław Chyczyński, *Królewskie milczenia*. Sonety i antysonety, ilustracje K. Wiśniak, Kraków 2023, Wydawnictwo Vandre, ss.72.

Mateusz Wabik

WSPÓŁCZESNA PUSTKA SŁÓW

W 2018 roku nakładem skierniewickiego wydawnictwa Raymond Q ukazał się kolejny tomik poetycki Darka Foksa pt. „Pieśni o wszystkim”. Podobnie jak to się działo np. w „Tablecie taty” wiersze Foksa zamieszczone w książce nie były przegadane, skupiały się na znaczeniach i wytwarzanych sensach na styku zestrojonych ze sobą minimalistycznych wersów, czy słów na niewielkiej przestrzeni tekstu. Bohaterem lirycznym tomiku „Pieśni o wszystkim” był zaimiek „wszystko”, który pojawiał się w każdej części tomiku, a także w tytułach tych części: „Przed wszystkim”, „Po wszystkim”, „Przed wszystkim”. Wiersze Foksa ukazywały przemiany i to co się po nich działo. Te przemiany kojarzyły się zarówno z czasami współczesnymi, kiedy pojawiały się w miastach nowe, nowocześniejsze od peerelowskich osiedla (w tomiku chodziło o Warszawę), gdyż często miejscem akcji pierwszej części tomiku była budowa. Jednakże atmosfera wierszy mogła także odsyłać do przemian politycznych zarówno po wojnie – kiedy w Polsce wprowadzono socrealizm jako jedyną dozwoloną doktrynę artystyczną, a ważnym „dziełem” tego nurtu była powieść Tadeusza Konwickiego „Przy budowie”. Także wiersze poprzez rozbudzone nadzieje i atmosferę ważności mogły się kojarzyć z przemianami na przelocie lat 80-tych i 90-tych w naszym kraju.

W jedenastu wierszach z pierwszej części tomiku „Pieśni o wszystkim” opisywano budowę w Warszawie. Choć w żadnym tekście nie wymieniono nazwy tego miasta, można się było jej domyślić, gdyż w jednym wierszu pojawił się przystanek metra. W tym mieście po 2000 roku budowano osiedle na oczach całej Polski, robotnicy pracowali chętnie

i często ponad normę. W płynnej budowie osiedla przeszkodziło jednak znalezienie granatów z „czasów/drugiej wojny światowej” („V”). Postęp w budowie oglądali dziennikarze, a w jej ukończenie na czas ingerowała opatrność. Foks ukazał w pierwszej części chęć przemian jaka zaistniała w Polsce u progu XXI wieku. Pokazał jak uogólnienia i slogany z użyciem zaimka „wszystko” podsycały nadzieje i chęć przemian, co przypomniało lata 50-te mimo ingerencji sił ponadzmystowych. Pospolite wydarzenie stało się wydarzeniem na wielką skalę, którym zainteresowany byli nie tylko przyszli lokatorzy mieszkań na budowanym osiedlu, ale większy ogół – „wszyscy” – telewizorze, redaktorzy i czytelnicy gazet, dziennikarze, nauczyciele i uczniowie.

W części zatytułowanej „Po wszystkim” ukończone osiedle odwiedzali goście, w tym wycieczki szkolne, nawet rozpisano konkurs na „nowe logo” („II”). Pojawili się na osiedlu także prezydent Polski i kanclerz Niemiec oddający honory „wszystkiemu”. Na osiedlu organizowano warsztaty plastyczne i wystawy fotograficzne. W drugiej części wiele wydarzeń bardziej zestrojono z zaimkiem „wszystko” niż z przestrzenią wybudowanego w końcu osiedla, co wiersze wychylało nieco ku większej dozie abstrakcji niż w pierwszej części. W ostatniej części poeta ukazał jednozdaniowe zbiłki słów z zaimkiem „wszystko”.

Głównym obiektem krytyki Foksa w tomiku „Pieśni o wszystkim” wydawało się uogólnianie, nadawanie różnym wydarze-

niom w przestrzeni miasta pustej doniosłości, znaczenia historycznego i politycznego co mogło się kojarzyć z latami 50-tymi. Twórca pokazał, że każde nadmierne upolitycznienie świata – czy z lat PRL-u, czy współczesne prowadziło do pustki gestów, niepotrzebnych szkolnych delegacji i ceremonii, pustki słów z nagłówek w gazetach i z przemów polityków, w których znaczenie było bardzo oddalone od rzeczywistości. Upolitycznione relacje i przemowy stawały się pustostojem i nową „nowomową”. Te przemowy i slogany w nagłówkach wiązały się także mogły z utartym zwyczajem frazeologicznym „o wszystkim i o niczym”.

Na pewno w tomiku Foksa brakowało tego znanego z dawnych lat prześmiewczego tonu, przewrotne fabularyzowanie poezji przemieniło się w oszczędność wyrażania jak w poezji Marcina Sendeckiego, Krzysztofa Jaworskiego czy Cezarego Domarusa. Jednak tomik Foksa z 2018 roku na pewno bardziej przekonano mnie niż „Tablet taty”, czy nijakie eksperymenty prozatorskie z „Historii kina polskiego”, gdyż wydawał się dość ambitny w zamyśle, choć nie wszystkie wiersze wyszły poecie, gdyż ostatnia część tomiku mogła być albo nieco bardziej rozbudowana, albo bardziej skondensowana i opierać się na jednym wierszu. Bo jakby w przeciwieństwie do pierwszych dwóch części wydawała się trochę nijaka i dodana na siłę.

MATEUSZ WABIK

Darek Foks, Pieśni o wszystkim, Skierniewice 2018

WSPÓLSTNIENIE CZŁOWIEKA I PRZYRODY

Już pod koniec lat 90-tych polscy krytycy literaccy zaobserwowali w poezji najmłodszych autorów nową wrażliwość wobec natury. Nie przerodziła się ta wrażliwość w jakiś odrębny nurt poetycki, ale zauważano w wierszach Eryka Ostrowskiego i różnych twórców, inne niż dotychczas odnoszenie się do spraw przyrody. Zaobserwowano w takiej poezji wrażliwej na złe traktowanie zwierząt przez człowieka, utyskującej na wymieranie kolejnych gatunków, niezgadającej się na zanieczyszczenie środowiska „nową świadomością ekologiczną”. Po latach w 2017 roku na łamach „Tekstów Drugich” Ryszard Nycz w tekście „Nowa humanistyka w Polsce...” pisał o nowych kierunkach w humanistyce współczesnej i jedną z tych dróg była właśnie humanistyka ekologiczna, wg której człowiek wraz z kulturą nie sytuowali się w opozycji do natury, ale dopełniali się „w środowisku wzajemnie sprawczej partycypacji”, co odróżniało ją od klasycznej humanistyki np. wg ujęcia Friedricha Schlegelera, w której człowiek i kultura byli różni od natury, ale także różniła się od oświeceniowej humanistyki, w której natura zastąpiła Boga.

Mimo tego, że przemiany w humanistyce i literaturze związane z traktowaniem natury trwały od lat, to mimo wszystko poza wspomnianymi wierszami Ostrowskiego, ale także Dariusza Suski, Konrada Góry nie pamiętałem, by taka ekologiczna poezja w Polsce szczególnie rozwijała się poza różnymi forami i blogami w internecie. Nie pamiętałem

by omijani przeze mnie aktywiści zbierający środki na ratowanie zwierząt w schroniskach oprócz jakichś hasel i wręczania ulotek mówili coś o poezji. Ale dochodziły do mnie głosy np. Janusza Korwina-Mikkego, który w wielu zjawiskach nowej kultury ekologicznej zauważał przesadę jak z dziurą ozonową, która miała zagrażać zdrowiu i życiu człowieka, ale także chęć na zaistnienie niektórych aktywistów.

To wszystko co napisałem powyżej przypominało mi się podczas lektury debiutanckiego tomiku Marty Ciążeli pt. „Nad zabetonowanym brzegiem rzeki”, który został wydany nakładem noworudzkiego wydawnictwa Mamiko w 2024 roku, gdyż mieszkająca we Wrocławiu, ale pochodząca z Poznania poetka w swoich wierszach dotykała kwestii przyrodniczych i nie odgraniczała się od przyrody.

Zauważalna w tomiku Ciążeli była współobecność zwierząt w jednym świecie wraz z człowiekiem i kulturą. Np. w wierszu „Słowik”, w którym pojawiła się sytuacja rozmowy kobiety i mężczyzny na temat czerni, znalazła się także w jego zakończeniu obserwacja przyrodnicza – „słowik wrócił z afrykańskich lasów deszczowych/na drzewo pod naszym oknem”. Można było tak ten wiersz zrozumieć, że dyskusja nad istotą czerni, nie była jasna, a odpowiedź oczywista jak powrót ptaków z ciepłych krajów. Kontrastował w wierszu nastrój niepewności podczas dyskusji na tematy abstrakcyjne z tematyką przyrodniczą, w której

podmiot liryczny znajdował pewność. Podobnie w „Muchach” – w którym to wierszu podmiot liryczny zauważał złość partnera i zanik uczuć i rozładowywał napięcie w porównaniu nieznoszącej sytuacji do latających much wokół, które nazwano w wierszu „specjalistkami od rozkładu”.

Poetka w swojej liryce z debiutanckiego tomiku nie tylko wpisywała zwierzęta w życie ludzkie, ale także porównywała egzotyczne krajobrazy z dalekich krajów, w których na wolności żyły papugi z krajobrazami znanymi z okolic swojego zamieszkania: „u nas wróble i gołębie/na tych drzewkach” („Papuga”), które były „znajome i sielskie”, albo także samą siebie wyobrażała jako sarnę stojącą „nad zabetonowanym brzegiem rzeki” („Sarna”). W tym drugim wierszu doszedł do głosu pewien przerysowany stereotypowy i często powtarzany w mediach slogan o betonowaniu polskich miast, ponieważ według danych statystycznych dotyczących zalesienia Polski, sytuacja przyrody w naszym kraju miała się lepiej niż kiedyś. Polskie lasy się rozrastały, jednak poetka nie sprawdziła tego w jakichś specjalistycznych danych.

Oprócz tematyki przyrodniczej w „Nad zabetonowanym brzegiem rzeki” pojawiło się wspomnienie lat dziecięcych jak w wierszu „Tędy”, tematyka miłosna, w której porównywano narastające uczucie tęsknoty za kimś do prędkości światła („Orbita”), albo aforystyczne porównanie życia do wstążki („Wstążka”).

Na pewno „Nad zabetonowanym brzegiem” to debiut dojrzaly, nie tylko dlatego, że poetka swoją pierwszą książkę poetycką wydała w wieku czterdziestu lat, ale także dlatego, że obyło się w kobiecej poezji od nadmiaru uczuć, klimatu tupaniania nogą w każdym wierszu, setki miłosnych wyznań i tęsknot. Zabrakło mi jednak w jej poezji większej dozy kobiecej przewrotności. W tomiku Ciążeli pojawiła się za to zgoda na świat bez nadmiernej i bezkrytycznej jego afirmacji. Po

prostu natura i człowiek doskonale się w jej wierszach uzupełniały, choć nigdy specjalnie nie przepadałem za poezją ekologiczną, bo przecież już w „Chłopach” Władysława Reymonta mieliśmy społeczność wiejską wpisaną w rytm natury, a ledwo przez tą książkę kiedyś przebrnąłem. Do tego niekiedy ruchy ekologiczne i ludzie nastroszeni ekologicznie mocno przesadzali (nie tylko chodziło mi o komentarze Korwina-Mikkego) jak np. kiedy bojkotowali w Anglii koncerty Metalicy tylko dlatego,

że wokalista i gitarzysta tego zespołu – James Hetfield miał towieckie hobby, albo kiedy w szpitalu podczas rehabilitacji złamanej nogi kilka lat temu słyszałem rozmowę dwóch lekarzy na temat pogryzionej ośmiolatki przez psa, w której jedna z nich utyskiwała bardziej na los psa, który miał zostać uspijony, a nie na stan dziecka.

Marta Ciążela, Nad zabetonowanym brzegiem rzeki, Nowa Ruda 2024

GROZA, WIERZENIA I OBYCZAJE PODLASIA

W 2021 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa Ostrogi ukazała się pierwsza powieść Artura Ziontka pt. „Latawcy”. Autor wcześniej opublikował dwa tomiki wierszy i sporo artykułów o historii i kulturze Podlasia w pracach zbiorowych i czasopiśmie. Główny wątek powieści, czyli badanie przez warszawskiego komisarza Walentego Konopkę nadprzyrodzonego zjawiska jakim było unoszenie się zmarłych zwanych latawcami nad Kossowem w województwie lubelskim pod koniec lat 30-tych, stał się zaledwie kłamrą spinającą rozdziały powieści, w których autor ukazywał codzienne życie podlaskiej prowincji sprzed prawie wieku, jej obyczaje, zabobony wymieszane z katolicką wiarą, żydowskie legendy, uwikłanie w historię – przez wątek I wojny światowej i bolszewickiej, ale także go interesowały sprawy damsko-męskie. Sporo miejsca w powieści zabierało przytaczanie rozmów komisarza ze swoją stanowczą gospodynią Haliną Grzewałową, albo opisy przygotowywanych przez nią posiłków, ale także dysputy z jej siostrą Jadwigą będącą gospodynią lekarza Hieronima, z którym komisarz dyskutował o książkach, kobietach i zawodności ludzkiego umysłu. Przez to opowieść o tajemniczych zjawiskach zmieniała się często w powieść obyczajową z wątkami filozoficznymi i mitycznymi. Sprawa Latawców nie została rozwikłana, ale zakończyła się zwyczajnym powrotem Konopki do Warszawy. Nie była też ona jedynym wątkiem związanym z fantastyką, gdyż czytając powieść Ziontka można było poznać historie innych mieszkańców Kossowa, np. Kusza i Ryfki, których ojcowie przemienili się w kamienne pomniki, albo opowieść o Marianku, który okazał się reinkarnacją swojego dziadka.

Oprócz wspomnianych wątków, autor wplatał do fabuły swojej powieści wiele krótkich historii i anegdot, które nie rozwijały się, ale raz mniej czy bardziej zająłoby się z głównym wątkiem powieści – minister opowiadał o Karcelaku, przedwojennym, warszawskim targowisku, w przedostatnim rozdziale „Komisarz, felczer i kilka bab ze wsi jadą na grzyby za Okrągtą Wólkę” pojawiła się opowieść o szalonym Żydzie Libermanie, którego wystraszył własny sen i przez to błąkał się po okolicach Kossowa, czy sprawa zabójstwa, Franka gwałcącego Halinę przez Konopkę.

W powieści Ziontka można było zauważyć nawiązania do innych dzieł literackich o czym pisał w krótkiej nocie autor pod koniec książki – m.in. wplatał do swojej powieści cytaty z „Z ziemi chełmskiej” Władysława Reymonta, czy „Myśli” Pascala. Ale także można zauważyć było w powieści wpływy dzieł, o których autor nie wspominał, np. niesnaski pomiędzy Kazikiem i Kuszem wydawały się wariantem niesnasek Miętusa i Syfona z „Ferdynand” Witolda Gombrowicza, które opisane były z podobnym napięciem i dynamiką. Niektóre fragmenty –

przez klimat i powiązanie prowincjonalnego miasteczka z wydarzeniami ponadnaturalnymi przypomniały opowiadania Brunona Schulza ze „Sklepów cynamonowych”, albo „Hanemanna” Stefana Chwina, kiedy autor łączył opisy zabudowy miejscowości z fabułą i odnoszeniem się do historii.

Jeśli chodziło o język powieści – narracja była prowadzona w trzeciej osobie, niekiedy pojawiały się także nawiązania do powieści szkatułkowej – kiedy epizodyczni bohaterowie przytaczali różne historie. Jeśli pojawiały się w powieści intelektualne rozważania to raczej w dyskusji pomiędzy bohaterami powieści, niż we wnętrzu bohatera, co nieco drażniło. Często autor zestawiał wytworność, czy zwykłość języka polskiego ludzi wykształconych z gwarą ludzi z prowincji i bełkotem. Oni także potrafili przekręcać pewne słowa i bardziej dowierzały zabobonom i legendom niż nauce, co mogło korzystać się z „Antkiem” Bolesława Prusa.

Przed przystąpieniem do lektury powieści oczekiwałem, że będzie to opowieść z wątkami nadprzyrodzonymi w stylu horrorów Stephena Kinga, albo – jeśli chodziło o polską prozę – „Tajemnicy wiecznego życia” Włodzimierza Bełcikowskiego, czy przypominającą choćby opowiadanie Stefana Grabińskiego „Probemat Czelały”, w których fabuła i rozwijająca się akcja podporządkowane zostały głównemu wątkowi nadprzyrodzonemu i rozwikływanemu tajemnicy. Przez to oczekiwanie na wyniki śledztwa wydawało mi się z początku, że Ziontek był mistrzem retardacji, bo gdyby zebrać do kupy wszystko co dotyczyło tytułowych latawców wyszłoby zapewne mini powieść, a często coraz to nowsze wątki i historie mieszkańców Kossowa opóźniały rozwój akcji. Na pewno Ziontek był bardzo wyczulony na żywioł mowy potocznej i hi-

storii Podlasia co było sporym walorem powieści, a do tego w powieści wyczuwało się ogrom pracy nad nią, jednakże szkoda, że autor bardziej nie skupiał się na głównym wątku – bo humory gospodyń Haliny i Jadwigi mało mnie obchodziły i przypominały mi obie Sonię graną przez Bożenę Dykiel w „Znachorze” Jerzego Hoffmana, a o nadprzyrodzonych, frapujących zjawiskach zbyt mało się dowiedziałem i sam główny bohater powieści Walenty Konopka też. Niekiedy też się zastanawiałem czy czytałem powieść, czy zbiór opowiadań i gdyby faktycznie podzielić „Latawców” na fragmenty – zbiór opowiadań mógłby być nieco ciekawszy, gdyż wtedy uniknięto by nieco zbyt uciążliwej sprawy retardacji. W przyszłości, gdyby Ziontek miał wydać kolejną powieść, ważne byłoby trzymanie się jednego czy dwu wyznaczników gatunków powieściowych, ponieważ to nieco nużyło, że autor chciał napisać powieść parapsychologiczną w stylu przedwojennym z pewną dozą powieści kryminalnej, ale wysłał mi powieść obyczajową z elementami powieści historycznej z cechami powyżej wymienionych gatunków i z niewspomnianym wcześniej wątkiem powieści erotycznej. Jeśli jednak ten eklektyzm był zamierzony i wytywał z chęci napisania powieści postmodernistycznej to mogłem to zrozumieć, jednak zważywszy na talent literacki autora ograniczenie się do mniejszej ilości eklektyzmu byłoby lepsze dla powieści i jej czytelników. Inna powieść współczesna o zdarzeniach nadprzyrodzonych i polskiej prowincji „Epifania wikarego Trzaski”, kiedyś jeszcze mało znanego pisarza - Szczepana Twardocha jednak nie rozdziła się w różne strony gatunkowe.

Artur Ziontek, Latawcy, Kraków 2021



KIEDY ALIGATOR ZASTĘPUJE SZATANA, A NAJLEPSZE OPOWIADANIE ZACZĘŁO SIĘ PISAĆ TRZYDZIEŚCI LAT WCZEŚNIEJ

Ostatni zbiór opowiadań amerykańskiego twórcy literackich horrorów Stephen Kinga pt. „Im mroczniej, tym lepiej” ukazał się zarówno w USA jak i w Polsce w 2024 roku. Kupiłem go we wrześniu i przeczytałem, gdyż od jakiegoś czasu chętniej czytałem opowiadania Kinga, niż jego powieści, gdyż te drugie wydawały mi się opierać często na podobnych schematach fabularnych. W opowiadaniach ze zbiorów „Czarna, bezgwiazdna noc” (2010) i „Bazar złych snów” (2015) można było odnaleźć wiele tekstów, w których wyobraźnia i kreatywność były ważniejsze od schematu powolnego rozwoju tajemniczych wydarzeń, gdzieś na amerykańskiej prowincji, w których udział brały osoby dosyć przeciętne, a owe wydarzenia były symbolami strachu współczesnych Amerykanów przed różnego rodzaju zagrożeniami. Poza tym krótsza forma wpływała na dyscyplinę twórczą Kinga, zaś akcja trzymała często długo w napięciu i nie rozmywała się w malignie narracyjnej jak to się działo w niektórych powieściach jak np. w „Komórce”. Do tego jak się coś nie udawało Kingowi, to kończyło się nie po trzystu, czy czterystu stronach jak np. „Desperacja”, tylko kilkunastu, czy kilkudziesięciu. Także twórca nie musiał rozwijać w krótszych prozach niepotrzebnych wątków pobocznych, gdyż mógł się skupić na jednym, głównym wątku. W opowiadaniach Kinga znaleźć można było podobne elementy jak w tradycyjnej prozie grozy Poe’go – powolnie budowany nastrój grozy, udane zaskoczenie, fantazję sprzęgniętą z prawdopodobieństwem lub poetycką nierealnością utrzymaną jednak w ryzach jakiegoś intelektualnego zamysłu mieszczącego się na przestrzeni krótkiego tekstu. Do tego King w opowiadaniach nie zawsze sięgał po gatunek horroru, czasem było to sprzężone z literaturą realistyczną, kryminał, albo krótkie opowiadanie ilustrujące problemy współczesnych Amerykanów, mające nastrój literatury egzystencjalnej, ale stylistycznie zakorzenione w literaturze amerykańskiej lat 50-tych i 60-tych. King nie był awangardowym twórcą i bardziej skupiał się na rozwoju fabuły niż nowatorstwie językowym, stąd czytając jego książki można było wywnioskować, że raczej działał w tworzywie znajdującym się na amerykańskim rynku, niż starał się wymyślić swój styl na nowo.

Zbiór „Im mroczniej, tym lepiej” był jak wspomniane wcześniejsze zbiory różnicowany pod względem gatunkowym, gdyż znajdowały się w nim horrory, a ściślej teksty o bohaterach z parapsychicznymi zdolnościami, kryminał z pewnymi cechami humoreski, obrazki z życia Amerykanów z zaakcentowaniem brutalności współczesnego świata, proza obyczajowo-przygodowa z zaakcentowaniem zwierzęcych bohaterów, ale także nawiązanie do tradycji amerykańskiego horroru w stylu utworów Edgara Allana Poe i Howarda P. Lovecrafta co wiązało się z fabułą, której bohaterem był badacz i eksperymentator wkraczający w nieznanne poza naukę. Jeśli chodziło o poziom, to w nowym zbiorze opowiadań Kinga tych udanych tekstów było mniej niż w poprzednich zbiorach, a do tego autor „Misery” zaczął pisać teksty nieco banalne.

Do tych najbardziej udanych próz z nowego zbioru Kinga zaliczyć można było właśnie oparte na tradycji amerykańskiego horroru opowiadanie „Strzeżcie się snów”, w którym William Davis po powrocie z wojny w Wietnamie zaczął pracować jako stenograf i w końcu trafił do domu naukowca Elgina badającego działanie ludzkiej podświadomości po zażyciu przez badanego środka o lekkim działaniu hipnotycznym. Podczas eksperymentów jeden z badanych zmarł, a klimat opowiadania niekiedy przypominał klasyczny tekst Poe’go „Prawdziwy opis wypadku z Panem Waldemarem”.

Również udane było opowiadanie „Wszystkowiedzący”, które King zaczął jeszcze w latach 90-tych i po trzydziestu latach wygrzebane w własnych archiwów dokończył. Opowiadanie ukazywało kolejne życie prawnika Phila Parkera od momentu zamiarów poślubienia Sally Ann Allburton i założenia kancelarii prawniczej na prowincji do późnej starości. W opowiadaniu wątki z prozy realistycznej wiązały się z literaturą wojenną i fantastyczną. W wątku fantastycznym główny bohater raz na jakiś czas spotykał Wszystkowiedzącego, który mógł mu odpowiedzieć za odpowiednią opłatą na każde pytanie. Przez wątek fantastyczny opowiadanie Kinga przybierało znamiona współczesnej baśni. Konfrontacja z fantastycznym bohaterem pozwalała zrozumieć głównemu bohaterowi co było dla niego w życiu najważniejsze, ale poznanie przyszłości nie zapobiegło tragediom rodzinnym jakby King chciał pokazać, że ingerencja duchowości czy ponadnaturalnych sił, w co wierzyło miliony Amerykanów, niewiele zmieniała w egzystencji człowieka.

Można jeszcze wymienić wśród tych frastrujących utworów prawie dwusturostnicowe „Zły sen Danny’ego Coughlina”, które można zaliczyć do mini-powieści. Niewiarygodny sen głównego bohatera Danny’ego Coughlina o zamordowanej kobiecie, której zwłoki znalazł w wysnionym miejscu, spowodował kłopoty z policją nadmiernie starającą się go uznać za winnego zabójstwa. Jednak według mnie byłoby

to opowiadanie znacznie lepsze gdyby je King skrócił, bo monotonna atmosfera znana z filmu „Ścigany” z Harrisonem Fordem, w którym policja się uwzięta na niewinnego lekarza zbyt przytłaczała i zbyt późno się rozrzuciła. A do tego wątek cierpiącego na arytmomanię i osuwającego się w szaleństwo policjanta Franklina Jalberta nie do końca przekonywał, gdyż ciekawy pomysł związany ze zjawiskami parapsychicznymi został zestawiony z maniactwem policjanta. Gdyby policjant nie był maniakiem i nie cierpiał na zaburzenia związane z ciągłym liczeniem różnych przedmiotów i dodawaniem różnych liczb, to jestem ciekaw czy akcja jakoś sensownie i przekonująco by się rozwinęła. Do tego King mógł wyraźniej i ciekawiej zaakcentować w opowiadaniu niewyjaśnione przypadki jasnowidzenia w śnie, jak Poe w „Przedwczesnym pogrzebie” przypadki ożywiania ludzi uznanych za zmarłych, gdyby mu chodziło o coś więcej niż zgrabną fabułę i rozrywkę.

Do tych starszych opowiadań Kinga z nowego zbioru należał „Finn”. Główny bohater tego utworu Finn Murrie, nastolatek mający pecha przez pomyłkę zostać porwany przez gangsterów, którzy postanowili go torturować. Od fatalnego końca uratowała Finna kłótnia i rozłam w szeregu bandytów z powodu postępującego szaleństwa szefa szajki. Finn został wywieziony po kryjomu z kryjówki i pozostawiony w pobliżu swojego domu. W porównaniu do wielu opowiadań Kinga wydawało się ono trochę niedorzeczne, nieco siemiężnie posklejano w nim sceny, a wszystkie epizody w nim opisane działy się jak w komedii pomyłek, ale brutalność wydarzeń nieco obniżała humorystyczne nastawienie.

Pomimo tego, że poziom opowiadań Kinga w zbiorze „Im mroczniej, tym lepiej” był nieco nierówny, warto było przeczytać te dwaście tekstów, gdyż te udane teksty rekompensowały nudę i niedogodności podczas lektury niezbyt udanych.

Stephen King, Im mroczniej, tym lepiej, Warszawa 2024



GROZA ISTNIENIA A POSTĘP TECHNICZNY I PRZEMIANY CYWILIZACYJNE

W listopadzie 2024 ukazała się w ramach „Biblioteki Toposu” książka poetycka Wojciecha Gawłowskiego pt. „Polowanie na chimery” i po jej przeczytaniu miałem mieszane odczucia, gdyż nie dało się jej ocenić ani jednoznacznie pozytywnie, ani całkiem negatywnie, a jasności i logiki wystawiania się mogłoby pozazdrościć poecie wielu twórców. Powodowały zniecierpliwienie przede wszystkim niezbyt wyszukane i zbyt naiwne wiersze religijne, a także wiele części apokaliptycznego cyklu „Polowanie na chimery”.

W „W wigilię Wigilii” poeta starał się przekonać, że w czasie przetamywania się opłatkiem bliscy ludzie mogli się odnaleźć, tak jakby sfera religijna miała służyć kontaktem międzyludzkim i była czymś w rodzaju międzyludzkiej terapii w czasach szalonego kapitalizmu, a nie dotyczyła wykonywania czynności rytualnych, powtarzanych dzisiaj głównie przez to, że Kościół w czasach PRL-u stanął po stronie opozycji i narzucił swoje obyczaje Polakom, które niegdyś przetrwały głównie na wsiach, albo wykonywało się je w ramach odziedziczonej tradycji. Innym denerwującym wierszem Gawłowskiego był utwór „Strome dachy, złożone dłonie”, w którym znalazło się porównanie stromych dachów drewnianych domów w Alpach Japońskich do dłoni „złożonych do modlitwy”, gdyż wpisywał się w złe pojęty europocentryzm, a nawet katolicki szowinizm kulturowy gdyż wg poety na kulturę Japonii patrzeć można było tylko przez pryzmat własnej wiary i nie wydawało się ważne pisać o niej odkrywając jej historię, czy kulturę. Trochę przypomniało to nastawienie Szwedów z „Potopu” Henryka Sienkiewicza do Polski – „piękny to kraj i żywny”. O ile Gawłowski patrzył na Japonię przez pryzmat porównania jej cech architektury do motywu religijnego z jego religii, to Szwedzi z „Potopu” patrzyli na Polskę przez pryzmat własnych potrzeb. W obu przypadkach różnym narodom i krajom odmówiono charakterystycznych cech własnych. Kojarząca się z Europą nazwa trzech pasm górskich w Japonii niezbyt usprawiedliwiła Gawłowskiego w opisie tamtejszej architektury.

Także niezbyt się udał poecie złożony z siedmiu części cykl „Polowanie na chimery”, który wpisywał się w starożytny topos upadku współczesnego świata i ludzkich obyczajów, ale poeta w przeciwieństwie do wcześniejszych twórców nie poszukiwał w przeszłości okresu, kiedy wszystko działo się właściwie i wszystkim było dobrze. W wierszach ze wspomnianego cyklu można było przeczytać o próbach nadania gatunkom zwierząt „zagrożonych wyginięciem” praw obywatelskich, odtączeniu małego chłopca Alfiego Evansa od aparatury podtrzymującej życie, końcu historii, fake newsach, teoriach spiskowych, grozie podczas pandemii koronawirusa, planowaniu modyfikacji genetycznych „pozwalających na tworzenie hybryd/ludzkozwierzęcych”. W swoim cyklu Gawłowski ukazywał zarówno sprawy błahe jak i poważne i trudno było brać to wszystko na serio wyczuwając tom katastroficzno-apokaliptyczny, który miał przetrwać i zastanawiać. Po pierwsze odtączenie nieuleczalnie chorych, zawsze wywoływało dyskusje, gdyż mimo, że rzadko się zdarzało mogło przypominać faszystowskie praktyki związane z eksterminacją chorych i nieprzygotowanych, ale już walka o to by pewne gatunki mogły przetrwać nawet w tak oryginalnym stylu jak we wspomnianym wierszu było raczej czymś pozytywnym z pewnym

zastrzeżeniem. W krajach zachodnich nieraz zwierzęta stały przed sądem w dawnych wiekach, choć faktycznie nadawanie im praw obywatelskich mogło prowadzić do nieporozumień np. w czasie wyborów. Po drugie fake newsy i teorie spiskowe kolportowane w internecie to nic innego jak pochodna idealizmu, nastawienia na ogromny zysk i naiwności twórców portali społecznościowych, którzy chcieli połączyć ludzi ze sobą na całym świecie by mogli się swobodnie ze sobą komunikować, a jak pisał Steven Levy w swojej pracy „Facebook. A miało być tak pięknie”, największy portal społecznościowy i zapewne inne były wykorzystywane do manipulacji politycznych, szerzenia perwersyjnej pornografii, transmitowania ataków terrorystycznych i samobójstw, a także do kolportowania nieprawdziwych informacji i teorii spiskowych. Idea wolności wypowiedzi wystawiana przez Marka Zuckerberga i innych szefów portali społecznościowych spowodowała to, że na portalach tego typu można znaleźć zarówno prawdę jak i nieprawdę. I jedynie poziom inteligencji czytelnika decydował o tym, które teksty brać na poważnie, a które nie. Do tego badania socjologiczne w USA ukazały, że najchętniej czytane na Facebooku były... fake newsy. Ale według mnie chyba chodziło w tym przypadku o nastawienie ironiczno-kpiarskie młodzieży z Zachodu. Na pewno powinno się zbadać, czy czytelnicy tych nieprawdziwych wieści czytali je na serio, czy też sprawdzali je po to by się dowiedzieć, co kto głupiego mógł wymyślić.

Cykl Gawłowskiego mnie nie przekonywał także dlatego, gdyż już wcześniej czytałem podobne diagnozy dotyczące współczesnego świata w różnych tekstach i takie pisanie wydawało mi się niezbyt oryginalne. O ile poemat „Recycling” Tadeusza Różewicza i przerażał w ukazywaniu problemów cywilizacyjnych XX wieku, czy chodziło o absurdy nazizmu i wiele nadużyć z nim związanych, czy bezradność polityków wobec choroby szalonych krów, albo paradoksy handlu i reklamy, a także przytaczanie hasła faszystowskich z murów kamienic we współczesnej Polsce, albo początek eksperymentów z klonowaniem powodujący rozmaite intelektualne dyskusje, to jednak ten utwór też bawił, bo wyczuć można było w nim sporą dozę ironii i humoru związaną z karykaturalnym ujęciem tematyki.

Można było znaleźć podobny katastroficzno-apokaliptyczny ton wypowiedzi do tego z wiersza Gawłowskiego w książce Paula Virilio „Bomba informacyjna”, która ukazała się w 1998 roku we Francji, a w Polsce w 2006 roku. Według francuskiego filozofa powszechność internetu miała doprowadzić do katastrofy, zaniku poczucia rzeczywistości u ludzi, a z eksperymentów z klonowaniem miała wyniknąć hodowla niewolników. A z tego co mi wiadomo internet stał się jednym z wielu mediów, a także narzędzi i raczej przez te dwadzieścia sześć lat, które upłynęły od wydania książki Virilio nie wydarzyła się żadna katastrofa związana z cyfryzacją i siecią internetową. Również nie pojawili się wyhodowani w laboratoriach genetycznych niewolnicy. Do tego trzeba pamiętać, że Europa Zachodnia zawsze była bardziej pomysłowa od Wschodu i to na Zachodzie były zazwyczaj wymyślane idee, które wcielano na wschodzie Europy. I myślę, że tematyka eliksirów przedłużających życie, czy wymyślanie jakichś humanoidów w utworach – w postaci robotów, twórców z organów zmarłych, od lat istniały na Zachodzie.

Miał on jednak hamulec bezpieczeństwa, a od czasu nazizmu w Niemczech splecione ręce i nie sądzę by genetyka przeobraziła szpitale w wytwórnie niewolników, czy wojowników, choć wiadomo, że kolonizatorzy na Haiti już wiele lat temu próbowali wykorzystać czary voodoo do pozyskania z umarłych taniej siły roboczej. Zachód zawsze poszukiwał rozwiązań oryginalnych do przedłużenia życia i pozyskiwania taniej siły roboczej, a gdyby sklonowano żywego człowieka (jak np. w filmie fantastycznym „Obcy – Przebudzenie”) i żyłby normalnie, to okazałoby się, że religia nie miała sensu. Zresztą w Polsce od lat uczelnie prowadziły badania nad połączeniem biologii i informatyki, choć dla wielu Polaków to sfera science-fiction. Gdyby Gawłowski mieszkał w Krakowie i czytał „Dziennik Polski” niejednym felieton profesora Ryszarda Tadeusiewicza by go przeraził.

Z udanych wierszy Gawłowskiego można by wspomnieć „Autostop 1970”, w którym poeta wspominał wypad autostopem nad morze bałtyckie w latach młodości jakby chciał ukazać, że w latach PRL-u także można było poczuć wolność. Do tego taka wycieczka powodowała, że „suche butki i kiełbasa z koniny popijane oranżadą/smakowały (...) jak znane ze styśnienia szampan i kawior”. Naiwna propaganda wyższości krajów zachodnich nad tymi z Układu Warszawskiego na lata powodowała wyparcie się pozytywnych wspomnień z lat Polski Ludowej, a także wstydem było kiedyś powiedzieć, że jedzenie z PRL-u było smaczniejsze niż mielona szynka z Pewexu czy dzisiaj z supermarketu, albo tak samo smakowało jak wystawiane przez Rosjan „szampan i kawior”.

Innym ciekawym wierszem z „Polowania na chimery” był tekst „Przypowieść dla prowincjuszy”, w którym Gawłowski ukazał, że przemiany cywilizacyjno-polityczne w Polsce lepiej zachodziły w dużych miastach niż na prowincji, gdyż w głośnych miastach można było sobie lepiej radzić z samotnością i melancholią.

Poezja Gawłowskiego nie rozwiązywała problemów współczesnego świata, a eskapizm z cywilizacji technicznej w stronę duchowości przypominał mimo wszelkich różnic w poetyce i tematyce lata Młodej Polski. Mimo poruszenia tematyki religijnej – poeta nie wydawał się ślepym dogmatykiem, bo oprócz wspomnianych utworów pojawił się w jego tomiku wiersz „Poszmer”, w którym wspominał groty z Quamran. W tej grocie znalezione starożytne zwoje religijne, które rzuciły nowe światło na początki chrześcijaństwa, stały się kością niezgody wśród teologów, gdyż ukazywały historię tej religii inaczej niż Watykan i powoływanie się na te teksty przez kapłanów i biskupów mogło doprowadzić do anatemy. Gawłowski wydawał się ciekawszy wtedy, kiedy komentował przemiany w Polsce po 89-ym, niż na świecie w ostatnich latach, albo kiedy wspominał swoją młodość, a nie wtedy, kiedy starał się mimo heretyckich zainteresowań wpisać w chrześcijańską religijność. Zdumiewa to, że w opowieściach dziesięciu narratorów podczas epidemii dżumy z „Dekameronu” Giovanniego Boccaccia, pisanego pod koniec średniowiecza znaleźć można było więcej żwawej fabuły, humoru i odwagi niż w dzisiejszych tekstach o pandemii koronawirusa, których ton przypominał stereotyp posępnego średniowiecza. Jak to się stało, że wielu polskich poetów stało się bardziej religijnych niż średniowiecze?

Wojciech Gawłowski, Polowanie na chimery, Gdynia-Kraków 2024

HUMANISTYCZNE REFLEKSJE W OTOCZENIU PRZYRODY I GÓR

W 2002 roku na jakimś krakowskim spotkaniu poetyckim zorganizowanym przez Szczęsnego Wrońskiego, podczas którego czytałem swoje wiersze zauważyłem na widowni sąsiada z pierwszego piętra mojego bloku pana Zygmunt Ficka. Ku mojemu zaskoczeniu nauczyciel języka polskiego i dyrektor podstawówki na osiedlu Dywizjonu 303, dawny pracownik domu kultury, artysta fotograf okazał się także poetą o czym nie wiedziałem. Ale Ficek jako poeta zadebiutował po czterdziestce - w 1998 roku tomikiem pt. „Łagodność ostrych szczytów”, na który nigdy nie natrafiłem, więc nie mogłem wiedzieć, że pisał także wiersze. Od tamtej pory zdarzyło mi się czytać jego tomiki dołączane do „Toposu”, a ostatnio dostałem jego dwie nowe książki w tym „Zbiegowisko czasu” z wymiany za mój zbiór recenzji „Kula obok płotu”.

W Krakowie od lat poeci pisali wiersze o górach, wsi i przyrodzie i poezja Ficka wpisywała się w ten nurt (m.in. Józef Baran, Jerzy S. Fronczek, Mieczysław Mączka), który na południu Polski miał wielu swoich entuzjastów. Nie zmienili tego Brulionowcy, ani roczniki 70-te skupione wokół „Halartu”. Mi ten nurt przeważnie był obcy, gdyż nigdy nie pisałem wierszy przyrodniczych, choć przyroda robiła na mnie wrażenie podczas wakacji i zimowisk jak na wielu mieszkańcach dużych miast. Nigdy jednak nie przełożyło się to na twórczość, ponieważ nie będąc mieszkańcem wsi nie czułem potrzeby wpiśnięcia swojej egzystencji w nurt przemian pór roku. Także nie specjalnie potrafiłem odróżnić gatunki drzew, czy nie znałem nazw wielu ptaków (przez wiele lat mówiłem na gawrony - kruki).

Szczerze powiedziawszy lektura wielu dłuższych wierszy opisowych Ficka, czy zadum nad egzystencją ludzką z elementami aforyzmu i z metaforyką wziętą z życia lasu i gór nie były dla mnie szczególnie ważne. Doliny, świerki, dzięcioły z dziupli, przełęcz do od lat elementy świata, których nie oglą-

dałem wyjąwszy świerki koło marketu firmy Carrefour. Także dawno nie wędrowałem po szlakach w Beskidach, czy Tatrach i jakoś te sprawy nie były dla mnie istotne podczas lektury „Zbiegowiska czasu”. Kilka razy w życiu znalazłem się co prawda na takich szlakach i zawsze podziwiałem niewidywane często pejzaże, ale nie przemieniłem się nigdy w górskiego łazika z plecakiem, który wędrował podczas wakacji od schroniska do schroniska. Trzeba jednak zauważyć, że świat gór, czy lasów to kraina dzieciństwa, urodzonego w Beskidach Ficka, do której powracał często i był to świat, w którym nie czuł się obcy, ale swój.

Bardziej do mnie trafiały w omawianej książce wiersze epigramatyczne, czy bliskie w atmosferze japońskiemu haiku jak np. „Cisza wchodzi”, w którym zdawkowo zestawiono skrzywienie schodów z ciszą, czy „To już”, w którym kos bronił gałęzi przed innymi ptakami. Także niektóre krótkie wiersze nie mające cech epigramatu, czy haiku wydawały się udane jak np. „W Zakopanem”, w którym poeta opisywał kierowcę i pasażerkę jakiegoś samochodu i swoje skojarzenia związane z ich wyglądem. Raz kierowca mógł wg poety zagrać „śmierć w jasełkach”, a raz pasażerka kiedy zaczęła padać deszcz. Czy podmiot liryczny porównywał swój spokój z ludzką rozpaczą, złością, wyniszczeniem, czy niechlujnym wyglądem, tego wiersz nie wyjaśniał, co było jego atutem. Do tego skupienie się na innych ludziach w przeciwieństwie do spraw przyrody w innych wierszach nadawało „W Zakopanem” klimatu podobnego temu, kiedy po długiej wędrowce przez lasy i błota w końcu wychodziło się z gęstwiny i widzieliśmy domy i ludzi.

Ku mojemu zaskoczeniu w „Zbiegowisku czasu” znalazł się jeden wiersz pt. „Sprawozdanie” nieco odstający poetyką od pozostałych, któremu było bliżej stylem do poetyki wierszy brytyjskich poetów, Bohdana Zadury, czy młodszych o kilkanaście lat od

Ficka poetów ze Śląska, gdyż opisywał jakąś realną sytuację, którą obserwował podmiot liryczny. Rzecz działa się w lecie, a bezdzienne, czeskie małżeństwo – zapewne letnicy – rozpalilo grilla przed domem letniskowym w Smokowcach na Słowacji (gdzie zapewne wybrał się poeta), rozmawiało, brato prysznice w dwóch łazienkach, ale mięso się przypaliło i nic nie dało się uratować. Wiersz kończył się już po Fickowemu – opsem spokoju gór. Stylistyka wiersza była pisany sprawozdaniem z codzienności, bez przydługich fragmentów opisywania przyrody. Ficek jako katolik dziwił się ateizmowi przedstawicieli sąsiedniego narodu, frapowała go jednak beztroska krzątania Czechów. I jak we wszystkich wierszach jakie czytałem Ficka, a nawet bardziej niż w innych, zauważalna była spora biegłość warsztatowa poety, ponieważ wiersz o zupełnie mało ważnym zdarzeniu stał się mistrzowsko napisaną miniaturą, w którym znalazła się refleksja na temat różnorodności narodów sąsiadujących ze sobą, a także zestawienie dynamiki egzystencji ze statyką i spokojem gór.

Wiersze Ficka pisane były misternie wypracowywanymi, ale prostymi frazami, nie były pozbawione jednak środków artystycznych. Wyczuwało się w nich i prozatorską drobiazgowość w opisach przyrodniczych, lekki sentymentalizm, czasem nastawienie religijne, czy refleksyjne wobec świata, a w krótszych tekstach niż strona, czy półtorej, sporą precyzję. Mimo, że nigdy nie byłem czytelnikiem poezji przyrodniczej, albo górskiej, to w tomikach krakowskiego poety znajdowałem często frapujące teksty. I naprawdę szkoda, że przy swojej sprawności warsztatowej, Ficek nie pisał więcej takich wierszy jak „W Zakopanem”, czy „Sprawozdanie”.

Zygmunt Ficek, Zbiegowisko czasu, Kraków 2024

Z ROZJAZDÓW

„Poszli zdobywać świat” to tytuł debiutanckiego tomiku wierszy Jerzego Marcinkowskiego mieszkającego w Krakowie poety z Sanoka, który urodził się w 1970 roku. Książka została wydana w 2020 roku przez Księgarnię Akademicką jako praca dyplomowa podyplomowych studiów literacko-artystycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, na którym czasem dało się słyszeć, że pisać nie da się nauczyć. Jednakże w tym przypadku nie miało się wrażenia mocno podrasowanych współczesną składnią pierwocin, czy obrobionych pod okiem specjalistów wierszy pisanych przez początkującego twórcę, gdyż zanim ta książka wyszła, Marcinkowski - jak podawały różne internetowe bazy danych - miał spory dorobek tłumaczeniowy z zakresu science-fiction i fantasy, także uprawiał dziennikarstwo. A jak podawała ostatnia strona okładki jego debiutanckiego tomiku wierszy, autor pisał także opowiadania i piosenki. Być może studia literackie w jego przypadku były przygodą twórczą, w trakcie której poeta mierzył się z innym rodzajem literackim niż dotychczas, a także innym gatunkiem niż fantastyka. Wiersze Marcin-

kowskiego w jego tomiku zamiast tytułów miały kolejne liczby rzymskie.

Jeśli chodziło o tematykę wierszy z omawianego tomiku dotyczyła one wyjazdów turystycznych do Włoch i Hiszpanii, przejazdów tramwajem przez miasto, nocnych obrazków miejskich ale także nieco abstrakcyjnych rozważań, albo dotyczących tego czego się nie umie, czy też opisujących kondycję współczesnego człowieka, a jeden wiersz „III” dotyczył sportu (a ściślej bramki Kazimierza Deyny w meczu z Włochami).

Nigdy specjalnie nie przepadałem za tomikami, w których pojawiała się spora liczba wierszy z urlopowych i wakacyjnych wędrowek i przejazdów po innych krajach, może z wyjątkiem tomiku pt. „Dwanaście dni” Janusza Drzewuckiego, w którym autor poetycko opisał wyjazdy na zagraniczne spotkania poetyckie, ale wiersze turystyczne Marcinkowskiego były znośne, bo pomimo tego, że czasem w nich pojawiały się nazwy i opisy zabytków jak w przewodnikach turystycznych zamieniające wiersze w nijakie opisy zwiedzanych miejsc, których nie podciągała ani pointa, ani kulturowe reminiscencje to niektóre z tych wierszy wy-

jazdowych miały siłę niezłe opowiedzianej anegdoty. Interesujący był do połowy wiersz „VIII”, w którym podmiot liryczny zanim wysiadł z promu by rzucić się w wir zwiedzania ukazał klimat włoskiej codzienności – czyli kompletną nudę zestawioną z nadmierną ekscytacją. W barze robotnicy obsługujący śmieciarkę byli podekscytowani zapewne krótką podróżą lub zabawną rozmową, a barman pływający „wte i wewte” kompletnie się nudził. Nawet udany był wiersz „XIV” opisujący wyjazd do Pampeluny podczas, którego podmiot liryczny i jego znajomi spotkali w jednej z knajp pijanego Peruwiańczyka, który chciał porozmawiać o Wielkopolsce, gdyż niegdyś pracował w Poznaniu. Nawet udało się pocie uchwycić pewien komizm tej sytuacji, że gdzieś na drugim końcu Europy polscy turyści spotkali przybyśza z innego kontynentu chcącego powspominać Polskę, zamiast rozmawiać o czymś egzotycznym, czego być może oczekiwała grupa. Oczywiście to zadziwienie też wiązało się z tym, że jednak przybyśzów z innych kontynentów w Polsce było mniej niż w Hiszpanii, która kiedyś posiadała zamorskie kolonie przemienione w nie-

podległe państwa, w których zamieszkiwali potomkowie kolonizatorów i tamtejszych, autochtonicznych ludów i zestawienie Polski z Peru w wierszu mogło być czymś nieoczekiwanym, ale może jednak wyrosłym na gruncie zamknięcia na świat socjalistycznej Polski, w której urodził się poeta. Kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej (czy to raczej do Polski weszły zachodnioeuropejskie firmy) widok przybyszów z innych kontynentów nie mógł aż tak dziwić, jakby to było czterdzieści lat wcześniej i rozmowa o Polsce, gdzieś w Hiszpanii z Peruwiańczykiem nie była aż takim zaskoczeniem jak chciał poeta. Choć trzeba pamiętać, że w dużych miastach Polski ludowej (a może ludycznej?) widok przybyszów z krajów afrykańskich i arabskich nie był fatamorganą, gdyż polskie uczelnie przyjmowały dewizowych studentów z od-

ległych krajów, którzy najbardziej się dziwili wtedy, kiedy na zakupach w pewexie nie dostawali reszty w centach, tylko w nieznanym im bonach.

Wiersze z tomiku Marcinkowskiego mimo, że bazowały na obserwacjach wziętych z rzeczywistości posilkowały się awangardowym zapisem bez znaków przestankowych i dużych liter. Także wydawało się, że poeta bardziej skupiał się na treści wiersza w stylu skrótych rozważań, czy anegdoty, niż dążył do oryginalności w wyrazie. Niekiedy w wierszach Marcinkowskiego pojawia się humor. Nie było w jego wierszach jakichś oryginalnych środków artystycznych, czego czasem brakowało, ale pod względem warsztatowym – jak przystało na tłumacza – było bardzo rzetelnie.

Książka ujmowała tym, że nie słychać

w niej było kłótni politycznych znanych z naszej rzeczywistości, także poeta nie zmieniał się w każdą nadzieję, ale umiejętnie zdołał uchwycić różniący się klimat codzienności we Włoszech, Krakowie, czy Hiszpanii, nie tylko skupiał się na obserwowanych zabytkach, choć wydaje się, że z kilku wierszy mógł wyciągnąć więcej, gdyby jak Ryszard Kapuściński więcej doczytał o historii każdego z państw, do którego się udawał. Jednak spokojem emanujący z wierszy zamieszczonych w „Poszli zdobywać świat” tym razem zupełnie mi nie przeszkadzał. Dobrze byłoby, żeby twórczość poetycka Marcinkowskiego nie skończyła się wraz z pracą dyplomową.

Jerzy Marcinkowski, Poszli zdobywać świat, Kraków 2020

ZŁOGI JĘZYKOWE

Nie czytałem wszystkich tomików poety i aktora Krzysztofa Siwczyka, ale w swoim tomiku „Krematoria III” z 2022 roku odszedł od pisania dłuższych wierszy i poematów, w których język protokolarny poetów z Katowic i okolicznych miejscowości zespałał się z unikalnym stylem Andrzeja Sosnowskiego, co powodowało natchnioną poezję awangardową, w której pojawiały się co prawda oryginalne rozwiązania artystyczne jak błyskotliwe gry językowe i udane metafory, ale za mało w tym było Siwczyka w Siwczyku. Wiersze bardziej były niż znaczyły, olśniewały konstrukcjami, niekiedy drażniły, ale po ich lekturze zostawała pustka niczym po wejściu do okradniętego domu. Ostatnio jednak poeta bardziej skupiał się na mniejszych zestrojach słownych, nie opierał swych wierszy na wydłużonych konstrukcjach zdaniowych i składniowych. Wiersze jego były krótsze, mogły przypominać te z tomiku pt. „Wiersze dla palących”, ale nie wdzieraty się szybko w umysł swą prostotą i nadwyręzoną nieco logiką, pojawiało się w nich dłubanie we

frazologii, ale czytanie ich było utrudnione zmianą perspektywy na przestrzeni wiersza, dozą niejasności, czy podejmowaniem kilku tematów. Zamiast skupienia na czymś jednym istotnym dla poety – sytuacji, elementu świata, pojawiały się przeskok i z pozoru drobne strofy nie wiążące się ze sobą. Dopiero po głębszym namyśle można coś było z tych wierszy przypominających niekiedy rozsypanki słowne wyciągnąć. I taki tomik może nie olśniewał błyskotliwym, pieczołowicie zmaistrowanym artystem, ale zastanawiał i wymagał więcej od czytelnika niż nieco wcześniej.

Nadal w wierszach Siwczyka pojawiała się ponura tonacja, przedmioty przypominały przeszłość, której już nie było. Drażnił świat i jego nijakość oraz religijne puste słowa i niewiele znaczące przedmioty. Np. w wierszu „Toast Zaratustry” odwołującym się do filozofii Nietzschego kielich porównywano do urynatu. Mierziło kiczowate zestawienia powagi i blichtru. Zastanawiała śmierć. Ukazywano w wierszach bezsilność

wobec chorób, narzucającą się fizjologię, cytowano słowa dziecka, które także nie nadawało sensu rzeczywistości. Wszystkie te zabiegi ukazywały niemożność językowego ogarnięcia siebie w świecie, a także jego samego. Rzadko Siwczyk polemizował we wcześniejszych tomach z innymi poetami i poetykami i na pewno taki wiersz jak „Poezja społeczna (zaangażowana)” mógł zaskoczyć. Siwczyk nie dowierzał poetom zaangażowanym, gdyż ich twórczość za bardzo przypominała sam świat. Na pewno wiersze w „Krematoriach III” wydawały się ciekawsze i bardziej przekonujące niż te z „Jasnopisu”, czy tomiku „Osobnik”. I na pewno to było poważne pisanie. Bardziej jeszcze awangardowe, niż stricte lingwistyczne. Jeszcze świat i doświadczenie, a nie głównie eksperyment i język. Choć pewnie sam poeta tylko wie, kiedy pisze o sobie i świecie, a kiedy tylko eksperymentuje językowo.

Krzysztof Siwczyk, Krematoria III, Kraków 2022

EPIGRAMATY, PIOSENKI I POEZJA LINGWISTYCZNA

Podczas lektury tomiku „Hilo” radomiana Adriana Szarego, który „dotychczas wydał dwadzieścia książek indywidualnych” przypomniała mi się wspierana przez trzydziestu laty przez „Lampę i Iskrę Bożą” poezja lubelskich sentymentalistów, która podobnie jak wiele wierszy Szarego była w formie anachroniczna i rymowana. Poezja rymowana z lat 90-tych nie spotkała jednak szerszego rozgłosu i poza wydawcą tomików nie była doceniona.

W swojej książce Hilo pisał i krótkie epigramaty dotyczące dzieciństwa, rymowanki o siostrze i bracie, które mogłyby być śpiewane przez jakieś niezbyt ciekawe popowe zespoły, krótkie wiersze lingwistyczne przypominające niekiedy teksty Roberta Tekielego, w których rozbijał słowo, smutne pieśni rymowane o śmierci bluesa, albo wiersze entuzjastyczne dotyczące pochwały czyjś, skromnego życia. Poeta także wspominał swoją babcię, wykpiwał uzależnienie od

internetu, udowadniał, że Bóg istnieje, opisywał przez siebie prowadzone warsztaty literackie. Także w jego tomiku zdarzały się wiersze z mniejszą ilością rymów i bardziej do czytania niż śpiewania jak „Mewy”, w którym to wierszu poeta przyznawał się do swoich fascynacji wegetarianizmem i podziwiał żyjące na wolności ptaki. Cały tomik zaś został podzielony na cztery części: „Dzieciństwo”, „Młodość”, „Dojrzałość” i „Starość”.

Jako, że nigdy nie cenilem rymowanej poezji współczesnej, tak i tomik „Hilo” czytałem raczej jako ciekawostkę podobną do książek z niezbyt udaną poezją konkretną, czy tomików różnych poetów z wierszami dla dzieci (np. „Tyle rzeczy niezwykłych” Juliana Kornhausera), czy piosenkami w stylu poezji śpiewanej (np. „Wiatr w ogrodzie. Piosenki” Jerzego Stanisława Fronczka), gdyż na co dzień nie czytałem takiej poezji często przeznaczanej do śpiewania, czy czytania na głos

podczas spędu jakichś mało rozgarniętych amatorów poezji niezbyt lotnej i anachronicznej w formie, albo śpiewanej wśród amatorów szant, bo chyba do tego odnosił się tytuł tomiku „Hilo” oznaczający powtarzające się słowo w szantach. Jednakże można było zauważyć w tomiku Szarego sporą warsztatową sprawność, podejmowanie różnych tematów i chyba wspomniany wiersz „Mewa” był jednym z najciekawszych wierszy w „Hilo” i nawet bardziej znany autor nie powstydziliby się takiego tekstu. Do tego nie znalazłem w tomiku Szarego oczekiwanego przed lekturą książki śladów Radomia znanego mi z lat wakacji i zimowisk u dziadków w latach dzieciństwa.

Adrian Szary, Hilo, Nowa Ruda 2024

POETYCKA WALKA O CZŁOWIECZEŃSTWO

W najnowszym tomiku wierszy Tomasza Różyckiego pt. „Hulanki & Swawole” wydanym w 2024 roku przez krakowskie Wydawnictwo a5 znalazło się sześćdziesiąt trzy wiersze i siedem krótkich, poetyckich próz. Różycki w poezji wykorzystywał jedną z form francuskiego sonetu i zapisywał swoje wiersze przeważnie jako trzy tetrastychy i dystychy. Jednakże nie dbał zbyt o rymy, które niekiedy się pojawiały w postaci rymów niedokładnych, ale uwidaczniały się w jego poezji rytm, gdyż wiersze Różyckiego pisane były często jedenastozgłoskowcem, ale także trzynastozgłoskowcem.

Forma wyciągnięta z archiwaliów literackich, co było charakterystyczne dla współczesnych klasycystów nie spowodowała, że Różycki zatrzasnął drzwi swojego gabinetu przed współczesnym światem i zanurzył się w motywach literackich z dawnych epok. Ku mojemu zaskoczeniu wiele wierszy Różycki poświęcił aktualnej tematyce politycznej. W wierszach erotycznych i sentymentalnych kilka razy wykorzystał co prawda znany z „Odysei” Homera motyw nimfy Kalipso, ale raczej pisał o sprawach obecnych, a nie z punktu widzenia Odyseusza powracającego do Itaki. Także poeta pisał autotematyczne sonety dotyczące istoty pisania i poezji, a w prozach, niekiedy kojarzących się z twórczością Zbigniewa Herberta, poruszał rozmaite tematy od spraw związanych z mitologią grecką, przez kwestię istoty Boga, po szkolnictwo i Lenina.

Najciekawiej Różycki wypadał w wierszach zaangażowanych politycznie, gdyż jako poeta z rzadka podejmował wcześniej taką tematykę. Jego poezję wpisywano w wyobraźniowy nurt roczników 70-tych

(choć jakby przyjąć dekadowy punkt widzenia – poeta należał do tej samej generacji poetów co Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło i Marcin Baran – poetów urodzonych w siódmej dekadzie XX wieku), albo zaliczano do postmodernistycznych barokowych stylizatorów, czy też neoklasyków. Na pewno jego poezję można było także omawiać jako kontynuację romantyzmu. Za to nie był nigdy omawiany jako awangardzista i lingwista, choć trudno było mu odmówić językowego wyczucia oraz sporej sprawności warsztatowej, niekiedy zbliżającej się do językowej wirtuozerii.

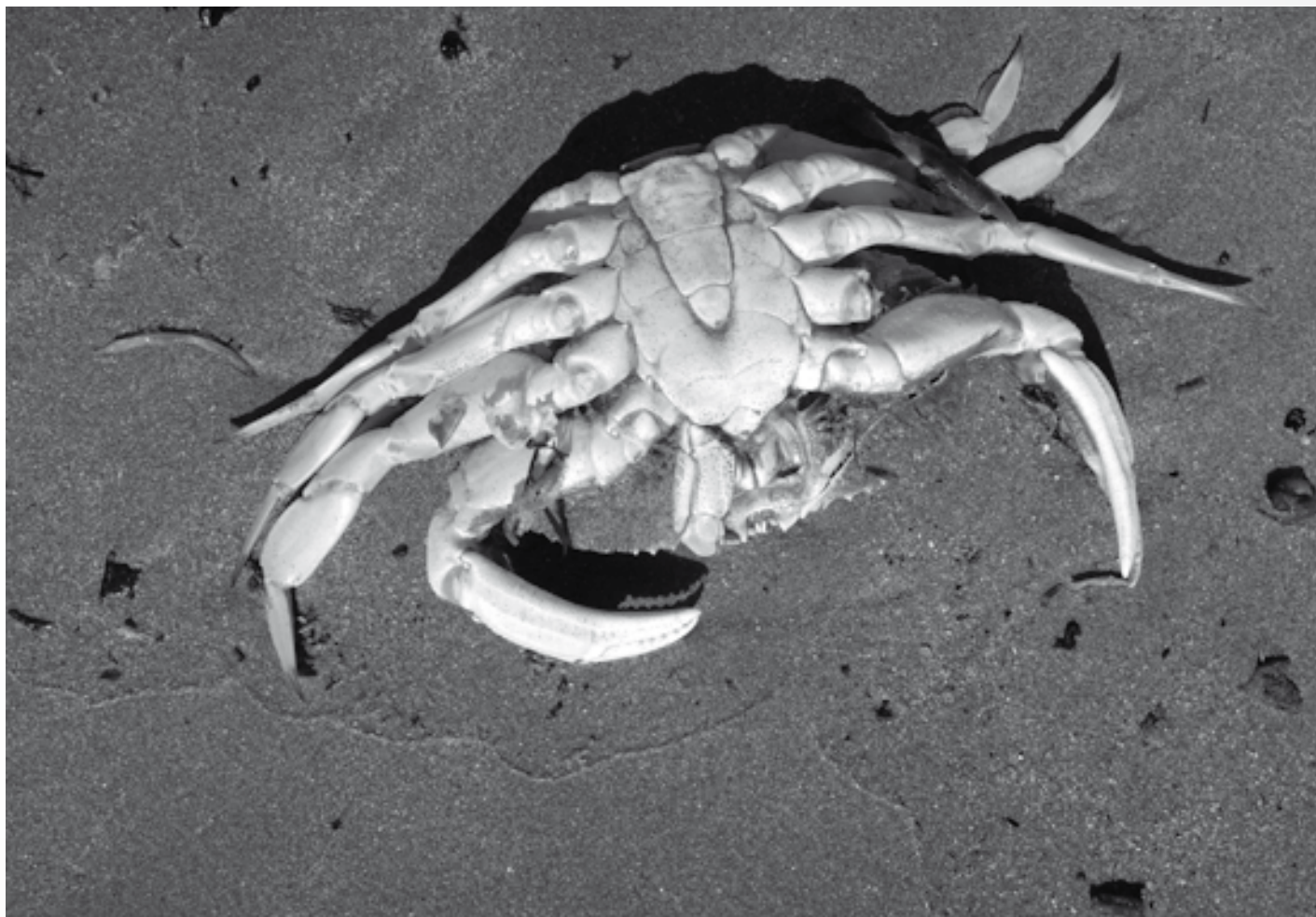
W wierszach zaangażowanych politycznie z tomu „Hulanki & Swawole” Różycki podejmował tematykę wypadków na granicy polsko-białoruskiej („Rozmawiam z państwem wierszem”), opisywał bestialstwo irańskich fundamentalistów na przykładzie zamordowania Mahsy Amini przez policję moralności, gdyż owa młoda kobieta nie włożyła hidżabu i publicznie rozpuściła włosy („Deldaram”), zaś w kilku wierszach podejmował temat wojny rosyjsko-ukraińskiej. I tak: w „Hinduskich mędrkach” zestawiał cierpienie ukraińskiego dziewczętnastolatka Danyła, który po rosyjskim ataku „stracił obie stopy i dłoń” z hinduskimi mądrościami joginów dotyczącymi tego, że świat jest złudzeniem, w „Lzjum” ukazał jakąś ukraińską miejscowość po przejściu przez nią rosyjskiego wojska, które kastrowało i przypalało Ukraińców, kradło sprzęt, niszczyło uprawy i sady, a pozostawiało za sobą jedynie smród i odchody, w „Pęka owoc” pisał o wysyłaniu na Ukrainę paczki z niezbędnymi rzeczami jak hełm, czy kamizelka kuloodporna będącymi ważniejszymi

niż słowa otuchy w wierszu, a w „Szeregowym Enej” opisał wojnę z punktu widzenia ukraińskiego szeregowca, który został ranny podczas okopywania się wojska. W „Graniczy” Różycki poruszył wielowiekową kwestię uchodźstwa, gdyż nie tylko odnosił się do wojny rosyjsko-ukraińskiej, ale także konfliktów w Azji Mniejszej.

Z wierszy autotematycznych warto było zwrócić uwagę na wiersz „Śmierć komiwojagera”, w którym poeta ironizował na temat własnego warsztatu twórczego: „Jestem tylko sprzedawcą słów, handlarzem składni./ Mam przenośny stragan zbity z wyobraźni./ przychody są niejawne, zarząd niewidzialny/ przelewaj atrymentem: robię to na czarno.” Poeta w wierszu z tytułem odnoszącym się do głośnej krytyki sprowadzającej nie tylko ten wspomniany wiersz, ale także wcześniej opisane przeze mnie wiersze zaangażowane.

Na pewno „Hulanki & Swawole” z tytułem odnoszącym się do „Pani Twardowskiej” Adama Mickiewicza były obszernym tomikiem wierszy i mimo tego, że krótkie prozy Różyckiego były takie sobie, a część wierszy wydawała się trochę nijaka, czy czasem zbyt papierowa to tych udanych utworów (prawie połowa, a nie jeden, czy dwa jak w wielu współczesnych tomikach) było dosyć dużo jak na standardy polskiej poezji z ostatnich lat i nie tylko chodziło mi o te, o których wspominałem.

Tomasz Różycki, Hulanki & Swawole, Kraków 2024



Bogusław Żytko

DWA PORTRETY

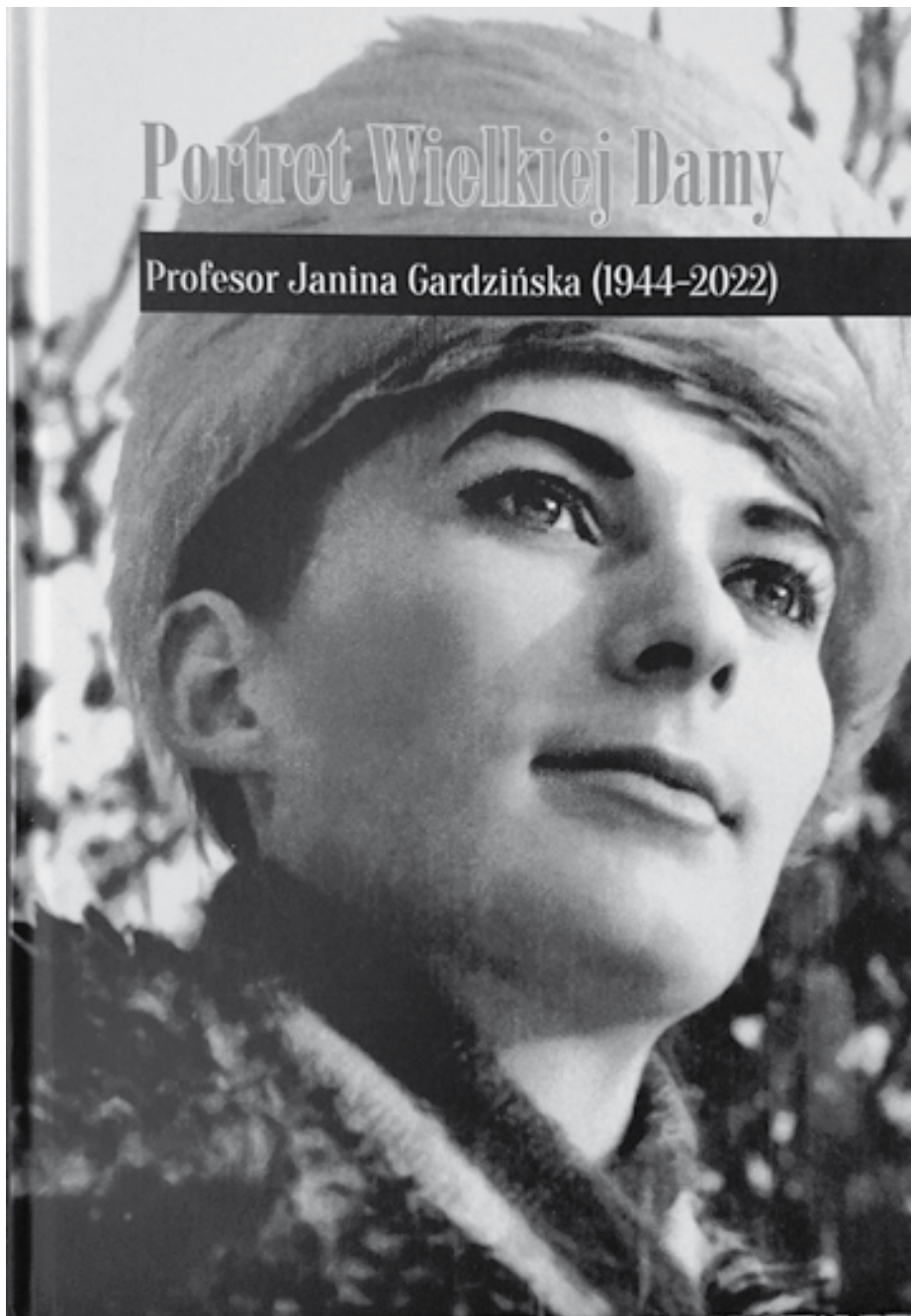
WSPOMNIENIE

Kultura ma do dyspozycji wiele sposobów na upamiętnianie ludzi, którzy już odeszli do wieczności. Od „mytych życia drobiazgów”, takich jak przedmioty użytku codziennego, fotografie z rodzinnych albumów po wielkie pomniki na ulicach i placach miast i specjalne muzea, poświęcone „wielkim ludziom”, których życie i dokonania stały się składnikami pamięci zbiorowej.

W środowisku ludzi pióra, do którego można włączyć nie tylko literatów, zajmujących się twórczością literacką i paraliżującą, ale także szerokie rzesze humanistów, którzy w końcowej fazie swojej pracy stają się też pisarzami, bo prezentują wyniki swoich analiz i rozmyślań w postaci pisanych tekstów, powstał specjalny gatunek piśmiennictwa – księga pamiątkowa – służący utrwaleniu pamięci o ludziach, którzy pozostawili po sobie trwały ślad.

W 2023 roku ukazały się dwie okazałe i starannie zredagowane książki, należące do tego właśnie gatunku. Pierwsza¹ jest poświęcona osobie i dziełu profesor Janiny Gardzińskiej (1944-2022), która całe swoje życie zawodowe spędziła w Siedlcach, współtworząc w tamtejszym Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym (uczelnia funkcjonowała również pod innymi nazwami) studia polonistyczne. Na duży tom składają się trzydzieści dwie wypowiedzi autorstwa trzydziestu dwóch osób. Wśród autorów najwięcej jest kolegów z pracy w Instytucie Polonistycznym, są też głosy studentów i przyjaciół. Rodzinę reprezentuje wnuczka Karolina.

Gatunkowo przeważają krótkie wspomnienia – „migawki”, jak trafnie nazwał swój tekst jeden z piszących. Starają się one uchwycić i utrwalić konkretne sytuacje, w jakich dane im było spotkać się z prof. Janiną Gardzińską. Przekazują one Jej wygląd, słowa, gesty, zapamiętane z tych kontaktów. Centrum księgi stanowią obszerniejsze szkice, nawet artykuły, próbujące bardziej całościowo przedstawić jej sylwetkę na tle dość złożonych dziejów siedleckiej polonistyki, przypadających na okres wielkich przemian polityczno-ustrojowych w kraju. Należą do nich przede wszystkim teksty Antoniego Czyża, Elżbiety M. Kur, Stanisława Szczęsnego. Kilka tekstów przygotowała Violetta Machnicka, redaktorka Tomu (razem z wymienionymi wyżej osobami) i zapewne *spiritus movens* całej publikacji. Przedstawiają one bliżej i obszerniej postać Bohaterki całego tomu w jej rozmaitych rolach społecznych – badaczki (językoznawcy, dialektologa), wykładowcy (promotorki prac magisterskich), przełożonej w pracy, wreszcie koleżanki i przyjaciółki. Ale przede wszystkim rzucają światło na Jej niepospolitą osobowość, urok osobisty, jakim emanowała, któremu chętnie poddawali się wszyscy, którzy mieli okazję z Nią kontaktować się na różnych płaszczyznach. I właśnie ten – by tak rzec – personalny aspekt mocno się wybił we wszystkich tekstach, górując nieraz nad charakterystyką Jej dorobku naukowego. Ich poetyckim uzupełnieniem są wiersze autorstwa uczestników księgi, przenoszące czytelnika w nowy wymiar rzeczywistości. Całość zaś zamyka fotograficzny mini album, ukazujący wybrane momenty z życia Janiny Gardzińskiej (od dzieciństwa po grób). To sprawia, że księga staje się przekazem multimedialnym.



Janeczka i Dama (Wielka Dama) to najczęstsze określenia, jakich się używa w księdze wobec profesor Janiny Gardzińskiej. W ten sposób z jednej strony sugeruje się bliskość, zażyłość tych kontaktów, nieobecność w komunikacji z Nią jakichkolwiek sztucznych barier, z drugiej zaś strony wskazuje się na niewymuszony szacunek, pewien respekt, jaki wzbudzała w swoich rozmówcach. Nie wiadomo, czy to był świadomy wybór właśnie takiego a nie innego „stylu zachowania”, czy po prostu spontanicznie wynikało to z Jej natury. W każdym razie zgodne i celowe używanie tego określenia (pojawia się chyba w co drugiej wypowiedzi) jest znaczące. Odnosi się ono zarówno do sposobu bycia, ubioru, zachowania określanej tak osoby, jak i pewnych niekomunikowanych wprost wartości, jakie reprezentowała. Wyrażenie „Wielka Dama”, brzmiące dziś nieco

staromodnie, a nawet „trącące myszką”, odsyła do dawnych czasów, średniowiecznego etosu rycerskiego (w czasach nowożytnych dama była odpowiednikiem gentlemiana), którego elementy w kulturze (w której nic nie ginie bezpowrotnie) mogą być aktualizowane.

Nie wszystkie wypowiedzi dotyczą wyjątkowo osoby i dzieła profesor Janiny Gardzińskiej. Niektóre, zwłaszcza te dłuższe, kilkudziesięciostronicowe, opisują również osobiste perypetie piszących w siedleckiej „Sorbonie” (czasami te proporcje są nieco zachwiane), nie zawsze proste relacje z „trzymającymi władzę” w niej. Sporo się pisze o kulturze środowiskowej (lub jej braku), życiu uczelnianym i nieustannie zmieniających się warunkach pracy. Ale dzięki temu zamieszczone w księdze teksty zyskują nowy walor: mogą w przyszłości zyskać status źródła, przyczynku do badań

WSPOMNIENIE nad przemianami szkolnictwa wyższego w dobie gwałtownie przebiegającej transformacji ustrojowej.

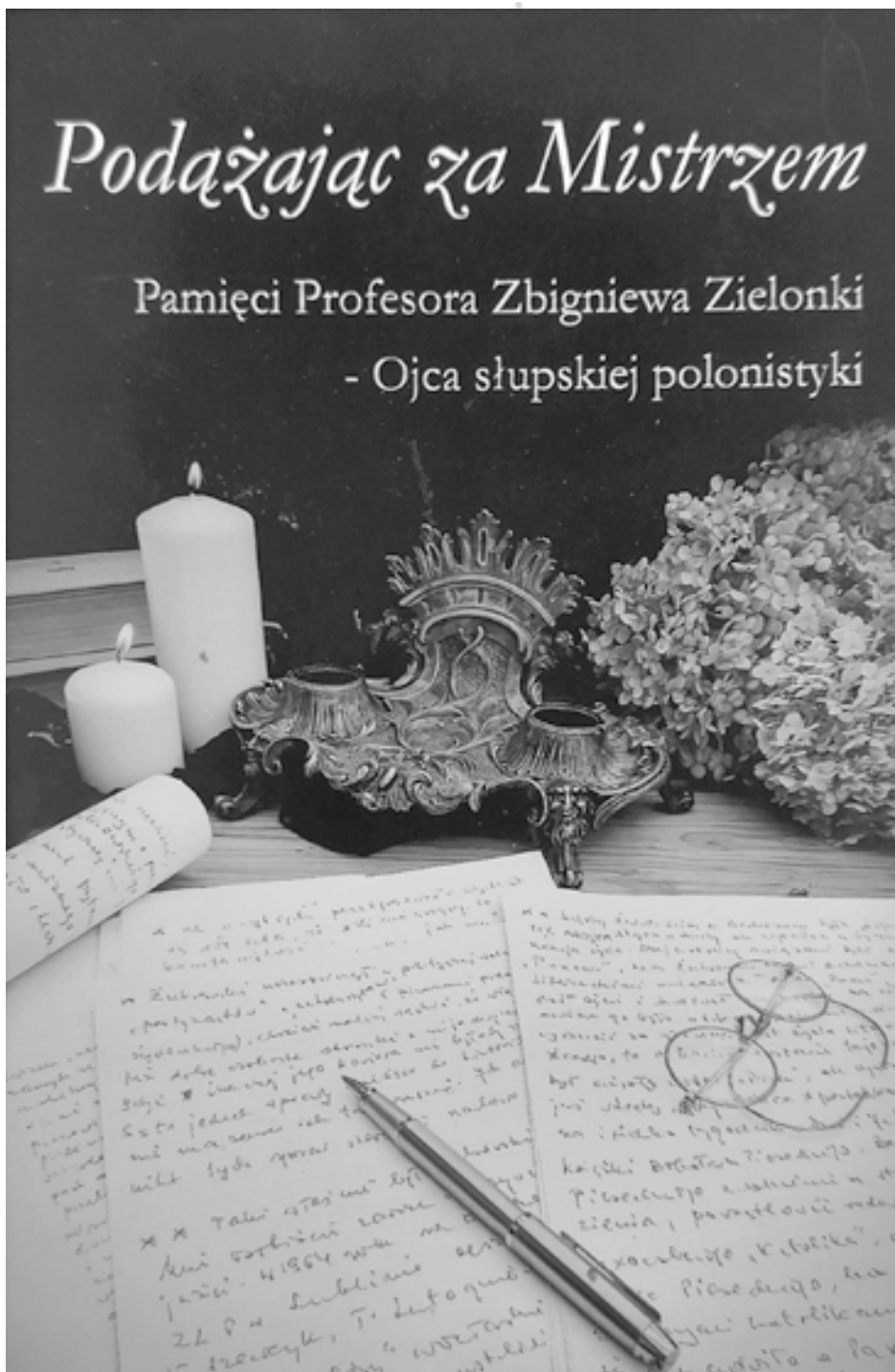
Druga księga², której warto poświęcić kilka słów, została opublikowana w Słupsku i dotyczy żywota i dzieła Zbigniewa Zielonki (1929-2021), spędzonego w dwóch „małych ojczyznach” – na Śląsku opolskim i Pomorzu. Cezurą jest rok 1974, kiedy to Zbigniew Zielonka po uzyskaniu doktoratu i ponad dwudziestoletnim pobycie w Opolu przeniósł się do Słupska i zatrudnił w miejscowej Wyższej Szkole Pedagogicznej, przyczyniając się w walnie do rozwoju w niej polonistyki. Na emeryturę odszedł w 2005 roku.

Miał, jak słusznie napisano w księdze, „dwie pasje i dwa talenty” – pisarza i badacza i dwie duchowe ojczyzny – Śląsk i Kaszuby. Dominantą w pierwszym okresie była twórczość literacka (powieści historyczne, których tematyka była zanurzona w polskim średniowieczu), w drugim – słupskim – przeważało piarstwo naukowe. W swojej polskości łączył harmonijnie śląskość i kaszubskość. Mieszkając i pracując w Słupsku, nie zapomniał o swojej pierwszej ojczyźnie. Nadal pisał (i to sporo) o sprawach śląskich. Spoczął też w Alei Zastużonych na opolskim cmentarzu.

Podobnie jak w przypadku księgi siedleckiej również ta słupska jest różnorodna gatunkowo i materiałowo. Otwiera ją *Bibliografia prac profesora Zbigniewa Zielonki ze Związkiem biogramem Ojca słupskiej polonistyki* pióra Tadeusza Linknera. Następnie mamy dział *Wspomnienia i laudacje*, w którym – obok listów gratulacyjnych i kondolencji od różnych instytucji – umieszczono szereg wspomnień, ukazujących profesora Zbigniewa Zielonkę na różnych polach działalności (jako pisarza, wykładowcy, promotora prac magisterskich i doktorskich, działacza związkowego („Solidarności”), członka SPP, jurora, inicjatora różnych przedsięwzięć wydawniczych) z próbą uchwycenia jego głębiej ukrytych rysów osobowości (zwłaszcza teksty Kazimierza Nowosielskiego, Tadeusza Linknera, Krystyny Krawiec-Złotkowskiej, Józefa Borzyszkowskiego). Większość piszących podkreśla jego wielką erudycję, rzetelność filologiczną, wierność imponderabiliom, życzliwość, otwartość na ludzi. Widzimy mądrego, dobrego, jak się dziś mówi, empatycznego człowieka.

Na część drugą słupskiej publikacji składają się studia dwudziestu trzech autorów, dedykowane pamięci Zbigniewa Zielonki. Jak to często bywa w tego rodzaju publikacjach wybór tematów w większości wypadków nie jest przypadkowy i uwzględnia pola badawcze tej osoby, której są ofiarowywane. Autorzy pierwszych artykułów zwracają się wręcz ku powieściopisarstwu Zbigniewa Zielonki, a konkretnie powieści *I ona ma oczy zielone*, wskazując na niektóre istotne osobliwości tego dzieła. W drugiej części zgromadzono artykuły, poświęcone literaturze i kulturze polskiej, w tym spora ich grupa dotyczy literatury staropolskiej, a więc z tego okresu, którym intensywnie zajmował się Zbigniew Zielonka.

Obydwie księgi – siedlecką i słupską – łączy wiele rzeczy. Budują one tradycję w swoich środowiskach, jednocześnie różne pokolenia i współtworząc zręby wspólnej pamięci. Osoby, którym są poświęcone, same były nośnikami tej pamięci, mocno przy tym związanymi z daną ziemią. Przejawiało się to również w ich preferencjach badawczych: Janina Gardzińska eksplorowała lokalne odmiany polszczyzny na Podlasiu, Zbigniew Zielonka przez całe



swoje długie i pracowite życie badań oraz popularyzował piśmiennictwo śląskie i kaszubskie.

Włożyli oni dużo energii w rozwój studiów polonistycznych w swoich uczelniach: Akademii Podlaskiej (przemianowanej w końcu na Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny) i słupskiej WSP (Akademii Pomorskiej). Działo się to w bliskim sąsiedztwie dużych metropolii – stolicy z Uniwersytetem Warszawskim i Trójmiasta z Uniwersytetem Gdańskim. Pracownicy naukowcy z tych ostatnich uczelni mieli oczywiście swój udział w rozwoju tych młodszych placówek, ale tych relacji nie powinno się ujmować jako relacji centrum – peryferia. Sam Zbigniew Zielonka gorąco protestował przeciwko takiemu stawianiu sprawy i optował za swoiście pojętym regionalizmem jako najodpowiedniejszej dla humanisty postawie poznawczej. Kazimierz Nowosielski przywołuje jego słowa: „Regionalizm – to korzenie i źródła. Bez korzeni nic nie wzrasta, bez źródeł nic co wyrosło, nie

rozwija się”. I pisze, że najwięksi wrogowie regionalizmu to „zapyziały centralizm i zastrachany prowincjonalizm”.

Można dodać, że w nauce o duchu (*Geisteswissenschaft*), jak to Niemcy do tej pory nazywają humanistykę, ważne są nowe idee, myśli, a ich narodzinom bardziej sprzyja zacisze niż wielkomięski zgietk. Można przytoczyć wiele przykładów, aby „udokumentować” tę konstatację. Przedstawione tu w wielkim skrócie z wielką pieczołowitością przygotowane publikacje mogą świadczyć o prawdziwości tej supozycji.

BOGUSŁAW ŻYŁKO

1 Portret Wielkiej Damy. Profesor Janina Gardzińska (1944-2022). Redakcja naukowa V. Machnicka, A. Czyż, E. M. Kur, S. Szczepny, Bukowiec 2023.

2 Podążając za Mistrzem. Pamięci Profesora Zbigniewa Zielonki – Ojca słupskiej polonistyki. Redakcja K. Krawiec-Złotkowskiej i J. T. Złotkowskiej, Słupsk 2023.

Ciszę, tę doskonałą, która powstaje na kilka chwil przed świtem zakłócają jedynie miarowy plusk wioseł. Wynurzająca się z mgieł łódź, cięta lustro wody, kładąc trzciny po swoich bokach, niczym żniwiarz tany zbóż. Spłoszony remiz wyleciał z gniazda, protestując wysokim „C”.

Mężczyzna przestał wioślować, ale łódź sunęła dalej, wolniej, ciszej.

Trzciny dzwignęły się, ptak wrócił do gniazda.

Z głębi puszcy, niesiony przez wodę, dochodził śpiew skowronka.

Tafla wody od wschodu zaczęła się złościć.

Świtało...

Pies, półkrwi sznauca, siedząc na dziobie zastrzygł uszami, po czym zaskamlał cicho, kierując wzrok na swojego pana. Mężczyzna podążył za wzrokiem psa.

Zerwał się na widok, który zobaczył, łódź zakolebała się, ale szybko wróciła do równowagi.

- Ki diabeł?

Gdzieś około pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu metrów dwóch wioślarzy przewoziło fortepian płaskodenną łodzią. Płynęli z północy na południe, tam, gdzie nie było żadnych przystani. Wschodzące właśnie słońce sprawiło, że wyglądali teraz jak postacie z chińskiego teatru cieni.

- Podpłyniemy do nich? - mężczyzna zapytał psa, ale ten tylko zamierdał krótkim ogonkiem, zeskokczył z ławki na dno łodzi, w której pluskała woda, odebrał kilka należnych mu pieszczot i powrócił na swój „mostek”.

Mężczyzna dobił do brzegu, zacumował z lewej strony prowizorycznej kładki, wyciągnął łódź z chlupiącą na dnie wodą na ląd, tak, jak robił to od zawsze, na jedną trzecią długości. Fale sennie biły o brzeg, wymywając piasek spod korzeni starych olch. Spojrzał na wschód, zerkając kątem oka za uganiającym się za własnym ogonem psa. Niebo na wschodzie stawało się jaśniejsze, ciemność z minuty na minutę traciła swą intensywność.

Sięgnął po siatkę, w której znajdowało się kilka leszczy, karasi, płoci i sporego okonia. Razem być może pięć kilogramów, a może i ciut więcej. Przez najbliższe dni głód mu nie groził.

Stał przed oknem skąpany słoneczną poświatą niczym pomnik jakiegoś świętego z religijnych pisemek dla dewotek. Ale daleko mu było do świętości Pustelnika Jano.

- Kurwa - zaklął, odwracając się od okna.

A za oknem szeleściła zbliżająca się wielkimi krokami jesień, (choć sierpień miał się jeszcze całkiem dobrze), tkając mu kobierzec z liści. Słońce kryło się za górkami o łagodnych stokach i tylko stary, świerkowy las nie poddawał się dyktaturze krajobrazu.

Mężczyzna podszedł do sfatygowanego przez czas biurka, na którym stała maszyna do pisania. Usiadł na krześle, które boleśnie zaskrzypiało pod jego ciężarem, wkręcił czystą kartkę i po chwili jego palce zaczęły swój taniec na klawiaturze.

Jutro minie rok, jak siedzę w tej budzie...

Tylko tyle. Odsunął dłoń z klawiatury jakby nie należały do niego, położył je na brzegu biurka i zaczął bębnić palcami.

Miał dziwne przeczucie, że coś przeoczył, że o czymś zapomniał. Ale o czym? Wyraźnie nie miał weny. Przyjechał do tej dziury rok temu aby pisać. Niestety szło mu to marnie, dokładnie tak, jak teraz, jedno zdanie, akapit, czasem dwa i pustka w głowie. Ni to dziennik, ni powieść, ni esej. Myślał, że na tym odludziu, wręcz na końcu świata, odnajdzie spokój, ukojenie, a tu mija rok i nic. I nic!

Nic? Może nie do końca „nic”. Wyciszył się, rzucił drugi, papierosy, ba, zaczął nawet studiować ziołolecznictwo. Powoli z pisarza zamienił się w zielarza. Może po to zaszył się w tej dziurze?

Znów położył palce na klawiaturze. Nowy akapit.

Jan stał przed oknem skąpany słoneczną poświatą, wyglądał niczym młody bóg w przeddzień emerytury. Nie był jeszcze starcem, chociaż czuł się staro jak ta wiekowa lipa w jego obejściu z spróchniałym pnieniem. Pojawił się rok temu, by napisać powieść swojego życia. Ale krajobraz był tak uroczy, tak czysty, tak niewinny, że nie pozwalał mu skupić się na niczym innym. Stał się niewolnikiem krajobrazu, więźniem ciszy, wyznawcą rozciągających się po horyzont ugorów upstrzonych kępami drzew, poprzecinanych meandrującymi rzekami, strumieniami, strumyczkami. Poszedł nawet dalej, zdradził literaturę łamiąc swoje młodzieńcze śluby, że będzie jej wierny aż do grobowej deski. Ale on, Jan I Szalony nie chce być więcej pisarzem, i to nie dlatego że ma taki kaprys, ale z powodów o wiele wznioślejszych, jak choćby dobro literackiego bractwa.

Jak się ma takie nazwisko, jakie nosił Jan, można wpaść w kompleksy. Jan Nikt. Być może jego praszczur, któremu nadano to nazwisko, zasłużył sobie na nie w jakiś sposób. A może to było jedynie złośliwość tego, który mu je nadał. A być może to sam antenat Jana nadał sobie taki przydomek, aby podkreślić swoją znikomość. Cóż, ta zagadka zostanie nierozwiązana. Ale nie dba o to. Kiedy był młodszy, myślał nawet o zmianie nazwiska na Nitecki, albo Niłkowski, ale odrzucił go te wszystkie biurokratyczne procedury, papierki, podania, prośby, zakłęcia, chodzenie od drzwi do drzwi, polerowanie klamek, nikłów, marmurów, pomyślał wtedy, że lepiej rzucić to całe miasto, tę zasraną cywilizację i zaszyć się w jakiejś dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Ale musiało uptynąć jeszcze wiele wody w Drwęcy nim do tego doszło.

Podszedł do żeliwnego piecyka w lewym rogu izby, otworzył drzwiczki, pogrzebaczem rozgrzebał żar, dołożył kilka szczap bukowe-go drewna i postawił osmolony czajnik na rozgrzewającej się płytce.

I w tym momencie go olśniło! Kilka dni temu Leszek Żuliński świętowałby swoje urodziny, gdyby tylko żył. Może jeszcze nie jest za późno aby napisać jakieś wspomnienie i wystać do jakiejś gazety?

Może jutro.

Może jutro...

Woda w osmolonym czajniku zaczęła właśnie się gotować.

MIROSLAW G. MAJEWSKI



Zbigniew Ikona
Kresowaty



O CZYM MÓWIA NAM FILOZOFOWIE STAROŻYTNI I WSPÓŁCZEŚNI

Wielcy filozofowie, poczynawszy od starożytności (Sokrates, Platon, Kartezjusz, Parmenides, Arystoteles...), a później bardziej i ci współcześni (Pascal, Leibniz, Kant, Nietzsche, Heidegger...) pytają nas o rzeczy, które moralnie legły u podstaw szeroko pojętej kultury w dziejach ludzkości. Pytają oznajmiając nam o aspektach zasad bytu w społecznościach, poszukawca prawdy czasu, w jakim objawił się człowiek, pytają i w swoich myślach snują tezy o to czy: zasady moralne mają charakter arbitralny, czy są częścią koncepcji jakiegoś narzuconego porządku na ziemi, tym samym twierdzą, że traktują one o estetyce życia w różnych społecznościach. Ale ci wielcy pytają nas, między innymi, o Boga, czy można wierzyć w Jego siłę wyższą, kiedy nic o Nim w zasadzie nie wiemy. Same symbole. Pytają o rzeczy stworzone i rzeczywiste, o źródło życia i rzeczy niewidzialne, bywa często w tej sprawie odsyłają nas do własnej intuicji oraz wycucia mistyki. Przez to wielcy filozofowie pytają nas skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy na swoim Pegazie. Czy Go już nie uwieźliśmy na grubym łańcuchu?

– To znakomicie, że nasz polski współczesny naukowiec i badacz filozofii dziejów, prof. Leszek Kołakowski, jako autorytet i znawca historii filozofii i religii, były (nieżyjący już) uznany wykładowca na kilku znanych Uniwersytetach w Europie i USA, zebrał w całość tezy i myśli oraz niektóre twierdzenia w/w filozofów, żeby szukać u nich jakiejś **jednej wspólnej myśli** i wnosi jakby o to, żeby zastanowić się, niezależnie od epoki i czasu oraz miejsca nad sensem i regułą istoty człowieczeństwa. Wielcy filozofowie, dziś Koryfeusze, żyli w różnych epokach, ale głosili myśli pochodne, jedni ściśle – inni sugestywne do swoich poprzedników, jako dziedzice myśli. Każda epoka ma swoich mistrzów, pojawiali się później dalsi w/w, którzy dziedziczyli wiedzę, a jednocześnie wnosili swój własny wkład myśli do dziedziny filozofii. Zazwyczaj każdy z nich mówi o relacjach egzystencji i jej kulturze o sposobie odmiennego pojmowania świata. Nie bez kozery wraca profesor do filozofów wybitnych, wchodzi w ich tezy i twierdzi, że należałoby się zastanowić nad wspólną główną myślą, która niewątpliwie ich funkcjonuje jako moralitet, ale wciąż drąży tajemnicę istnienia, ponieważ człowiek jest istotą rozumną, jednakże żyjącą stadnie, zatem podlega pewnej niepisanej dyscyplinie wartości i hierarchii. Niewątpliwie omówienia profesora Leszka Kołakowskiego, są powrotem na nowo do tez mistrzów, do ich ugruntowanej i skryształizowanej wiedzy, którą warto dziś odświeżyć a może i stosować... Taka inicjatywa wykładu, objaśniona nie tylko studentom na Uniwersytetach, w wydaniach książkowych przeciętnemu człowiekowi, obdarzonemu coraz większą inteligencją i wiedzą naukową, choćby techniczną, jest zasadnym spojrzeniem w głąb naszej wielowiekowej kultury oraz myśli filozoficznej, która zawsze towarzyszy rozwojowi człowieka.

Zatem powinniśmy przytoczyć tutaj Sokratesa, który poszukiwał absolutu. Nigdy nie zapisywał swoich tez, była to już rola dziejowych pisarzy i poetów. Filozofia jest zawsze narzędziem w wykonywaniu drogi do zrozumienia

ostatecznego celu bytu ludzkiego, który trwa przecież od tysięcy lat nieustannie. Człowiek od pradziejów patrzył w niebo i pytał siebie, kim **jestem?** Profesor kieruje myśli filozofów, wielu z osobna, do człowieka współczesnego, którego jak się wydaje mało interesują niektóre stare, ale jakże świeże filozofie uchodzące w różne parantele, czasem proste ale jakże trudne do pojęcia dla naszej rozdrożonej wyobraźni egzystencjonalnej. Dzisiejszemu człowiekowi dawno umknęły takie rzeczy jak: dobro, a zatem i **praworzędność**, prawdomówność, wstyd, **szacunek**, itd. Dowiadujemy się z tego zestawienia koryfeuszy filozofii i ich myśli, że najbardziej dwaj lub trzej ludzie z wielu: **Platon, Sokrates Ateńczyk, Jezus z Nazaretu** przyczynili się do stworzenia obecnego oblicza kultury, życia szeroko pojętego tzn. obyczajowej i sakralnej myśli, która powiodła ludzi w dalsze czasy ustanawiając pewne zasady i gry w naszym wymiarze fizycznym. Sokrates wkroczył do kultury europejskiej, **jako główny architekt**, poprzez sposób jaki dociekał tajemnicy prawd, a wcześniej zaczynał i szukał jej w przyrodzie i naturze. Uznał później, że należy dociekać głównie do tego, co **jest niezmiennicze**. Chrystus dociekał do prawdy o dobru oraz czynach wspólnot i zasadach moralnych na ziemiach Bliskiego Wschodu, co później przeniknęło i udzieliło się starożytnemu Rzymowi i wywołało różne reperkusje, a mianowicie wiekowe prześladowania chrześcijan aż do czasu cesarza Konstantyna. Tak jak w Chrystusa uwierzono i uznano za mistrza, który cierpił i jakby potwierdzał swoje wizje, tak i z Sokratesem z Aten pojedyńkowano się na słowa, który głosił w Grecji. Zarówno jeden i drugi wzbudzał podziw, czasem sprzeciw. Kwestie ich myśli pozostają otwarte i budzą wiele pytań. Wiele interesujących tez postawiono i dyskutowano o sprawiedliwości - mistrzowie filozofii głosili między innymi: **co to jest cnota, odwaga i równość... Pytali czym są w rzeczy samej, czy istnieje życie po życiu... co wiemy o wieczności**. Ale, żeby sobie zdać sprawę z wartości tych zagadnień trzeba się cofnąć co najmniej o dwa pokolenia od Sokratesa do Parmenidesa z Elei. Metafizyka Parmenidesa wiedzie w myśl, która została wprawiona także w ruch przez filozofię chrześcijańską, jaką głosił także później Chrystus nie wiedząc o Parmenidesie. Wspomnijmy, że Parmenides dyskutuje ze swoim 20 letnim uczniem Platorem i Zenonem głównie w sprawie tego co ogólne, ale i o tym co jest pojedyncze. Okazuje się, że dialog młodego Platona był i jest wciąż bardzo niepokojący – Parmenides mówi co jest między prawdą a **mniemaniem śmiertelnych**, a te mniemania to jak się wydaje nie są prawdą, a jedynie zaczynkiem na myśl do dyskusji i kontemplowania... Otóż prawdą najprostsza i oczywista **jest to co jest, a nie to czego nie ma**. Parmenides mówi o tym co jest bezprzedmiotowe, np. rozum nie jest w stanie pojąć niebytu i do tego trzeba się ograniczać. Platon mówi jakby o **dziedzictwie intuicji**, stąd myśl wiodąca w mistycyzm. A ten niebył przecież gdzieś jest – lub go nie ma – rozum nasz pyta o niego z chwilą zaistnienia czegoś nagłego jak śmierć. Niepodobna też powiedzieć, **że to co jest – jest z jakiejś konieczności**,

nie możemy tego uchwycić zmysłowo, a jedynie abstrakcyjnie, dochodząc do tajemnic zawsze tworzymy... rzeczy i przedmioty... **To co jest w myśli twórczej nie może być stworzone, a jedynie dociekać, nie może to także zginąć**, może jedynie zniknąć w rzeczach następnym czynów...

Świętej Pamięci Profesor Kołakowski wracając do tych najprzedniejszych filozofów uznanych, wymienia także **Chrystusa** obdarzonego myślą mistyczną i wielką intuicją, który także mówił i nauczał o dobru, oznajmiał swoją prawdę, chcąc przenieść ją na swoich uczniów, niech rozniosą tę myśl szerzej i dalej. Czuli, że można taką wiedzą zmienić świat na lepszy. Ale mówiąc o Chrystusie, kierujemy się jedynie do źródeł ewangelistów, którzy spisali te nauki częściowo w swoich ewangeliach oraz Psalmach po 60 latach naszej ery od śmierci Mistrza. Wiele z nich zostało zniszczonych jak np. najwspanialsze ewangelie najbliższej Chrystusowi św. Magdaleny. **Ewangelie nie są zapisem historycznym**, jedynie ogłoszeniem pewnych czynów opartych o etykę jaką rządzi się prawda, która wtedy wpływała z ust Chrystusa uznawanego za Mesjasza. Pytania Platona i Sokratesa, z którymi dyskutowali młodzi, **pozostają wciąż bez odpowiedzi**, jednakże budują w nas nową otwartą myśl twórczą i logikę postrzegania świata i zachowania czystego porządku i ładu życia w dochodzeniu do sensu prawdy. O ile Platon wypracował ogólnie podwaliny pod projekt logiki myśli ludzkiej, to kolejny filozof starożytny **Arystoteles postawił jego fundamenty**, na których budowano dalszą myśl filozoficzną. Pytania o sens życia, jego cel, jednak pozostały otwarte dla następnych wielkich filozofów, których wymienię na wstępie – jedno z tych pytań brzmi: z czego i dlaczego powstało życie? Powstało z liczby, a może ze słowa wypowiedzianego w szczególny sposób, które zamieszkało w przestrzeni?

– Ta ostatnia teza, czyli **powstanie życia z liczby**, lub słowa dla współczesnych filozofów pozostaje bardzo pociągającą tezę. Jak wiemy już dziś cały kosmos oparty jest na matematyce i numerologii oraz prędkości światła... Wszystkie nowinki, ogłoszenie w nowej myśli naukowej naszej ery, zbudowane są na systemach cyfrowych, technika kwantowa niedługo nam się objawi, a pytania starych filozofów nie tylko pozostają świeże, ale wciąż są bez odpowiedzi. Okazuje się, że człowiek musi krok po kroku, dwa kroki do przodu – jeden do tyłu... spokojnie, stąpać jakby „**drogą do słońca**” ku rozwiązywaniu tajemnicy celem źródła życia.

Zatem dziś należałoby pojąć myśli i pytania: o co pytają wielcy filozofowie? Musimy sami wypowiadać własną prawdę, w oparciu o skryształizowane zasoby filozofii, wypowiadać się czynnie będąc **wciąż w drodze**. Jak mówi poeta i myśliciel Zbigniew Herbert w „**Panu Cogito**”: „**idź wyprostowany i wypowiadaj swoją prawdę... idź...**” – Natomiast pytania i odpowiedzi zwłaszcza młodego pokolenia pozostają zawsze niepokojące, czasem budzące zdumienie, ale nie rozwiązują tajemnicy ostatecznej .

ZBIGNIEW IKONA – KRESOWATY

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

STAROŚĆ W SALONIE SZTUKI

FELIETON



Felietony pisane o przedzimi 2024-25

Wyznanie „wiary” i „niewiary”

Zawsze mnie fascynowało, że Bolesław Leśmian, rejent z Hrubieszowa, a później notariusz z Zamościa - pisał wiersze. I to nie jakieś tam, grafomańskie wierszadła, a ballady które do dzisiaj zachwycają niezwykłym, rozbuchanym, modernistycznym obrazowaniem, symboliką, metaforyką i słownictwem. Gdyby uwierzyć poecie i „tekściarzowi” panu Wojciechowi Młynarskiemu – można byłoby dojść do zabawnego wniosku, że w naszym dziwacznym świecie (porównywanym przez twórców teorii spiskowych do otchłani piekielnych lub co najmniej do czyśćca) nikt nie robi tego, na co „naprawdę zasługuję”, nawet „dobry Bóg”, być może „dobry Bóg” - szczególnie. „Dostałem się do rajy bram i ktoś mi wskazał Pana Boga.” - pisze pointując swą balladę Młynarski - „I wtedy westchnął dobry Bóg, rząd długi grzechów mych sumując: Żebym ja kiedyś robić mógł na co naprawdę zasługuję! A tutaj tylko. Ach!”

Kreujemy postać Pana B. na nasz własny obraz i podobieństwo i trzeba przyznać, że kreacja ta (znana z licznych systemów religijnych, baśni, podań i przypowieści) nie wypadła dla Stwórcy korzystnie. „Kaźde wyobrażenie Boga jest nieadekwatne. Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, człowiek mu się odpaścił, tworząc Boga na swój obraz i podobieństwo.” - pisał (nie bez głębokiej ironii) na łamach „Tygodnika Powszechnego” ks. Adam Boniecki. Nic dziwnego, że Kościół (jako instytucja) dwukrotnie wydawał zakaz publicznych występów księży, oskarżając o szerzenie zamętu w umysłach wiernych, szczególnie, gdy ten ostatni wygłosił swoje credo, deklarując (z właściwą sobie przekorą) w jakim Boga nie wierzy. Piszę „z przekorą” bowiem zwykle credo to wyznanie wiary, a nie niewiary. Zatem w jakiego Boga ks. Adam Boniecki nie wierzy? „Nie wierzę w Boga, który czyha by złapać człowieka na grzechu, czy słabości. W Boga, który potępia rzeczy materialne. W Boga, który kocha cierpienie. W Boga, który zapala czerwone światło, gdy człowiek się cieszy. (...) W Boga sędziego, który feruje wyroki, trzymając kodeks karny w ręku. (...) W Boga, który wymaga by człowiek wiary przestał być ludzki. W Boga, który nigdy nie pukał nad człowiekiem.” W Boga – Artystę, w Kreatora piękna i Natury, obdarzonego pasją tworzenia i witalizmem – wierzył Bolesław Leśmian, autor słynnej ballady o Dębnie.

Na koniec moje osobiste wyznanie: doświadczałem jednak „wiary” i „niewiary”. Wiary na miarę wrażliwości poezji Bolesława Leśmiana oraz „niewiary” na miarę wyznania ks. Adama Bonieckiego. Co niewątpliwie interesujące: „wiara” i „niewiara” nie wykluczają się wzajem.

To nie my wybieramy miejsce, to raczej miejsce wybiera nas

„Jeżeli znikną mustangy – zostanie luka w planie Boga. Jesteśmy opiekunami tej ziemi.” – Michael Landon, „Autostrada do nieba”, odcinek „Dziki konie”.

Rozumiem tę myśl doskonale – rozumiem się to, co dane nam było przeżyć intensywnie, tak żeby pamiętać latami, być może do końca naszego ziemskiego pobytu. Nasze życie kruche, ulotne, tajemnicze jak poranna mgiełka, jak życie zwierząt, nade wszystko tych „dzikich”. Miałam chyba lat siedem, czy osiem, kiedy doświadczyłam osobistego spotkania ze spłoszoną, gnającą przez porośnięte wzrosem, leśne ostępy – sarną. Zapewne było ich więcej, zwierzęta trzymają się stada, ta jednak zdawała się pędzić na oślep, na stracenie. Siedziałam skulona pod sporym pagórkiem, szukając białego wzrosu, który trafia się rzadko i wabi tajemną urodą. Słyszałam trzask łamanych gałęzi, dalekie dudnienie pociągu, tętent kopyt, poczułam tylko pęd powietrza nad głową i oto przeskoczyła mnie sarna. Słyszałam jeszcze krzyk mamy i nagle nastąpiła cisza. Sierpniowe słońce świeciło blade, między wysokimi sosnami układały się smugi zamglonego o świcie światła. Stado spotkało się w dole. Widziałam jeszcze jak „moja” sarna powoli podchodzi do innych, jak pochyliła się z gracją by skubać przejrzałe źdźbła trawy. „Przeskoczyła cię sarna. Musnęła kopytami twe włosy.” - Mama przytuliła mnie mocno. - „To chyba jednak na szczęście. Takie rzeczy nie dzieją się co dzień.”

Ostatnio prowadzę niekończące się rozmowy z tymi, co to już z dawna nieobecni, w miejscu w którym przyszło mi żyć. Miejsca takich się nie wybiera świadomie – to raczej one wybierają nas, zaprzatając nasze myśli, absorbując uczucia, pochłaniając bez reszty uwagę.

Czy rzeczywiście „bez reszty”? Owa „reszta” okazuje się wielce istotna – to ciągle jeszcze (często nader szeroki) margines niedopowiedzeń, intuicyjnie dotykanych tematów i zdarzeń. Jako starsza pani, pani „już spakowana”, która nie była „tam” nawet turystycznie (jak mawiała moja mama po doświadczeniu śmierci klinicznej) - próbuję posklejać siebie z okolicznych, utamków zapisanych w pamięci scen. Zanim zamieszkałam w Pile, ponad piętnaście lat temu – przemierzałam szlak kolejowy łączący Trójmiasto ze stolicą północnej Wielkopolski i dalej przez Wątcz ku niewielkiej wsi w pobliżu Tuczna, o wdzięcznej nazwie Biały Zdrój.

Stacja, a właściwie stacyjka ze składowiskiem pachnącego w upale smolnego drewna oddalona była od wsi o dobre półtora kilometra, i żeby dojść do pierwszych zabudowań trzeba było podążyć drogą wybijaną „kocimi łbami” wzdłuż płytkiego wąwozu, obsadzonego wiekowymi drzewami zdziczałych jabłoni i mirabelek. Po lewej stronie, spoglądając ku wiosce widzieliśmy przejazd kolejowy i szeroką, piaszczystą drogę, prowadzącą ku leśniczówce Oporowo, ku staremu, budowanemu jeszcze „za Niemca” domostwu, gdzie przez kilka lat z rzędu spędzaliśmy „w guszy” wakacje. Mama malowała pejzaże, jej mąż łowił ryby, a ja wyobrażałam sobie, że to miejsce pochłonie nas zupełnie, że nigdy już nie dane mi będzie powrócić do ukochanego Sopotu. Ta myśl, rzucona tak sobie, „na wiatr” speł-

nia się teraz! Żyję samotnie w Pile i wiem, że jest to ostatni przystanek, miejsce dotykane wielokrotnie w przeczuciach, snach i widziadłach. Mam jednak nadzieję (kto ma nadzieję – ten się nadzieje), tę samą o której pisał Czesław Miłosz w swym na poły nostalgicznym, na poły filozoficznym wierszu, z cyklu „Poema naiwne”.

Dwa spotkania czyli „nieprzypadkowe przypadki”

„Wiedza o świecie rozsiana jest równomiernie na całej planecie. Wystarczy poznać Kaszuby, żeby ją zgłębić.” Zdanie to, wypowiedziane o tak, mimochodem przez skompromitowanego uniwersyteckiego profesora, skompromitowanego z racji swych „marksistowskich” przekonań, zatem zdanie to wygłoszone jeszcze w latach siedemdziesiątych minionego stulecia – pozostało ze mną na zawsze. Profesor, zafascynowany średniowieczem, rzetelny badacz misji Wojciecha do Prus, o aparycji Pana Kleksa, zwracający uwagę swym wyglądem na sopockiej plaży, gdzie latem, na drewnianych pomostach grywało się w brydża – budził uzasadniony strach na całej humanistyce.

Miał jednak swoje słabości i mógł godzinami wygłaszać tyrady, na temat teatralizacji obrzędu kata lub opowiadać o tym, jak „złe” wodzi po bagnach, jak wyglądają stare drzewa w pobliżu miejsc „pogańskiego kultu”, jakimi tajemnymi „znakami” w kaszubskim, pagórkowatym krajobrazie zapisały się sabaty czarownic i słynne „góry wisielców”. Patrzyliśmy na świat Jego oczami, szukaliśmy ogników na podmokłych łąkach i uroczyskach, uniwersalnej prawdy zapisanej w pejzażu i w gwiazdach.

Bywa, że spotykamy kogoś na błysk spojrzenia, na chwilę rozmowy, na mgnienie. Wiemy, że te spotkania są ważne i wiedza ta nas raczej nie myli! Bywa, że są to spotkania z ludźmi, których twarze nie dane nam nawet zapamiętać. Przed ponad ośmioma laty zdarzyło mi się coś tak dziwnego, że mogłabym to nazwać „dotknięciem innego świata”. Oto zanim pojawiła się wilczyca Bemola, mieliśmy tutaj w Pile przedziwnego psa, chłopaka imieniem Bemol. Bemol był skundloną odmianą Husky’ego i było mu równie daleko do rodowodowego „rasowca” jak mojej Bemoli do wilka. Jeździłam wówczas na seminarium doktoranckie na Gdańskim Uniwersytecie, pewnego razu przed samym wyjazdem, po kolejnej wizycie u weterynarza – Bemol został uśpiony, miał raka z przerzutami, niewiele dało się zrobić. Pies cierpiał straszliwie i w końcu humanitarny weterynarz (ten sam, który pomógł odejść ostatnio Bemolce – ukrócił jego meki).

Po wieczornych zajęciach jechałam z Oliwy linią autobusu 117, do mamy by przespać noc. Szarość nieba, owa jesieńna mżawka, dywany butwiejących liści – wszystko to pogłębiało mą rozpacz. Na którymś przystanku (do pustego już niemal autobusu) wsiadła jakaś elegancka pani i uporczywie szukała mojego spojrzenia. Zagadana nieśmiało, mówiąc że mój czarny kapelus (malowniczo powyginany) doskonale harmonizuje z resztą. W końcu padło pyta-

nie: „Dlaczego pani taka smutna? Smutek nie pasuje do kapelusza.” Powiedziałam, że właśnie straciłam przyjaciela, że teraz w domu będzie rozpaczliwie pusto i nikt już nie powita mnie radosnym ujadaniem. Pani spojrzała mi głęboko w oczy: „Bemol nie życzyłby sobie pani też, nie chciał pani cierpienia, rozpacz. Teraz będzie czekał na panią tam w górze, radosny, piękny i zdrowy.”

Łzy przystaniały mi wszystko, gdy nerwowo szukałam chusteczki. Na najbliższym przystanku – nieznamąca pani zniknęła. Tak jakby rozpuściła się w deszczu i w szybko zapadającym mroku. Poczułam że miałam spotkanie z Duchem, życzliwym, serdecznym, niezwykle dystyngowanym. W kilka dni później, po powrocie do Piły – adoptowałam Bemolkę i świat rozbił się na nowo wszystkimi barwami jesieni.

Pochwała „kiczu” czyli czułość poetyckiego obrazowania – słów kilka o „Autostradzie do nieba” Michaela Landona.

Pod wpływem Poezji (pisanej wielką literą) powstaje „poezja”. Studiując myśli, analizując doznania poetów czasów minionych – uczymy się rytmu frazy, oswajamy melodię słowa, malujemy nowe obrazy na (nie drażniętym jeszcze, dziewiczym) ekranie wyobraźni. Poetą światowego kina był scenarzysta, reżyser, producent i aktor – Michael Landon twórca wyjątkowego serialu „Autostrada do nieba” („The Highway to Heaven”).

Nie doceniony w pełni przez krytykę, która uważała serial za zbyt „sentymentalny i moralizatorski”, niezależnie od częstych „przebłysków” humoru – filmy z tego cyklu dawały ludziom nadzieję, wzruszały, uczyły tolerancji i piękna. Niestety „Autostrada do nieba” została „na siłę” przypisana filozofii Kościółka, wbrew intencjom realizatorów.

Wydaje się jednak, że Bóg z serialu, nazywany żartobliwie „szefem” – nie okazywał się Bogiem „upostaciowionym” i nie powinien był! W efekcie, gdyby tak się stało – odebrano by widzom szansę na wielość możliwych odczytań i interpretacji, odebrano by zdolność samodzielnego myślenia. Serial doczekał się kilku recenzji w języku polskim, wśród których na plan pierwszy wysuwa się skromny felieton, napisany ze znanostwem przez kogoś, kto przybrał pseudonim „Wielki ted”. Autor tekstu, publikowanego na stronie „Film Web” nadał swojej wypowiedzi znaczący tytuł – postrzegając on bowiem serial jako „szkołę człowieczeństwa” i nie sposób odmówić mu racji! Zwrócić uwagę także na pewną Tajemnicę „nieprzypadkowych przypadków”, które przydarzały się w życiu prywatnym aktorom i realizatorom, na „mistycyzm”, z którym można by dyskutować, kierując się „tylko” racjonalizmem lub „tylko” emocjami. Żyjemy jednak „pomiędzy”, pod czułym okiem Boga: Boga – poety dla poetów, artysty – dla artystów, kochającego dla tych, którzy darzą miłością, którzy kochać potrafią i pragną.

Ostatnio czytam „poezję” (jakkolwiek szeroko by ten termin rozumieć!) poważnie, z namysłem i z pasją. Jedno nie wyklucza drugiego! Emocje nie usypiają intelektu. Nie eliminują potrzeby refleksji i przemyśleń – zmieniają widzenie świata. Świata niedostępnego zmysłom, świata wyobraźni, dotkniętego intuicyjnie, przeczuciem, „na bysk”.

Na koniec tych (jakże nostalgicznych i lirycznych rozważań) myśli Michaela Landona, publikowanych na anglojęzycznym portalu:

- „Ktoś powinien powiedzieć nam na początku naszego życia, że jesteśmy

śmiertelni. Wtedy korzystalibyśmy z życia w każdej minucie, każdego dnia. Róbcie to! Mówię! Cokolwiek pragniecie zrobić – róbcie to teraz. Zbyt często powtarzamy słowo „jutro”.

Kochajcie ludzi marzenia, kochajcie do jasnej cholery!

Człowiek, który zapomina o swoich marzeniach, człowiek odbierający sobie prawo do „snów na jawie” – zamyka się w skorupie samotności i milczenia, staje się zgorzkniały, gubi sens. Dobrze zapamiętałam moment, w którym już jako absolwentka uniwersytetu – wracałam z Gdańska do Sopotu, autobusem „pośpiesznym”, nie istniejącej już „od wieków” linii 101. W radio „leciała” piosenka zespołu „Parifita”, dziewczęta powtarzały refren: „Nad ziemią tuż, tuż tańczą marzyciele, a muzyczka im się śni”. Wracałam w euforii, złożyłam tego dnia tekę prac na PWSSP (nie było jeszcze Akademii), przekonana, że „ja po prostu niestety mam talent”. Nie miałam! Egzamin praktyczny z rysunku oblałam koncertowo (muzyka jeszcze mi grała!). Z kompozycją malarską było podobnie. Pamiętam tylko jak zestawiałam błękity, fioleto i szarości, pokrywając brak umiejętności kolorem. Łaskawy Los nie odstąpił przede mną przyszłości, w sercu jeszcze „tańczyli marzyciele”, gdy stanęłam przed tablicą ogłoszeń. Miałam osiemnaście punktów, o dwa za mało by przejść do egzaminów z historii sztuki i dostać się na upragniony kierunek.

Była pierwsza połowa lat siedemdziesiątych minionego stulecia. Konfrontacja marzeń z rzeczywistością okazała się brutalna. Tak bywa! Doświadczenie stało się jednak cenne – zostałam nie „tylko” belfrem, ale i krytykiem sztuki. W początkach lat osiemdziesiątych wyobrażałam sobie, że Sopot to miasto genialnych artystów, że czas się cofnął, zatrzymał, a ja spaceruję po paryskim bruku, tym którym podążył Charles Aznavour, śpiewając „La Bohème”. Kariera literacka stała przede mną otworem! Rano uczyłam polskiego i angielskiego, popołudniami chadzałam dumnie na wernisaże do miejscowego BWA, z notatnikiem w dłoni i „sercem w gardle”. Niekiedy (zauroczona wyśnioną atmosferą) wdrapywałam się wzruszona, niemal „bez tchu” po wysokich, drewnianych schodach klubu artystów by posłuchać „wspaniałych dyskusji o sztuce”. Sztuce przez wielkie „S”. Jakież było moje rozczarowanie, gdy (po kilku zmarnowanych wieczorach) zrozumiałam, że oddaję się swym pasjom malarze omijając klub wielkim łukiem, spędzając noce i dni przed sztalugą i zaglądając do owej „Mekki niespełnionych artystów” tylko nad ranem, zmęczeni, na skromną kolację i drinka.

W klubie przesiadywali klasyczni Outsiderzy i tym razem niespełnione marzenie – zaowocowało cyklem felietonów, publikowanych na łamach „Tygodnika Sopot”, cyklem którym rozpoczęłam wieloletnią współpracę z szanowanym wówczas w kraju periodykiem. Wyobrażałam sobie, polatując na skrzydłach marzenia, że wydam niezwykłą książkę, poświęconą sopockim outsiderom. Nie wydałam! Musiałabym czekać, a byłam niecierpliwa! Marzenie to jednak pomogło mi w inny, zaskakujący sposób. Pragnęłam podzielić się z kimś swoimi przemyśleniami, opowiedzieć o tym, co przeżyłam, uczynić to „tu i teraz”, natychmiast! Zaczęłam uczyć z pasją, prowadząc „swą młodzież” do muzeów i galerii sztuki, zachęcając do pisania recenzji, robienia wywiadów i podejmowania samodzielnego poszukiwań. Czasami swoje felietony rozpoczynałam cytowaniem

ich myśli, oczywiście z podaniem źródła. A „źródłem” stała się wspólna radość życia, wiara w urodę tajemniczych, wyśnionych światów, światów nieskrępowanej wyobraźni. Na koniec (jeszcze nie koniec?) dość prosta, zwyczajna puenta: Kochajcie ludzi marzenie, marzenie przyjaciół wasz szczerzy, Kochajcie ludzi marzenia, kochajcie do jasnej cholery!

Poranne rozważania przy papierosie i kawie.

Nie jestem dobrym psychologiem. Nie jestem psychologiem w ogóle, że o znajomości psychiki mojej kotki nie wspomnę! Misia, niezależna i dumna – wysoko trzyma swój zielonooki, przegowany łeb. Spogląda na mnie z perspektywy najwyższej szafy w mieszkaniu, pełnej czekających niecierpliwie tomików poezji i opastych, wylegujących się wygodnie tomów prozy. Misia – zagadka egzystencjalna, z którą próbuję się zmagać. Wyzwanie nader ambitne! Jak podaje się w uczonych księgach – efektem ubocznym miłości do kota okazuje się głęboka motywacja do życia. Co z życia „efektem ubocznym”? Milczenie. Konsekwentne i nieodwołalne, milczenie jakże wymowne. Wymowne milczenie mówi. Ciśsza podobno krzyczy. Nasza skłonność do personifikacji tworzy wygodne iluzje. Trwamy zatem w iluzji, napompowani samozadowoleniem, nasyceni bez miary. A wokół beznamiętny Wszechświat. Podobno także gwiazdozbiór Felis, historyczny (wymyślony dla żartu) gwiazdozbiór kota. Perspektywa małego miasteczka, w którym przyszło mi żyć – zdaje się zmieniać wszystko. Żeby lepiej ją zgłębić – zaczytuję się w dziewiętnastowiecznych powieściach. U Stendhala i Balzaca kompleks małego miasteczka prowadzi bohaterów do depresji i ostatecznej zguby. Życie na prowincji nadaje piętno wielkości temu, co (z perspektywy stolicy) okazuje się małe, ułomne jak gra słabego aktora, co to halabardę w drżącej, spoconej dłoni zwykły był za szczerem, naiwnym pietyzmem i oddaniem (przez cały spektakl i dłużej) uważnie trzymać. Kobiety w większości tekstów egzaltowane, przywiązane do gry pozorów i blichtru, popadające raz w romantyczne uniesienia, kiedy indziej w dewocję, wierne bardziej, niż młodym kochankom wyobrażeniom grzechu, występku, pokuty. Perspektywa małego miasteczka uczy ekstremalnych uczuć. Sprawy drobne, nieważne nabierają nagle znaczenia. Liczą się niespodziewanie detale, podczas gdy całość ewidentnie umyka. To trochę jak ze starością: życie zaczyna się toczyć w zwolnionym tempie, znaczą gesty, spojrzenia, centrum Wszechświata przesuwa się absurdalnie i w centrum dumnie staje przygniatający z ulicy kot, naznaczony bezdomnością pies lub jakaś inna istota, obdarzona iskierkami życia. Perspektywa małego miasteczka zdaje się zmieniać wszystko! Perspektywa nieuchronnej starości zapewne więcej, niż „wszystko”. Żyję zatem w miasteczku. Niestety nie jest to lukrowane, wyśnione miasteczko, o owych gotyckich wieżach i łukowatych bramach, o oświetlonych różem, fioletem i złotem zaułkach, znane z malarstwa mistrza Nikiфора. Nie jest to nawet miasteczko pędzla Dwurnika, w którym (pokazywane z góry) koty i psy przechadzają się dumnie po naznaczonych błękitnym konturem ulicach, zaułkach, podwórzach. Co prawda Dwurnik garściami czerpał z Nikiфора. Ja czerpię garściami z literatury. Efekty raczej mizerne. Inaczej, niż u Dwurnika – garściami dziurawe jak sito.

MAŁGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA)

Tamara Bóldak –
Janowska

KRÓTKIE DIALOGI POŁOŻNICZE TAMARY BEJOT I TOLA SZA

PROZA

Do mnie zresztą zawsze sztuka przemawia silniej, gdy objawia się w sposób niedoskonały, przypadkowy i fragmentaryczny, niejako sygnalizując mi jedynie swoją obecność, pozwalając przeczuć siebie poza nieudolnością interpretacji. Wolę Szopena, dolatującego przez okno, z ulicy, niż Szopena ze wszystkimi szykanami na estradowej estradzie. Gombrowicz. Dziennik

Limbo

Co to jest otchtań? O limbo
BeJot: Właściwie co to jest otchtań? Słowo mało używane przez myślicieli, a jeśli już to jako synonim nieskończoności lub chaosu, stanu limbo. Właśnie, co to jest otchtań? Powiem ci coś wstępnie. Katarzyna Lidia Witkowska pisze o otchtań w rozprawie pt. „Zło jako pierwotna otchtań w świecie i w człowieku – Boehme i Schelling”. Boehme uważał, że otchtań to głębia ciemności – prapodstawa bytu, i co więcej – sama Natura jest takim złem. Wszystko w niej to sama krwiożercza przemoc jako system, bez rozważania, co to jest dobro, a co to jest zło, czyli jest to zło w stanie nieaktywnym jako zamiar, ale jest, i dzieje się ciągle na nowo (jest to podobne do tupotania w miejscu: tak dzieje się krok). A w człowieku otchtań to jama. W czasie medytacji człowiek widzi własne oczy, bardzo głębokie, ale po za nie wyjrzeć nie może. Czasem widzi własną twarz, lśniąco, lecz płaską, i nie wjedzie przez nią swoją rzeczywistą twarzą, a za nią ciałem hen, przed siebie, w coś cudnego, w samo światło, w jednoznaczne Dobro. Tymczasem to jama i nic ponadto. Niby głębia, a wcale nie głębia. Niby świetlistość, a wcale nie świetlistość. Tylko czarna jama.

U Nietzschego ty patrzysz w otchtań, a otchtań w ciebie. Czyli patrzysz sobą w siebie.

Boehme był mistykiem, doświadczał widzenia się z sobą, ze swymi oczami, ze swoją twarzą. Czuł, że wewnątrz ma czarną jamę, choć widzi oczy i twarz (w każdym kierunku), że sam jest czarną jamą z ciała i umysłu, czyli podwójną, to znaczy jamą w jamie. Stanów mistycznych nie można udowodnić, można je tylko opisać. Do dziś nikt nie obalił tego, co opisywał Boehme. Jesteśmy budowani na otchtań, wewnątrz i zewnątrz. Otchtań jest stanem poza wolą, poza dobrem i złem, poza leksyką, która ją opisze dokładnie. Człowiek chętnie opisuje stany pospolite, jakieś drobne uciechy, które – długo omawiane, zarechotane, zbyt często z pouczeniami i lekcjami, zastaniają otchtań – ona zostaje zagadana byle czym. Poza pospolitością jest filozofia: wznoszenie się i opadanie, kapitulacja, ale zarazem budowanie wątków rozumnych. Poza pospolitością jest także poezja, jeśli nie stawia na stany pospolite, odczucia pospolite, jeśli nie traci leksykality. Jeśli traci leksykality, staje się

paplaniem pospolitym, o pieskach, kotkach i dobrych miśkach. Natura jest pełna zła jako zasady – jej aktywność przeraża. Z drapieżnych zwierząt nie zrobimy dobrych laleczek. Biblia nakazuje: Czyńcie ziemię poddaną. To nie jest zaproszenie do eksploatacji i niszczenia planety!!! Wierzysz w dobrego miśka, to wierzysz w dziecinne bajeczki. Jeśli nie będziesz panować nad ziemią, człowieku, to cię nawet wszy zjedzą, tak się mnożąc, że aż stworzą krwiożerczą antyludzką górę. Zło Natury jest w Bogu, bo bez zła Natury Bóg nie może się przejawiać, bo żeby ujrzeć światło, albo je emanować, potrzeba ciemności. Bez ciemności nie przejawia się jasność. Tak uważał mistyk Boehme. Trzeźwy stosunek do zwierząt (są wśród nich i ludojady) nie jest zaproszeniem do ich niszczenia, gnębienia, zabierania im ich własności – wód, lasów i puszczy.

A według Schellinga to wyłącznie z woli człowieka pojawia się zło. W podstawie bycia/bytu jest Dobro, czyli Bóg. W Bogu nie może być zła ani złego pragnienia. Bo nie łączy on przeciwieństw, bo zniósłby się. No tak, ale to wtedy, kiedy biel i czern, ciemność i jasność, dobro i zło – byłyby sobie równe. Boehme mówi o niewspółmierności tego i tamtego u Boga, wtedy on się nie znosi. Schelling uznaje człowieka za zło, tkwiące uporczywie w Bogu, choć Bóg się otrząsa i wychodzi coś takiego, że ludzkie zło równe jest boskiemu dobru i statemu otrząsaniu się Boga z ludzkiego zła – i tu nie rozumiem Schellinga. To się znosi, czy się nie znosi Bóg, mając po równo dobra i zła w sobie? Uznajmy, że stałe otrząsanie się Boga z ludzkiego zła jest takie, jak chciał Boehme: niewspółmierne. Według Schellinga ze wszystkich istot na całej ziemi jedynie człowiek zdolny jest do rozpatrywania, co to jest dobro i co to jest zło. Jedynie człowiek zdolny jest do wolności i do mówienia o wolności. A Husserl twierdzi, że do bycia człowieka należy wartościowanie i chcenie. W zwierzęciu, które zabija, nie ma chcenia zabijania, ani też zwierzę niczego nie wartościuje.

Ludzka umiejętność poezjowania polega na wskazaniu: patrz tędy, którędy ja patrzę, a nie na definiowaniu otchtań.

O takiej mocy poezji mówi Hanna Ratuszna w szkicu pt. „Z otchtań w otchtań – kilka uwag o nieskończoności w poezji Bolesława Leśmiana i Rainera Marii Rilkego”. Te Świdrygi i Midrygi u Leśmiana są wskazaniem: patrzcie i zobaczcie, co ja widzę i opisuję.

„Kiedy wznoszę do lasu znój mego żywota

i twarz tak niepodobną, do tego, co leśne, widzę otchtań”.

Wielka poezja tak wciągająco opisuje rzecz, że kiedy poeta umiera, to go szkoda aż do stanu rozpacz, i jego poezja ulega ocaleniu – cytuje się ją, przekazuje dzieciom, i wciąż na nowo publikuje. Tak było do czasów IV Rzeszy Popkultury, stawiającej na dętą autokrację i książkę

jednego tygodnia czy roku. Boehme pisał tak, że jego słowo żyje i żyje.

Coś śmiesznego wtrąca. Pamiętasz, jak R. kupił miód z napisem „Sztuczny”, bo myślał, że słowo „sztuczny” pochodzi od „sztuki”, a więc produkt jest prawdziwy, najprawdziwszy, a tu na języku ma smak samej chemii? Za bardzo wierzył, że rozumie język polski. No i następnie nie mógł się pogodzić z tym, że wszelkie nalepki, rysunki i napisy na sztucznym miodzie są identyczne, jak na prawdziwym, i nawet lata po stoiku taka sama śliczna pszczoła. Czuł się podstępnie oszukany. Według niego to jest nie do pomyślenia w Niemczech. Nie mógł się z takim podstępem pogodzić – nie mógł się uspokoić. Ale do tematu.

Kiedy Rilke mówi, że po śmierci znajdzie się w ogniu, i będzie płonął bez końca, i już nikt go nie pozna, to się chce płakać.

Im większa poezja, im ponętniej opisuje mknącą rzecz, a każda rzecz mknie, tym bardziej wyraziście objawia się otchtań. Tak było.

W Kronosie 41 w szkicu pt. „Rosyjska otchtań” jest cytata z Maryny Cwietajewej, a mowa o wyobrażeniu, o zmyśleniu, o tym, że literatura, która przecież wyobraża, zmyśla, odciąga od przerażenia się otchtańią, a jeśli uprawia się poezję, to żyje się przez nią: „Morze jest tutaj i zobacz je jutro. Tutaj i jutro. Takiej pełni posiadania i takiego spokoju posiadania nie zaznałam już nigdy potem. Morze było na moją miarę. Morze jakby tutaj, ale nie wiem, gdzie, a że go nie widzę – jest wszędzie, nie ma miejsca, gdzie by go nie było. Był to najwspanialszy przeddzień w moim życiu, morze jest tutaj i tu go nie ma”. Cytat opowiada o sile wyobrażenia, ale sam w sobie jest dwuznaczny: morze to spokój, piękno, a zarazem otchtań. Otchtań jest wszędzie. Siła wyobraźni umieszcza w tym „wszędzie” coś, co uspokoi chociaż na chwilę. No więc otchtań możemy zastąpić wyobrażeniem – miłym, ciągnącym w stronę życia i spokoju. Niespokojne życie to nie życie, to stała męka.

Tolo: Zagadałaś, oswoiłaś pozory i utudę, ukazałaś otchtań obłaskawioną, a i tak przy tym słowie poczułem się małutki – pyłek pozostał pyłkiem, jakby go nie było. DUSZA? Bezbronna, bezradna i bez ciała. Niedoświadczona jak u Rilkego w słynnym wierszu „Dusza w przestworzach”. Dusza w pierwszej chwili po śmierci nie wie, czy się ośmieli, czy się odważy, i nie umie odwzajemniać nowych uścisków. Zapomniała, że umie się wzniesić? Umie! Wznosi się! Najbardziej porusza przekład Adama Pomorskiego, bo nie miodość romantycznie, rzewnie, tylko mówi trzeźwo, mocno chodząc, jak Rilke, nogami po ziemi, czując życie/bycie i śmierć/śmierć.

Po otchtań ludzką i nieludzką sięgnął A. Płatonow w powieści „Dół”. To tym, jak prymitywny człowiek, aktywista, budował

komunizm. Zaczął od chaosu umyślnego. Gorączka kolektywizacji. Wszyscy od tej gorączki popadli w chroniczną bezsenność aż do fizycznego wyczerpania, bo wszelki rozum przedtem wyłączyli – pozostał amok budowy nowego. Masowa śmierć z przepracowania, głupia, bezsensowna. Pracować, pracować dla rajy na ziemi. Porażający jest język Płatonowa – to zbiłka słownika ideologii, amoku, aż do bólu szczerzej fascynacji rajem na ziemi, możliwością jego zorganizowania i dobijającym się do językowej uwagi rozumem – i znowu mamy doskonałe tłumaczenie Adama Pomorskiego – sprawne wyczucie w polszczyźnie tej językowej zbiłki – jakże kongenialnie. Płatonow opisał otchłan porewolucyjną. Wyłączenie rozumu natychmiast umożliwia panowanie otchłani, która wcieka w człowieka, w jego umysł, w jego sprawy. Myśl zostaje zastąpiona przez zakute i zakuwane hasła. To ta sytuacja, kiedy dzieje się nie człowiek, a system. I człowiek pilnuje człowieka, żeby ten nie myślał, nie wątpił, nie podejrzewał, nie śmiał zadawać pytań, nie krzyczał, że taki raj to piekło. Musi trwać budowa rajy, bez jedzenia, bez spania, bez żadnego odpoczynku. Kto padnie, ten padnie, stary czy młody. Ta otchłan wsysa człowieka jako masę, pieścizotliwie i przymusowo zwaną kolektywem. Straszna książka o strasznym systemie, który autor na końcu uśmierca w postaci dziewczynki, czyli najmłodszego pokolenia, pochodzącego z arystokracji. A matka musiała wcześniej osierocić córkę – musiała, i już, bo to arystokracja, wróg ludu, trzeba zamęczyć, usunąć ze społeczeństwa towarzyszy. To lektura konieczna. Do dziś krzyczy przeciw budowaniu rajy/piekła na ziemi. Nikt poza Płatonowem nie opisał tej nieludzkiej sprawy tak chłodno, wręcz lodowato, a tak przenikliwie/żarliwie.

BeJot: Powiem coś mniej strasznego. Myślę: a cóż to za taki mały odkurzacz na ulicy? Ktoś odkurza chodnik? A to mały pies ciągnie pana, i napięta smycz zdaje się ramieniem odkurzacza. Ciemny piesek, ciemny odkurzacz, mały i ciemno ubrany panek. No widzisz. Lubimy opisywać rzecz. Też lubię. Możemy opisać wciągająco i byle jak, nudno. Żeby nie tak, że człowiek nudzi się sam sobą, swymi opisanymi rzeczy.

Rzecz pędzi, nawet stojąc. Stoi, pędząc, pęka. Lśniła, a jest czarna. Niechcący strącasz wazon i rozbijasz. Wyrzucasz rzecz, bo się znudziła. Nieużywany instrument rozlatuje się, bledną ozdoby, masa pertowa staje się czarna i spękana. W książce wysycha klej, tleją nitki, i wylatują strony. Już ci się nie chce zbierać, zsywać, sklejać. W zabytkową księgę jeziorami wpełza pleśń, strony płyną. Księga kochana, ale dawno nieotwierana.

Rzecz to jama. Kwiat to jama. Jaźń to jama. Wilk to jama. Jama napada na jamę. Postacie na ikonie są zanurzone w złoto. Złoto to obrys. Ikoną powoduje pytanie: a co jest za obrysem? Co obrysuje wuję łoś? Religie mówią: to Tajemnica.

Niemal widzę, że człowiek to jama wraz z jamą jaźni – taka jamka z jamą u góry. Jama znajduje się na otchłani, zawiera łącznik z nią. Jama przypomina wybuch. Wybuchają kwiaty. Wybuchają ludzie. Myśl ludzka wybucha. Otchłan jest wszędzie i dopełnia się tymi wybuchami.

Otchłan można zastąpić sur-filozoficznym śmiechem, groteską, absurdem.

Cytat z teatrzoku Mirona Białoszewskiego: „Absalom zrodził Natana, a Natana zrodził Pantalona”...

Tolo: No tak. Ci biblijni mężczyźni ciągle

kogoś zradzali i zradzali. A tu Pantaloni im się nagle zrodził. Śmiejemy się i otchłan odstępnie od nas. Ustępuje przed serdecznym śmiechem.

BeJot: Śmiech zastania otchłan. I co więcej – nie ma w nim łącznika z otchłaniami. Śmiech podskakuje sobie lekko – do tego i od tego, co go wywołało, i znowu podskakuje, do tego i od tego. Oczywiście w pewnej chwili urywa się, nawet zamiera.

W poezji czasem oczy coś widzą tak niebanalnie, że obraz nie ma łącznika z otchłaniami. Twój wiersz pt. „Oczy”:

Znowu. Kasztany w łufki z kryzą.
Ścisła korona każdej gwiazdy
lśni jak muchy nad łajnem.
Wiosna strzela i pada, nie dymiąc,
chyba że z topoli puszystą zaciera.
Z zakrzuszonej kasztanów
wykasze kolczaste granaty,
do których można podejść, pobierać,
włożyć do kieszeni bez złego zamiaru,
a wymijać bez trwogi,
Ty patrzysz i one patrzą, gdy
zielony jeź z nich spełźnie
i wyzwoli piwne oko. Ty
patrzysz jak człowiek,
one jak z pieczętki,
lecz w tym styku twoje i tamte to oczy niczyje.
Ziemiście.
Końcówka twego powyższego wiersza jest
jednak gorzka. I jeszcze jeden dawny twój
wiersz pt. „Pytanie do słowa”, z cyklu „Istota”,
stanowiący nieustające nasze wspólne pytanie:
Czy jest gdzieś takie miejsce,
gdzie można by do woli
biegać z zamkniętymi oczami?
Nie z zawiązanymi.
Nie pytam o to nocy ani wiecznej nocy.
Ani lasu ani skał.
Pytam utwór literacki. Czyjś wiersz.
Czy mogę, Panie Utworze,
czy mogę, Pani Utwór,
zamknąć w tobie oczy i pędzić przed siebie
w czytaniu, w przypominaniu
myśli, frazy,
i mieć coraz więcej przestrzeni?

Przyszło mi do głowy coś okropnego. Coraz częściej dziś mówi się, że człowiek to zwierzę. Tak? Jeśli uznamy człowieka za zwierzę, to dlaczego nie uznamy, że w ludziach zabijają różne gatunki? Wszak w przyrodzie gatunek walczy z innym gatunkiem, gatunek pożera inny gatunek, a wewnątrz gatunku tego nie ma. U ludzi też? Jeśli człowiek to zwierzę, muszą być różne gatunki człowieka – ale ze względu na jamę umysłu, a nie wygląd fizyczny. Gdyby człowiek to był jeden gatunek, to nie byłoby w nim śmiertelnych wrogów, rzezi, czystek etnicznych, nożowników, seryjnych zabójców, i tak dalej. Nie byłoby wewnątrz gatunku walki na śmierć i życie, i śmiertelnych wrogów. Umysł ludzki to jest gatunek i inny gatunek? Czy może jest umysł normalny i umysł chory? Chory umysł, psychopata, to jest ten drugi gatunek? Nie tak. Obie strony śmiertelnych wrogów u ludzi mają swoich psychopatów. Pokojowy człowiek to jest jeden gatunek,

a prowijenny człowiek to drugi gatunek? Przeróżająco pytam, ale fakt, że gatunek pożera gatunek, że gatunek nienawidzi swoich bliźnich, zabija całe narody, torturuje, zamyka w obozach zagłady, zmusza mnie do takiego pytania. Niektóre papugi zabijają starsze potomstwo, to samo sroki, czy niedźwiedzie brunatne, ale nie jest to niszczeniem swego gatunku. To taka aborcja w przyrodzie. U ludzi są ludzie i obcy.

Tolo: Temat ten podjął w „Traktacie o samotności” – we fragmencie pt. „Obcy! Opowiem ci go”, zaczynającym się od dwukropka, a mowa o Chrystusie:

i on się wysoko oddala.
Do naszej ciasnej stratosfery:
hurtowni interpretacji.
I spada w głupie objęcia bokserów.
I nie wstanie
spomiędzy tych dwóch.
Obcych.
Owinięty w sztandar ziemi.
Obcy.
A ja ci powiem, że obcy to ten, który,
jak to wyrazić, ten który strzela
w nieumocowanych,
którym i tak dzień znika
jak widok w czasie podróży.

Śmierć

Śmierć. Straszność kenozy
BeJot: Strach zacząć o śmierci? Nie. Jej samej strach. Śmierć obywa się bez słowa. Ona nie mówi. Unieważnia każde słowo, ale w znaczeniu osobistym: oto ja już więcej siebie nie usłyszę. Czyjeś słowa żyją i żyją, już poza osobą, z pamiętaniem osoby. Zacznę Rilke'em w tłumaczeniu Adama Pomorskiego:

To jest śmierć, wywar niebieskawej, cienki,
w samej bez spodka filizance.
Dziwne to miejsce jak na filizankę:
stoi na grzbiecie odwróconej ręki.(...)
Spróbuj pa naszamu,
zachawaj rytm i wobraz:
„Heta śmierć, adwar siniawaty, dobro ni husty,
ű samotnym biez talerki kubaczku.
Dziwioznaje miesco jak na kubaczku:
jon stajic na pleczech adwiornutaj ruki. (...)

Skoro ostatnio omawiamy trudne tematy, spychane lub szczerze zaplany, no to weźmy i śmierć. Przypomnę: Simone de Beauvoir skwitowała rozprawę o śmierci kilkoma słowami: „Każda śmierć jest niewybaczalną zbrodnią”. Według niej nieważne, że głosimy swoją zgodę na śmierć. Tak zwane pogodzenie się ze śmiercią to nieszczerłość. Chyba że będzie to zgoda Sokratesa, ale on zgodził się na wyrok śmierci, bo uznał system prawny państwa za ważniejszą sprawę, niż osobista niezgoda na śmierć jako taką. System kenozy jest zbrodnią. Świadomość śmiertelności jest zbrodnią.

Starzy – wczoraj młodzi. Czy dożyć starości to już coś? Jeśli życie to proces umierania, to dożyć starości znaczy: zaznać więcej nieszczęść. Szczęście czy szczęśliwość to ledwie kilka chwil. Kenozy niczym nie można usprawiedliwić. Cokolwiek powie się o śmierci, nic nie będzie

AUTOBUS

Miasteczko, które odwiedził Ginsberg porażało się w promieniach październikowego słońca. Ostatni dzień miesiąca należał do wyjątkowo ciepłych i słonecznych, podobno od trzech dekad meteorolodzy nie odnotowali tak gorącej jesieni. Jeśli ktoś wyobrażał sobie archetyp polskiej złotej pory, to tak dokładnie powinien wyglądać. W powietrzu wiał jeszcze zapach minionych wakacji, zgubionego w ciągu dwóch miesięcy szczęścia. Wszystko wydawało się lekko dziwne: przechodnie mijali się, wymieniając się przy tym serdecznym uśmiechem, autobusy przyjeżdżały punktualnie, a liście nabrały wyjątkowego koloru, w delikatnym podmuchu wiatru tańczyły, przypominając unoszące się nad ziemią kawałki bursztynu. Stojąc wśród osób zgromadzonych na przystanku autobusowym próbował złapać je, jednak okazywały się wyraźnie szybsze od ruchów jego dłoni.

„Linia numer czterdzieści sześć, odjazd za trzy minuty”, odezwał się głośnik przytworzony do słupa z tablicą odjazdów miejskich autobusów. Dźwięk wyrwał go z infantylnego, jesiennego przedstawienia, podszedł do automatu z papierowymi biletami, wrzucił całość kwoty, na którą składały się monety: jeden złoty, pięćdziesiąt groszy i dwadzieścia groszy, odczekał moment, w tym czasie biletomat drukował nikomu niepotrzebny świstek papieru, trzymał go potem w dłoniach aż do przyjazdu niskopodłogowego pojazdu, w palcach tworzył z niego rulon, tylko po to, żeby za chwilę rozprostować go z powrotem. Manualny trening skończył dopiero wtedy, gdy przed jego stopami otworzyły się automatycznie drzwi, pachnącego nowością autobusu. Wnętrze pojazdu przypominało zapachem pierwszy raz odpakowany *smartphone*, napawał się nim kilka sekund, w myślach powracając do wizji czerwonych, przestarzałych pojazdów poruszających się niezgrabnie po ulicach Miasteczka trzy dekady temu. Pamiętał je dokładnie, a historie o przyciętych drzwiami harmonijkowymi pasażerach krążyły wśród mieszkańców, stojąc się plotkami. Doszło do tego, że określane przy pomocy cyfr pojazdy, niejednokrotnie omijano, doszukując się psychopatycznych tendencji w ich kierowcach. Osobiste, traumatyczne wspomnienie dotyczyło także jego. Pierwsza samotna podróż autobusem. Dla dziesięcioletka stanowiła ona nie lada przeżycie: tym bardziej, że wtedy kierowca pomylił trasę pojazdu: zamiast na przystanku w samym sercu Miasteczka, znalazł się wówczas pod ogromną bramą więzienia, otoczonego gęstym lasem. Na zdezelowanej, drewnianej ławce, pomalowanej na ciemnozielony kolor siedzieli dwaj mężczyźni. Z daleka wyglądali po prostu zwyczajnie: szarzy, pospoliccy, gdyby tak ustawić ich, niczym figury szachowe w gęstwinie leśnej, zniknęliby w tle. Las by ich pochłoniął. Natomiast z bliska przypominali zombie: blade twarze, sine usta, podpuchnięte oczy, udekorowane rysunkami przywodzącymi na myśl kształt łzy pokolorowanej na czarno długopisem. Strach wzbudzał fakt, że nie posiadali w pełni uzębienia, a ubytki były aż nadto widocz-

ne. Gdy weszli do autobusu, którego był jedynym pasażerem do tej pory, od razu podszedł do niego, plując śliną przez otwarte usta jeden z nich zapytał:

„Ej, ty maty, masz na bilet?”.

Wtedy wypadł z pojazdu: biegł, słyszał za sobą krzyk kierowcy, nie obracał się, biegł, szalonym, szybkim krokiem, zalewając się łzami, biegł przed siebie. Obudził się dopiero na sterce miękkich, wilgotnych liści, gdzieś w pobliżu osiedla na którym mieszkał. Nikomu o tym nie powiedział.

**

Otworzył oczy i skasował zmięty w palcach bilet. Usiadł, rozglądając się przy tym w poszukiwaniu współpasażerów. Autobus wydawał się niezapełniony, poza kilkoma osobami, które miały towarzyszyć mu w podróży, nie dostrzegał nikogo. Nie przyjrzał się wyglądowi kierowcy, ominął tę kwestię, choć zawsze starał się dokładnie zapamiętać twarz osoby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo pasażerów. Teraz podejmował próbę ujżenia odbicia twarzy w lustrze, ułożonym przy kierowcy, niestety siedział zbyt daleko by je dostrzec. W tym czasie pojazd ruszył, delikatnie, a zarazem płynnie odwrócił głowę, chcąc uchwycić moment oddalania się od przystanku. Kierując wzrok z powrotem ku wnętrzu autobusu, zobaczył przed sobą postać mężczyzny: niskiego wzrostu, tysego, w okularach z przyczepionym do szczyrki bluzki identyfikatorem. Kontroler biletów cicho odchrząknął, po czym zwrócił się do pasażera:

„Bilecik do kontroli, proszę”

Nie musiał długo szukać, po prostu otworzył zaciśniętą dłoń, w której znajdował się zmięty kawałek papieru, podając bez zbędnych słów nieznanemu.

„Legitymacja jest?” - odrzekł niski mężczyzna.

Szybkim ruchem zanurzył palce w kieszeni skórzanej kurtki, namierzając opuszkami chropowate, naklejone na plastikowym prostokacie srebrne fragmenty z wypisanymi datami. Podał kontrolerowi, rzucając obojętne spojrzenie.

„Ostatni dzień, kiedy jest ważna. Od jutra będzie Pan dorosły”

Wypowiadając te słowa zaśmiał się szyderczo. Dorosły – słowo, które wielokrotnie zakłócało jego spokój ducha. Tymczasem autobus poruszał się nieco szybciej, co ciekawie nie zatrzymywał się na potencjalnych przystankach.

Zamknął oczy, wyobrażał sobie, że pojazd unosi się w powietrzu. Mija poszczególne rejonu Miasteczka, leci nad koronami drzew Puszczy Świętokrzyskiej, tworząc z góry złudzenie ogromnych, zielonych prostokątów. Widok wzbudzał w nim podziw dla natury, nieskrępowanej i wolnej, w duchu wymawiał bezgłośnie słowa modlitwy, żeby żadnemu mężczyźnie w sutannie nie przyszło

nigdy do głowy ingerować w ten krajobraz. Lasy zbyt wiele słyszały, zbyt wiele widziały, nie potrzebowały ludzkich ingerencji. Tymczasem wnętrze autobusu wypełniła gęsta mgła, szyby zaparowały, a pojazd kołysał się lekko raz w lewą, raz w prawą stronę. Ocknął się na chwilę, jednak jego umysł pozostawał jeszcze w somnambulicznym stanie. Rozkojarzony wzrok skierował w swoją prawą stronę, a tam na fotelu współpasażera dostrzegł pewną postać. Przypominała chłopca, około dziesięcioletniego, ubranego w czarne rzeczy, kontrastujące z niezwykle białym odcieniem jego skóry. Obcy wydawał się być przezroczysty, jednak największą uwagę przykuwała głowa tej dziwnej postaci. Podzielona została na pół: z jednej strony zachowano chłopięcy-ludzki profil, z drugiej zaś zdeformowana: podziurawiona, miejscami pokryta śladami otowiu. Wzdrygnął się na ten widok, a w odpowiedzi chłopiec odezwał się z nieznanym akcentem:

„Boisz się być dorosłym?”

W odpowiedzi odczekał kilkanaście sekund:

„Ale że ja? Skąd wiesz?”

Postać wskazała palcem w górę, na dach autobusu, szeptem wypowiadając:

„Tam. Tam słyszałem”.

Wpatrzył się w punkt, na który skierował palec chłopiec, nie dostrzegał nic specjalnego, ale z opóźnieniem zrozumiał o co mu chodzi. Przetknął ślinę, a potem zapytał:

„Skąd się tu wzięłeś? Kiedy się do mnie dosiadłeś?”

„Stamtąd”, kolejny raz pokazał na dach, „nie tak dawno”

Nastąpiła chwila głuchej ciszy. Współpasażer powtórzył wcześniejsze pytanie:

„Boisz się dorosnąć?” Odpowiedział od razu, lakonicznie:

„Chyba tak”

„Dlaczego? Przecież to musi być super”, przekonywał Obcy.

„Niezupełnie, to wcale nie takie proste, ale co ja ci będę mówił, sam się przekonasz”

„Nie przekonam się”

„Jak to? Wszystko przed tobą, jesteś młody”

„Nie przekonam się, bo nie żyję”, odpowiedział wprost chłopiec, a jego usta wykrzywił grymas smutku.

„Bardzo mi przykro, ale zaraz, zaraz, jak nie żyjesz?”, dopytywał pasażer.

„Normalnie, zginąłem w trakcie wojny. Oni ostrzelali blok, w którym mieszkałem, nie mieliśmy szans, wiesz był środek nocy i nagle bum! Już się nie obudziłem, dopiero tam”,

kolejny raz wskazał dach pojazdu.

„Obudziłeś się w niebie, tak”? – zapytał wyraźnie zdziwiony.

„Dokładnie tam”, znowu pokazał na dach. „Bardzo chciałem być dorosły, z chłopakami bawiliśmy się w żołnierzy, chciałem zostać jednym z nich, bronić kraju, ratować innych, ale niestety”.

„Naprawdę chciałeś być dorosłym, przecież nie ma w tym nic ciekawego”?

„Chciałem, bo bycie dorosłym oznacza wolność”, oznajmił z powagą w głosie chłopiec.

„Nigdy tak o tym nie myślałem...”

„Dlatego tu jestem. Mam coś dla ciebie, proszę”, chłopiec otworzył zaciśniętą, chudą dłoń, w której znajdował się karmelowy cukierek.

„Dzięki, dawno niczego nie dostałem”, oczy mężczyzny rozszerzyły się.

Autobus znajdował się w bazie zajezdni, na obrzeżach Miasteczka. Spał z otwartymi ustami, przytulony do szyby pojazdu, gdy mocna dłoń chwyciła go za rękaw skórzanej kurtki:

„Obudź się Pan, halo”.

Otworzył oczy, zdziwionym wzrokiem popatrzył na kierowcę, który zdecydował się go obudzić.

„Koniec trasy”, krzyczał pracownik miejskiego przedsiębiorstwa komunikacji, „no już niech Pan wychodzi”.

Wstał, opuścił autobus chwiejnym krokiem.

„Pijany czy co”, skwitował z przekąsem kierowca.

Dłuższą chwilę stał pod wysoką, metalową bramą z charakterystycznym autobu-

sowym znakiem. Jesienny wieczór dawał mu się we znaki, zasunął kurtkę. Lekko się garbiąc, chuchając w dłonie, rozejrzał się raz w prawo, raz w lewo, tylko ciemność go otaczała. Sięgnął do kieszeni czarnych jeansów, a tam znalazł karmelowego cukierka.

PRZEMYSŁAW ZNOJEK

Przemysław Znojek – urodzony w 1991 roku; literaturoznawca, bohemista, historyk kultury.

Interesuje się problematyką mniejszości narodowo-etnicznych w obrębie literatury. Zarówno w działalności badawczej, jak i próbach prozatorskich, poszukuje odpowiedzi na pytanie: kim jest człowiek-inny, wyobcowany, żyjący na peryferiach społeczeństwa.

przemyslaw.znojek@wp.pl



Sławomir Bączkowski

Chandra pojawiła się koło południa. Przyszła niepostrzeżenie, nasunęła się jak ciemna chmura wlokąca za sobą chłód i wilgoć. Chłodu miał dosyć i bez tego. Zdawało mu się, że wszystko i wszyscy wokół niego emanują zimnem. Powierzchnie dotykanych mebli były lodowate, talerze natychmiast schładzały wrzące zupy i parującą kaszę, pościel sprawiała wrażenie

sprawach i sztywnym krokiem oddalali się, unikając jego wzroku.

Jakoś wytrzymał do zakończenia roku szkolnego, a potem aż do ostatniej rady zamykał się w swojej pracowni i słuchał Schuberta z komórki. Był już kimś obcym, istotą naznaczoną wypowiedzeniem jak stygmatem. Jednak dostrzegał też zalety tej sytuacji. Na przykład klasyfikacja końcowa

tylko drobny gest zdecydował o tym, że nie została na noc. Ruiny...

Zrobił sobie kolejnego drinka i ze zdziwieniem stwierdził, że bloki po drugiej stronie nasypu kolejowego otworzyły rozświetlone oczy. Kiedyś patrząc w mrok wyobrażał sobie, że jasne okna mieszkań układają się w kształty liter, próbował odczytywać sekretne sygnały wysyłane z wieczności...

D O WSZYSTKICH

wniesionej wprost z mrozu. Chłodne były też spojrzenia ludzi, o ile w ogóle ktoś skierował wzrok w jego stronę. Słowo *rodzina* stało się tylko hasłem w słowniku, wybierane numery najbliższych po trzech długich sygnałach zaczynały drwić miarowym pikaniem. Z czasem słuchawka telefonu popadła w stupor i na stałe przylgnęła do aparatu.

Do tego teraz ta potężna chandra. Wykryształowała z roztworu smutku, który gęstniał z dnia na dzień. W końcu stężenie niedoli stało się tak duże, że wytrąciły się czarne kryształy... Bał się ich, nie nawlekał na nitki, bo takie korale często niebezpiecznie zaciskały się na szyi. Smutek należało rozcieńczać ginem, ale ostatnio i to nie skutkowało. Jego samotność stała się definicją samotności, wzorcem z Sevres. Bezsilnie przeglądał wpisy w swojej komórkowej książce telefonicznej. Unikał rejestru rozmów, bo daty ostatnich werbalnych kontaktów ze światem były jak przygniatające gązdy. Na tym etapie stało się zupełnie jasne, że ludzie wymazali go ze swojej pamięci i w najlepszym razie pozostał zapomnianą pozycją w ich spisach numerów. Z czasem usuną to nic już nie mówiące nazwisko i cisza stanie się wzorcowa...

Mimo wszystko nie potrafił tego zrozumieć. W poprzedniej pracy uchodził za człowieka jowialnego i towarzyskiego, choć jego dar obserwacji wydawał się niektórym koleżankom i kolegom czymś niebezpiecznym, czymś, czego za wszelką cenę należało unikać. Niektóre osoby wołały dyskretnie usunąć się na widok jego roziskrzonych oczu i tym samym zejść z linii strzału. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że te szerokie uśmiechy i dowcipkowanie maskują poranioną istotę krwawiącą z licznych ran. Jego „awans” na koordynatora zespołu do spraw ewaluacji wewnętrznej tylko pogorszył sprawę. Nieżyczliwi zaczęli go omijać jeszcze szerszym łukiem, inni przymilali się w najbardziej odrażający sposób. Przed zebraniem w sprawie ocen z zachowania pewna zacna skądinąd niewiasta przesiadła się na jego widok.

- Czyżbym wydziałał nieprzyjemny zapach? – zapytał wprost.

- Ależ skąd!

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że widząc go ludzie milkli, rozmawiający natychmiast pierzchali jak piskowcy na widok policyjnego szpiega. Znajomi nagle przypominali sobie o niecierpiących zwłoki

jak nigdy wydała mu się procedurą bezstresową, a nawet w pewnych aspektach przyjemną. W większości przypadków wystawił bezwstydnie wysokie oceny, niektóre z nich były wręcz perwersyjnie nieadekwatnych do rzeczywistego stanu wiedzy. Jeden ruch długopisem i wszyscy, absolutnie wszyscy byli szczęśliwi tym chwilowym szczęściem, jakie czasem staje się udziałem istot żywych. Chwilowym, bo inne nie istnieje. Gdyby naraz stało się czymś trwałym i powszechnym, świat szybko by się rozpadł.

Najbardziej dziwiła go wprost ostentacyjna oziębłość k o l e ż a n k i, z którą od zawsze miał szczególne relacje nacechowane wzajemnym zrozumieniem i szczerym szacunkiem. Znajomości tej towarzyszył lekki, trudny do zdefiniowania podtekst o zabarwieniu erotycznym. Zdawało mu się, że nadawali na tych samych falach – muzyka, literatura, teatr... Odwiedzał ją czasem w tym przesadnie schludnym mieszkanku, gdzie smutek kulił się po kątach i czekał, aż intruz sobie pójdzie. Niemal z dnia na dzień wszystko to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie i przyjaźń zamieniła się w ruinę przyjaźni. Jak rasowy masochista przypominał sobie wspólne wycieczki, całonocne dyżury na korytarzach schronisk młodzieżowych i smak jej wyborczej szarlotki. Ruiny...

Po obiedzie zrobił sobie pierwszego drinka, który, niestety, podziałał jak katalizator procesów pamięciowych. Powróciły stare dobre czasy wycieczek nauczycielskich. We Florencji za wszelką cenę chciał kupić tonik do przywiezienia z Polski ginu. Wypatrzył ukryty przed turystami sklepik spożywczy i na moment odłączył się od petzającej lichej wycieczkowiczów. Musiał chwilę postać w kolejce i po wyjściu ze sklepu nie zobaczył już swojej grupy. Zdenerwowany podbiegł w górę ulicy i z ulgą dostrzegł idiotyczną zieloną łapkę na kiju, którą ich przewodnik niósł w górze. Jednak okazała się skuteczna. Wycieczkowicze chcieli go rozszarpać na widok zakupionych po rozsądnych cenach napojów. Wieczorem zaprosił k o l e ż a n k ę do swojego rozkosznie klimatyzowanego pokoju, który pozostawał jego tajemnicą. Z pewnością dostał go za sprawą jakiejś pomyłki, bo status singla nie uprawniał go do takiego metrażu, a tym bardziej do arktycznej klimatyzacji. Gadali chyba do północy, poziom ginu w hipnotycznie zielonej butelce niebezpiecznie się obniżył i przy pożegnaniu

„Bredzę”, pomyślał i dołął ginu do resztki na dnie szklanki. Za wszelką cenę chciał rozproszyć chmurę przygnębienia, która bezlitośnie opłatała go toksycznymi waparami. Powodowany ostateczną rozpaczą włączył komputer, usiłując znaleźć ukojenie w którejś ze swoich nowelek. Błąd! Zdał sobie z tego sprawę przeczytawszy kilka pierwszych linijek... Obrazy górskiej idylli sprzed trzydziestu lat były nie do zniesienia. Roziskrzony strumień, w wodzie po kolana dziewczyna z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, jej gładka skóra pokryta kropelkami wody, plamy słońca na ściółce... Ruiny...

Nagle podjął decyzję. Cóż miał do stracenia? Napisze im wszystkim, całej tej bandzie niewdzięczników i nieudaczników, co o nich myśli. Teraz był wolnym człowiekiem, nie zależało mu... I co z tego, że jutro zaleje go fala nieprzychylnych komentarzy i głosów oburzenia? Nie miał zamiaru przed nikim się tłumaczyć. Niech sobie psioczą, wydzwanają, zapychają skrzynkę obelgami... Musi im wszystkim wygarnąć.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i z zamrażalnika wyciągnął opróżnioną do połowy zieloną butelkę. Nalał pół szklanki gęstniejącego ginu i dopełnił tonikiem. Na tym etapie nie bawił się w dodawanie lodu. I tak sponiewiera... Dziś odwołał wszystkich uczniów, więc nic nie powstrzymało go od wypicia połowy zawartości szklanki jednym haustem. *In one gulp* pomyślał automatycznie jakby prowadził lekcję. Dreszcz wstrząsnął każdym mitochondrium jego ciała. Sięgnął po telefon i zaczął pisać wiadomość:

*Podły mottochu... Tak, ty też... Rzygać mi się chce, kiedy o was myślę... Jesteście pomyłką materii, gardzę wami... Po godzinie ocknął się, spojrzął na wiadomość nieprzytomnym wzrokiem i z menu wybrał opcję *Wyślij do wszystkich*. Nacisnął zielony przycisk i głowa z powrotem opadła mu na blat stołu.*

Obudził się po jedenastej i z niedowierzaniem spojrzął na zegar. Potem sięgnął po telefon i z pewnym wahaniem go odblokował. Spodziewał się komunikatu w rodzaju *Masz 14 wiadomości*. Ekranik pokazywał tylko godzinę. Nikt nie próbował się z nim skontaktować, a przecież wystął swój bezsilny wrzask do 47 osób...

SŁAWOMIR BĄCZKOWSKI

W numerze prezentujemy fotografie Jana Ledóchowskiego



gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 1 (86) 2025

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**
(Warszawa),

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki

Stale współpracują:

Anna Frajlch (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Aleksandra Naróg,

Urszula M. Benka,

Andrzej Walter,

Mateusz Wabik,

Jerzy Lengauer,

Marian Lech Bednarek

Andrzej Wołosewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl,

joalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy

o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami

w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Ewa Leśniewska

KSIĄŻKI MAJĄ SWOJE LOSY CZ. 1

(...) Czemu człowiek swą siłę na ilość pocisków przeliczył

I oto stał się najdzikszym, najokrutniejszym ze stworzeń (...)

Jan Rostworowski, *Germany Calling*

Znalazłam książki przy wysypisku śmieci w Hanowerze. Rozsypywały się wokół mnie, mieszały z płatami śniegu po całym bruku, jak byle jakie śmieci. Z pewnością ktoś z młodego pokolenia pozbywał się zbioru, wydanego między 1939 a 1946 rokiem, należącego do jego przodka – bibliofila. Język polski, czcionka – tylko częściowo polska i także niekiedy inne niż lansowane w PRL. Terentianus Maurus napisał w III w. n. e.: „Pro captu lectoris habent sua fata libelli” – w zależności od tego, co wie i pojmie czytający, książka zostanie inaczej odebrana, będzie więc inną książką. Zgadzałam się z tym przesłaniem. Bo książki miały i mają swoje losy. Uznane za bestsellery zarabiały fortunę, inne nie doczekały się uznania, były i takie, które spłonęły na stosach niczym czarownice z odległych wieków, albo jak te, porzucone na niemieckim śmietniku. Poniżej opisuję to moje znalezisko. Nie jako filolog, ani historyk literatury, bo nie mam tych kwalifikacji, ale jako zwykły czytelnik porażony dramatycznością odkrywanych tekstów i ich utajoną historią. Jakże mocno brzmią te wiersze na zakręcie historii zdominowanej przez osoby takie jak Putin i Trump, gdy docierają do nas codziennie wieści z frontu ukraińskiego.

PO PONAD OSIEMDZIESIĘCIU LATACH

Czytelniku, oceń ich wartość historyczną i literacką

Kim byli Mieczysław Lurczyński i jego *Czas poległy*, *Łuski Syreny*, *Dom pod wysokim księżycem*? Co przeżyli: Jan Rostwo-

rowski, autor *Dni ostatnich i Nocy Pierwszych* oraz *Na cięciwie*, Józef Bujnowski, twórca *Powrotów*, Maria Petry – autorka tomiku *Struny*, Ludwika Biesiadowska, po której pozostał zbiorek *Po drodze*? O czym pisali Stanisław Baliński w *Tamtych brzegu nocy* i Mieczysław Ubysz w *Czasie wirującym*? Z uwagą przyglądałam się: oprawom książek, różnorodnym opieszczeniom pełnym treści, barw i kształtów, datom wydania. Wcześniej nie słyszałam o tych autorach i wydawcach. Na wielu tomikach widnieje pieczętka „Księgozbiór Edw. A. Chmurzyńskiego”.

Niestety, moje poszukiwania dotyczące postaci tego wspaniałego bibliofila, Antoniego Edwarda Chmurzyńskiego, który ocalał cenne świadectwa Czasu Pogardy, nie przyniosły rezultatów. Jedynym tropem jest notatka zamieszczona na stronie internetowej Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, w kolekcji akt personalnych i odznaczeniowych. Wzmianka z 31 stycznia 1938 roku i dotyczy Antoniego Edwarda Chmurzyńskiego, urodzonego w 1902 roku w Brodnicy. To wszystko. Mimo prób uzyskania dalszych informacji, nie dotarłam do żadnych szczegółów. I na tym musiałam zakończyć moje poszukiwania. Pozostaje mi wyrazić wdzięczność dla tej niezwykłej postaci, nawet jeśli czynię to w formie podziękowań *post mortem*.

Te utwory nie znalazły się wśród lektur obowiązkowych, ani nie istniały w bibliotekach i księgarniach PRL. A przecież to poezja opowiadająca o niemal zapomnianej historii, pełnej ogromnego cierpienia naszych rodaków. To historia zesań na Sybir, do łagrów i kazamatów, czas drugiej wojny światowej, czas tułaczki żołnierskiej i cywilnej, a także czas przymusowej emigracji. Są to świadectwa poetyckie z okresu, który na zawsze pozostanie w pamięci jako CZAS POGARDY. Autorów tych i ich dzieła prześladowała cenzura Stalina i polskich komunistycznych władz. Wszyscy ci twórcy walczyli o wyzwolenie. Część z nich, jak Ludwika Biesiadowska, była żołnierzami Armii gen. Władysława Andersa, uwolnionymi z sowieckich łagrów. Walczyli pod Tobrukiem, pod Monte Cassino, pod Ankoną, przeszli cały szlak bojowy. Byli żołnierzami Wojska Polskiego w czasie kampanii wrześniowej, walczyli w szeregach Armii Krajowej, jak Józef Bujnowski, Jan Rostworowski, Powstańcami Warszawskimi, jak Mieczysław Ubysz. Trafili na Pawiak, do oflagów, obozów w Majdanku, Buchenwaldzie i Zeithain, jak Mieczysław Lurczyński. Niektórzy z nich, to wychodzący przymusowi z 1939 roku, jak: Stanisław Baliński, Antoni Słonimski, Marian Hemar i Maria Petry.

W wielu książkach ukryte były fragmenty z prasy żołnierskiej: „Polski Walczącej”, „Orła Białego”, „Ku Wolnej Polsce”, „Gońca Obozowego”, na łamach których, utwory wspomnianych autorów pojawiały się po raz pierwszy, zanim wydano je w Londynie, Paryżu, Jerozolimie, Kairze czy Hanowerze. Wstrząsającym przykładem jest los Mieczysława Lurczyńskiego, którego wiersze, tworzone w obozie Buchenwald, gdzie był

więziony, wydano w Niemczech – w kraju jego oprawcy, a nigdy w Polsce, w ojczyźnie, za którą gotów był oddać życie.

Każdy żołnierz nosił w plecaku buławę – ale niektórzy nieśli również laury poezji. Powstawała ona w niezwykłych i dramatycznych okolicznościach: podczas podróży z Wilna i Lwowa w okratowanych wagonach do łagrów w Lidze, Baranowiczach, Olszy, a także w Jaji, Archangielsku, Kozielsku, Katyniu, Kottasie, Poćmie, Saratowie czy Ałma-Acie. Wiersze powstawały w więzieniu na Łubiance w Moskwie, a także w Juchnowie i Urzumie. Twórczość nie umilkła nawet w Powstaniu Warszawskim, obozach w Zeithain i Buchenwaldzie, ani na polach bitew.

Sięgając po te teksty i przegryzając się przez nie niczym mól książkowy, odkryłam nie tylko nieznanne dotąd utwory, ale także znajome nazwiska. Oto w broszurach Oddziału Propagandy Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego z lipca 1945 roku natrafiłam na wiersze Leona Pasternaka i Jerzego Putramenta. Utwory takie jak *Oka* i *Toast* musiałam recytować podczas szkolnych akademii. Z kolei marsz autorstwa Adama Ważyka do dziś brzmi mi w uszach.

Nie sposób pominąć patriotycznego manifestu Władysława Broniewskiego – *Bagnet na broń*, który wpajano nam niemal jako obowiązkowy hymn pokolenia. A wiersz *Żołnierz polski* musieliśmy uczyć się na pamięć.

Czytanie tych tekstów z hanowerskiego znaleziska dziś, po latach, to doświadczenie pełne sprzeczności – dar i koszmar jednocześnie. Przywędrowały do Polski po ponad osiemdziesięciu latach, zakazane w PRL, a teraz wróciły.

Czytelniku, sięgnij po nie sam – oceń ich wartość historyczną i literacką.

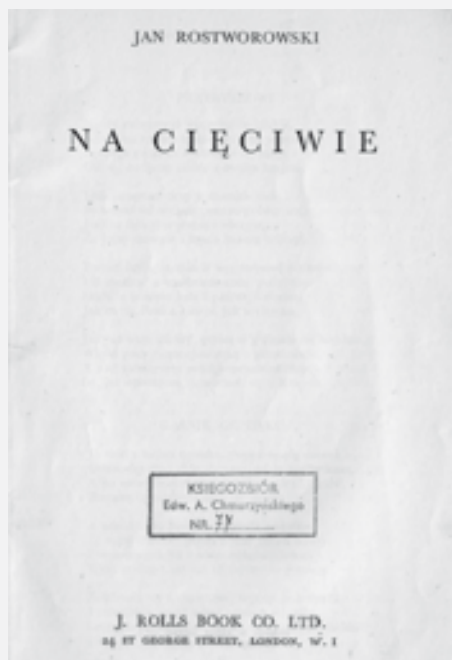
Poetycki przewodnik po historii

Literatura czasów wojny nie jest jedynie zapisem tragicznych losów jednostek – staje się poetyckim przewodnikiem po historii. W tym pejzażu pełnym bólu, heroizmu i nieustannej tułaczki towarzyszę poetom, których słowa nie tylko dokumentowały tamte wydarzenia, ale były także aktem duchowego oporu.

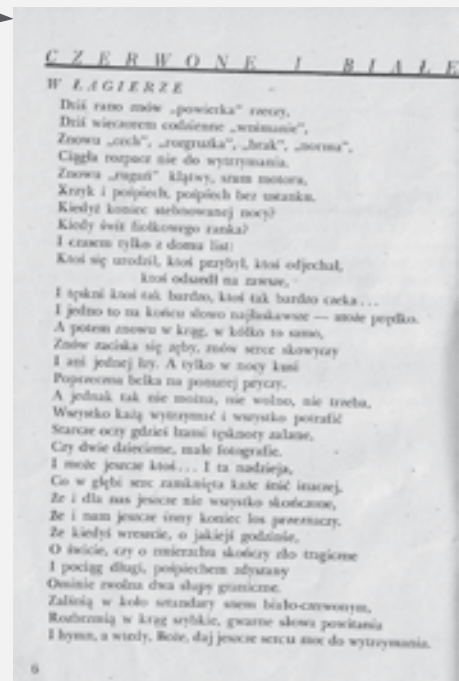
Podążając tropem Ludwika Biesiadowskiej, przemierzyłam drogę z Wilna, Nowogródka i Lwowa w okratowanych wagonach na Syberię, do obozów w Lidze, Baranowiczach, Olszy, a później łagrów w Jaji, Archangielsku, Kozielsku, Katyniu, Kottasie, Poćmie, Saratowie i Ałma-Acie. W Moskwie na Łubiance stanęłam u boku Władysława Broniewskiego, by potem dzielić więzienną codzienność w Juchnowie i Urzumie z Józefem Bujnowskim.

Razem z nimi, po amnestii z sierpnia 1941 roku, zaciągnęłam się do armii gen. Władysława Andersa, by przejść szlak z Bużutu nad Samarą przez Persję, Irak, Palestynę i Egipt aż do Turcji. Walczyłam pod Tobrukiem i Monte Cassino, widząc śmierć i zniszczenie, ale także cywilną tułaczkę.

Wraz z Janem Rostworowskim przeżyłam wybuch wojny 1 września 1939 roku i cier-



Pieczętka kolekcjonera w książce Jana Rostworowskiego *Na Cięciwie*



Wiersz *W łagierze* z tomiku *Po Drodze*, wydane go w Glasgow, prawdopodobnie w 1944 roku.

Na krawędzi życia

Nie przeżyłabym w łagrze ani dnia, a ona pisała. Każdy werset jej poezji to nieocenzurowane i nieupiększone źródło prawdy historycznej – zapis tworzony na bieżąco, pod wpływem chwili, w obliczu tragicznych zdarzeń. Wiersze Biesiadowskiej są najwierniejszym reportażem ciała i duszy tysięcy ofiar „Operacji Polskiej” Stalina. To właśnie w łagrze Jaja w 1940 roku powstał jeden z jej najbardziej poruszających utworów – świadectwo cierpienia i przetrwania. Choć codzienność obozowa zdawała się odbierać wszelką nadzieję, Biesiadowska odnajdywała siłę w pamięci o pięknych chwilach życia i ludziach, których kochała. Pisanie stało się jej schronieniem przed zapomnieniem. W jednym z najbardziej osobistych wierszy *Do Bożenki* zwraca się do swojej córki – słowa niosą czułość, tęsknotę i pragnienie ocalenia wspomnień, które były jedynym skarbem w bezlitosnych warunkach łagru.

Poezja Biesiadowskiej nie jest tylko artystyczną kreacją – to forma dokumentacji. W jej wierszach nie ma miejsca na fałsz czy stylistyczne upiększenia. Każdy wers jest świadectwem brutalnej rzeczywistości, opowiedzianym z perspektywy kogoś, kto ją przeżył, ale też musiał się z nią zmagać na poziomie duszy.

(...) Jasnowłosa Jadzina córeczko,
znam cię tylko z opowiadań, no
i z fotografii troszeczkę,
wiem, że masz jasne loczki,
bardzo krótkie ażurowe sukienki (...)

Żyła „na zapas“, żyła jutrem i nadzieją,
że i ona nie będzie zapomniana.

I na lekcji historii poważnej,
bardzo stary profesor w okularach,
będzie mówił długo i szeroko,
o światowej wojny kulturalnej.
Trącisz wtedy w bok sąsiadkę leciutko,
bez dziecinnej zwykłej łobuzerii,
szepniesz do niej w zamyśleniu:
tak, pamiętam, matka moja była na Syberii.

ŁAGIER JAJA, 1940 ROK

Z urywków wiersza *Wilnu mojemu* wyłania się obraz poetyckich powrotów do ukochanego miasta. Nocne spacerki po Wilnie, odbywane we śnie i przelewane na papier, stały się dla Ludwika Biesiadowskiej formą duchowego azylu. W surowej rzeczywistości łagru te wizje pozwalały jej zachować wewnętrzną równowagę i nie zatracić zmysłów. Poezja była dla niej nie tylko twórczym aktem, lecz także ratunkiem przed beznadzieją.

Wybawienie przez polską rękę

W tomiku Ludwika Biesiadowskiej moment wybawienia z sowieckiego piekła zyskuje wyjątkowy, niemal sakralny wymiar. Wyczekiwane latami uwolnienie, witane sercem i oczyma pełnymi łez, autorka opisuje w poemacie *Sikorskiemu*. To właśnie generał Władysław Sikorski – dzięki podpisanemu w sierpniu 1941 roku układowi Sikorski-Majski – przyniósł ocalenie tysiącom Polaków zesłanych na Syberię. Autorka nie kryje emocji, unosząc postać Sikorskiego do rangi narodowego bohatera, niemal nadludzkiego herosa. Wiersz jest wyrazem wdzięczności i poetyckim hołdem dla człowieka, który dał nadzieję na życie tym, którzy byli już o krok od jego utraty.

Pierwszy raz imię Twoje, Generale,
przyszło do nas na fali radiowej z Londynu.
Byliśmy wówczas tak strasznie bezsilni,
Choć serca wszystkich rwały się do czynu.

(...)
Pamiętam dobrze, jak dziś, przy głośniku
zebrani potajemnie słuchaliśmy wszyscy
Twoich słów dalekich...

(...)
Ja słów Twych, Generale, nigdy nie zapomnę.
(...)

Ach, Ty nie wiesz przecie
Co znaczy tu otrzymać wolność z polskiej ręki
i imię Twe w sowieckiej przeczytać gazecie!

POEMAT SIKORSKIEMU, Z TOMIKU *PO DRODZE*
LUDWIKI BIESIADOWSKIEJ.

Dla Ludwika Biesiadowskiej stworzenie Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR nie było wyjątkowo ratunkiem i źródłem wolności dla zesłańców i szansą na walkę za ojczyznę, widziała w tym fakcie ogromne znaczenie dla losu całej Europy.

Mimo wyczerpania fizycznego i psychicznego po latach pracy w łagrze, Ludwika Biesiadowska zdołała w 1941 roku dotrzeć do powstającej w Buzułuku Armii generała Andersa. Ta drobna, pozornie krucha kobieta bez wahania wstąpiła w szeregi armii i wyruszyła na marsz przez Persję, Irak, Palestynę, Egipt aż do Turcji, pokonując cały szlak bojowy. Jej upór, odwaga i niegasnąca chęć dalszej walki wobec potężnego wroga zastępują na pamięć i najwyższy szacunek. Była jedną z cichych, ale prawdziwych bohaterek – nie tylko na polu bitwy, lecz także na kartach papieru. Jej twórczość to wołanie o prawdę i pamięć, które nie mogą zostać zapomniane.

Na jedwabnym szlaku

Z jednego, z tych czarnych słupków na żółtej mapie ZSRR, po dwóch latach zesłańczej mordęgi, wyruszyła Ludwika Biesiadowska walczyć u boku gen. Andersa o wolność Ojczyzny.

Autorka, już jako żołnierz armii Andersa, opuściła kraj swojego oprawcy w 1942 roku. Szła jedwabnym szlakiem przez Kermine w Uzbekistanie, którego piękno uwieczniła w *Liście do Domu*:

Wiesz, Matulu, tutaj co dzień z rana
suną wolno tak wielbłądów karawany,
w dali widać jakieś obce góry -
z dołu cieniem się błękitnią ponurym
i aż w chmurach giną białym śniegiem.
Rzeka wiję się w dolinie wśród moczarów,
Wyżej śpi emira pałac stary (...)

KERMINE, 1942 ROK

Dotęczały do nich kolejne transporty zwolnionych z sowieckich więzień Polaków. Wiele nocy spędzonych w namiocie na pustyni i przeprawy przez Morze Kaspijskie z Krasnowodsk do Pahlewi w Persji autorka wspomina w wierszu *Dzień dzisiejszy*:

Dzisiaj czar ma swoisty namiot na pustyni,
Usypianie kamiennym snem pod zew szakali,
Albo przygodny postój na
piaszczystym brzegu
I monotony szmer kaspijskiej fali...
Dziś nas porywa filmowym obrazem
Kolorowość zgiełkowa wciąż
nowych miast Wschodu.

Już jesteśmy na zawsze sercem zaprzędani
Czarowi niebezpiecznej, wojennej przygody.

KANAQIN, 25 SIERPNI 1942 ROK

Z Persji przez Irak dotarła do świętego
miasta, do Jerozolimy w Palestynie:

(...) Cieszę się pięknem życia,
Kocham w kolorze morza,
Błądę po ścieżkach, którymś
Chadzała Matka Boża (...)

URYWEK WIERZA TYLKO. JERUZOLIMA,
STYCZEŃ 1943 ROK

Pielgrzymka przez cierpienie

Wielu katolików marzy o pielgrzymce do Jerozolimy – świętego miasta symbolizującego duchowe odkupienie. Jednak niewiele podjęło się pielgrzymki – a Ludwika Biesiadowska, której droga do Jerozolimy prowadziła przez piekło łagrów, tułaczek i wojenną zawieruchę. W swoich poematach autorka oddała głębię tego miasta w sposób, który trudno znaleźć we współczesnych przewodnikach turystycznych. Jej Jerozolima to miejsce, gdzie sacrum miesza się z pamięcią cierpienia, a refleksja nad historią łączy się z duchową odnową. Poezja Biesiadowskiej staje się nie tylko świadectwem osobistych przeżyć, ale także literackim komentarzem do symboliki tego wiecznego miasta.

MORZE MARTWE

(Polskojęzyczny Władimir Hofmanow)

Mówią, że jest Martwe, morze,
Że nie ma w tobie życia,
A jednak tonę w zachwycie,
Tonę w szczytku marząc o twoim kolorze.

Długie, skaliste cyple górskie polubiłeś na sobie łagodnie,
Dopiero za sobą zaczynają się od nowa
Transjordanjskie pasma drzewo-kolorowe,
Wciąpa się jedna w drugą barwa szeptowa i granitowa,
Żółtość fioleńców i szarość mgława,
Żeby się czuć prawie na grzbiecie zabornach,
Żeby mieć głębię jak sama subtelność różowa.

A ty, morze, w otoczeniu barw półtonowych dokola
Ani biblijne jęczy, ani uroczyste;
Dziś można ciebie tylko jednym słowem określić:
Świetliste.

Morze Martwe, Palestyna, 17 stycznia 1943 r.

Wiersz *Morze Martwe* Ludwika Biesiadowskiej

Wśród cyprysów Jerozolimy i słońca Tel-Awivu złapała na krótko oddech, tonąc w wersetach podziwu nad pięknem Morza Martwego:

(...) To po to mnie trzymali
W wilgotnych kazamatach,
Bym mogła aż do bólu
Czuć czarodziejstwo świata? (...)

FRAGMENT Z MOJE WNIOSKI, MORZE MARTWE,
PALESTYNA, STYCZEŃ 1943 ROK

To niesamowite, że na realia życia w tym odwróconym, nieludzkim świecie gułagu, autorka odpowiada w powyższych strofach ironią. Jednak świadomość służby ojczyźnie, wygrała z turkusowymi falami i czarem minaretów i porzuciła je idąc dalej przez Kair do Stambułu:

Ale nie dla mnie miłość na długie lata,
Czeka mnie droga daleka
Całego świata

Z NA NUTĘ, TEL AVIV, STYCZEŃ 1943 ROK

W Stambule doszły do niej wiadomości z okupowanej Ojczyzny. Jak sama przyznaje w wierszu Niemcom, wieści te nie złamały jej ducha, lecz zmotywowały do bezwarunkowej walki o wolność Polski:

(...) A wam się jeszcze zdaje,
że zbrodnią i przemocą
Zmusicie nas zapomnieć i w nowy sposób żyć,
Jakby nie było jasne, że dla nas to nie zmiana,
Że dla nas to jest sprawa, by
nie być, albo być (...)

URYWEK Z WIERZSA NIEMCOM, STAMBUŁ 1943 ROK

Twórczość poetki to poruszająca kronika zarówno duchowych uniesień, jak i dramatycznych doświadczeń wojennych. Wiele jej utworów przesiąkniętych jest tęsknotą za Wilnem — ukochanym miastem, do którego wraca każdej nocy we śnie. W jej poezji odnajdujemy delikatne, osobiste refleksje, ale także relacje z brutalnej rzeczywistości. Wiersze te ukazują osobistą reakcję na rozwój wojennych wydarzeń, warunki życia w łagrach i tułaczkę w szeregach armii Andersa na Bliskim Wschodzie. Strofy są pełne gorzkości, bólu, ale i niegasnącej nadziei, która pozwalała przetrwać na „nieludzkiej ziemi”. Twórczość poetki nabiera szczególnego znaczenia jako literackie świadectwo losów tysięcy Polaków, których wojna zmusiła do opuszczenia ojczyzny. To głos ludzi, którzy nie tylko walczyli o przetrwanie, ale także próbowali ocalić swoje marzenia, pamięć i godność. W poezji Ludwika Biesiadowskiej te wartości nadal tętnią życiem, przypominając o sile słowa i ludzkiego ducha.

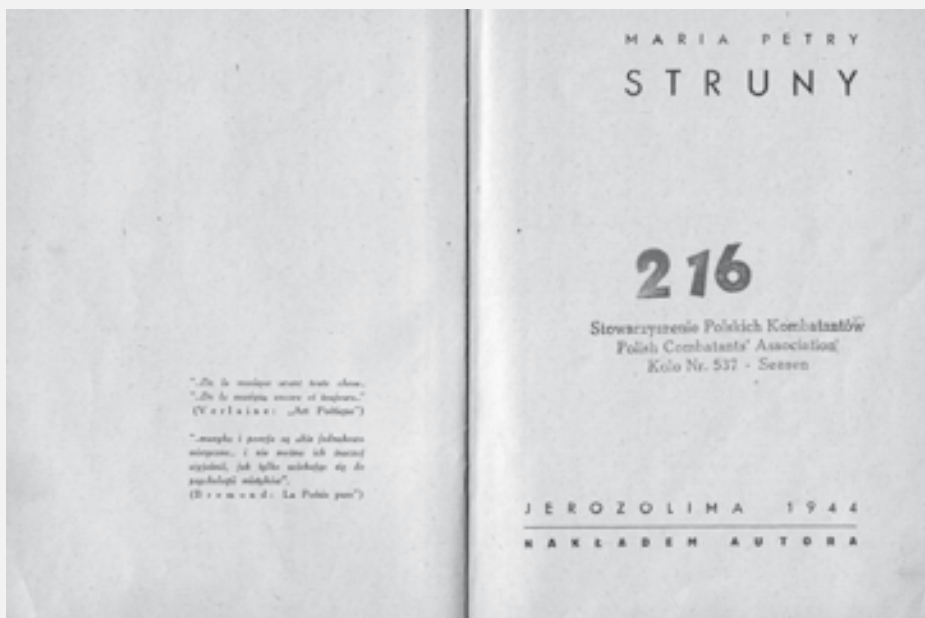
MARIA PETRY

Maria Petry, urodzona 1912 w Samborze koło Lwowa. Poetka. Opuściła Polskę przez Węgry, Serbię docierając do Jerozolimy, gdzie tworzyła poezję żołnierską i wstąpiła ochotniczo do Pomocniczej Służby Kobiet (P.S.K.) jako sanitariuszka, uzyskując status żołnierza służby czynnej.

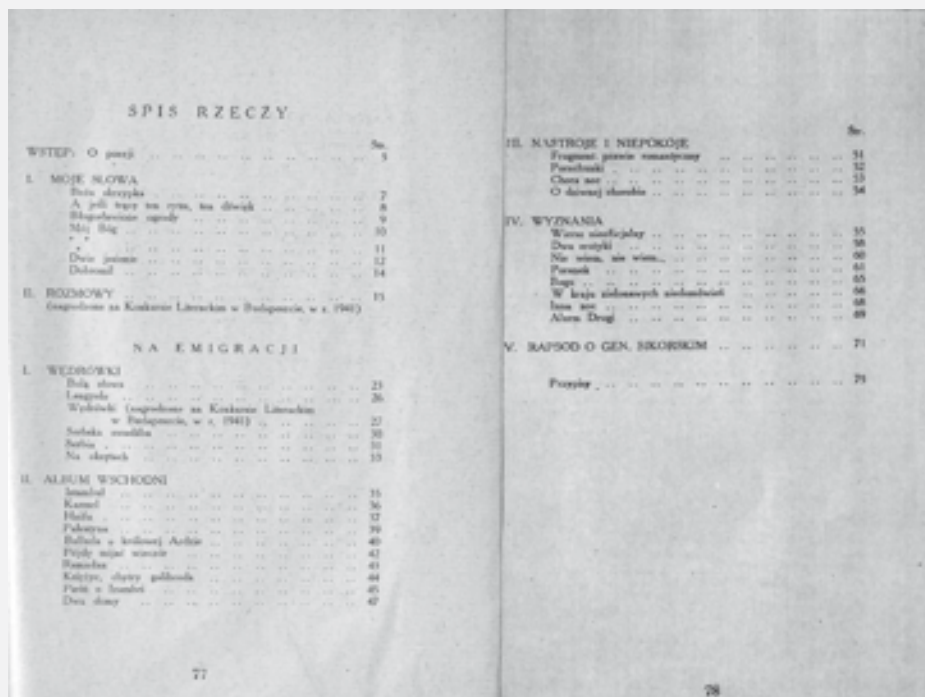
Źródło: *Węzły pamięci niepodległej Polski*. Publikacja ta ukazała się w 2014 roku nakładem Wydawnictwa Znak, Muzeum Historii Polski oraz Fundacji Węzły Pamięci.

Ślzak ku wolności

Spis utworów zawartych w tomiku *Struny* to literacka mapa wędrówki Marii Petry – od



Strona tytułowa tomiku *Struny* Marii Petry, wydane w 1944 roku w Jerozolimie.



Spis rzeczy z tomiku *Struny* Marii Petry, wydane w 1944 roku w Jerozolimie.

okupowanej Polski aż po upragnioną wolność. Każdy wiersz jest krokiem na tej pełnej niebezpieczeństw i rozterek drodze, na której poezja stała się formą pamiętnika i duchowego wsparcia. Nie wiem, czy miałabym odwagę podjąć taką tułaczkę jak Maria Petry, która z determinacją przemierzyła Polskę, Węgry i Serbię, by dotrzeć do Haify w Palestynie. Jej droga była nie tylko geograficzną wędrówką, lecz także wewnętrzną walką o zachowanie tożsamości i nadziei. Tomik *Struny* nie jest więc jedynie literackim zbiorem – to świadectwo niezłomności kobiety, której kroki wyznaczały *struny* wolności i odwagi.

Było to dawno temu, wiele
zdyszanych miesięcy...
Gdy po raz pierwszy
Drogę nam zastąpiła Jesień
Węgierska w czerwonych
Butach z tokajem złotym
i pstrą cygańską kapelą
I drogę nam w poprzek przecięła Dunajem...
Stanęliśmy nagle, lecz rytmem

wych kroków podani
Na Zachód i masą ciał pracy
świadomie na Zachód,

I myślą uparcie na Zachód dążący.....

FRAGMENT WIERZSA MARII PETRY, WĘDRÓWKI,
NAPISANY NA WĘGRZECH W 1940 ROKU, W LEANYFALU.

Tylko z podpisów pod wierszami mogę wnioskować, że Maria Petry udała się przez Serbię do Turcji.

Serbia

Tutaj rozlewna Słowian melancholia drzemie
Słowiańskość senna sennie powietrze opływa

..
Babim latem beztrosko w winogrody splywa...

...
I tu żyć można cicho i somnambulicznie
Ukolyśać się płynnym
słowianstwem plemienną
Gędźbą która się sęczy z nieba z ziemi z ludzi
Gędźbą jakies wędrówki, słowiańską golgotę
Śpiewa czerwona echa starodawne budzi

→ Echa śpiewne harficzne głębokie jak szumy
Lasów prastarych - w chorał łączące się złoty
W rozlewny chorał dawnej
słowiańskiej jednoty -
To SERBIA śpiewa SERBIA
LESCOVAC SRPSKI, LISTOPAD 1940

Wiersz Marii Petry jest pozbawiony interpunkcji. Być może to celowy zabieg – podkreślenie nieustannego, chaotycznego rytmu tułaczki, w której nie było ani chwili wytchnienia, ani pewności, gdzie kończy się jeden etap, a zaczyna kolejny. Z Serbii musiała udać się do Mersin w Turcji – jedyne go portu na południu tego kraju, z którego statki przewoziły polskich uchodźców do Palestyny. Ten epizod podróży to nie tylko kolejna geograficzna przeprawa, lecz także poetycki symbol poszukiwania przystani w świecie rozdartym wojną i niepokojem. Wiersze Petry stają się zapisem tej podróży – bez kropki na końcu zdania, bo nadzieja i wędrówka wciąż trwały. Opuściła i Lwów i ukochaną Warszawę, z rozdartym sercem:

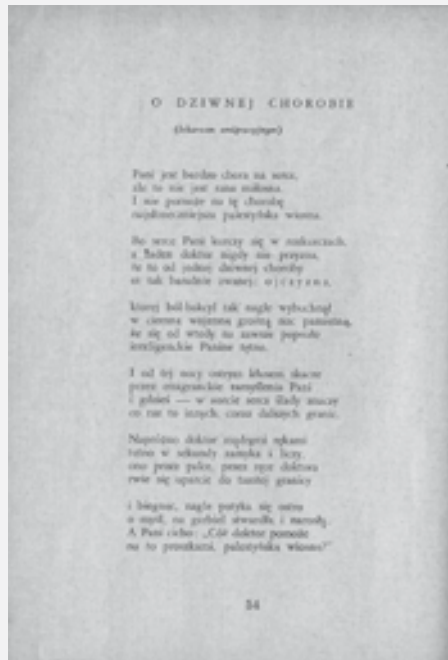
O dni - nieprzytomne od grozy!
O noce - jak płaczki
Wkoło płonących stosów miast
przykucnięte, jękami
Syren wyjące krwawo! O stosie
ofiarny Europy:
WARSZAWO! „

Z WIERSZA WĘDRÓWKI

Na falach niepewności

Przeplęnęła Morze Śródziemne z Turcji do Palestyny na pokładzie statku pod polską banderą – noszącego nazwę ss Warszawa, jak jej ukochana stolica. Ładownia przerobiona na ciasne kajuty była schronieniem dla tłumu polskich i żydowskich uchodźców. Ich oczy, pełne twógi, wypatrywały przez bulaje nie tylko horyzontu, ale także złowrogiego błysku niemieckich

torped czy nieprzyjaznych bander, wznośzących się ponad wzburzonymi falami. To pełne niepewności i lęku doświadczenie utrwaliła w strofach wiersza *Na Okrętach*, napisanego jeszcze podczas rejsu w marcu 1941 roku. Jej słowa brzmią jak modlitwa o przetrwanie, ocalenie od groźby, która stała się rzeczywistością kilka miesięcy później. 26 grudnia 1941 roku ss „Warszawa” został zatopiony przez dwie niemieckie torpedy, stając się tragicznym



Wiersz *O dziwnej Chorobie* z tomiku Marii Petry Struny, opublikowany w prasie żołnierskiej, wydany jako książka nakładem autorki w Jerozolimie w 1944 roku.

symbolem wojennych losów tych, którzy odważyli się marzyć o wolności. Maria Petry zapisała w wierszach tę dramatyczną podróż.

Przemierzając wraz z żołnierzami szlak bojowy Armii Andersa, stała się kronikarką

ich tęsknot i niepokojów. Jednym z najbardziej poruszających świadectw tego czasu jest wiersz *O Dzwonnej Chorobie*, w którym poetka splata obrazy żołnierskiej codzienności z pragnieniem wolności i powrotu do ojczyzny. Wiersz, drukowany w prasie żołnierskiej, m.in. „Orle Białym” i „Ku Wolnej Polsce”, krzepił serca czytelników jeszcze przed oficjalnym wydaniem w książce. Jego wersy stają się symboliczną pieśnią emigranta, który, mimo zewnętrznej walki, toczy również wewnętrzną batalię – z samotnością, nostalgiją i niepokojem. Zapis emocji własnych i współtowarzyszy, uniwersalny manifest ludzi, którzy w wojennej zawierusze nie tracili wiary w powrót do wolnej Polski.

Pokrzepienie dusz i serc

W tamtych trudnych czasach brakowało polskiej czcionki, a literackie standardy ustępowały miejsca pilniejszemu potrzebom. Może dla krytyka literackiego nie były to dzieła górnołotne, ale dla tych, którzy czytali jej wiersze przy polowych ogniskach czy w dusznych namiotach szpitalnych, były one czymś bezcennym – pokrzepieniem dusz i serc. Petry spełniła swoją misję nie tylko jako ochotniczka w Pomocniczej Służbie Kobiet, ale również jako poetka, która w czasach chaosu i śmierci pozostawiła poetyckie świadectwo ludzkich losów. Jej wersy stawały się balsamem dla walczących żołnierzy i uchodźców na tułaczym szlaku. Świadoma siły swojego głosu wiedziała, że nie może „płeść bez przerwy” – jak sama pisała. Jednak czuła, że ma obowiązek wypowiadać się w imieniu więzionych w łagrach i stalach, ginących na polach bitew. Jej poezja to akt pamięci i odwagi, głos, który trwał wtedy, gdy inni milczeli.

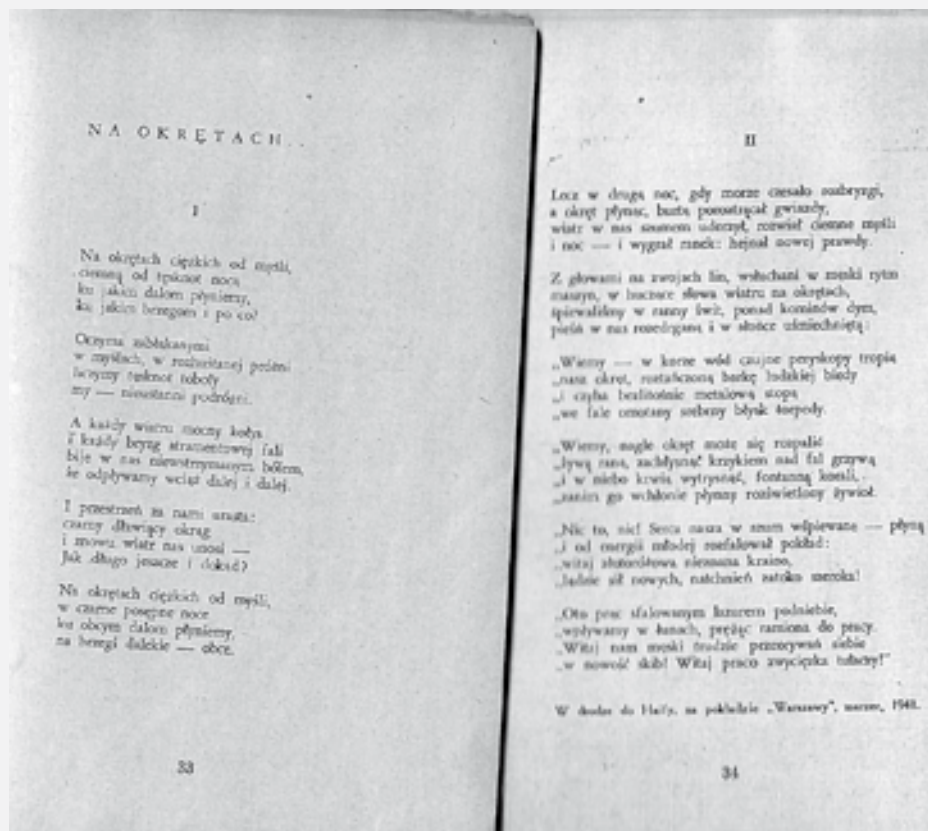
(...) A niebo? - Niebo milczy,
dziwnie idylliczne
W stallengach - tu - i w łagrach,
gdzieś w Rosji arktycznej,
Gdzie tamci, śledząc mlecznych
dróg traktury zawrotne
Nie mogą znaleźć drogi jednej, tej powrotnej.

Tutaj się słowa rwą i z wiersza wybiec naglą
I gonić tamtą prawdę mroźną, szarosiłą
Że dla nas, dla narodzin myśli tamci giną...(...)

FRAGMENTY POEMATU *WIERSZ NIEOFICJALNY, NAPISANEGO W JEROZOLIMIE 1943 ROKU, W CZWARTYM ROKU CYWILNEGO UCHODŹCTWA*

Utwór ten doskonale oddaje ogromne, niemal duszące wyczekiwanie na koniec wojny i kres tułaczego życia. W tej niepewności, rozciągającej się jak bezkresne pustkowienie, jedynie krótkie momenty spotkań z rodakami przynoszą chwilowe ukojenie. Maria Petry w swoich wierszach potrafiła uchwycić te ulotne chwile wspólnoty – czas, gdy choć na moment można było zapomnieć o codziennej walce, a serca zyskały odrobinę wytchnienia. Jej poezja była jak duchowy azyl dla tych, którzy każdego dnia balansowali między nadzieją a zwątpieniem.

(...) Może wtedy zapomnieć da się odrobinę,
że codziennie trzeba wracać na zdarzeń margines,
dziergany, jakże często, tangiem
poprzez skrzypce
w uchodźcze kawiarniane
maje....czerwe....lipce,



Maria Petry *Na Okrętach*, wiersz napisany w drodze do Haify na pokładzie ss „Warszawa”, marzec 1941.

...
*których saksofon próżno
 krzykiem srebrokrętym
 szarpie odległe niebo, eter obojętny;
 a niebo ... czekać każe, siejąc zmrok spokojny
 i nie chce błysnąć znakiem, że
 już koniec wojny.(...)*

**WIERSZ NIEOFICJALNY(FRAGMENT), NAPISANY W JE-
 ROZOLIMIE 1943ROKU W CZWARTYM ROKU CYWILNEGO
 UCHODŹCTWA.**

Twórczość Marii Petry najczęściej gościła na łamach żołnierskich pism takich jak „Orzeł Biały” i „Ku Wolnej Polsce”. Jej wiersze, drukowane w trudnych warunkach

wojennych, były odpowiedzią na potrzebę zachowania w pamięci ducha wspólnoty i wewnętrznej siły. Wśród kart jej tomiku *Struny* odnalazłam wycinek prasowy — ślad tamtych chwil, kiedy poezja stawała się balsamem dla żołnierskich serc. Każda strofa, przeplatana historią walki i tęsknoty, pozostaje żywym świadectwem literackiego zaangażowania Petry w czasach, gdy słowo było równie ważne jak karabin.

Rapsod po stracie generała Sikorskiego
 Noc z 4 na 5 lipca 1943 roku na zawsze odmieniła świat Marii Petry. Katastrofa lotnicza u wybrzeży Gibraltaru, która pochłonęła życie gen. Władysława Sikorskiego - premiera Rządu RP na Uchodźstwie i Naczelnego Wodza — przyniosła nie tylko osobisty dra-

mat poetki, ale także pogłębiła narodową traumę polskiej emigracji. Samolot brytyjski z generałem na pokładzie runął do morza zaledwie kilkanaście sekund po starcie. Ta tragiczna chwila odebrała nadzieję wielu tułaczom, którzy widzieli w Sikorskim symbol wolnej Polski i moralnego przywództwa w trudnym czasie wojny. Poetka nie pozostała obojętna wobec tego ciosu. Jej bolesny krzyk rozpaczy i żałoby rozbrzmiał w utworze *Rapsod o gen. Sikorskim*. Strofy te nie były jedynie wyrazem żalu, ale także hołdem dla człowieka, który dla wielu stał się uosobieniem nadziei i walki o wolność ojczyzny. W poetyckiej formie upamiętniła nie tylko stratę, lecz także niezłomnego ducha narodowego, który, pomimo tragedii, miał przetrwać.

(...) *Europo - poległ wódz!
 Narodzie - wdziej żalobę!
 O Anglosasi - padł
 Wielki Zachodni Słowianin! (...)*

RAPSOD O GEN. SIKORSKIM, FRAGMENT

O poezji, wygnaniu i poszukiwaniu siebie

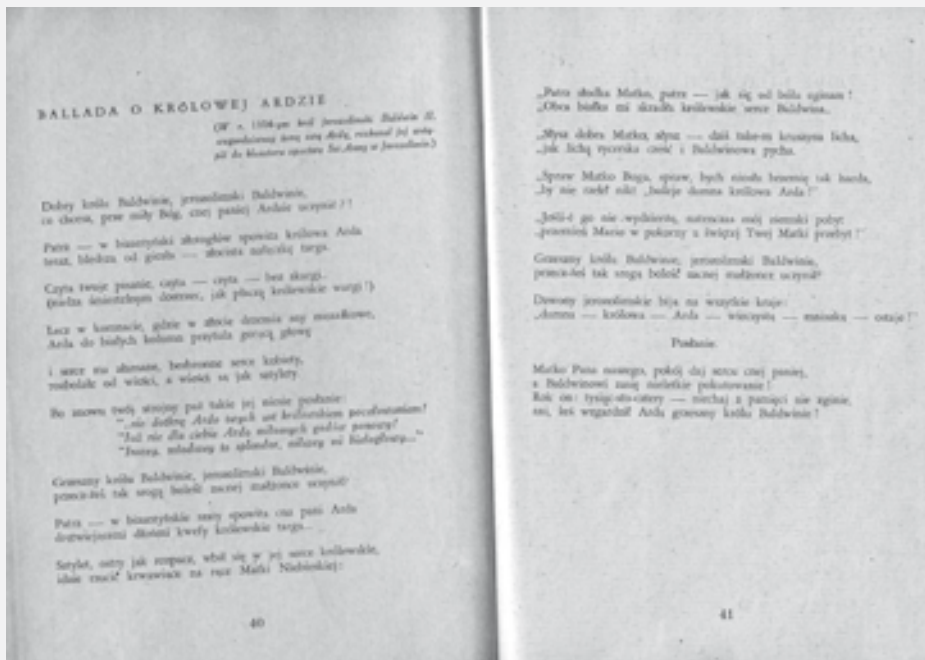
Niewiele dostępnych informacji biograficznych pozwala przybliżyć postać Marii Petry. Jej życie, jak i jej późniejsza twórczość, skrywa ciemną tajemnicę, który pozostawia przestrzeń do odkrywania. W świecie literatury najważniejsze jest jednak to, co autorka sama chce o sobie opowiedzieć - a Petry przedstawia się najpełniej w słowie wstępnym do tomiku *Struny*.

Jej refleksje o poezji, sztuce i roli artysty na wygnaniu są surowe i pełne gorzkości. Autorka nie szczędi ostrych sądów, zarówno wobec siebie, jak i innych twórców działających na emigracji na Bliskim Wschodzie. Boleje nad tym, że obowiązkowi patriotycznym, którym podporządkowano literaturę na obczyźnie, przyniosły szkodę poezji jako niezależnej formie wyrazu. W jej opinii twórcy i krytycy zapomnieli o najistotniejszym celu sztuki — konfrontacji „ja” z rzeczywistością.

Jak pisze Maria Petry: „To właśnie tego „innego” szuka autor w poezji, pragnąc uwolnienia od niewidzialnej siły mistycznej, która nim powoduje, jako że: *Wszystko, co widzialne, opiera się na niewidzialnym, dostępalne na niedostępalnym, a dotykalne na niedotykalnym*. Czy jej gorzka refleksja wynika z osobistych doświadczeń? Czy boleje nad niedoskonałością własnej twórczości? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania jednoznacznie. Z pewnością miała prawo do takich rozważań, bo w jej biografii nie brakowało wygnania, tułaczki i walki o przetrwanie. Niezależnie od autokrytyki poetki, trudno nie zgodzić się z jej spostrzeżeniem: *Kto umie poetycko czytać, w każdym utworze prawdziwie poetyckim zauważy te dwa elementy, pulsujące zresztą odmiennością znaczeń: jeden zewnętrzny, prozaiczny, dany wprost przez poetę, a drugi będący wielością najbogatszych znaczeń, nie dających się sformułować słownie*. Być może w tej wielości ukrytych znaczeń odnajdziemy prawdziwe świadectwo jej życia i twórczości, które staje się nie tylko literackim świadectwem czasów, ale także uniwersalnym zapisem ludzkiego losu.

Pomiędzy pięknem a bólem

Z perspektywy laika literackiego trudno zgodzić się z surową samooceną Marii Petry. Wojna i wygnanie wyzwały różnorodne reakcje - jedni pisali gorączkowo, próbując uchwycić każdą ulotną chwilę, inni milczeli, przytłoczeni ciężarem tragicznych wydarzeń. Byli też tacy, którzy nie przestali tworzyć, choć ich twórczość była może mniej doskonała niż przed wojną. W tym



Ballada o Królowej Ardzie w tomiku *Po Drodze*.



Ochotni. P.S.W.K. jako sanitariuszka

Maria Petry jako sanitariuszka w „Ku Wolnej Polsce”, 27 września 1942. Jedyna znaleziona przeze mnie fotografia autorki

→ kontekście jej utwory, odnalezione przypadkiem, a dotąd szerzej nieznanne — jawią się jako wyjątkowe świadectwo czasu. Niosą ze sobą prawdę, a ich siła tkwi nie w literackiej perfekcji, ale w autentycznym zapisie ludzkich emocji i przeżyć. Bo wszystkie te wiersze, jak pisze sama Petry, były tworzone: z głębi duszy poety, w tkaninę zdań abstrakcyjnych i symbolów, aby stamtąd przejść przez czynne pośrednictwo tych samych zdań w duszę czytelnika. To - jak powiada Henri Brémond - *miracle de la poesie...* cud poezji Marii Petry.

(...) *na granicy życia i śmierci, w chwilach najczystszej ekstazy lub najgłębszego bólu, gdzie każde słowo staje się świadectwem.* (...)

To właśnie w tej prostocie i emocjonalnej szczerości tkwi nieprzemijające piękno. To poezja, która pulsuje prawdą i staje się świadkiem epoki, mimo że jej autorka - jak wielu twórców tamtych czasów wątpiła w wartość swoich dzieł. Nie miałam okazji zapoznać się z innymi utworami Marii Petry poza jej niezwykłym tomikiem *Struny*, który uważam za prawdziwe arcydzieło autentycznego doświadczenia i głębi. To jednak wystarczyło, by jej spojrzenie na poezję stało się dla mnie jednym z najpiękniejszych literackich manifestów, jakie dotychczas poznałam.

EWA LEŚNIEWSKA

Część 2. Tekstu w kolejnym numerze

p.s.

Szukałam w internecie, dzwoniłam do bibliotek w Polsce i na świecie, by zorientować się, czy tytuły, które odnalazłam są dostępne, a jeśli tak, to w jakiej formie – skan, oryginał, kopie i w ilu egzemplarzach. Oto, co udało mi się ustalić:

			Sztuk	allegro
Mieczysław Adam Ubyśz	Czas wirujący	Biblioteka Narodowa w Warszawie	1 Tomik	
Maria Petry	Struny	Biblioteka Uniwersytecka Kardynała Wyszyńskiego Warszawa	1 Tomik	
Jan Roztworowski	Na Cięciwie	Uniwersytet Kardynała Wyszyńskiego w Warszawie, Biblioteka Polska w Sztokholm, Biblioteka Polska w Londynie,	1 Tomik	
Jan Roztworowski	Dni ostatnie i Noce Pierwsze	Biblioteka Narodowa w Warszawie, Biblioteka Polska w Sztokholm, Biblioteka Polska w Londynie	2 Tomiki	
Mieczysław Lurczyński	Poemat Niedokończony	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik	
Mieczysław Lurczyński	Luski Syreny	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik	
Mieczysław Lurczyński	Dom pod wysokim Księżycem	Biblioteka Polska w Londynie	1 Tomik	
Mieczysław Lurczyński	Czas Poległy	Biblioteka Polska w Londynie		
	Z poezji wojennej Czechosłowacji	Digital Bibliotek London, Chicago, Biblioteka Chrystusowców Toruń	1 skan	
Ludwika Biesiadowska	Po Drodze	Biblioteka Polska w Londynie	Kopia	
Ludwika Biesiadowska	Po Drodze	Biblioteka Narodowa w Warszawie	1 Tomik	

O Autorce tekstu: **EWA LEŚNIEWSKA** – ekonomistka, absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Pracowała w Polsce i za granicą. Warsztatu dziennikarskiego uczyła się w Gdańsku w Tygodniku Studenckim „Politechnik” od 1980 do 1982 roku.



NA ODEJŚCIE MUZY TREN Z URIELEM

Odchodzisz od światła palce na po - wiekach
 twój sen coraz bardziej z mych oczów sypie
 Teraz zostanie – wiem tylko moja krzywa twarz
 Pomięta ona o zapachu podłogi i ścian zmięta
 Jak w obrazach Wróblewskiego niewyprasowana
 Jeszcze twój cień kołysze się na wietrze z bielizną
 Powiewa zanim zabierzesz jego powiew łopot głosu
 Za nim zabierzesz długie włosy czasu pokręcone dni
 Naszych widzeń w szumie mórz Teraz rozbijają się
 Nie zamykaj jeszcze po-wiek na wieki mokrych rzęs
 Ale czy zostanie dla mnie fiołkowy twój czasu zapach?
 Jak patrzę po kilku seansach trucizny źrenice twoje mocniej
 Błękitnieją rozwarte usta jakby śpiewały Urielowi Psalm
 Ale to nie ten śpiew nie ten grymas na chwili przetrwania
 Usiądę pod kamiennym drzewem - Tam kamienny słowik
 Coraz wyraźniej słyszę jego głos w kolorze ciemni Ogrodu
 Już się faunem staję ciepły deszcz wypełnia ciała pojemnik
 Szarej godziny staję z samotnością nie odchodzę z tobą
 Widzę już w niej twój dotyk bezgłośnie snuje się zatoką
 Biały żagiel oznacza odpływ dni naszych i snów
 Nie gniewam się na ten czas nie gniewam się na śmierć
 Czuję drepta po piasku i zostawia odcisnięte czcionki
 Trzeba mi je tylko odczytać na później odpowiedzieć
 Napisać kolejną ikonę – tylko jak ja teraz nazwać?
 Druk po odciskach paznokci zapis kiedy odchodzi służebna LOV
 Jeszcze tunel a w nim jakby żołnierz jedwabny tam czekał
 Na śmierć zapomniany nie musiał marnować piękna
 Ale gdy zniknie jego cień pojawi się niebieski błysk zaśpiew
 Eskadra chórów zawsze służebnych w słodkiej chwili
 Elektroda zapachu dotknie i moich ust przełknę grudę
 Zwęglonej śliny nutę naszego bytu w mdłej ciszy
 Będzie urokliwy krzyk już muszę go uporządkować
 Odesłać daleko ileż to ikon pamiętam zapisane odesłałem
 Każda była okienkiem na świat Boga piszę dalej wołam
 Ty idź a ja przyjdę po nitce obok psów i ryku upiора świata
 Wszystkie ikony teraz w łodzi mi świecą a ja widzę oczy
 Pojmuję te światelka i ich wyobrażenie wiersz łaskę?
 Ty rozumiesz przestrzeń inaczej szepcesz - poczekam
 Czuję ja wciąż siedzę pod kamiennym drzewem Dramy
 Słowik kamienny śpiewa coraz wyraźniej go słyszę
 To prawda każda przestrzeń zawsze na obraz za mała
 Każdy śpiew na sen za mały jak bajka za cichy jedyny
 Teraz za częsty i błyskotliwy twój okrzyk do światła
 Nawet gdy obraz już namalowany dla obrazu dni
 Coraz bardziej pojmuję też obrazy Malewicza ich mowę
 I bardziej rozumiem malarstwo bóstw na starych skałach
 Będę cię tam szukał i namaluję ci twarz - zostań poszeptuj
 Wnet umrze cywilizacja pojawią się humaidalne filmiki
 Kim Teraz jesteś? - A kim ja? – Jesteśmy znikającymi punktami
 Bo kiedy umierasz Muzo zaczyna się koniec kolejnego świata
 I kolejnego wymiaru spada - wpatruję się w kolejną przestrzeń
 Nałożoną na przestrzeń czasu i wciąż mało dla niej miejsca

ZBIGNIE W IKONA - KRESOWATY



Kiedy Ty spisz
musz tuż za mną
na spokojną stronę
niech cię nie przeszkadza

niech cię nie przeszkadza
A Ty radzisz tylko
niech cię nie przeszkadza
niech cię nie przeszkadza
niech cię nie przeszkadza
niech cię nie przeszkadza
niech cię nie przeszkadza
niech cię nie przeszkadza

GRACE